

KONTYNUACJA SYRENY I GŁĘBI

# Mroczna tonię



TRICIA RAYBURN

Wydawnictwo Dolnośląskie

**TRICIA RAYBURN**

# **Mroczna toń**



Zaczęło się godzinę po rozpoczęciu podróży. Nerwowe kołatanie w piersi. Nogi jak z waty. Ucisk w gardle, który sprawia, że z każdym oddechem człowiek ma wrażenie, jakby zamiast wdychać czyste, świeże powietrze, przełykał garść tłuczonego szkła. Odczucia te nie były niczym nowym. To komunikaty, które mój organizm wysyłał już prawie od roku. Zawsze kiedy wyczerpywał się i wchodził na wolne obroty... wysychał..

Jedyna różnica polegała na tym, że teraz nie czułam pragnienia. Zrobiliśmy wystarczająco dużo przystanków na trasie autostrady 1-95, żeby do tego nie dopuścić.

Czułam za to strach.

- Chipsa?

Spomiędzy przednich siedzeń wyłoniła się duża paczka laysów i zakołysała się kusząco.

- Twoje ulubione - zareklamowała mama. - Solone z octem.

- Podwójnie solone - dodał tata i żeby nie być gołosłownym, wziął plastikową solniczkę ze stojaka na napoje i przechylił ją nad otwartą paczką. Kiedy białe ziarenka obsypywały chipsy, przeszło mi przez myśl, że sam pomysł na taką przekąskę w podróży powinien wywołać mdłości. Ale u mnie nie wywoływał.

- Nie, dzięki. Jakoś nie jestem głodna.

- Przecież nic dziś nie jadłaś - zaprotestowała mama.

- A wczoraj ledwie tknęłaś kolację.

- Zaostrzam sobie apetyt. Na specjały z menu „Portowych Frykasów”.

Mama zerknęła na ojca. Kiwnął głową tak dyskretnie, że gdybym się tego nie spodziewała, uszłoby to mojej uwagi.

- Wyobraźcie sobie - zaczął tata, odkładając paczkę chipsów na deskę rozdzielczą, a solniczkę na stojak na napoje - że kilkoro moich studentów wynajęło tego lata domek w Kennebunkport. Słyszałem, że to czadowe miejsce.

- Czadowe?! - Wołałam się upewnić, że dobrze słyszę.

- No wiesz, odjazdowe. Wypasione - rzucił luzackim tonem. - Albo, jak to mawiają współcześni poeci, wytrzępane.

- Wyczesane - poprawiła mama.

Tata spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Jak to możliwe, że w twoich ustach to brzmi zdecydowanie mniej idiotycznie?

- Bo ja wymawiam to poprawnie. - Mama próbowała uchwycić moje spojrzenie w

lusterku wstecznym. - Nie „wytrzepane”, a „wyczesane” - uściśliła. - Mam rację, kochanie?

Odwrociłam głowę w stronę okna.

- Chyba tak.

- No, skoro nasza córka, przyszła studentką Dartmouth, tak sądzi, to tak musi być - podsumował tata.

Przycisnęłam czoło do szyby, próbując wymazać z myśli wyobrażenie porośniętych bluszczem murów uczelni.

- Wracając do tematu: w sezonie miasteczko bywa zatłoczone, ale jest położone nad wodą i podobno urocze. Moglibyśmy się tam wybrać. Choćby dzisiaj. Co wy na to?

- Świetny pomysł - od razu przystała mama. - Akurat zbliżamy się do zjazdu na Kennebunkport.

Wyprostowałam się na siedzeniu.

- Czy nie jesteśmy umówieni na spotkanie?

- Owszem - przyznała. - Ale możemy je przełożyć.

- Przecież planowaliście tę podróż od tygodni. Dlaczego mielibyśmy zmieniać plany w ostatniej chwili?

- A dlaczego nie? - odparła mama. - Zawsze dobrze jest poznać wszystkie możliwe rozwiązania. Zwłaszcza jeżeli chodzi o nieruchomości.

- Ale ten dom, który mieliśmy obejrzeć, też leży nad wodą. W życiu nie widziałam czegoś równie pięknego. - Próbowałam się uśmiechnąć przekonująco. - A po ubiegłym lecie w mieście nie powinno być zbyt tłoczno.

Ta ostatnia uwaga miała zabrzmieć optymistycznie. Jednak, wbrew dobrym chęciom, moje niezbyt fortunate sformułowanie przedarło się przez fasadę radości rodziców.

- Wcale nie musimy tam wracać - przypomniała mama, zaciskając palce na kierownicy.

- Możemy pojechać, dokąd zechcemy - dodał tata. - Spróbować czegoś nowego.

- Tak, wiem. Powiedzieliście mi to pół roku temu i od tamtej pory słyszę to co najmniej raz w tygodniu. Doceniam waszą otwartość, ale to niepotrzebne. Wcale nie chcę próbować czegoś nowego.

Mama obejrzała się przez ramię. Jej wargi układały się w prostą, wąską linię. Wiedziałam, że za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych kryją się zmarszczone brwi i przymrużone oczy.

- Vanesso, jesteś pewna? Absolutnie pewna? Wiem, że byłaś tam już kilka razy od czasu, gdy... od tamtej pory... ale teraz to co innego. - Po chwili dodała: - Teraz jest lato.

Lato. To słowo zawisło między nami, ciężko pulsując i pęczniejąc w ciszy niczym balon. Spojrzałam na puste miejsce z mojej lewej strony, po czym wyciągnęłam rękę po garść chipsów.

- Tak - odparłam. - Jestem pewna.

Choć w ciągu ostatnich miesięcy zapewniałam o tym rodziców niezliczoną ilość razy, dobrze rozumiałam ich niepokój. Odkąd pamiętam, każdego roku w czerwcu wybieraliśmy się w tę podróż, a tego roku po raz pierwszy robiliśmy to bez mojej starszej siostry Justine. Ale to nie wszystko: z powodu napiętego planu zajęć naszej pośredniczki w handlu nieruchomościami - i ogromnego, jej zdaniem, zainteresowania wspaniałą posiadłością, która całkiem niedawno została wystawiona na sprzedaż - musieliśmy dotrzeć na miejsce jeszcze dzisiaj, czyli akurat dzień po rozdaniu świadectw w moim liceum Hawthornea... i w pierwszą rocznicę śmierci Justine.

O tym, że to przerażające, bezustannie przypominał mi mój własny organizm. Ale było coś, co wydawało się o wiele okropniejsze: decyzja, by już nigdy nie wracać do Winter Harbor.

Kilka garści chipsów popiłam dwiema butelkami słonej wody. Przez następnych piętnaście minut, potakując mechanicznie, jednym uchem słuchałam rozmowy rodziców na temat zalet całorocznej elewacji z sidingu. Kiedy minęliśmy zjazd na Kennebunkport, odczekałam jeszcze pięć minut dla pewności, po czym opadłam z ulgą na oparcie kanapy i po raz setny, odkąd wstałam dziś rano, otworzyłam klapkę telefonu, żeby sprawdzić, czy nie przyszły nowe wiadomości.

„Hej, V.! Nie mogę się doczekać twojego przyjazdu. Te 20 godzin wlecze się jak 20 lat!! Cały dzień w restauracji. Wpadnij, gdy tylko będziesz mogła. Buziaki, P.”

Paige. Moja najlepsza przyjaciółka, była współlokatorka i jeden z głównych powodów, dla których spędzenie wakacji gdziekolwiek indziej tego lata nie wchodziło w grę. Uśmiechnęłam się i odpisałam:

„Też nie mogę się doczekać. Przed nami jeszcze kilka godzin jazdy. Napiszę, kiedy będziemy bliżej. Nie przepracuj się! Buziaki, V.”

Wysłałam wiadomość i przejrzałam stare SMSy, mając jak zwykle nadzieję, że któryś przypadkiem pominęłam albo że przez jakiś czas byłam poza zasięgiem i operator nie wysłał powiadomienia.

Nic z tego. Szybkie połączenie z pocztą głosową potwierdziło, że i ona działa bez zarzutu.

Zamieniłam telefon na plik kartek z opisami kursów w Dartmouth. Wcześniej

pobrałam je ze strony uczelni, wydrukowałam i zwinięte w rulon wrzuciłam na tylne siedzenie. Już teraz orientowałam się mniej więcej, co wybiorę jesienią, ale rodzice nic na ten temat nie wiedzieli. A moje pozorne „myślenie o przyszłości”, bardziej niż cokolwiek innego, powstrzymywało ich przed wracaniem do przeszłości. Prawdę mówiąc, przeglądanie opisów kursów było tak skuteczną tarczą obronną, że przez resztę podróży żadne z nich nawet nie zapytało, jak się czuję ani czy mam na coś ochotę.

Oczywiście, dopóki nie zjechaliśmy z autostrady, nie musieli tego robić. Przynajmniej nie na głos. Mama spoglądała w lusterko wsteczne częściej niż na drogę, a tata po wyspaniu do paczki z chipsami dodatkowej porcji soli odwrócił się i wetknął ją pomiędzy przednie siedzenia.

- Dzięki, czuję się świetnie - zapewniłam, ignorując głucho pulsowanie w uszach. - Słowo honoru.

To ich najwyraźniej uspokoiło, przynajmniej do czasu, gdy zbliżyliśmy się do znaku w kształcie żaglówki, który zapraszał przyjezdnych do Winter Harbor. Wtedy mama szarpnęła kierownicą i samochód nieoczekiwanie skręcił w lewo, omijając główną aleję i wszystkie przydrożne lokale handlowe. Chciałam zaprotestować, ale się zawahałam. Czy rzeczywiście miałam ochotę tkwić w korkach i w żółwym tempie mijać lodziarnię „U Eddiego”, która zawsze była naszym pierwszym przystankiem i oficjalnym rozpoczęciem kolejnych cudownych wakacji w gronie najbliższych?

Raczej nie. Tym razem pozwoliłam, by rodzice zrobili to po swojemu.

Wyjęłam z plecaka kolejną butelkę wody i skoncentrowałam się na picciu. Kilka minut później objazd mamy doprowadził nas do skrzyżowania, przez które byśmy przejeżdżali, gdyby trzymała się głównej alei. Droga w prawo prowadziła w stronę wzgórz i dalej w dół długą, krętą trasą, którą znałam tak dobrze, że mogłabym nią jechać nocą z wyłączonymi światłami. Nasłuchiwałam sygnału kierunkowskazu, czekałam na lekki skręt na zachód. Żadna z tych rzeczy nie nastąpiła. Pojechaliśmy prosto.

Początkowo prosta i płaska droga stopniowo zaczęła pięć się w górę. Odległości między zabudowaniami rosły, a las gęstniał.

Nigdy wcześniej nie byłam w tej części Winter Harbor; zanim jednak zdążyłam stwierdzić, czy to dobrze, czy źle, droga się urwała. Samochód stanął. Wszyscy patrzyliśmy wprost przed siebie.

- To ma być jakiś żart? - zapytałam, wynurzając się spomiędzy siedzeń.

- Nie wydaje mi się - odparła mama po krótkiej pauzie. Podała ojcu kartkę ze wskazówkami dojazdu, opuściła szybę i sięgając do srebrnej skrzynki stojącej przed bramą od

strony kierowcy, nacisnęła umieszczony na niej przycisk. Wysoka brama, na której zamiast prostych żelaznych prętów widniały postacie syrenek z bogato zdobionymi ogonami, otworzyła się na oścież.

- Co nam szkodzi spróbować - rzucił tata, po czym zajął się składaniem kartki ze wskazówkami.

Próbowałam sięgnąć po plik papierów z opisem kursów, przystawić je sobie do oczu i zasłonić wszystko, czego nie chciałam widzieć. Ale nie mogłam. Mój wzrok zatrzymał się na głowach bez twarzy, unoszonych wiatrem włosach, misternie zdobionych rybich ogonach. Powtarzałam sobie w myślach, że te syreny to nic poza kowalstwem artystycznym, ale wciąż doszukiwałam się w nich czegoś znajomego. Kiedy brama zamknęła się za nami, a nasz samochód wtoczył się w głąb podjazdu, obróciłam się za siebie, żeby patrzeć, jak stają się coraz mniejsze i mniejsze. A, ściślej rzecz biorąc, żeby się upewnić, że stają się mniejsze.

Stromy podjazd wił się przez gęsty las. Po przejechaniu niecałego kilometra mama, coraz bardziej niespokojna i zniecierpliwiona, a może jedno i drugie, docisnęła pedał gazu. Nasz SUV wyrwał na szczyt niewielkiego wzniesienia i skoczył ku krawędzi urwiska.

Tata i ja automatycznie sięgnęliśmy po klamki. Mama zrobiła gwałtowny wdech i nacisnęła pedał hamulca. Samochód przejechał z piskiem jeszcze parę metrów, po czym z szarpnięciem stanął.

- Płot - powiedziała mama, wypuszczając powietrze. - Po prostu sprawmy sobie duży, solidny płot.

Otworzyła drzwi i wyskoczyła z auta. Ojciec z wolna pochylił się do przodu i zaczął obracać. Wyczuwając zbliżającą się świeżą falę niepokoju, otworzyłam drzwi i wysiadłam. Wtedy mnie dosięgła.

- Jacqueline! Tak się cieszę, że przyjechałaś, chociaż powiadomiłam cię w ostatniej chwili.

Szeroką kamienną ścieżką z lewej strony kroczyła kobieta. Miała na sobie białe płócienne spodnie, biały płaszcz i skórzane sandały. Jej włosy były tak mocno ściągnięte w koński ogon, że kąćki niebieskich oczu nienaturalnie się uniosły. Najwyraźniej wykute w żelazie podobizny pływających stworzeń wywarły na mnie silniejsze wrażenie, niż sądziłam, bo przez ułamek sekundy zdawało mi się, że patrzę na kobietę, którą poznałam ubiegłego lata.

Ale to było niemożliwe.

Tylko czy na pewno?

- A to pewnie jest twoja piękna córka. - Kobieta ucisnęła dłoń mamy, a mnie posłała promienny uśmiech. - Studentka prestiżowej uczelni. Tak wiele o tobie słyszałam. Wybrałaś

Dartmouth, tak?

Zmusiłam się do uśmiechu.

- Tak.

- Jesteś spełnieniem marzeń swoich rodziców.

Opuściłam wzrok.

- Vanesso - powiedziała szybko mama - to jest Anna. Nasza pośredniczka w handlu nieruchomościami. Anno, zgadłaś, ta piękność to właśnie moja córka.

- Za to ja jestem absolutnie przeciętnej urody mężem i ojcem - przedstawił się tata, dołączając do nas. - A to miejsce jest niczego sobie.

- A nie mówiłam?

Anna chwyciła mamę za łokieć i poprowadziła w dół ścieżką, jak katarynka wyliczając sypialnie, łazienki i zalety energooszczędnej budowli. Tata kroczył blisko za nimi, z rękami w kieszeniach, i wpatrywał się w horyzont po prawej. Ja szłam kilka kroków dalej, trzymając w dłoni komórkę, na wypadek gdyby któreś z nich obróciło się i musiałabym udawać, że jestem zajęta. Nie chodzi o to, że nie byłam zainteresowana. Po prostu nie chciałam wpływać na ich decyzję bardziej niż dotychczas.

- W tym domu nikt nigdy nie mieszkał - oznajmiła Anna, kiedy podeszliśmy do budynku. - Właściciel, pewien architekt z Bostonu, zaprojektował go dla swojej żony. To miał być prezent na ich dziesiątą rocznicę ślubu. Tylko że wtedy, dosłownie tydzień temu, jego małżonka postanowiła uczcić to w towarzystwie jednego ze współpracowników męża. To okropne, jak życie się czasem układa, prawda?

Spostrzegłam, jak mięśnie pleców taty napinają się pod czerwoną kraciastą koszulą. Mama opuściła głowę i zaczęła nerwowo kartkować dokumenty, które niosła.

- To prawda - odparła. - Czasem tak już jest.

- Czy to basen? - zapytałam.

Anna, która natychmiast porzuciła refleksje nad kondycją współczesnych związków, posłała mi przelotny uśmiech.

- I jacuzzi. Zobacz sama.

Obie z mamą szybkim krokiem weszły do domu. Tata zatrzymał się przed wysoką kamienną donicą w kształcie muszli. Przystanęłam obok niego.

- Dziękuję - powiedział.

Skinęłam głową.

- Nie przywykliśmy do czegoś takiego, prawda? - zapytał później.

Dopiero po chwili zorientowałam się, że ma na myśli dom, który wyglądał jak



skupisko szklanych bloków połączonych drewnianymi korytarzami. Nie było skrzypiącego ganku. Dzięki niezliczonym oknom z przedniego podwórza roztaczał się widok na podwórkę za domem. Nie było też tarasu. Ani łuszczącej się farby, kruszejących cegieł czy zwisających rynien.

- Masz rację - odparłam. - Może to kolejna rzecz?, do której będziemy musieli przywyknąć.

Weszłam do środka. Głosy mamy i Anny niosły się po wnętrzu. Dochodziły z prawej strony, więc ruszyłam w lewo. Minęłam salon, jadalnię i dwie sypialnie. Każde wnętrze udekorowane było innym odcieniem taupe i nadal pachniało farbą i trocinami. Jeden szczególnie długi korytarz kończył się przy ścianie szklanych drzwi. Rozsunęłam je i znalazłam się na progu trzeciej sypialni. Niemal straciłam równowagę pod naporem wilgotnego, słonego powietrza. Automatycznie zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech, delektując się ciepłem, które spłynęło mi po gardle, przynosząc ukojenie obolałemu ciału.

Kiedy znów otworzyłam oczy, ujrzałam wodę. Gdy wkroczyłam do pokoju, odniosłam wrażenie, jakby szaroniebieski horyzont zakrzywiał się i załamywał wokół mnie. Skupiając się, by utrzymać wzrok na jednej wysokości, podeszłam do drugiej ściany szklanych drzwi, które wyprowadziły mnie na kamienny taras.

I oto ujrzałam go przed sobą. Ocean. Tak blisko, że za każdym razem, gdy fale uderzały o skały, na których wzniesiono patio, czułam na twarzy bryzę.

- Nie znajdziemy nic lepszego.

Poderwałam się i obróciłam za siebie. W drzwiach stała mama, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń za moimi plecami.

- Jedyne rozwiązanie, by być jeszcze bliżej, to zamieszkać na barce... Ale, bez obrazy, kochanie, mój żołądek po prostu nie zniesie takiego trybu życia.

Osobiście podziwiałam ją za to, że tak świetnie radzi sobie z sytuacją. Niewiele kobiet by potrafiło.

- Podoba ci się? - zapytała, dołączając do mnie.

Fala uderzyła w skały pod nami. Wtarłam słońcą mgiełkę w nagie ramiona.

- Mnie tak. Ale nie jestem pewna, czy tacie się spodoba.

- Twój ojciec będzie zadowolony z każdej twojej decyzji.

Wiedziała o tym. Wiedziała też dlaczego. Gdyby można było przypisać winę za to wszystko, moi rodzice uznaliby jednogłośnie, że znaleźliśmy się w tym położeniu z jego powodu.

Mama uniosła podbródek w stronę wody i wzięła głęboki oddech.

- Myślę, że komuś jeszcze by się spodobało. To przecież raj dla amatorów opalania.

Uśmiech zakwitł na mojej twarzy.

- Justine byłaby wniebowzięta.

Stałyśmy w milczeniu przez parę chwil. Potem mama objęła mnie, przyciągnęła blisko do siebie i pocałowała w czoło.

- Pójdę obgadać szczegóły. A ty zostań tu tak długo, jak zechcesz.

Kiedy zniknęła za szklanymi drzwiami, zbliżyłam się do krawędzi tarasu i rozejrzałam po terenie posesji. Około piętnastu metrów na południe znajdował się drugi taras, a przy nim basen i jacuzzi. Między tarasami rozpościerał się pas soczystej zielonej trawy. Kamienne schody prowadziły od podwórza do prywatnej plaży w dole.

Choć najwyraźniej nie do końca prywatnej, bo po piasku szła powoli wysoka postać, która ciągnęła czerwoną łódź. Był to ciemnowłosy mężczyzna, który miał na sobie džinsy, koszulkę i... okulary.

Serce załomotało mi w piersi, a oddech uwiązł w gardle. Stopy, jakby bez mojego udziału, poruszyły się, prowadząc na trawnik i w dół po kamiennych schodach.

Skąd wiedział, że tu jestem? Od Paige? Może wpadł do restauracji, żeby zapytać? Ale skąd wiedział, że ona tam będzie? A może zaglądał do nich regularnie, na wszelki wypadek?

To nie miało znaczenia. Ważne, że tu był. Odnalazł mnie. I że swój pierwszy dzień w Winter Harbor spędzimy razem, tak jak zawsze.

Zeskoczyłam z ostatniego kamienia i opadłam na miękki piasek.

- Simon!

Wyprostował się i zaczął odwracać w moją stronę. Przyspieszyłam kroku, zastanawiając się, jak by zareagował, gdybym zarzuciła mu ręce na szyję, czego pragnęłam z całych sił.

- Cześć.

Stałam jak wryta. Spoważniałam, za to jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu.

- Tak właściwie to mam na imię Colin. - Puścił łódkę, otrzepał dłonie o spodnie i podał mi prawą na powitanie. - Jestem synem Anny.

Słyszałam jego słowa, ale nie rozumiałam ich znaczenia. Dopóki nie zdałam sobie sprawy z tego, że okulary na jego nosie nie są korekcyjne, a przeciwsłoneczne, a włosy nie są ciemnobrązowe, tylko jasne. A to, co brałam za łódkę, naprawdę było kajakiem.

- Mama, przygotowując nieruchomość na sprzedaż, bardzo dba o efekt wizualny - wyjaśnił, widząc, że wpatruję się w kajak. - Nie żeby temu miejscu czegoś brakowało. Próbowałaś?

Uniosłam wzrok i nasze spojrzenia się spotkały

- Czy próbowałam?

- Czy pływałaś już kajakiem po oceanie?

Potrząsnęłam głową i cofnęłam się o krok.

- W takim razie musisz spróbować. - Zbliżył się do mnie.

- Może któregoś dnia wybierzemy się razem? Z przyjemnością udzielę ci lekcji.

Zamarłam. Nogi mi drżały. Poczułam ucisk w piersi. Otworzyłam usta, żeby podziękować, odpowiedzieć, że z największą przyjemnością skorzystam z porad eksperta, i zapytać, czy moglibyśmy umówić się jak najszybciej, ale... po krótkim namyśle zamknęłam buzię.

Kiedy czułam się osłabiona, tylko jedno sprawiało, że odzyskiwałam siły szybciej niż po kontakcie ze słoną wodą, a mianowicie: wzbudzanie zainteresowania płci przeciwnej. Jednak nie uciekałam się do tego rodzaju środków, ponieważ do tej pory kosztowało mnie to utratę jedyne go związku, jaki kiedykolwiek stworzyłam, jedyne go, jaki kiedykolwiek się liczył, i teraz nie miałam zamiaru niczego zaczynać.

Nie wiedziałam, czy Simon i ja wciąż jeszcze mamy jakąś szansę, ale byłam pewna, że jeśli istniała, nie zaryzykuję jej utraty.

- Dziękuję - odparłam.

I odwróciłam się, a wtedy po moich policzkach potoczyły się łzy.

- Bakłażan, jagoda czy jeżyna? - Paige oparła próbnik kolorów o serwetnik. - Jak myślisz?

- Myślę, że wszystkie wyglądają tak samo - oznajmiłam.

- No wreszcie. - Szef kuchni Louis wszedł po schodach i skierował się do naszego stolika. - Głos rozsądku.

- Jak to: wreszcie? Przejawem rozsądku jest to, że udało mi się zawęzić wybór do tych trzech kolorów. A może sam spróbujesz wybrać doskonały kolor spośród ośmiuset przepięknych?

Louis posłał mi cyniczny uśmiezek, kładąc przed nami talerze.

- To właśnie jedna z wielu różnic między mną a tobą, panno Paige. Ja nigdy nie wybierałbym spośród ośmiuset przepięknych kolorów, bo ten, który mamy teraz, już jest doskonały.

- Szary? Twoim zdaniem szary jest doskonały? Jeśli to w ogóle jest kolor!

- Nie zgadzam się. Przy odpowiednim świetle nawet wpada... w fiolet.

Paige otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zamiast tego nadziała na widelec truskawkę. Louis dolał nam kawy do kubków, puścił do mnie oko i ruszył z powrotem na dół.

- Sklep ze słodyczami - prychnęła, kiedy zniknął.

- Słucham?

- Jego zdaniem tak właśnie będzie wyglądać restauracja, jeżeli - kiedy - pomalujemy ją na któryś z wybranych przeze mnie kolorów. Powiedział, że jeśli zmienimy kolorystykę, powinniśmy od razu zmienić i nazwę. Na „Pianki i ciągutki od Marchandów”.

Uśmiechnęłam się.

- Brzmi całkiem nieźle.

- Ale nie ma nic wspólnego z prawdą. Jesteśmy restauracją rybną. Od sześćdziesięciu lat serwujemy ryby, małże i homary izawsze będziemy to robić. Nowy wizerunek tego nie zmieni.

- Masz rację. Wystrój się liczy, ale i tak najważniejsze jest jedzenie. Jak choćby ta słynna w całej okolicy „Czarownica z morskich głębin”, o której marzę od tygodni.

Po tych słowach zagłębiłam ostrze noża w paszteciku z homara, a Paige, która właśnie miała wbić zęby w bajgla, znieruchomiała. Zatrzymałam pełny widelec przed ustami.

- Co się stało? - zapytałam.

- To nie jest „Czarownica z morskich głębin” - oznajmiła, a w jej głosie pobrzmiwała

nutka żalu. - To znaczy jest: to wciąż jajecznicza, homar, glony i naleśnik. Ale teraz nazywa się „Wschód słońca nad Winter Harbor”.

- Chyba trudniej będzie przyzwyczaić się do tej nazwy niż do zmiany koloru.

- Wiem. - Odłożyła bajgla na talerz i wzięła do ręki próbnik w kolorze bakłazana. - Ale co mam zrobić? Interes podupada. Przychody są tak niskie jak poziom wody w czasie odpływu. Zdaniem babci Betty trzeba się zdystansować od wydarzeń minionego lata. To jedyny sposób, by utrzymać się na powierzchni. A ponieważ dla potencjalnego gościa „Czarownica z morskich głębin” może być oczywistym skojarzeniem z zabójczymi syrenami... Przyjmijmy, że to niewielka zmiana, która może robić wielką różnicę.

Nie byliśmy same na tarasie dla pracowników. Przy stoliku w lewym rogu siedziało dwóch kelnerów, piło napoje gazowane i bawiło się swoimi komórkami. W prawym rogu pomocnik kelnera i pomywaczka sączyli herbatę i przyglądali się łodziom podrygującym na wodach niemal opustoszałego portu. Może tylko mi się zdawało, ale na wzmiankę o zabójczych syrenach wszyscy naprężyli się i znieruchomieli. Zaczekałam, aż znów wrócą do rozmowy; dopiero wtedy pochyliłam się w stronę przyjaciółki i zniżając głos, powiedziałam:

- Myślałam, że ludzie wierzą, iż wszystko, co wydarzyło się minionego lata, było wynikiem anomalii pogodowych.

Swoją drogą trudno było wymagać od mieszkańców i turystów, by tak myśleli, skoro Winter Harbor nigdy wcześniej nie doświadczyło podobnych zjawisk. Jak choćby te niespodziewane, gwałtowne burze. Utonięcia. Łódz skuwający wody portu, które nigdy wcześniej - aż do minionego lata - nie zamrzły, nawet w środku najsroźszej zimy. Ale, jak powiedział wtedy Simon, ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć. I nie mając innego logicznego wytłumaczenia, ochoczo przypisali te dziwne zdarzenia kapryśnej matce naturze.

Czyżby zmienili zdanie?

- Bo rzeczywiście wierzyli - wyjaśniła Paige, odpowiadając na pytanie, które bałam się wymówić na głos. - Przynajmniej przez jakiś czas. Ale od babci Betty i Olivera usłyszałam, że ludzie zaczęli stawać się coraz bardziej podejrzliwi - i wpadli w popłoch - kiedy ubiegłej jesieni podobne zdarzenia zaczęły mieć miejsce w Bostonie.

Przed oczami przebiegła mi seria obrazów. Colin Cooper, uczeń liceum Hawthornea, niesiony z prądem rzeki Charles; Matthew Harrison, prowadzący rozmowy kwalifikacyjne do Bates College, unoszący się na powierzchni basenu w liceum Hawthornea; Parker King, gwiazda szkolnej drużyny piłki wodnej z Hawthorne, stojący przy mojej szafce, biegnący przez bostoński park Common, pochylający się nade mną... całujący mnie.

Wzięłam ze stołu solniczkę, odkręciłam nakrętkę i wysypałam połowę zawartości do

kawy. Następnie uniosłam ją i przesunęłam nad kubek Paige. Kiedy skinęła głową, opróżniłam solniczkę do jej kubka.

- Ale w Bostonie nie było anomalii pogodowych - oznajmiłam i wzięłam duży łyk. - Czasem trochę popadało, ale nie było w tym nic nietypowego.

- Dlatego ludzie się zaniepokoiłi. Tym bardziej, kiedy wyszło na jaw, że ofiary przypominają te znalezione tutaj.

Czułam ulgę, że mówi ogólnikowo. Pracownikom restauracji nie trzeba było przypominać, że pozbawione życia ciała mężczyzn znajdowano z błogim uśmiechem rozciągającym posiniałe usta.

- Ale skąd się o tym dowiedzieli? - zapytałam. - Obie codziennie czytamy „Globe”. Nigdy ani słowem nie wspomniano, jak wyglądały ofiary, kiedy je znaleziono.

- A czy to ważne? Wieści się rozchodzą. I to szybko. Pewnie ktoś z Hawthornea powiedział komuś z innej szkoły i tak już poszło. Większość wczasowiczów w Winter Harbor zawsze nadciąga z Bostonu. Kiedy dodali dwa do dwóch, a przynajmniej próbowali, pewnie uznali, że tego lata lepiej będzie spędzić wakacje gdzieś indziej. Bo to nie tylko my. Całe miasteczko odczuwa skutki kryzysu.

Teraz, już zupełnie bez apetytu, w zamyśleniu dźgałam widelcem jedzenie na talerzu, rozmyślając nad słowami Paige. Jeżeli to, co mówiła, było prawdą, to lato miało zacząć się całkiem inaczej niż poprzednie, kiedy interes kwitł, a tłum turystów gęstniał w oczach. I choć mój udział w sprawie zaczął się po pierwszych zabójstwach syren, wciąż czułam się częściowo odpowiedzialna.

- Panno Marchand!

Poderwałam głowę. U szczytu schodów stała młoda kelnerka z rozpaczliwym wyrazem twarzy i raz po raz zerknęła w dół, jakby w obawie, że lada chwila ktoś ruszy za nią w pogoń.

- Chodzi o to, że Louis... przygotował danie. I dodał do niego jakiejś specjalnej papryki. Tylko że nic mi o tym nie powiedział. I kiedy klient to zjadł, o mały włos się nie udusił!... A teraz grozi pozwem!

Paige odchyliła w tył głowę.

- Louis grozi pozwem?

- Nie, ten klient - wysapała kelnerka, zerkając w dół schodów. - O nie! Teraz jest w kuchni. Jest w kuchni i wrzeszczy na Louisa. - Obrzuciła Paige szklistym wzrokiem, a jej usta zdrząły. - Co ja zrobię, jeżeli mnie pozwie? Przecież ja nie mam pieniędzy. Po to właśnie przyszłam tu do pracy. To mój pierwszy dzień i zarobiłam tylko dwa dolary w napiwkach, a...

Paige uniosła dłoń. Dziewczyna umilkła.

- Widzisz ten pomost? - Paige wskazała ręką na port.

Dziewczyna pokiwała głową.

- Proponuję, żebyś poszła tam zrobić sobie przerwę.

- Teraz? Ale pracuję dopiero od godziny. A Louis powiedział, że...

- Louis gotuje - przerwała jej Paige. - Ja zarządzam. Zrób sobie piętnastominutową przerwę i odpręż się. Kiedy wrócisz, sytuacja będzie opanowana.

Gdybym nie widziała tego na własne oczy, nie uwierzyłabym, ale na słowa Paige kelnerka się ukloniła. Naprawdę: złożyła dłonie, opuściła głowę i dygnęła.

- Dziękuję, panno Marchand. Bardzo pani dziękuję - powiedziała i zniknęła na schodach.

Odwróciłam się do Paige.

- Panno Marchand?!

- Mówiłam, żeby zwracała się do mnie po imieniu, przysięgam!

- Wzięła winogrono z talerza i wrzuciła je do ust. - Ale najwyraźniej wzbudzam szacunek, nawet nie próbując. Muszę przyznać, że odkąd tu jestem, obsługa jest superuprzejma i troskliwa. No, oczywiście z wyjątkiem naszego osławionego szefa kuchni.

- Czy to dlatego, że Betty zleciła ci zarządzanie restauracją na co dzień?

- Pewnie tak.

Pochyliłam się i zniżyłam głos.

- Myślisz, że to może mieć coś wspólnego z tym... No wiesz, czy to możliwe, że zachowują się inaczej, bo...

- Bo to pierwsze lato w historii, kiedy nie ma tu mojej siostry terroryzującej cały personel? A ich poczucie winy, wywołane odczuwaną z tego powodu ulgą, w połączeniu ze szczerą sympatią do mnie sprawia, że chodzą jak w zegarku?

Może gdybym umiała znaleźć słowa, nie tak bym to wyraziła, ale była blisko.

- No tak... chyba.

- Możliwe. - Przeniosła niebieskie oczy na personel siedzący kilka metrów dalej. Kiedy odezwała się tym razem, mówiła odrobinę głośniejszym głosem: - Trochę tu chłodno. Szkoda, że nie wzięłam kurtki.

Dwaj kelnerzy wymienili spojrzenia, po czym się poderwali. Pomocnik kelnera, siedzący po drugiej stronie tarasu, wstał tak szybko, że oparcie jego krzesła uderzyło o barierkę. Pomywaczka, jedyna kobieta wśród obecnych tu pracowników, zmarszczyła brwi i wyprostowała się, ale nie wstała. Kilka sekund później pomocnik kelnera stał obok Paige,

oferując jej swoją bluzę.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się i dotknęła jego ramienia.

- Bardzo miło z twojej strony. Ale za moment i tak idę do środka.

Twarz pomocnika poczerwieniała. Pokiwał głową i wycofał się do stolika. Dwaj kelnerzy znieruchomieli u szczytu schodów, gotowi przeczesać kuchnię w poszukiwaniu - nie jestem pewna czego - kucharskiego kubraka? Fartucha termicznego? Teraz wyprostowali się i powrócili do stolika, rzucając zaciekawione spojrzenia w naszą stronę. Pomywaczka opadła na oparcie i z nadąsaną miną wlepiła wzrok w przystań.

Paige pochyliła się w moją stronę i wyszeptała:

- Niewykluczone, że to też ma z tym coś wspólnego.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dokończyła kawę i wstała.

- Czas przywrócić ład na szczeblach władzy. - Obchodząc stolik, ścisnęła mój bark. - Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pracy, powiedz tylko słowo. Może i są pełni szacunku, ale i tak przydałaby mi się pomoc doświadczonej osoby.

Uśmiechnęłam się. Jedyne doświadczenie w pracy w restauracji zdobyłam zeszłego lata, kiedy spędziłam kilka dni, chodząc krok w krok za Paige i od czasu do czasu przyjmując zamówienia. Zaprzyjaźniłyśmy się krótko po moim powrocie do Winter Harbor, i Paige na oczekaniu zaproponowała mi pracę. A ponieważ jej babcia była właścicielką, nikt nie protestował - za bardzo. Bo nie można powiedzieć, żeby starsza siostra Paige, Zara, powitała mnie z otwartymi ramionami. Tak naprawdę pałała do mnie taką niechęcią, że za każdym razem, kiedy była blisko, nagle dostawałam pulsującego bólu głowy; dopiero później dowiedziałam się, że jej obecność wzbudzała mój uzasadniony niepokój.

A to dlatego, że łączyła nas więź. W pewnym sensie nawet pokrewieństwo. Takie, jakie teraz łączy mnie z Paige.

Świadoma faktu, że cała uwaga pracowników płci męskiej przeniosła się teraz na mnie, dokończyłam jajecznicę, dopiłam kawę i pozbierałam naczynia. Kiedy wstałam, kierunek wiatru zmienił się i omiotła mnie mgiełka słonego wilgotnego powietrza. Instynktownie wzięłam głęboki oddech i zamknęłam oczy. Kiedy znów je otworzyłam, coś na parkingu poniżej tarasu przyciągnęło moją uwagę.

W przeciwieństwie do ubiegłego roku, kiedy Restauracja Rybna „U Betty” pękała w szwach, a ruchem samochodów na parkingu musiał kierować specjalnie wyznaczony do tego pracownik, teraz plac niemal świecił pustką. Był weekend, dochodziło południe, a zatem pora lunchu i godzina szczytu, a samochody można policzyć na palcach jednej ręki.

Jednym z nich było czarne bmw SUV, które pożyczyłam od mamy po podwiezieniu



rodziców do domku nad jeziorem.

Innym było zielone subaru.

- Przepraszam panią...

Oderwałam wzrok od parkingu. Obok mnie stał jeden z kelnerów.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał.

- Tak, oczywiście. - Zmusiłam się do uśmiechu, zastanawiając się, czy słyszy łomotanie mojego serca.

- Pozwoli pani, że się tym zajmę?

Idąc za jego skinieniem, opuściłam wzrok na podłogę. Wokół moich stóp leżały kawałki potłuczonego szkła.

- Niech się pani nie martwi. - W głosie kelnera słychać było zdenerwowanie i chęć dodania mi otuchy. - Mnie to się zdarza bez przerwy.

Spojrzałam na swoje dłonie. Były puste. Upuściłam talerz i kubek po kawie, które rozbiły się w drobny mak, a ja nawet tego nie zauważyłam.

- Dziękuję, dam sobie radę - zapewniłam. - Przyniosę zmiotkę.

Posprzątałam ze stołu pozostałe naczynia i próbując zebrać myśli, zbiegłam na dół. W kuchni odstawiłam stertę naczyń na blat przy zlewie, minęłam regał ze środkami czyszczącymi i popędziłam w stronę drzwi obrotowych. Kiedy przebiegałam obok baru, przystanęłam na chwilę i pochyliłam się lekko, żeby przejrzeć się w tafli lustra za butelkami z alkoholem. Dopiero wtedy weszłam do głównej sali jadalnej.

Była pusta. No, nie całkiem pusta - przy kilku oddalonych od siebie stolikach siedziały pary i rodziny z dziećmi - ale nie było w niej tej jednej osoby, którą miałam nadzieję tu spotkać, więc równie dobrze mogłaby być pusta.

Do sali weszła kelnerka, którą Paige odesłała na pomost. Zaczekałam, aż spotkam się wzrokiem, i przywołałam ją machnięciem ręki.

- O co chodzi? - Oczy miała już suche, ale jej głos wciąż był rozdygotany. - Czy panna Marchand chce mnie widzieć?

Przed oczami przemknęła mi seria obrazów przypominających fragmenty układanki. Srebrzyste oczy. Długie, ciemne włosy. Wątle, wychudzone sylwetki. Najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam, z dumnie uniesioną głową na dnie mrocznego jeziora.

Ale kelnerka nie miała na myśli Rainy. Miała na myśli jej córkę. Paige.

- Nie - uspokoiłam ją, potrząsając głową, a obrazy powoli się rozmyły. - Jeszcze nie teraz. Chciałam cię tylko zapytać, czy obsługiwałaś kogoś, zanim wyszłaś na przerwę.

- Tak. Tego klienta, który zagroził pozwem. - Postąpiła krok w moją stronę, rzucając

płochliwe spojrzenia na jadalnię.

- A co, wrócił?

Właśnie miałam jej to wyjaśnić, kiedy w oknach wychodzących na parking błysnęły na czerwono światła hamowania jakiegoś samochodu.

- Nieważne. Nie martw się, panna Marchand ma wszystko pod kontrolą! - rzuciłam i wybiegłam.

Wypadłam jak z procy przez drzwi frontowe, kiedy subaru z widoczną naklejką Bates College na tylnej szybie cofało, gotowe do odjazdu. Przez ułamek sekundy poczułam chęć, by zawrócić; znajome logo przywołało bolesne wspomnienia minionej jesieni i przypomniało o tym wszystkim, za czym od tamtej pory tęskniłam. Przypomniało także dlaczego. Ale wtedy samochód ryknął, wyrывая naprzód, a ja instynktownie rzuciłam się w ślad za nim.

Byłam w połowie drogi do wyjazdu z parkingu, kiedy auto stanęło. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się, a ze środka wysiadł...

Caleb.

- Vanesso, czy coś się stało?

Brwi miał ściągnięte, a czoło zmarszczone. Przenosił zaniepokojone spojrzenie to na mnie, to na restaurację, na przystań za swoimi plecami i znów na mnie. Dość szybko zorientowałam się, dlaczego jest tak zaniepokojony.

W chwili gdy drzwi samochodu się otworzyły, wmurowało mnie w asfalt. Teraz zmusiłam się, by poruszyć stopami. Swobodnie. Jak gdyby nigdy nic. Nie jak ubiegłego lata, kiedy byłam ścigana - kiedy wszyscy byliśmy ścigani.

- Cześć! - Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam szyję, żeby dojrzeć, czy nikt nie siedzi na miejscu pasażera. - Wszystko gra. Po prostu zobaczyłam twój samochód i chciałam się przywitać.

Twarz Caleba rozluźniła się, a usta zaczęły powoli rozciągać się w uśmiechu, który nagle zbladł. Głowa chłopaka przekrzywiła się na bok.

- Zobaczyłaś mój samochód? - powtórzył.

- Tak, z okna restauracji. Byłam w jadalni i akurat wyjrzałam... - nie dokończyłam i odwróciłam wzrok od pustego subaru. - Aha.

- No właśnie. Ja nie mam samochodu.

No tak. Wiedziałam o tym.

Skinął głową. I ja skinęłam głową. Żadne z nas się nie odezwało.

Prawie każdego dnia w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy rozmyślałam, co powiem Simonowi, kiedy znów go zobaczę. Za to ani razu nie zastanowiłam się, co powiem jego

młodszeemu bratu - i ukochanemu mojej siostry Justine. I to był błąd. Bo teraz czułam się jeszcze niezręczniejszą niż podczas przypadkowego spotkania z dawno niewidzianym przyjacielem.

Niezręczność ta zapewne brała się stąd, że jeden przyjaciel okłamał drugiego, i wszystkich innych, w sprawie tego, kim - a raczej czym - naprawdę jest.

- Co u ciebie? - wydusiłam wreszcie.

- W porządku - odparł z ulgą. - Mam mnóstwo pracy, ale wszystko dobrze.

- Ciągłe pracujesz na przystani?

- Właściwie spędzam tam większość czasu. W tym roku dużo czytałem o silnikach przyczepnych i łodziach tego typu, a kapitan Monty stopniowo, ale z przekonaniem, pozwala mi ćwiczyć na prawdziwym sprzęcie. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Simon też dużo pomaga. To dlatego przyjechałem jego subaru.

Poczułam, jak pierś zalewa mi fala ciepła.

- Czy on... Czy u niego... To znaczy...

- U niego wszystko w porządku - zapewnił cicho Caleb.

Odetchnęłam.

- Każdego innego dnia przekonałabyś się o tym sama. Dzięki Betty mamy tu zapewniony dożywotnio darmowy lunch, a Louis dostał surowy przykaz, by za każdym razem przyrządzać dla nas wszystko, co nam się tylko zamarzy. A dzisiaj tak wyszło, że to nie Simon przyjechał po jedzenie, bo Monty wybrał się akurat na ryby i ktoś musiał zostać, żeby pilnować interesu.

Gdybym choć przez moment zastanowiła się, co powiem Calebowi, kiedy zobaczę go po raz pierwszy prawie po roku przerwy, nigdy nie przyszłoby mi do głowy to, co wypłynęło z moich ust:

- Brakuje mi go.

Milczał przez chwilę, po czym odparł:

- Jemu ciebie też.

Poczułam, jak serce wypełnia mi radość.

- Tak ci powiedział?

- Nie musiał.

W tym momencie nadjechał samochód i zasygnalizował skręt na parking. Caleb i ja staliśmy w przejściu - rozstąpiliśmy się, żeby zrobić mu miejsce. Niestety, fizyczna odległość tylko zwiększyła emocjonalny dystans, który nas dzielił.

- Muszę lecieć. - Spojrzał na zegarek.

- Jasne. Ja też. - Wstrzymałam oddech w nadziei, że zapyta dokąd, a wtedy odpowiedziałabym, że do naszego domku nad jeziorem, który sąsiaduje z jego domem rodzinnym i już wkrótce ma zostać sprzedany. Nie zrobił tego jednak. Po prostu odwrócił się i ruszył w stronę subaru. Nie chcąc patrzeć, jak raz jeszcze odjeżdża beze mnie, poszłam w swoją stronę.

- Vanesso...

Odwróciłam się.

Caleb opuścił wzrok i przez chwilę bawił się wystrzępionym rękawem bluzy.

- Dopiero przyjechałaś, prawda?

- Kilka godzin temu.

Puścił rękaw. Nasze oczy się spotkały.

- Zamierzasz tam pojechać?

Nie musiał precyzować dokąd. Wiedziałam.

Nad urwisko Chione. Tam właśnie wybraliśmy się pierwszego dnia wakacji zeszłego roku. I każdego poprzedniego.

Tam właśnie zginęła Justine.

- Raczej nie - odparłam.

Skinął głową.

- W takim razie do zobaczenia.

Tym razem patrzyłam za nim, gdy odchodził. Zrobiłam to dla mojej siostry Dłatego, że powinna tu być. I gdyby tylko - zawsze tak spędzaliśmy cały pierwszy dzień w Winter Harbor i prawie każdy następny.

Kiedy subaru dotarło do końca głównej alei, skręciło w prawo i zniknęło za zakrętem, szybkim krokiem wróciłam do restauracji. W holu natknęłam się na Paige, która przykładała do ściany kolejne kolory z próbnika.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panno Marchand - zagaiłam. - Zastanawiałam się, czy pani wciąż ma wolny etat...

Po burzliwym, wyczerpującym roku to lato - poprzedzające rozpoczęcie studiów - miałam poświęcić dwóm celom: spędzeniu czasu z rodziną i relaksowi. Jednak minął prawie tydzień, a ja widywałam rodziców tylko wieczorami i z trudem znajdowałam czas, by się odprężyć. A wszystko przez to, że zamiast leniuchować przez kolejne trzy miesiące, podjęłam pracę w dwóch miejscach. Pierwszym była restauracja „U Betty”, gdzie zatrudniłam się jako hostessa. Paige pozostawiła mi pełną swobodę w kwestii godzin pracy, ale ponieważ częstsze przebywanie w restauracji dawało mi większą szansę na spotkanie Simona, zwykle pojawiałam się tam przed śniadaniem i zniktałam dopiero po kolacji. Na razie moja strategia wypracowywania nadgodzin nie przyniosła rezultatu; Caleb musiał wspomnieć Simonowi, że mnie tam spotkał, bo zawsze po lunch przyjeżdżał sam. Ale na wszelki wypadek wołałam być dostępna.

Drugim zadaniem, jakiego się podjęłam, była pomoc Annie, naszej pośredniczce, w przygotowaniu do sprzedaży domku nad jeziorem. Ta rola spadła na mnie z braku alternatywy. Gdyby miało być tak, jak chciała mama, to ona nie odstępowałaby Anny na krok - i interweniowałaby w razie konieczności - aż do chwili znalezienia kupca. Ale mama postawiła sobie za cel urządzić nas w nowym domu na plaży, więc była zbyt zajęta zakupami, dekorowaniem i organizowaniem wszystkiego, by móc się skupić na starym domu. Nie ufała też tacie w tej kwestii; domek nad jeziorem kupił, jeszcze zanim się poznali, i zawsze należał bardziej do niego niż do kogokolwiek innego. Przysiągł, że jest gotów się z nim pożegnać, a mimo to od czasu do czasu, niezależnie od tego, czy byliśmy na plaży, w mieście, czy gdziekolwiek indziej w Winter Harbor, łapałyśmy go na tym, że spogląda tęsknie w kierunku jeziora Kantaka.

Zatem pozostawałam ja. Mama uznała, że z równym jej zapalem zechcę rozpocząć nowy rozdział, i miała rację. W dużej mierze.

- Dobry Boże, czy ktoś tu umarł?

Drzwi frontowe trzasnęły. Odwróciłam wzrok od okien w salonie i zobaczyłam Annę stojącą w niewielkim przedpokoju. W ramionach ścisnęła papierowe torby z piekarni i połyskujące niebieskie foldery. Na jej twarzy malował się wyraz niezadowolenia.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Dlatego, że po wejściu tutaj ma się wrażenie, jakby małe, urocze leśne stworzonka wlażyły w ściany i już na zawsze w nich pozostały.

- To stary dom - przyznałam, czując, jak w piersi wzbiera fala ciepła. - Od miesięcy

nikt w nim nie mieszkał. Zawsze na początku sezonu czuć nieco stęchlizną.

- Nieważne, stęchlizną czy myszy. Nikt nie sięgnie po książeczkę czekową, jeżeli dłonie będzie miał zajęte zasłanianiem nosa i ust. - Weszła w głąb salonu, rzuciła foldery na niski stolik przed sofą i ruszyła do kuchni. - A biorąc pod uwagę cenę, jakiej zażądała twoja matka, lepiej, żeby dom przypominał zapachem kwaciarnię.

Stałam w przejściu, nie wiedząc do końca, co robić. Po chwili w drzwiach do kuchni pojawiła się głowa Anny.

- Okna!

- Co proszę?

- Lada chwila pojawią się pierwsi potencjalni kupcy. Jedyne, co nam pozostało, to otworzyć wszystkie okna i modlić się o przeciąg.

Głowa zniknęła za futryną. Z kuchni dobiegał pisk otwieranych szafek, a po chwili trzask ich zamykania. Odgadując, że Anna szuka naczyń, by wyłożyć to, co przyniosła z piekarni, przez chwilę zastanawiałam się, czy powiedzieć jej, że mama zostawiła całe pokazowe wyposażenie kuchenne w spiżarni... Postanowiłam jednak, że tego nie zrobię. Za to w pośpiechu obeszłam salon, odsłaniając zasłony i otwierając okna na oścież.

A potem ruszyłam na piętro, by tam zrobić to samo.

Drzwi w końcu korytarza były zamknięte, tak samo jak wtedy, kiedy ostatnim razem odważyłam się tu wejść. Przez kilka miesięcy, które spędziliśmy w Bostonie, dom był wystawiony na sprzedaż i wielokrotnie oglądali go potencjalni kupcy, ale powietrze było tu teraz tak nieruchome, że nie umiałam sobie wyobrazić, by od czasu mojej ostatniej wizyty ktokolwiek był tu, na górze. Równie trudno było wyobrazić sobie zdarzenia, które tamtego popołudnia doprowadziły mnie na piętro domku, kiedy to powiedziałam mamie zajętej pakowaniem reszty rzeczy Justine, że chcę studiować w Dartmouth.

Było to trudne, ale możliwe. A każdy kolejny dzień mi otym przypominał.

- Vanesso, a co powiesz na świeczki? Nie wiesz, gdzie...

- Głos Anny przycichł, kiedy otworzyłam drzwi i zamknęłam je za sobą. W małym pokoiku, który Justine i ja dzieliłyśmy każdego lata od niepamiętnych czasów, przysiadłam na krawędzi jednego z bliźniaczych łóżek i przeniosłam wzrok na drugie. Wyglądało inaczej. Pościel była zbyt biała, poduszka zbyt nienaturalnie zaokrąglona. Mama nie chciała zabierać ze sobą żadnych starych mebli, ale zachowała część elementów wyposażenia, jak choćby pościel. Uznałam, że nie chce ryzykować, by ktoś obcy korzystał z prześcieradeł, kołder i koców, w które otulała się jej najstarsza córka podczas niezliczonych chłodnych letnich nocy. Albo by je wręcz wyrzucił.

Łóżko wydawało się tak obce, że nie umiałam wyobrazić sobie leżącej na nim Justine. Nie mogłam zobaczyć, jak wspiera głowę na łokciu, kiedy rozmawiamy o tym, co będziemy robić nazajutrz, ani jak leży na plecach i splata włosy w warkocz, kiedy rozmawiamy o filmach, muzyce i chłopakach. Zawsze o chłopakach. Wreszcie o jednym z nich najwięcej: o Calebie.

Ta myśl sprawiła, że poczułam chęć, by się położyć i zamknąć oczy. Każdego dnia coraz trudniej było mi ją zobaczyć, ale zwykle wyeliminowanie dekoncentrujących bodźców pomagało. Właśnie miałam opaść na materac, kiedy na dole rozległo się terkotanie dzwonka. Z podwórka dobiegł trzask zamykanych drzwi samochodowych. Obróciłam się i kolanami wsparłam o łóżko, twarzą do okna - całe szczęście wciąż jeszcze było zamknięte. W przeciwnym razie myśl o wyskoczeniu i wylądowaniu na trawie w dole mogłaby okazać się zbyt kusząca.

Dlatego, że tam był on. Simon. Mój Simon. Szedł kamienną ścieżką do rodzinnego domu sąsiadującego z naszym. Jego ciemne włosy były teraz dłuższe, w większym nieładzie. Jak zwykle miał na sobie dżinsy i koszulkę, ale tym razem były poplamione smarem i farbą. Jego opalone ramiona wydawały się szersze, silniejsze.

Nogi mi zadrżały. Poczułam suchość w gardle. Kolana zrobiły się miękkie jak z waty. Nagle całe moje ciało zechciało - poczuło przemożną potrzebę - znaleźć się w jego ramionach.

- Jestem tu - wyszeptałam, unosząc dłoń do szyby. - Tuż obok. Obróć się i spójrz w górę... Proszę, spójrz.

Nie spojrzał. Wszedł do środka, nawet nie zerkając w moją stronę.

Opadłam na łóżko. Czy widok naszego domu już nie przypominał mu o mnie? Czy do tego już doszło?

Był tylko jeden sposób, by się przekonać. Ignorując niewielką część świadomości, która ostrzegała mnie, że Simon potrzebuje czasu i przestrzeni, zerwałam się z łóżka, przemierzyłam pokój i szarpnęłam za drzwi.

- Dzień dobry.

Na korytarzu stało dwoje ludzi. Niewiele brakowało, a zatrasnęłabym im drzwi przed nosem, chcąc ukryć się z powrotem w pokoju.

Mężczyzna się uśmiechnął. Miał blond włosy, brązowe oczy i... piękną żonę, której twarz zeszywniała na mój widok.

- Mieszkasz tu? - zapytał.

- Tak - odparłam. - W pewnym sensie. To był - to jest

- dom moich rodziców.
- Jest przepiękny - oznajmił.
- Jest stary - poprawiła go żona.

Nawet jeśli usłyszał jej ton, zignorował go.

- Z którego roku?

Przez chwilę nie odpowiadałam. Był to jeden z faktów, które jeszcze przed kilkoma sekundami natychmiast bym sobie przypomniała i wyrecytowała bez zająknięcia.

Wreszcie rzuciłam:

- Z tysiąc dziewięćset czterdziestego. - Na pewno było to coś koło tego.
- W takim razie jest zaledwie w średnim wieku. - Wyciągnął dłoń na powitanie. -

Brian Corwin.

Jego żona przeniosła wzrok z jego otwartej dłoni na mnie. Kąciki jej ust uniosły się co prawda w uprzejmym, lekkim uśmiechu, ale niewzruszone spojrzenie sugerowało, że powinnam dobrze się zastanowić, zanim przyjmę jego ofertę.

- Vanessa Sands. - Zamiast ucisnąć jego dłoń, skinęłam głową i minęłam go, kierując się w stronę schodów. - Państwo wybaczą, naprawdę muszę już...

- Dlaczego chcecie go sprzedać?

Utkwiłam spojrzenie w jego oczach.

- Słucham?

- Ten dom jest w doskonałym stanie. Jest uroczy. Staroświecki. Dwa kroki od jeziora. Jest wszystkim, czym było to miasteczko, zanim nadeszły zmiany. - Wzruszył ramionami

- Pani rodzina musi mieć dobry powód, skoro go opuszcza.

A nawet kilka, gdybym miała być szczerą. Dobre wspomnienia. Złe wspomnienia. Bliskość słodkiej - nie słonej - wody. Nasza rozpaczliwa potrzeba rozpoczęcia wszystkiego od początku. Niestety, nie mogłam o nich wspominać potencjalnym kupcom - przynajmniej nie bez wywołania dalszych pytań. Poza tym byłam już wystarczająco doświadczona, by wiedzieć, że Brian nie zadawał tych pytań dlatego, że chciał poznać odpowiedź. Robił to, bo chciał poznać 40 mnie. A raczej osobę, za którą mnie brał, kierowany cielesnym instynktem.

- Może to przez tę ciemną boazerię - podsunęła jego żona, gdy wciąż nie odpowiadałam. Jej głos był uprzejmy, ale pełen napięcia. - Albo odchodzące tapety. A może wyblakłe dywany. Albo kruszejące schodki prowadzące na ganek. Albo może...

- O ile mnie pamięć nie myli, nie dalej jak trzy minuty temu mówiłaś, że ten dom ma niesamowity potencjał!

- Uś niech Briana zniknął. - I że to wspinała ruinka, którą - przy odrobinie pracy -



mogłabyś przekształcić w dom swoich marzeń.

Poczułam ucisk w piersi. Palce aż rwały się, żeby drapać skórę na twarzy, karku, ramionach - wysychała, powodując nieprzyjemne pieczenie; jednak poprzestałam na wyjęciu z kieszeni bluzy butelki z wodą. Piłam, podczas gdy Brian i jego żona kłócili się, i czekałam, aż moje ciało schłodzi się i odpręży. Stresujące sytuacje zawsze przyspieszały u mnie proces odwodnienia i pozbawiały energii, a ostatnio objawy te znacznie się nasiliły. Staralam się na bieżąco uzupełniać poziom płynów, ale nigdy nie mogłam być pewna, czy to wystarczy.

Bardzo kochałam ten dom i wiedziałam, że będę za nim tęsknić, gdy przestanie należeć do nas, a mimo to musiałam przyznać, że nieruchomość nad brzegiem oceanu miała zdecydowane zalety. Jej główną wadą była wysoka cena - choć Anna uparcie twierdziła, że jeszcze przed ubiegłym latem musielibyśmy za nią zapłacić dwukrotnie więcej niż teraz. Mama zapewniła, że przez jakiś czas finansowo damy sobie radę, ale prędzej niż później będziemy potrzebowali pieniędzy ze sprzedaży domku nad jeziorem.

Czy w tych okolicznościach nie byłoby w porządku, gdybym odstąpiła od ściśle przestrzeganej reguły niekorzystania z pewnych zdolności dla własnych korzyści? Przynajmniej w tym jednym wypadku? Zwłaszcza że to mogłoby dać nie jeden, a dwa pozytywne rezultaty - w tym siłę, która pozwoliłaby mi zapukać do drzwi Simona i opowiedzieć mu o wszystkim, co tak bardzo leżało mi na sercu przez ostatnie miesiące.

Tego nie wiedziałam. Ale kiedy opróżniłam butelkę, a słony płyn spłynął mi do gardła, wzięłam głęboki oddech i obwieściłam:

- Przystosowana piwnica.

Brian i jego żona jednocześnie spojrzeli w moją stronę. Postanowiłam mówić dalej, zanim opuści mnie odwaga.

- W domu jest przystosowana piwnica. Mama wyremontowała ją pięć lat temu. Używała jej jako biura, ale sądzę, że doskonale sprawdziłaby się też jako siłownia.

Coś mi mówiło, że to podniesie atrakcyjność domu. Żona Briana była szczupłą kobietą, a jej koszulka bez rękawów odsłaniała ładnie wyrzeźbione ręce. Przez ramię przewiesiła dużą płócienną torbę, w której bez trudu zmieściłaby się mata do j<sup>o</sup>gi-

- Poza tym - dodałam - przepłynięcie z jednego końca jeziora na drugi to półtorakilometrowy dystans. W sam raz na poranny trening.

Z wolna otaksowała mnie wzrokiem, najwyraźniej próbując ocenić, czy moje pobudki mogą być szczerze. Na szczęście długie godziny spędzone na pływaniu w ubiegłym roku mnie również pozwoliły ukształtować mięśnie. Nie wiedziałam, czy da się to ocenić przez dzinsy i obszerną tunikę, ale pani Corwin najwyraźniej musiała zobaczyć coś, co ją

usatysfakcjonowało, bo delikatne zmarszczki na jej czole wygładziły się, a twarz rozluźniła.

- No cóż, ostatecznie nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy obejrżeli tę piwnicę. -  
Chwyciła Briana pod ramię i zaczęła prowadzić go w stronę schodów.

- W zasadzie tu na górze jest jeszcze kilka innych pokoi, które warto zobaczyć. Co  
prawda wymagają remontu, ale...

- Chętnie je zobaczę. - Brian uwolnił się od ramienia żony.

- Jeden z nich można by przekształcić w garderobę.

Tę uwagę skierował do niej - to było jakby coś w rodzaju nagrody - choć uparcie nie  
odwracał wzroku ode mnie.

Zawahała się, po czym westchnęła:

- Jak chcesz. Bądź pod telefonem.

- Przepraszam - powiedział, kiedy zostaliśmy sami. - Ona ma dość nietypowy gust.

Próbowałam się uśmiechnąć.

- Ależ nie ma za co.

Ruszyłam w głąb korytarza, raz po raz rzucając przez ramię spojrzenia, które miały  
wyglądać na wstydlive i tajemnicze. Z całą pewnością nie byłam wstydliva, a jeżeli  
skrywałam tajemnicę, ten mężczyzna bez wątpienia nie był jedynym, który nie znał prawdy o  
mnie. Ale od siostry Paige, Zary, ich matki Rainy i mojej własnej matki biologicznej, którą  
poznałam dopiero ubiegłej jesieni, zdążyłam już nauczyć się co nieco o tym, jakich sztuczek  
mogę użyć - i w jaki sposób. I choć żadnego chłopaka nie obdarzyłam nawet jednym  
uśmiechem, odkąd ostatni raz uśmiechałam się do Simona dziewięć miesięcy temu, i nie  
miałam wprawy w uwodzeniu... przekonałam się, że to niekoniecznie ma znaczenie.

Dlatego że Brian szedł za mną jak na smyczy. Nie spuszczał ze mnie wzroku.  
Uśmiechał się do mnie tak szeroko, jakby na dole nie czekała na niego żona, jakby wcale nie  
miał żony. Najgorsze było to, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi; nie był w stanie  
kontrolować swoich reakcji. O wszystkim decydowałam ja.

To nie było w porządku. Rodziło poczucie silnego dyskomfortu. Gdyby moja skóra  
nie była tak bardzo sucha, przeszłyby po niej ciarki.

Ale była przeraźliwie sucha, a ja z każdą chwilą czułam się coraz gorzej. Musnęłam  
dłonią ramię, a wtedy obłok półprzezroczystych płatków łuszczącej się skóry, wirując, osiadł  
na podłodze. Dlatego szłam dalej. Aż do pokoju gościnnego na drugim końcu korytarza.

- Wow! - Przez ułamek sekundy uwaga Briana skupiła się na czymś poza mną. - To  
dopiero widok.

Przystanęłam obok niego przy oknie wychodzącym na jezioro. Pokój było duży i

pusty, stały w nim jedynie stara sofa i biurko. Ale byliśmy blisko siebie, tak blisko, że rękawy naszych ubrań stykały się ze sobą.

- Powinieneś to zobaczyć o zachodzie słońca.

Odwrócił się w moją stronę.

- Bardzo chętnie.

Poczułam, jak w podbrzuszu wzbiera fala ciepła, która powoli się rozchodzi. Zachęcona, wyobraziłam sobie Justine promiennie uśmiechającą się do Caleba, i spróbowałam odtworzyć ten wyraz twarzy.

- Skąd jesteś? - zapytałam.

- Z Providence. W stanie Rhode Island.

Tym razem na mojej twarzy zakwitł szczerzy uśmiech.

- Słyszałam o Providence.

Potrząsnął głową i roześmiał się lekko.

- Oczywiście, że słyszałaś. - Uniósł wzrok i mówił dalej: - Jestem adiunktem na wydziale ekonomii Uniwersytetu Browna. Marley jest instruktorką jogi.

- A Marley to twoja...?

Gwałtownie zaczerpnął powietrza, gdy zrobiłam krok w jego stronę. Ciepło z podbrzusza rozeszło się gwałtowną falą po moich udach, w górę tułowia i wzdłuż ramion. W ciągu kilku sekund poczułam, że najchętniej zapadłabym w głęboki sen, zastąpiła pewność, że mogłabym przepłynąć jezioro Kantaka wzdłuż i wszerz co najmniej dziesięć razy. Cofnęłam się nieco, żeby skontrolować skórę na ramionach, i przekonałam się, że już jest gładsza i delikatniejsza.

A potem spojrzałam na Briana i poczułam się milion razy gorzej niż chwilę wcześniej.

Brwi miał zmarszczone w skupieniu, a uśmiech niepewny.

- Marley... to... to chyba... ona jest chyba...

Nawet nie mógł jej sobie przypomnieć. Własnej żony, z którą pewnie spędzali przyjemnie czas, oglądając domy na sprzedaż, zanim wpadli na mnie.

- Chciałam ci tylko pokazać widok z tego pokoju. - Zrobiłam krok wstecz. I kolejny, a po nim jeszcze jeden. - Cieszę się, że ci się podoba. Jeżeli masz jakiegokolwiek pytania albo chciałbyś zaproponować cenę, najlepiej będzie, jeśli zwrócisz się z tym do naszej pośredniczki Anny.

Po wyjściu na korytarz puściłam się pędem. Zbiegłam ze schodów, przycisnęłam się między grupką ludzi oglądających dom i wypadłam na tylny ganek. Tam przystanąłam, by złapać oddech, po czym w kilku susach pokonałam stopnie prowadzące na trawnik. Wciąż

chciałam zobaczyć się z Simonem, porozmawiać z nim o tym, co było między nami i co mogłoby być... Jednak po tym, co właśnie zrobiłam, nie ufałam w logikę własnych słów ani racjonalność myślenia. Czułam, że zanim powiem cokolwiek, muszę się uspokoić i poukładać myśli.

Skierowałam się w stronę hangaru dla łodzi; choć przypominał raczej podupadłą szopę, nadal miał drzwi, za którymi mogłabym się zamknąć. Właśnie rozpoczęła się prezentacja domu kolejnym potencjalnym nabywcom, a zatem prawdopodobieństwo, że ktokolwiek wypuści się tak daleko na podwórze już teraz, było nikłe.

- To kompletnie niewiarygodne.

- Jak to: gotowało się?

Zwolniłam kroku, wsłuchując się w przyciszone, nieznanym głosy. Zdawało mi się, że dobiegają zza szopy.

- Tak słyszałem. Całe jezioro bulgotało i wirowało, jakby rozszalało się tornado.

Krew stopniowo odpływała mi z twarzy. Zmusiłam się, żeby zrobić jeszcze kilka kroków.

- Ale dlaczego? Jakim cudem?

- Nie mam pojęcia. Przyjechaliśmy tu po to, żeby się tego dowiedzieć.

Każdy drobinka energii, jaką zyskałam w kontakcie z Brianem, zgromadziła się teraz na dnie brzucha, po czym rozplynęła. Obeszłam szopę i zobaczyłam grupkę ludzi zebranych wokół starej czerwonej łodzi należącej do nas: do Justine i do mnie. Byłam na tyle przytomna, że dotarły do mnie następne słowa wypowiedziane przez jednego z mężczyzn:

- Są dziwniejsze niż w bajkach, ale istnieją naprawdę. Królowe morskich głębin, znane jako... syreny.

Wtedy moje ciało skapitulowało.

I osunęłam się na ziemię.

Woda była lodowata. Przerazliwie zimna. W porównaniu z nią ta w bostońskim porcie przypominała ciepłą kąpiel. Normalny człowiek nie odważyłby się do niej wejść głębiej niż po kostki. Chyba że byłby wyjątkowo zuchwały - jak choćby ambitny i uparty surfer - i ubrany w piankę, a i wtedy mogłoby to potrwać tylko krótką chwilę.

Ja nie należałam ani do normalnych, ani do zuchwałych. Mając na sobie tylko kostium kąpielowy, pływałam i nurkowałam, nie dbając o to, jak głęboko i na jak długo się zanurzam. Zwracałam uwagę wyłącznie na własne płuca, rozprężające się i kurczące; na tułów, chłodzący się i rozgrzewający; na mięśnie, naprężające się i rozluźniające. W pierwszej chwili łykałam wodę, jak biegacze łykają tlen po wyczerpującym wyścigu, ale wkrótce, gdy moje ciało stopniowo przywykło, oddychanie stało się prostsze. Było to tak przyjemne, tak naturalne, że zostałam pod wodą, dopóki powierzchnia oceanu nie zaczęła ciemnieć.

Dopiero wtedy popłynęłam do plaży, gdzie czekała na mnie mama.

- Dziewięćdziesiąt siedem minut - oznajmiła. - Nie żebym odmierzała ci czas.

Uśmiechnęłam się i sięgnęłam po ręcznik, który mi podała.

- Dzięki.

- I jak było? - zapytała, kiedy ruszyliśmy w stronę schodów.

- Wspaniale. Trochę zimno, ale poza tym super.

Przecięliśmy podwórko i wkroczyliśmy na taras prowadzący do mojej sypialni.

- Już ci lepiej? - dopytywała.

Minęła chwila, zanim odpowiedziałam. Byłam zbyt zdekoncentrowana widokiem ognia w żeliwnej misie, którą mama kupiła tego popołudnia, półmiskami jedzenia na stole, polarowymi kocami zwiniętymi na nowym szezlongu.

- Czuję się świetnie - odparłam. - Po co to wszystko?

- To takie małe przyjęcie powitalne. Każde z nas było tak bardzo zajęte, że nie mieliśmy okazji, żeby usiąść i razem się tym wszystkim nacieszyć.

Mama ruszyła w stronę rozkładanego fotela i zabrała się do nakładania jedzenia na talerz.

- Zawołać tatę?

Zerknęła przez ogród w stronę drugiego skrzydła domu. Popatrzyłam w ślad za jej spojrzeniem. Przez szklane ściany kuchni widać było, jak ojciec stojący przy kuchence miesza coś w garnku.

- Tata ma za zadanie przygotować deser - oznajmiła. - Dołączy do nas, kiedy skończy.

Jej głos brzmiał zdecydowanie, więc usiadłam i okryłam kolana kocem. Wciąż czułam się rozgrzana po pływaniu, ale w powietrzu panował chłód. Wiedziałam, że wychłodzenie ciała jest kwestią czasu.

Mama podała mi talerz, wzięła kolejny dla siebie i usiadła na krześle obok.

- Po południu rozmawiałam z Anną - zaczęła.

Hamburgerowa bułka wypadła mi z ręki, więc sięgnęłam po drugą.

- Tak?

- Wspomniała, że dzień otwarty był wielkim sukcesem.

Spojrzałam na nią.

- Czy jest jakiś zdeklarowany kupiec? - Gdyby się znalazł, mogłabym przynajmniej myśleć, że moje godne potępienia zachowanie było tego warte.

- Na razie nie. - Wgryzła się w swojego burgera i przez chwilę przeżuwała. - Ale, zdaniem Anny, jest spore zainteresowanie. Zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę martwy sezon i to, że w tej chwili na lokalnym rynku nieruchomości sprzedających jest więcej niż kupujących.

- Był pewien facet...

Przechyliła głowę i uniosła brwi.

- Przez chwilę rozmawiałam z nim i jego żoną. Wyglądali na poważnie zainteresowanych. O ile pamiętam, nazywał się Brian...

Skinęła głową.

- Brian Corwin. Tak, Anna też o nim wspominała. Okazuje się, że gotów był zapłacić cenę wyjściową w gotówce od ręki, ale jego żona się sprzeciwiła. Wdali się nawet w ostrą sprzeczkę i Anna musiała ich poprosić, by przedyskutowali sprawę na zewnątrz. Wtedy wyszli.

Poczułam ukłucie żalu. Sięgnęłam po szklankę wody.

- Wielka szkoda.

- Może jeszcze wróć. Nie każdy podejmuje tego rodzaju decyzje równie szybko jak my.

- Nie każdy musi.

Mama przestała przeżuwać. Po chwili zaczęła znowu. Przełknęła kęs.

- To fakt.

Jadłyśmy w milczeniu. A raczej mama jadła. Ja już tylko piłam. Wyszłam z wody zaledwie kilka minut temu, a moja skóra już zaczynała się napinać, a w gardle mi zasychało.

- A gdzie zniknął? - zapytała po dłuższej chwili.

Szklanka zaczęła wyslizgiwać mi się spomiędzy palców.

Ścisnęłam ją delikatnie.

- Kiedy?

- Podczas prezentacji domu. Anna mówiła, że nie widziała cię przez jakiś czas.

Rozmawiałaś z potencjalnymi kupcami? Oprowadzałaś ich?

Koniuszki palców, wciąż zaciskające się na szklance, zbieleły.

- Tak. Pewna rodzina chciała wiedzieć, gdzie dokładnie zaczyna się i kończy teren naszej działki. Spędziłam z nimi sporo czasu na dworze.

- Pamiętasz, jak się nazywali?

- Słucham?

- Skoro spędziłaś z nimi tyle czasu, zakładam, że się sobie przedstawiliście, prawda?

Próbowałam podać jakieś przypadkowe nazwisko, ale poczułam, że kręci mi się w głowie.

- Vanesso...

Opuściłam wzrok. Dłoń mamy spoczywała na moim kolanie.

- Przepraszam - powiedziała.

- Ty przepraszasz mnie? Ale za co?

Osunęła się na oparcie z westchnieniem.

- Za to, że cię tam posłałam. Przecież ty kochasz ten dom. Kto mógłby cię winić, że się stamtąd urwałaś? Co ze mnie za matka, że proszę cię o załatwienie takiej sprawy?

Odstawiłam szklankę. Spojrzałam na nią.

- Taka, która dla dobra swojej córki niejednokrotnie wywróciła całe swoje życie do góry nogami. - Potrząsnęłam głową.

- To prawda, że kocham ten dom i część mnie zawsze będzie za nim tęsknić. Ale nie dlatego zniknęłam.

Miałam nadzieję, że to uspokoi mamę, ale jej twarz przybrała jeszcze bardziej zaniepokojony wyraz.

- Mamo, naprawdę, przysięgam...

- Simon.

Opadłam na oparcie krzesła.

- To z nim się spotkałaś, mam rację? Och, kochanie. Przecież wiesz, że to nie jest dobry pomysł... Próbować na nowo rozbudzać uczucia, które za parę miesięcy znów trzeba będzie ugasić? Związki na odległość nigdy się nie sprawdzają, niezależnie od tego, jak bardzo się starasz...

- Nie czułam się najlepiej.

To natychmiast zamknęło jej usta.

Starannie dobierałam słowa.

- Nie chciałam cię martwić, nawet nie zamierzałam o tym wspominać, ale... kiedy byłam w naszym domu, zaczęłam się dziwnie czuć. Więc poszłam odpocząć do szopy na łodzie. Siedziałam tam sobie. Nic więcej.

Pokiwała głową, przyswajając informacje.

- Dziwnie to znaczy jak?

- No wiesz, jak zwykle. Zmęczona. Spragniona. Słaba.

- Bolała cię głowa?

Nasze oczy się spotkały.

- Nie, nie bolała.

Opuściła wzrok i przesunęła widelcem jedzenie na talerzu. W tę i we w tę.

- Mamo. - Teraz to moja dłoń znalazła się na jej kolanie.

- Ich już nie ma. Nie musimy się więcej nimi martwić.

- Tylko tak mówisz, ale skąd możesz mieć pewność? Skąd możesz naprawdę wiedzieć? Przecież już kiedyś mówiłaś, że nie wrócą, a jednak wrócili. - Zadrżała. - Może to był zły pomysł. Może lepiej, gdybyśmy zostali w domu. Albo, sama nie wiem, wynieśli się do Kanady. Albo w jakieś inne, odległe miejsce.

Założycielki mojego rodu pochodziły właśnie z Kanady, ale teraz wolałam o tym nie wspominać. Uznałam, że akurat ta informacja - w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych, którymi podzieliłam się z mamą w ciągu kilku ostatnich miesięcy, łącznie z tą, że zawsze kiedy mściwe syreny były w pobliżu, uderzała mnie oślepiająca fala migreny - nie jest jej potrzebna.

- Widziałam ich martwe ciała - przypominałam jej cicho.

- Widziałam, jak rozpadają się w słodkiej wodzie jeziora. Musiałam to zobaczyć właśnie po to, by mieć pewność, że już nigdy nie wrócą.

Pociągnęła nosem i przetarła oczy.

- Tak wiele przeszłaś, Vanesso. Zdecydowanie za wiele na tak młodą, śliczną dziewczynę. A ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś była szczęśliwa, żebyś mogła zapomnieć i zacząć wszystko od nowa.

- Widzisz to miejsce, mamó? - Gdy podniosła wzrok, rozejrzałam się po pokoju. - Ten dom jest jak z obrazka. Redaktor niejednego magazynu o wystroju wnętrza zachwyciłby się jego architektonicznym wdziękiem i naturalnym pięknem.



Uśmiechnęła się.

- Jest niczego sobie.

- Jest niesamowity. A ja jestem najszczęśliwszą dziewczyną na ziemi.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, kiedy zadzwonił mój telefon. Podniosłam go ze stolika.

- Paige. Oddzwonię później.

- Nie, nie. Odbierz. - Mama poderwała się i przyglądała rozwiane wiatrem włosy. - Pójdę się odświeżyć i sprawdzę, jak sobie radzi twój ojciec. Przekaż jej od nas pozdrowienia.

Ucałowała mnie w czubek głowy i szybko wyszła. Nalałam sobie drugą szklankę wody i odebrałam telefon.

- Stare wino.

- To jakiś kalambur? - wołałam się upewnić. - Bo widzisz, mam za sobą ciężki dzień i mój mózg nie działa już na pełnych obrotach.

- Żaden kalambur - zapewniła Paige. - To oficjalna nazwa nowych barw Restauracji Rybnej „U Betty”.

- Więc jednak uparłaś się na fiolet. Założę się, że Louis jest wściekły.

- Nie obyło się bez rzucania garnkami i tłuczenia patelniami, ale w sumie przeszło bez większej awantury. Poza tym stare wino to poważny kompromis. To wciąż kolor z palety jagodowych fioletów, ale jest bardziej wyrafinowany niż słodki. I będzie to właśnie taka odmiana, jakiej nam potrzeba, żeby przyciągnąć nowych klientów.

- Brzmi wspaniale. Nie mogę się doczekać.

- To tak jak ja. A teraz mów, co się stało.

Z trudem przełknęłam łyk wody.

- Co masz na myśli?

- Mówiłaś, że masz za sobą ciężki dzień. Dlaczego? Wydarzyło się coś podczas dni otwartych? - Westchnęła. - Widziałas go, mam rację? Widziałas Simona.

Nalałam sobie kolejną szklankę wody i zanim odpowiedziałam, całą opróżniłam.

- No tak. Widziałam go przez okno z odległości może trzydziestu metrów.

- Więc nie rozmawiałaś z nim?

- Nie zamieniliśmy ani słowa.

Po tym wyznaniu nastąpiła cisza. Wiedziałam, że robi nadąsaną minę w moim imieniu.

- Ale to dobrze - zapewniłam. - Przynajmniej wiem, że ciągle tu jest, prawda? Nie uciekł z miasta, gdy usłyszał od Caleba, że przyjechałam.

- To najgłupsze samopocieszenie, jakie kiedykolwiek słyszałam.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Ale wtedy przypomniałam sobie jej drugie pytanie i uśmiech znikł.

- Ale rzeczywiście coś się wydarzyło podczas prezentacji domu. To znaczy... coś jeszcze.

- Zaczekaj. Idę do jadalni, żeby mieć trochę spokoju.

W słuchawce usłyszałam trzaśnięcie drzwi, po którym w tle wezbrał szum głosów, by po chwili przycichnąć. Kiedy Paige zmieniała miejsce, ja zrobiłam to samo. Wyszłam na taras i, zwrócona w stronę domu, przycupnęłam w najdalszym krańcu, żeby mieć mamę i tatę na oku. Ojciec dawał jej właśnie do skosztowania efekt swojej pracy, zanurzając łyżkę w rondelku stojącym na gazie, więc uznałam, że mam kilka dobrych minut, zanim wrócą.

- W porządku. Możesz mówić - zarządziła Paige.

- OK, więc wszystko szło dobrze przez jakiś czas, ale potem... - urwałam. - Chwileczkę, czy ja się przesłyszałam, czy powiedziałaś, że idziesz do jadalni, żeby mieć trochę spokoju?

- Owszem. W tej chwili nie ma tu żywej duszy.

- Ale przecież jest pora kolacji.

- Widocznie ludzie jedzą dziś w domu. Nieważne, mów dalej. Co się stało?

Wzięłam głęboki oddech i spróbowałam przełamać wszelkie opory, które budziły się we mnie na myśl o tym, co zmierzałam wyjawić. To wiadomość zbyt dużego kalibru, żebym miała zachować ją dla siebie, a Paige była jedyną osobą, z którą mogłam się nią podzielić. Poza tym, jeżeli właściwie interpretowałam sytuację, to oznaczało, że prędzej czy później i tak musiałaby o tym usłyszeć.

- Ludzie wiedzą - powiedziałam cicho.

Minęło kilka sekund, zanim w słuchawce rozległy się pytania:

- Wiedzą? Ale o czym? Jacy ludzie?

- Dzisiaj w domku nad jeziorem, kiedy wyszłam się przewietrzyć, natknęłam się na jakąś grupkę za szopą na łodzie.

- Przez przeszklone okna widziałam, jak tata całuję mamę w policzek, a mama zarzuca mu ramiona na szyję. - Rozmawiali. O gotującej się wodzie w jeziorze.

Cisza, która nastąpiła, była długa. Grobowa.

- Paige?

- Tak, jestem. - Kiedy odezwała się znowu, mówiła przyciszonym głosem. - Co masz na myśli?

- No wiesz, bulgocącej. Wirującej. Jakby pod nim buchało olbrzymie palenisko.

- Ale jakim cudem?... Skąd oni...

- Skąd wiedzieli, co się wydarzyło ubiegłej jesieni, skoro wszyscy tak bardzo staraliśmy się dochować tajemnicy?

- No właśnie. Przecież Charlotte zauroczyła policjantów, którzy przybyli na miejsce, prawda? Żeby nikomu nie pisnęli ani słówka. Czyżby pozostałe domy nad jeziorem nie były całkiem puste? - I, jakby chcąc sama siebie uspokoić, dodała:

- Ale to nic. Nawet jeśli ktoś widział, pewnie uznał, że to kolejna z pogodowych anomalii. A ludzie, których podsłuchałaś dzisiaj, byli po prostu tego ciekawi.

Milczałam przez chwilę.

- Nie tylko o tym rozmawiali.

Przełknęła ślinę.

- O czym jeszcze?

Zamknęłam oczy, przypominając sobie przyciszone, podniecone głosy.

- Królowe morskich głębin - właściwie wyszeptalam.

- Znane jako...

W słuchawce rozległ się donośny brzęk. Paige pisnęła. Ja podskoczyłam.

- Vanesso, bardzo cię przepraszam, ale czy możemy dokończyć później? Louis właśnie serwuje nam wszystkim kolejny ze swoich słynnych napadów złości.

- Jasne - odparłam z ulgą. Co prawda musiałyśmy porozmawiać o tym, co usłyszałam, ale to wcale nie oznaczało, że mam na to ochotę. - Powodzenia. Zadzwon, jak będziesz mogła.

Pożegnałyśmy się i przerwałam połączenie. Spojrzałam w głąb domu. Rodzice wciąż jeszcze byli w kuchni, więc szybko wybrałam nasz nowy stacjonarny numer i patrzyłam, jak mama sięga po bezprzewodową słuchawkę zawieszoną na ścianie. Zapewniłam ją, że czuję się dobrze, tylko jestem trochę zmęczona, i zapytałam, czy nie moglibyśmy przenieść naszego rodzinnego spotkania na troszkę później. Kiedy się zgodziła, rozłączyłam się i weszłam do sypialni.

Do mojej nowiutkiej sypialni. Z nowym łóżkiem z baldachimem. Nową komodą i biurkiem ze specjalnie osuszanego drewna. Nowiutką kołdrą, poduszkami, farbą na ścianach i dywanikiem. Nową, przynależącą do sypialni, surowo wykafelkowaną łazienką.

Ta sypialnia bardzo różniła się od każdej innej, którą mogłam nazwać swoją. Powinna sprawdzić się doskonale jako miejsce nowego startu, punkt wyjścia w lepszą przyszłość. Przyszłość, jakiej pragnęła dla mnie mama. Jakiej sama dla siebie pragnęłam.

Pytanie tylko, czy to mogło wystarczyć.

Rozmyślanie nad odpowiedzią wyczerpało mnie. Dlatego, wciąż mając na sobie wilgotny kostium kąpielowy, wgramoliłam się na łóżko, naciągnęłam na głowę kołdrę, a obie ręce wsunęłam pod poduszki.

Tam, gdzie czekały na mnie bluza z logo Bates College i butelka wody. To było pierwsze, co zobaczyłam tego popołudnia, kiedy ocknęłam się z omdlenia przy domku nad jeziorem, całkiem sama. Żadna z tych rzeczy nie należała do mnie, a mimo to zabrałam je ze sobą.

Dlatego, że należały do Simona.

- Poproszę stół dla dwóch osób.

- Betty! - Odłożyłam „Winter Harbor Herald” i szybko wyszłam zza recepcyjnej lady.

- Paige nie wspominała, że nas odwiedzisz.

- Bo nic jej nie mówiłam. - Babcia Paige rozpostarła szeroko ramiona i zamknęła mnie w objęciach. - Ale pogoda jest tak cudowna, że postanowiłam na własne oczy zobaczyć te niezwykle przemiany, o których moja wnuczka nie przestaje terkotać.

Kiedy Betty wypuściła mnie z objęć, nasze spojrzenia się spotkały. Jej oczy były jasne i czyste - niczym bezchmurne błękitne niebo. W najmniejszym stopniu nie przypominały oczu tej samej kobiety zeszłego lata, kiedy Raina i Zara uwięziły ją w domu, doprowadzając jej organizm do tak skrajnego odwodnienia, że wątle ciało niemal wyschło na wiór, a wzrok praktycznie zanikł. Były też znacznie bardziej przejrzyste niż ubiegłej jesieni, po tym jak Betty odzyskała siłę, ale wciąż pozostawała pod silnym wpływem wskrzeszonych syren. Od Paige co prawda wiedziałam, że zdolność widzenia nie powróciła, jednak widok oczu Betty sprawił mi tak wielką radość, że uścisnęłam ją raz jeszcze.

- Następnym razem powiedzcie, że do miasteczka przyjechał cyrk, to wezmę orzeszki - zażartował kwaśno Oliver, przyjaciel Betty, obrzucając wzrokiem puszki po farbie i arkusze folii ochronnej porozkładane w całym holu.

- Chyba nie jest aż tak źle - wyraziła nadzieję Betty.

- W porównaniu ze zniszczeniami po tornado? Rzeczywiście nieźle.

Pochyliłam się i ucałowałam go w policzek.

- Miło cię widzieć, Oliverze.

Rysy jego twarzy złagodniały.

- Witaj, Vanesso. Nie zważaj na mnie, ja tylko...

- Dbam o interesy swojej rodziny? - Paige przemierzyła jadalnię i podeszła do nas. - Jak zwykle.

- Masz mi to za złe? - mruknął Oliver.

- Ani trochę. A wręcz nie wiem, jak ci dziękować. - Uścisnęła oboje przelotnie. - Co powiecie na mały rekonesans? Pokażę wam, nad czym pracujemy, i opowiem o dalszych planach.

Paige puściła do mnie oko. Wzięła Betty pod ramię i zaprowadziła ją w głąb jadalni. Oliver ruszył ich śladem. Kiedy skręcili za róg i zniknęli mi z oczu, usłyszałam ostatnie słowa:

- Paige, kochanie, panuje tu taka cisza. Gdzie są goście? Myślałam, że uzgodniliśmy: na czas remontu restauracja pozostanie otwarta.

- Babciu... restauracja jest otwarta.

Zerknęłam na zegarek i wróciłam na swoje stanowisko za ladą. Był wtorek, kwadrans po dwunastej. Restauracja powinna pękać w szwach, dokarmiać miejscowych, stałych wczasowiczów i przyjezdnych turystów. Powinny ją wypełniać pobrzękiwania naczyń, zgrzyt sztucców i świst drzwi obrotowych wypluwających i wsysających znękaną personel kursujący między kuchnią a salą jadalną. Ale poza nami i personelem nie było tu żywej duszy. A kuchenne odgłosy zostały zastąpione przez stukot młotków i zgrzytanie pił.

Paige wspominała, że Restauracja Rybna „U Betty” nie jest jedynym lokalnym przedsiębiorstwem, które ucierpiało, i - zgodnie z doniesieniami „Heralda” - miała rację.

„Po letnich burzach Winter Harbor szykuje się na susze.

Im bliżej czwartego lipca, a wraz z nim oficjalnego rozpoczęcia sezonu, tym więcej sprzedawców i restauratorów z Winter Harbor otwiera się na kupujących. Poza tradycyjnymi wyrobami typowymi dla stanu Maine i najświeższym homarem na całym Wschodnim Wybrzeżu przedsiębiorcy oferują zniżki, kupony promocyjne i inne sztuczki, by zachęcić turystów do rozpoczęcia sezonu wakacyjnego.

Jest tylko jedno ale. Turyści najwyraźniej są gdzie indziej.

- Zeszłego lata już w południe przed lodziarnią ustawiał się dwudziestoosobowy ogonek, który nie topniał aż do samej północy - informuje Eddie Abernathy, właściciel lodziarni »U Eddiego«. - Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak co godzina rozdawać darmowe rożki, żeby jakoś skusić klientów... ale oni i tak nie przychodzą.

- To zdumiewające - dodaje Nina Poole, kierowniczka butiku »Babki z Piasku«. - O tej porze w ubiegłym roku wystarczyło wystawić w witrynie kostium kąpielowy, a już ktoś wchodził, żeby go kupić. Teraz cieszymy się, jeżeli ktokolwiek choćby zerknie w naszą stronę.

Poważnie ucierpiało lokalny rynek handlu nieruchomościami. Zeszłoroczne otwarcie prestiżowego centrum odnowy biologicznej »Latarnia« skłoniło kilku zamiejscowych inwestorów do wczesnego ulokowania pieniędzy w działalności, która zapowiadała gwałtowny rozkwit koniunktury na rynku turystycznym. Złoty okres, który po tym nastąpił, doprowadził do stuprocentowego wzrostu obrotów względem zeszłorocznej sprzedaży, jak również do sporego zastrzyku dla lokalnej gospodarki. Właściciele przedsiębiorstw, zaszokowani i oszołomieni, stawali na głowie, by w magazynach i na półkach nie zabrakło towaru. To lato miało być najbardziej dochodowe w historii Winter Harbor.

I wtedy nadeszły chmury

- Któż może je winić? - mówi kapitan Monty, właściciel miejskiej przystani noszącej jego imię. - Jeśli wziąć pod uwagę te szaleńcze burze i ciała topielców raz po raz wyrzucane na brzeg, to i tak cud, że tylu ludzi pozostało w tym miejscu aż tak długo. Bóg mi świadkiem, gdyby matula wydała mnie na świat, gdzie indziej, już dawno sam odpłynąłbym na spokojniejsze wody.

Kryzys lokalnej gospodarki jest wyjątkowo odczuwalny, tym bardziej że opady deszczu od dziesięciu miesięcy utrzymują się poniżej średniej, a od Dnia Pamięci o Poległych codziennie świeci słońce. Znosi się jednak na to, że ci, którzy mieli na tyle odwagi, by przetrzymać burze, zostaną nagrodzeni idealnymi warunkami tego lata.

A co z tymi, którzy nie wytrwali?

- Ich strata - mówi Paige Marchand, wnuczka Betty Marchand, założycielki słynnej Restauracji Rybnej »U Betty« z 1965 roku. - Nasze Winter Harbor, choćby zanurzone na łokieć pod wodą, wciąż jest najpiękniejszym miejscem na ziemi”.

- Gdzie wasze oznaczenie?

Podniosłam głowę; ten szybki ruch sprawił, że w skroniach lekko mi zapulsowało. Zasłoniłam gazetę kartą dań, kiedy młoda kobieta minęła hol i podeszła do lady.

- Słucham?

- Wasze oznaczenie. - Uniosła papierową mapkę z rodzaju tych, które publikuje Izba Handlowa, z rysunkowymi cyframi i oznaczeniami odpowiadającymi punktom orientacyjnym miasta.

- Według mapy tu właśnie powinna być Restauracja Rybna „U Betty”, a nie plac budowy.

- To właśnie jest restauracja „U Betty” - odparłam z uśmiechem. - Szyld zdjęliśmy tylko na czas remontu. Ale jest otwarte, jak zwykle.

- Tym bardziej powinniście zadbać o to, by klienci mogli do was trafić. Nie mam racji?

Fala ciepła załała mi twarz.

- Tak, rzeczywiście.

Kobieta przez chwilę wpatrywała się we mnie, nie odwracając wzroku, po czym uśmiechnęła się szeroko.

- A czy wasza zupa rybna jest naprawdę tak dobra, jak mówią?

- Jest lepsza. - Wzięłam drugą kartę dań ze stojaka na ścianie i poprowadziłam kobietę do stolika.

- Bar jest otwarty?

Zwolniłam kroku i obejrzałam się przez ramię. Wyglądała na moją rówieśniczkę, mogła być o rok, góra dwa lata starsza. Co znaczyło, że ma najwyżej dwadzieścia lat.

- Nie znoszę jadać przy zwykłym stole, kiedy jestem sama

- wyjaśniła. - A tam, gdzie jest bar, zwykle jest i telewizor. To najbliższe towarzystwo, na jakie mogę liczyć.

Dobrze wiedziałam, o czym mówi. Rok wcześniej sama przyszłam do „Betty”, żeby pobyć wśród ludzi bez konieczności rozmowy z kimkolwiek o sobie ani o tym, co się właśnie zdarzyło Justine. Prowadząc dziewczynę do baru i wręczając jej pilota, zastanawiałam się, czy jest tu z podobnych powodów.

- Kelnerka zaraz do pani podejdzie.

- Dzięki. - Wzięła menu, a ja odwróciłam się, żeby odejść.

- Jak masz na imię?

Zatrzymałam się.

- Nie można powiedzieć, żeby roilo się u was od pracowników. I choć nie należę do wymagających klientów, mogę tak zostać odebrana, kiedy zawołam do ciebie „Hej, ty!”

Wydawała się przyjazna, a mimo to rozważałam, czy nie wywinąć się od odpowiedzi. Nie było to typowe pytanie klientów.

- Vanessa - odparłam wreszcie.

Wyciągnęła dłoń na powitanie.

- Natalie. Raz jeszcze dziękuję za przychyłność.

- Nie ma za co. - Uścisnęłam jej dłoń. Była ciepła i silna.

Skupiła uwagę na telewizorze stojącym na półce pod sufitem, ja zaś ruszyłam w stronę kuchni, żeby znaleźć kogoś, kto by ją obsłużył. Natalie miała rację. Chociaż nie narzekaliśmy na niedobór personelu przy tym niedoborze klientów, to rzeczywiście nie było ani śladu kelnerów, bo nikt ich nie potrzebował.

- Szukasz mnie. - Louis stał na schodkach od strony zaplecza i, przytrzymując plecami drzwi, palił papierosa. - Proszę, powiedz, że mnie szukasz, bo chcesz, żebym coś ugotował.

- Zgadłeś. Ale tylko dla jednej osoby.

- Wystarczy. - Cisnął niedopałek na kamienne schodki i zagasił go czubkiem buta. - Moja droga, ratujesz mi życie.

Już miałam zapytać o kogoś z obsługi, kiedy z klatki schodowej wewnątrz restauracji dobiegł odgłos kroków zmierzających na zaplecze. Carla, młoda kelnerka, przemknęła obok mnie niczym niewyraźna plama czerni i bieli i wystrzeliła przez drzwi wahadłowe jak pocisk.



- Lepiej będę ją miała na oku - oznajmiłam. - Dopóki Paige jest z Betty i Oliverem.

Louis już odpałał piec i wyglądało na to, że mnie nie słyszy. Dwaj inni pracownicy, pomocnik kelnera i kuchcik, leniwie przeglądali czasopisma w drugim końcu pomieszczenia. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, a mimo to wciąż czułam się trochę dziwnie, stojąc po tej stronie drzwi wahadłowych i zerkając w głąb sali jadalnej przez kwadratowe okienko.

Wymiana zdań trwała zaledwie kilka sekund. Carla powitała Natalie. Natalie zapytała o kilka dań z karty, a Carla, zacinając się, udzieliła jej odpowiedzi, po czym zanotowała zamówienie w zeszytiku. Potem ruszyła z powrotem w stronę kuchni, ale po chwili coś jakby do niej dotarło i zawróciła do baru. Do jednej szklanki nalała wody, a do drugiej mrożonej herbaty, po czym obie podała Natalie.

Przyglądałam się nadal naszej jedynej klientce, nawet kiedy znów została sama. Nie byłam pewna, co spodziewam się zobaczyć: Natalie rozglądającą się nerwowo dookoła, żeby się przekonać, czy ktokolwiek zwraca na nią uwagę?

Oczywiście tego nie zrobiła. Po prostu siedziała przy barze, sączyła wodę i przerzucała kanały w TV.

Zachowywałam się jak paranoiczka. Wiedziałam o tym, choć nie byłam do końca pewna dlaczego. Może dlatego, że z obciętymi króciutko blond włosami, brązowymi oczami i długimi, smukłymi i opalonymi nogami Natalie wyglądała na dziewczynę, do której większość facetów lgnie jak metal do magnesu albo... mężczyzna do syreny. Może dlatego, że kiedy zjawiała się w holu restauracji, zapulsowało mi w skroniach, nawet jeśli tylko raz i lekko. Częste koszmarne bóle głowy, które odczuwałam, będąc w pobliżu Zary, zawsze trwały znacznie dłużej, ale od Betty wiedziałam, że Zara była świeżo po transformacji i nie potrafiła jeszcze kontrolować sygnałów, które jej ciało naturalnie wysyłało do innych syren. Może ta reakcja była mniej intensywna w otoczeniu bardziej doświadczonych syren?

A może zachowywałam się tak dlatego, że od tej pory po prostu już miało tak być? Bo przez to wszystko, co się wydarzyło, miałam na zawsze pozostać podejrzliwa w stosunku do każdej pięknej nowo napotkanej dziewczyny? Bez względu na to, jak była miła czy jak usilnie starałabym się wybić sobie z głowy, że może być syreną.

Wiedziałam, że wkrótce będę musiała się z tym uporać. Sam college był wystarczającym wyzwaniem; wątpiłam, czy uda mi się przejść przez studia bez wsparcia choćby jednej nowej przyjaciółki.

- Jest robota dla najpiękniejszej hostessy pod słońcem.

Obróciłam się dokładnie w chwili, gdy Louis cisnął w moją stronę dwie papierowe torby.

- Nadszedł wóz Carmichaelów. - Skinął głową w stronę okien nad kuchennym zlewem. - Tak mi się nudziło, że przygotowałem dla nich lunch jakąś godzinę temu, więc frytki na pewno są już zimne. Ale głodni mężczyźni zjedzą wszystko, mam rację?

- Takie chodzą słuchy. - Przycisnęłam torby do klatki piersiowej, gdzie wylądowały. Serce łomotało mi tak mocno, że czułam jego bicie przez kanapkowy bufor. - Zaraz wracam.

Kiedy mijalam bar, posłałam Natalie przelotny uśmiech - ledwie odwróciła wzrok od telewizora - po czym właściwie przebiegłam pozostałą odległość do holu, gdzie czekał... Caleb.

- Hej - powitał mnie.

- Cześć. - Podałam mu torby, starając się ukryć rozczarowanie. - Trzymaj. Jak zwykle, na koszt firmy.

- Czy wszystko...

- W porządku - dokończyłam, odgadując, że moje starania się nie powiodły. - Tak, wszystko dobrze.

I tak było. Miałam tylko nadzieję, jeszcze większą, niż przypuszczałam, że po tym, jak Simon zajął się mną przy domku nad jeziorem, to on zechce odebrać drugie śniadanie. Ale Caleb nie musiał o tym wiedzieć.

- Cieszę się. - Skinął głową i pomachał torbami z jedzeniem. - Dzięki. I do zobaczenia jutro.

- Do zobaczenia. Miłego dnia.

Wyszedł. Wróciłam na swoje stanowisko przy ladzie, otworzyłam gazetę i utkwiałam wzrok w słowach, nie rozumiejąc ich. Zasluchana w odgłos pił i własne błędne myśli, nie zauważyłam, że ktoś wszedł do środka, dopóki nie stanął tuż przede mną i nie przemówił:

- Czyżby Louis przez przypadek włożył te frytki do lodówki zamiast do pieca?

- Przepraszam, zaraz...

Urwałam. Wszystko się zatrzymało. Mój głos. Odgłos pił. Czas.

Moje serce.

- Simon. - Nie czułam, że poruszam ustami, ale jakoś wymówiłam jego imię. - Nie sądziłam... myślałam... czy ty...

Kąćki jego ust się uniosły. Nie był to może uśmiech, ale też nie przypadkowy grymas.

- Zapuściłeś brodę.

Była to pierwsza bezpieczna rzecz, jaka mi przyszła do głowy. Gdy tylko to powiedziałam, poczułam zażenowanie. Przeszło natychmiast, gdy tylko Simon się roześmiał.

- No tak. - Potarł dłonią kilkudniowy jasnobrązowy zarost.

- Zdaje się, że zapuściłem. To pewnie przez tych rybaków.

- Nie są szczególnie zadbani?

- Potrafią znakomicie obchodzić się z nożem i złowionym pstrągiem, ale z brzytwą i własną skórą radzą sobie już trochę gorzej.

Posłałam mu przelotny uśmiech i zaczęłam się usilnie zastanawiać, co by teraz powiedzieć. Coś innego niż: „Tęsknię za tobą. Kocham cię. Oddałabym wszystko, dosłownie wszystko, za jedną szansę, by odbudować to, co było między nami”.

Może to i lepiej, że odezwał się pierwszy.

- Caleb martwi się o ciebie.

Nasze spojrzenia się spotkały. Opuścił wzrok.

- Naprawdę? - zdziwiłam się.

- Mówi, że wydajesz się... nieobecna. Spięta. Trochę zmęczona.

Czyżby Caleb wywnioskował to wszystko na podstawie kilku krótkich zdań? Dzięki pracy w restauracji widziałam się z nim parę razy, ale nasze rozmowy nigdy nie trwały dłużej niż pół minuty i nie były niczym więcej jak tylko zwykłą wymianą uprzejmości. A co z moją drzemką nad jeziorem? Mogłam się domyślić, dlaczego to wzbudziło niepokój - ale w Simonie, który mnie znalazł, a nie w Calebie, którego tam przecież nie było.

- On wie, że pewnie nie jest ci łatwo tu wracać - Simon mówił dalej ze spojrzeniem wciąż utkwionym w tenisówkach - zwłaszcza o tej porze roku, w dodatku kiedy twoi rodzice sprzedają domek nad jeziorem. To wykończyłoby każdego.

Przyglądałam się, jak krzyżuje ramiona na brzuchu i przestępuje z nogi na nogę.

- Ale Caleb zastanawia się... - Simon uniósł głowę. Jego oczy napotkały moje i już się nie odwróciły. - Czy chodzi o coś więcej?

Tak. Tęsknię za tobą. Kocham cię. Zrobiłabym wszystko...

- Ja jestem konferansjerem. Konferansjerką. Nieważne. - Paige wprowadziła Betty i Olivera do holu. - Vanessa wam powie.

Przeniosłam wzrok z nich na Simona, którego nie zauważyli i który już na mnie nie patrzył, a potem znowu na nich.

- Co mam powiedzieć? - zapytałam.

- Że chociaż restauracja miejscami przypomina cyrk, wszystko mam pod kontrolą.

- No tak, ale zgodziliśmy się tylko na malowanie elewacji - odparła Betty. - Nie wewnątrz. I nie wspominałaś nic o nowym ganku ani o oświetleniu, ani o drzwiach.

- Z czego wszystko jest niepotrzebne - dodał Oliver. - Przecież stare działały bez zarzutu.

Paige odwróciła się w moją stronę, czekając, aż ją poprę.

- Przepraszam. - Wysłałam z za lady recepcyjnej. - Chętnie z wami podyskutuję, muszę tylko...

Pomóc Simonowi przy jego zamówieniu - to właśnie zamierzałam powiedzieć.

Gdyby nie to, że Simon wyszedł.

- Święty Bob Vila - oznajmiła Paige.

- Kto taki? - zapytałam.

- Bob Vila. Ten gość od renowacji starych domów. Oglądałam fragmenty jego programów na YouTube, żeby mieć pewność, że moja ekipa trzyma się planu.

Jechałyśmy samochodem Paige i właśnie zbliżyłyśmy się do podjazdu przed moim domem. Podążyłam wzrokiem za jej spojrzeniem; przez przednią szybę zobaczyłam mężczyznę stojącego przed otwartą żelazną bramą, z młotkiem w jednej dłoni, kluczem francuskim w drugiej.

- To ten, który wygląda jak mój ojciec?

- Trochę tak. Ale nie dlatego o nim pomyślałam. - Zwolniła i zatrzymała samochód, gdy tata przykucnął obok lśniącej, czerwonej skrzynki z narzędziami. - Coś mi się zdaje, że ojciec Sands nie pogardziłby paroma wskazówkami prawdziwej złotej rączki.

Miała rację. Tatko wpatrywał się w zawartość skrzynki, jakby przyglądał się egzotycznym rybkom w akwarium.

- Co on próbuje zrobić? - zapytała Paige.

- Nie mam pojęcia. - Rozpięłam klamrę pasa. - Chcesz wejść? Może zostałabyś na kolację?

- Z chęcią, ale ledwie żyję. - Oparła głowę o zagłówek i posłała mi zmęczony uśmiech.

- Poza tym potrzebuję każdej odrobiny energii, jaka mi pozostała, by przekonać babcię Betty, że zmiana naprawdę może być - i będzie - dobra. Pogadamy później?

- Jasne, kiedy zechcesz. - Wysiadłam z auta i pomachałam Paige na do widzenia, kiedy okrążała podjazd. Odjechała.

- Vanesso! - zawołał tata. - Dzięki Bogu, że jesteś. Potrzebna mi czyjaś opinia.

Podeszłam do taty przycupniętego przy skrzynce z narzędziami. Trzymał przed sobą długi czarny pręt zakończony małą srebrną gałką.

- Jak myślisz, do czego to służy?

- Do dyrygowania orkiestrą symfoniczną?

Zachichotał.

- Rzeczywiście przypomina batutę. Albo magiczną różdżkę, która akurat w tej chwili bardzo by mi się przydała'.

Przykucnęłam obok niego.

- Muzyka klasyczna to raczej twoja działka. A jeśli chodzi o różdżkę, to co chciałbyś

wyczarować?

Wzdychając, przeniósł ciężar na pięty, po czym przysiadł na krawężniku. Wycelował czarną różdżką w bramę.

- Syrenki? Chcesz pobudzić je do życia? - Usiadłam obok niego. - Przykro mi to mówić, tatko, ale ktoś cię w tym uprzedził.

Spojrzał na mnie z ukosa, nie poruszając głową. Wzruszyłam ramionami.

- Przeciwnie - odparł. - Chcę je zlikwidować.

Chciałam zapytać dlaczego, ale w porę się powstrzymałam.

Bo czemu nie miałybyście chcieć usunąć tak oczywistego symbolu

- Święty Bob Vila - oznajmiła Paige.

- Kto taki? - zapytałam.

- Bob Vila. Ten gość od renowacji starych domów. Oglądałam fragmenty jego programów na YouTube, żeby mieć pewność, że moja ekipa trzyma się planu.

Jechałyśmy samochodem Paige i właśnie zbliżyłyśmy się do podjazdu przed moim domem. Podążyłam wzrokiem za jej spojrzeniem; przez przednią szybę zobaczyłam mężczyznę stojącego przed otwartą żelazną bramą, z młotkiem w jednej dłoni, kluczem francuskim w drugiej.

- To ten, który wygląda jak mój ojciec?

- Trochę tak. Ale nie dlatego o nim pomyślałam. - Zwolniła i zatrzymała samochód, gdy tata przykucnął obok lśniącej, czerwonej skrzynki z narzędziami. - Coś mi się zdaje, że ojciec Sands nie pogardziłby paroma wskazówkami prawdziwej złotej rączki.

Miała rację. Tatko wpatrywał się w zawartość skrzynki, jakby przyglądał się egzotycznym rybkom w akwarium.

- Co on próbuje zrobić? - zapytała Paige.

- Nie mam pojęcia. - Rozpięłam klamrę pasa. - Chcesz wejść? Może zostałabyś na kolację?

- Z chęcią, ale ledwie żyję. - Oparła głowę o zagłówek i posłała mi zmęczony uśmiech. - Poza tym potrzebuję każdej odrobiny energii, jaka mi pozostała, by przekonać babcię Betty, że zmiana naprawdę może być - i będzie - dobra. Pogadamy później?

- Jasne, kiedy zechcesz. - Wysiadłam z auta i pomachałam Paige na do widzenia, kiedy okrążyła podjazd. Odjechała.

- Vanesso! - zawołał tata. - Dzięki Bogu, że jesteś. Potrzebna mi czyjaś opinia.

Podeszłam do taty przycupniętego przy skrzynce z narzędziami. Trzymał przed sobą długi czarny pręt zakończony małą srebrną gałką.

- Jak myślisz, do czego to służy?

- Do dyrygowania orkiestrą symfoniczną?

Zachichotał.

- Rzeczywiście przypomina batutę. Albo magiczną różdżkę, która akurat w tej chwili bardzo by mi się przydała.

Przykucnęłam obok niego.

- Muzyka klasyczna to raczej twoja działka. A jeśli chodzi o różdżkę, to co chciałbyś wyczarować?

Wzdychając, przeniósł ciężar na pięty, po czym przysiadł na krawężniku. Wycelował czarną różdżką w bramę.

- Syrenki? Chcesz pobudzić je do życia? - Usiadłam obok niego. - Przykro mi to mówić, tatko, ale ktoś cię w tym uprzedził.

Spojrzał na mnie z ukosa, nie poruszając głową. Wzruszyłam ramionami.

- Przeciwnie - odparł. - Chcę je zlikwidować.

Chciałam zapytać dlaczego, ale w porę się powstrzymałam.

Bo czemu nie miałbyś chcieć usunąć tak oczywistego symbolu budzącego przykre wspomnienia? Z tego, co wiedziałam, syrenki i syreny nie są jednym i tym samym, przy czym główną cechą różniącą te drugie od pierwszych jest brak ogona i skłonność do zabijania... Jednak w kulturze masowej stosuje się te terminy zamiennie.

- Za każdym razem, kiedy zbliżamy się do tej bramy, twoja matka się wzdryga. Taki odruch. Nie wiem, czy w ogóle zdaje sobie z tego sprawę. Ale ja to widzę.

- Prosiła cię, żebyś je zdemontował?

- Oczywiście, że nie. Gdyby zatrzymała się, żeby choć przez kilka sekund pomyśleć o sobie, zatrudniłaby jakiegoś fachowca do tej roboty. Wszyscy wiemy, że żadna ze mnie złota rączka.

- Potrząsnął głową. - Ale ona od dawna nie myśli o sobie. I dlatego postanowiłem sam się tym zająć.

Jego pobudki były szlachetne, ale zasmuciło mnie to. Tatko kochał mamę. Byli małżeństwem od dwudziestu lat, a on z każdym dniem uwielbiał ją coraz bardziej. A ona kochała jego, inaczej przecież nie wybaczyłaby mu występku, jakiego się dopuścił, i nie przyjęłaby mnie do swojej trzyosobowej rodziny, kiedy nadeszła pora decyzji. Przez siedemnaście lat troszczyła się o mnie, zupełnie jakbym była jej własną córką, choć przecież mój widok musiał jej nieustannie przypominać, co zrobił ojciec. Mimo to udźwignęła ten ciężar. Zaakceptowała rzeczywistość.

Jednak wydarzenia ubiegłego roku poddały ją tak ciężkiej próbie, jakiej nigdy nie powinna przechodzić żadna żona ani matka. Straciła Justine, jedyną biologiczną córkę. Nieomal straciła i mnie. A wszystko z powodu grupy kobiet, które jeszcze do zeszłego lata znaliśmy tylko z książek. Grupy, której ja sama stałam się mimowolną członkinią.

To, że moi rodzice wciąż byli razem po tych niewyobrażalnych wprost zdarzeniach, stanowiło świadectwo ich głębokiej wzajemnej miłości. Ale nie znaczyło wcale, że jest im łatwo. Choć tata miał świadomość, że nie ponosi całkowitej odpowiedzialności za swój romans z Charlotte Bleu, nie mógł pozbyć się poczucia winy. Wiedział, że będzie mu ono towarzyszyć do końca życia. A ja wiedziałam, że każdego dnia tego życia będzie starał się wynagrodzić mamie to, co się stało.

- Co jej powiedziałaś? - zapytałam po chwili.

- Kiedy?

Zanim odpowiedziałam, minęła kolejna chwila.

- Kiedy przepraszałeś.

Milczał, rozważając moje pytanie. Celowo wyraziłam się nieprecyzyjnie, wiedząc, że przepraszał więcej niż jeden raz i machinalnie pomyśli o tym konkretnym, za którym przyszło mu to z największą trudnością. Nie miało znaczenia, kiedy to było; moim celem nie było dowiedzieć się, w którym momencie czuł się najgorzej. Chciałam po prostu wiedzieć, co takiego powiedział, że udało im się przez to przejść.

- Zdaje się, że... powiedziałem to, co zwykle mówi się w takich chwilach. Że jest mi przykro i że nigdy nie zamierzałem jej skrzywdzić. Powiedziałem jej, że gdybym tylko mógł zacząć od nowa, wszystko zrobiłbym inaczej. Powiedziałem, że zrozumiem, jeżeli nigdy więcej nie zechce mnie widzieć.

- I to poskutkowało? - zapytałam z nadzieją w głosie.

- Nie.

- Aha.

- Odeszłaby, gdybym nie powiedział jeszcze czegoś. - Spojrzał mi w oczy. - Musisz jednak wiedzieć, że wyznałem jej prawdę, zanim wspomniałem o tobie. Wiedziałem, że gdyby dowiedziała się, że jesteś w moim życiu, nie odeszłaby. A ja musiałem dać jej wolny wybór. Przynajmniej tyle byłem jej winien.

Teraz wiedziałam, które przeprosiny były najtrudniejsze, i to miało sens. W końcu dopiero niedawno ojciec poznał prawdziwe powody, dla których nie mógł oprzeć się tamtej pokusie sprzed niemal dwudziestu lat.

Skinęłam głową.



- Rozumiem.

Odwrócił wzrok w stronę bramy. Kiedy znów przemówił, głos miał opanowany i cichy.

- Powiedziałem, że bez niej zginę. I to nie był pusty frazes. Wierzyłem w to wtedy i wierzę teraz. - Ramieniem lekko uderzył w moje ramię. - Niezbyt zaszczytny moment w życiu twojego staruszka. Nie polecam.

- To była prawda. Dlatego poskutkowało.

- To była prawda, ale nie dlatego Jacqueline została. Jest zbyt silna i zbyt dumna, żeby pozwolić, by coś takiego jak zasłużony upadek jej niewiernego męża wpłynął na zmianę jej decyzji.

- W takim razie co na nią wpłynęło?

- Druga rzecz, która też była prawdą.

Czekałam. W ułamku sekundy do oczu nabiegły mu łzy; otarł je grzbietem dłoni.

- Z jakiegoś dziwnego, niewytłumaczalnego powodu matka... nie umiała żyć beze mnie, Teraz to moje oczy zaszyły łzami. Myślałam o rodzicach i o tym wszystkim, przez co przeszli, ale myślałam też o Simonie.

Czy gdybym oznajmiła, że bez niego zginę, powiedziałaby to samo o mnie?

Pochyliłam się i wsparłam głowę na ramieniu taty Drżało, kiedy mnie nim otoczył. Siedzieliśmy tak, pośrodku podjazdu, nie mówiąc już nic, aż jego oddech zwolnił, a palenie w mojej piersi zelżało.

- Wiesz, czego nam trzeba? - zapytałam.

- Kieliszka czerwonego wina?

Podskoczyłam na nogi.

- Palnika spawalniczego.

Kucnął i zajrzał w głąb skrzynki z narzędziami.

- Czy za pomocą magicznej różdżki możemy go wyczarować?

- Powinni je mieć w narzędziowym. Wybiorę się na krótki rekonesans.

- Nie trzeba. - Wstał. - Robi się późno. Twoja matka zaczęła szykować kolację.

Możemy zaczekać do jutra.

- I ryzykować, że do tego czasu wzdrygnie się na widok tych idiotycznych syrenek nie wiadomo ile razy? Lepiej nie. - Skinęłam na narzędzia. - Mam ci pomóc z tym, zanim pojedą?

- Nie, dziękuję. Zapakuję wszystko do skrzynki i na razie zostawię ją przy bramie. Dopóki nie wrócisz, będzie pełnić funkcję doskonałego klina.

Uścisnęłam go, po czym ruszyłam truchtem w dół podjazdu. Wbiegłam do domu, żeby

przywitać się z mamą, chwyciłam kluczyki do samochodu i butelkę wody i wyjaśniłam, że jadę do miasta po lody na deser. Wiedziałam, że i tak wkrótce dowie się, jaki był prawdziwy powód mojego wyjazdu, a gdybym teraz powiedziała jej prawdę, na pewno zaczęłaby zapewniać, że to niepotrzebne.

Kiedy podjeżdżałam do głównej alei, słońce zaczęło zachodzić, oblewając domy - te stare wiejskie i te nowsze, w stylu kolonialnym - ciepłą pomarańczową poświatą. Był to zdecydowany kontrast w porównaniu z zeszłym latem, kiedy każdy dom, niezależnie od koloru elewacji, wyglądał buro: rano, w południe i w nocy. Miasteczko ledwie zdążyło przeschnąć, kiedy nawiedzała je kolejna nawałnica, a ulice znów tonęły w strugach deszczu, który przynosił szarość i mrok.

Tymczasem dzisiejszy wieczór był jednym z tych, dla których ludzie przyjeżdżali do Winter Harbor. Nawet kiedy słońce schowało się już za horyzontem, powietrze było przyjemnie rześkie, ale nie chłodne. To wymarzona pogoda na długą, leniwą kolację przy akompaniamencie paru lokalnych muzyków i zwykły spacer ulicami miasta z przyjaciółmi i rodziną.

Biorąc pod uwagę, jak niewielki ruch panował w restauracji „U Betty” przez cały dzień, nie powinien mnie dziwić widok zaledwie garstki samochodów stojących przy głównej alei. A jednak mnie dziwił. Znalazłam miejsce parkingowe tuż przed sklepem narzędziowym i szybko weszłam do środka.

- To dość duża zabaweczka jak na tak małą dziewczynkę.

Stałam w przejściu na tyłach sklepu i próbowałam wybrać jeden z dwóch modeli palnika, które właściwie niczym się nie różniły. Kiedy mężczyzna podszedł do mnie, odłożyłam jeden z nich i odwróciłam się tyłem.

- Nie słyszysz, że do ciebie mówię? - zawołał za mną. Był wysoki i miał na sobie poplamione workowate spodnie, naddartą kurtkę wojskową, wysokie buty i wełnianą czapkę. Nie zdołałam dobrze się przyjrzeć jego twarzy, ale domyślałam się, że ma dwadzieścia parę lat. Wnioskując z jego ubioru, domyśliłam się, że pracuje na jednej z przemysłowych łodzi rybackich zadokowanych w przystani.

To tylko chłopak, pomyślałam, idąc w stronę kasy, który próbuje poderwać zwyczajną - jak mu się zdaje - dziewczynę.

Może i tak było. A mimo to, kiedy wyciągałam pieniądze z portfela, nie mogłam powstrzymać drżenia rąk. Minął już prawie rok od transformacji, a ja wciąż jeszcze nie przywykłam do takiego zainteresowania.

- Będą pianki?

- Słucham? - To pytanie było tak niespodziewane, że chcąc nie chcąc, zareagowałam.

Za mną stał drugi mężczyzna, w spranym kombinezonie, grubym wełnianym swetrze z plecionym ścięciem i baseballówce z logo szkoły średniej w Winter Harbor. Skinął głową na ladę, gdzie kasjerka próbowała znaleźć na moim palniku nalepkę z ceną.

- Zgaduję, że szykujesz na deser małe waniliowe co nieco. Turyści uwielbiają takie atrakcje... chociaż oni zwykle wybierają patyki i ognisko, a nie zasilane butanem miotacze ognia.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu. Spróbowałam odpowiedzieć mu tym samym, zanim odwróciłam się z powrotem do lady.

- Na stojaku była etykieta. - Pochyliłam się w stronę kasjerki. - Jestem prawie pewna, że kosztuje czterdzieści dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów.

- Lepiej pójde sprawdzic.

- Nie, nie trzeba, przyjde...

Ale kasjerki już nie było. Za moimi plecami do drugiego mężczyzny dołączył pierwszy. Zalatywało od nich solą, nikotyną i surowym łososiem. Rozmawiali o haczykach i przynęcie w sposób, który sugerował, że to nie ryby zamierzają łowić.

- Nie jesteś stąd, co? - zapytał pierwszy, podnosząc głos.

Biorąc pod uwagę fakt, że byliśmy jedynymi ludźmi w sklepie oprócz kasjerki, przyjął, że pytanie było skierowane do mnie.

- Właściwie to nie - odparłam, nie odwracając się.

- Tak myślałem. Takiej twarzy się nie zapomina, co, Griff?

- O nie. - Zrobili krok w przód, a woń, którą roztaczali, nasiliła się. - W pewnym sensie chlubiemy się tym, że znamy każdą piękną dziewczynę w mieście. Można powiedzieć, że to nasza mocna strona.

- Świetnie. - Teraz nie byłam już pewna, czy mam się bać, czy czuć ulgę. Zachowywali się dość agresywnie, podczas gdy większość facetów zwykle czuje onieśmienie, chyba że zostaną zachęteni do rozmowy. Może ci akurat faktycznie zachowują się tak samo wobec wszystkich dziewczyn. I może nie miało to nic wspólnego z faktem, że ja w niczym tych wszystkich dziewczyn nie przypominam.

- Wiesz co? - zagaił pierwszy. - Mamy za sobą długi dzień. Jestem głodny jak wilk i... chętnie spałaszowałbym jakiś słodki deser.

Nie miało znaczenia, czym się kierowali. Ostatnie słowo zostało wypowiedziane tuż przy moim uchu. Strach zwyciężył.

- Zmieniłam zdanie! - Wycofałam się w kierunku wyjścia.

- Dzięki!

Zmusiłam się, by krótki odcinek od wyjścia ze sklepu do samochodu przebyć, idąc, nie biegnąc. Gdy wsiadałam do samochodu, zerknęłam na wejście i zobaczyłam, że tamci dwaj rozmawiają z kasjerką, która wróciła już na swoje stanowisko. Była starsza, więc pewnie nie zainteresowała ich w równym stopniu co ja. A gdyby nawet dalej sprawiali kłopoty, miała wokół siebie mnóstwo scyzoryków, śrubokrętów i innych narzędzi. Byłam przekonana, że w razie konieczności zdoła odeprzeć niechciane zainteresowanie, dlatego gdy uruchamiałam silnik i naciskałam gaz, towarzyszyło mi tylko nieznaczące poczucie winy.

W pobliżu mieściła się lodziarnia „U Eddiego”. Żeby mieć usprawiedliwienie dla swojej wyprawy do miasta, podjechałam tam i kupiłam trzy desery lodowe i tyle lodów w kubelkach, ile zdołałam unieść. Choć nie ja byłam bezpośrednią przyczyną zeszłorocznych sztormów, nadal czułam się częściowo za nie odpowiedzialna, co czyniło mnie częściowo winną kiepskiego stanu interesów w mieście tego lata. Postanowiłam więc pomóc Eddiemu pozbyć się magazynowych zapasów. Przynajmniej tyle mogłam zrobić.

Wracałam, trzymając się bocznych uliczek, żeby uniknąć drogi obok sklepu narzędziowego. Właśnie skręcałam w jedną z osiedlowych ulic, kiedy w pewnej odległości za mną rozbłysły przednie światła jakiegoś samochodu. Mój puls przyspieszył, po czym znowu zwolnił, kiedy auto, stara pomarańczowa furgonetka, odbiło w inną uliczkę, znikając mi z oczu.

Włączyłam radio dla rozproszenia myśli. Sięgnęłam do torebki leżącej na siedzeniu pasażera, znalazłam komórkę i umieściłam ją w stojaku na napoje. Wyciągnęłam garść precelków z torby z awaryjnymi zapasami, która leżała na środku deski rozdzielczej, wrzuciłam je do ust i popiłam słoną wodą z butelki.

Już miałam zamiar sprawdzić, czy w telefonie nie ma żadnych nieprzeczytanych wiadomości, kiedy zobaczyłam, że na końcu przecinającej moją ulicę zatrzymała się pomarańczowa furgonetka. Zdjęłam nogę z gazu i SUV zwolnił. Czekałam, aż furgonetka skręci, ale stała nieruchomo, z warkoczącym silnikiem.

Nic się nie dzieje... Ci ludzie się tylko zgubili... Pewnie chcą wjechać w moją uliczkę, ale droga jest za wąska i wolą zaczekać, aż przejadę...

Wcisnęłam pedał gazu. Słońce już zaszło, ale w miarę jak dystans między nami się zmniejszał, coraz wyraźniej dostrzegałam wędki wystające z paki, daszek baseballówki w kabinie. Osunęłam się niżej na siedzeniu, oparłam łokieć na ramie okna i próbowałam zasłonić twarz ręką. Mijając furgonetkę, patrzyłam prosto przed siebie.

Pojazd nie ruszył.

Wstrzymałam oddech i jechałam dalej, obserwując w lusterku wstecznym oddalający się rdzewiejący dach wozu. Kiedy dojechałam do znaku stop przy końcu ulicy, już go nie było widać.

Odetchnęłam i skręciłam w lewo, w stronę oceanu.

Wtedy za mną pojawiły się światła.

Zbliżały się, wypełniając jaskrawą poświatą wnętrze mojej kabiny. Docisnęłam gaz, ale to spowodowało tylko kierowcę furgonetki, by zrobić to samo. Jechałam szybciej. Igła prędkościomierza pokazała siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Siedemdziesiąt pięć. Osiemdziesiąt. W mieście obowiązywało ograniczenie prędkości do czterdziestu i było ściśle egzekwowane, ale teraz zupełnie mnie to nie obchodziło.

Najwyraźniej młodych rybaków też nie.

Po dotarciu do kolejnego rozjazdu bez zwalniania ostro skręciłam w lewo. Mój SUV z łatwością wchodził w zakręty, które stara furgonetka pokonywała z większym trudem. Trochę się rozluźniłam, przekonana, że w tym tempie znajdę się w domu, za zamkniętą żelazną bramą, zanim mnie dogonią... Ale wtedy zdałam sobie sprawę, co to oznacza.

Dowiedzą się, gdzie mieszkam. Nawet gdyby byli za daleko, żeby zobaczyć, w który podjazd skręcam, i tak wiedzieliby wystarczająco dużo. Przy tej drodze, choć dość długiej, nie stało zbyt wiele domów. Kończyła się ślepym zaułkiem.

Co znaczyło, że byłabym bezpieczna dzisiaj, ale... co z jutrem? Całkiem możliwe, że teraz rybacy tylko się wygłupiali, ale co będzie, jeżeli później postanowią mnie wyśledzić i zrobić coś znacznie gorszego?

Wcisnęłam hamulec. Samochód zarzuciło do przodu, a ja wykorzystałam siłę pędu, by zrobić gwałtowny zwrot, zmieniając kierunek jazdy. Pięćdziesiąt metrów dalej przemknęłam obok furgonetki; zwolniła natychmiast i zaczęła zawracać.

Igła prędkościomierza dobiła do osiemdziesiątki. Osiemdziesiątki piątki. Dziewięćdziesiątki. Zaciskając jedną dłoń na kierownicy, drugą sięgnęłam po telefon. Zaczęłam wystukiwać numer, który pamiętałabym obudzona w środku nocy, choć nie wybierałam go od miesięcy... A jednak zrezygnowałam przed podaniem ostatniej cyfry.

Instynkt podpowiadał mi, żeby zadzwonić do Simona. Powiedzieć mu, że chyba znalazłam się w tarapatkach, bo raz na jakiś czas może chciałby to wiedzieć. I mógłby chcieć mi pomóc. Tamtego dnia koło domku nad jeziorem zaopiekował się mną, choć pewnie zrobił to tylko dlatego, że nie miał innego wyjścia - byłam tak blisko, tuż obok. A jeżeli istniała choćby najmniejsza szansa, byśmy mogli być razem, wybór musiał należeć do niego. Tak samo, jak należał do mamy.

Odrzuciłam telefon na siedzenie pasażera i pomknęłam z powrotem w stronę miasteczka. Gdy tylko zwalniałam przy znakach stop i mijanych sporadycznie samochodach, furgonetka mnie doganiała. Skręcałam w przypadkowe drogi, mając nadzieję, że brak konkretnego kierunku będzie dla nich sygnałem: „od początku próbowałam was zgubić, zbić z tropu”. Żeby nie przyszło im na myśl wracać na tamtą krętą drogę wijącą się wysoko ponad oceanem.

Te ostatnie minuty wlekły się jak godziny. Przemknęłam właśnie obok biblioteki miejskiej w Winter Harbor, kiedy w lusterku wstecznym błysnęły czerwono-niebieskie światła. Były tak jaskrawe, że nie widziałam nic poza nimi. Nie miałam pewności, czy stara furgonetka siedzi na ogonie policyjnego radiowozu, ale i tak zjechałam na pobocze.

- Wiem, że przekroczyłam dozwoloną prędkość, panie władzo - zaczęłam, kiedy funkcjonariusz podszedł do opuszczonej szyby mojego samochodu. - Przepraszam, ale tamci dwaj w starej furgonetce jechali za mną aż od sklepu narzędziowego i...

Urwałam. Nie było sensu tłumaczyć się dalej. Policjant był młody i już się do mnie uśmiechał. Wydawało się, że słucha, ale wiedziałam, że tak naprawdę nie słyszy, co do niego mówię. Poza tym na drodze, oprócz naszych dwóch samochodów, nie było żadnego innego.

Rybacy, przynajmniej na razie, zniknęli.

„V.! Kryzysowe posiedzenie personelu. Bądź »U Betty« o 9. Buziaki, P.”

„Przepraszam, że zawiadamiam na ostatnią chwilę!” „Brakowało cię na dzisiejszym spotkaniu! Mam nadzieję, że wszystko OK. Opowiem ci, co u nas, kiedy przyjedziesz. PS Nie spiesz się. Tu nie ma żywej duszy”.

„Głupio się wyraziłam. Ale ze mnie idiotka! Wybaczysz?? ©” „Mówiłam ci ostatnio, że jesteś najwspanialszą przyjaciółką na całej kuli ziemskiej??”

Po odczytaniu ostatniego SMSa od Paige odsunęłam pościel na bok i chciałam usiąść na łóżku. Uniosłam ramiona, ale klatka piersiowa ani drgnęła. Cały mój tułów wydawał się niesamowicie ciężki, jakby zamiast płuc ktoś wstawił stertę cegieł. Podsunęłam ramiona do tyłu i wcisnęłam łokcie w materac dla podparcia, ale tułów uniósł się zaledwie na parę centymetrów, po czym znów opadłam na łóżko. Wysilek sprawił, że zakręciło mi się w głowie; zamknęłam oczy i po omacku sięgnęłam po butelkę wody stojącą na nocnym stoliku.

Zawsze budziłam się słabsza, niż byłam, kładąc się spać, i tak spragniona, że bez trudu opróżniłabym wiadro wody w niespełną minutę, ale dziś to było coś innego. Jakby rozkładała mnie grypa albo jakaś inna choroba. Nie chorowałam od zeszłego lata, odkąd mój organizm przeszedł transformację, i zastanawiałam się, jaki to może mieć wpływ na inne wyzwania fizyczne.

Lampka w telefonie zamigłała na czerwono. Nie przestając pić, otworzyłam klapkę.

„Wybuchy Louisa przekraczają poziom decybeli dozwolonych prawem. Będziesz niedługo??? Buziaki”.

Odpisałam jedną ręką.

„Już jadę. V.”.

Opróżniłam butelkę i odczekałam kilka sekund, aż płyn dotrze do moich kończyn. Kiedy próbowałam się podnieść, klatka piersiowa nadal była ciężka, ale reszta ciała stała się na tyle silna, żeby ją dźwignąć i wstać z łóżka. Wzięłam kolejne dwie butelki wody z przenośnej lodówki, którą mama wstawiła do mojego pokoju i regularnie uzupełniała, i opróżniłam obie, jeszcze zanim nałożyłam kostium kąpielowy, po czym odważnie ruszyłam na dwór.

Był późny poranek, ale słońce nie zdążyło jeszcze rozproszyć chłodnego powietrza. Pocierając nagie ramiona, przetruchtłam przez taras i zbiegłam po kamiennych schodach. W połowie drogi na plażę znów poczułam ciężar w piersi, a kolana niemal się pode mną ugięły. Rozważałam, czy nie zawrócić, jednak szybko uznałam, że to głupi pomysł. Czułam się źle,

ale gdybym odpuściła sobie poranne pływanie, czułabym się milion razy gorzej.

Z chwilą gdy moja stopa zetknęła się z oceanem, energia zaczęła powracać. Przebrnęłam przez płyciznę i zanurkowałam, delektując się natychmiastową lekkością ciała. Oddychałam głęboko i poddawałam się prądowi, pozwalając, by fale niosły mnie w stronę horyzontu i przywodziły z powrotem do brzegu. Wreszcie zabrałam się do testowania ramion i nóg; kiedy pojedynczy ruch pchnął mnie parę metrów naprzód, zmieniłam kierunek i popłynęłam ku plaży.

- Nic ci nie jest?

Na widok stojącego na piasku chłopaka, ubranego w luźne szorty i nic poza tym, stanęłam jak wryta na płyciźnie, pozwalając, by fale rozbijały się o moje ciało.

- Co ty tu robisz? - zapytałam zdecydowanym tonem.

Colin spojrział na mnie i wskazał na kajaki za swoimi plecami.

- Przyszedłem je zabrać, skoro dom znalazł już kupca. Moja mama rozmawiała o tym z twoją i uzgodniły, że mogę po nie wpaść w dowolnej chwili, więc... - Mrugnął i potrząsnął głową. - Nic ci nie jest?

Kusiło mnie, żeby zrobić zwrot, dać nura pod powierzchnię i nie wypływać, dopóki sobie nie pójdzie. Ale istniało spore prawdopodobieństwo, że wtedy wróci z ekipą ratunkową, więc zamiast tego skrzyżowałam ręce na piersi i szybkim krokiem wyszłam z wody. Mijając go, zauważyłam koszulkę, polar i tenisówki leżące u jego stóp. Fakt, że gotów był wskoczyć po mnie do wody, skłonił mnie do odpowiedzi na jego pytanie.

- Czuję się świetnie - odparłam.

- Ale byłeś pod wodą naprawdę długo - zawołał za mną.

- Większość ludzi nie byłaby w stanie... to znaczy... jak tobie się to... bez butli...

Znów przystanęłam, tym razem przy kamiennych schodkach prowadzących na taras przed moją sypialnią. Nie dlatego, że chciałam podtrzymać rozmowę, ale dlatego, że energia, którą dopiero odzyskałam, zaczęła gwałtownie słabnąć. Zwykle po takim pływaniu wystarczało mi sił do późnego popołudnia. Czyżby zadziałał element zaskoczenia? A może stres spowodowany tym, że ktoś obcy widział, jak robię coś, czego nie potrafią inni ludzie? Albo przerażenie na myśl, że mógłby o tym komuś powiedzieć?

Bez względu na przyczynę moje ciało zawiodło. Kolana ugięły się pode mną i uderzyły w kamień. Dłonie pacnęły tuż obok.

- Nic mi nie jest - zapewniłam, starając się mówić normalnym tonem. - Czuję się dobrze, muszę tylko...

Poczułam dotyk jego dłoni na plecach - lekki, jakby obawiał się, że zrobi mi krzywdę,



a jednak kontakt ten wyzwolił ładunek siły, który eksplodował w mojej piersi. Uczucie to sprawiło, że gwałtownie zaczerpnęłam powietrza, a wtedy on się odsunął.

- Przepraszam - wyszeptałam. - Czy możesz... mógłbyś...

Nie wiedziałam nawet, o co proszę. Na szczęście Colin wiedział. Chwycił mnie mocno za ramiona i pomógł mi usiąść na kamieniu. Przykucnął obok i zeszywniał. Ja także, ale tylko na krótką chwilę. Pragnienie, by zamknąć oczy i wesprzeć się na nim, było zbyt silne.

Z chwilą gdy zetknęliśmy się nagą skórą, otoczył mnie w talii ramionami.

Wszystko w porządku... To tylko Simon, mój Simon... Opiekuj się mną jak zawsze...

- Twoi rodzice są w domu? Chcesz, żebym...

- Nie, proszę. - Owinęłam palce wokół jego przedramion i lekko je zacisnęłam. - Daj mi chwilę. Nie odchodź.

Przygarnął mnie do siebie mocno, aż na plecach poczułam przyspieszone bicie jego serca. Po chwili zwolnił uścisk jednej ręki, aby odgarnąć wilgotne kosmyki włosów z mojej twarzy. Z każdą upływającą sekundą czułam, jak przepelnia mnie nowa fala energii

- i poczucie winy. Chciałam odsunąć się od niego i, gdy tylko poczuję się na siłach, wbiec po schodach, ale... Wiedziałam, że wcześniej, na wszelki wypadek, muszę zrobić coś jeszcze.

- Colin?

Opuścił głowę tuż przy moim uchu, a wtedy całe moje ciało zalała kolejna fala energii. Uniosłam się w jego ramionach, żeby spojrzeć mu w oczy, i przez chwilę walczyłam ze sobą, by nie odwrócić wzroku.

- Dziękuję, że ze mną zostałeś.

- Chyba żartujesz. Przecież nie mógłbym odejść po tym, jak ty...

Przycisnęłam dłoń do policzka Colina. Jego wargi znieruchomiały, a on jakby zapomniał, o czym mówił.

- Nic takiego nie zrobiłam. - Próbowałam się uśmiechnąć, przesuwając kciuk wzdłuż linii jego żuchwy. - W każdym razie nic wartego wzmianki w towarzystwie innych. I byłabym bardzo, ale to bardzo wdzięczna, gdybyś... gdybyśmy zachowali zdarzenia tego poranka tylko dla siebie. Nie masz nic przeciwko temu?

Przełknął ślinę. Skinął głową. Opuścił wzrok z moich oczu na usta. Kiedy zbliżał twarz do mojej, obróciłam głowę i skupiłam wzrok na promieniach słońca połyskujących na powierzchni oceanu. Jego usta wylądowały tuż przy mojej skroni i tam pozostały. Postanowiłam zaczekać kilka sekund dla pewności, po czym usiadłam prosto i wyjaśniłam, że

muszę się przygotować do pracy.

Kiedy znalazłam się w sypialni, z okna obserwowałam, jak odchodzi. Przez jakiś czas dreptał w tę i z powrotem po plaży, jakby nie bardzo wiedział, po co się tam znalazł, ale chwilę później skupił uwagę na kajakach i zaczął je wlec po piasku. Gdy zniknął mi z oczu, pomknęłam do łazienki, żeby wziąć prysznic i się ubrać. Moja energia utrzymywała się na wysokim poziomie, co osłabiło - choć nie wyeliminowało - bolesne poczucie winy.

Dziesięć minut później w pośpiechu przeczesywałam dom w poszukiwaniu rodziców. Mimo tak wielu szklanych ścian nadal można było się nie zauważyć, przechodząc z jednego pomieszczenia do drugiego, więc kiedy dotarłam do pustej kuchni, spróbowałam dodzwonić się na komórkę do mamy i do taty. W obu wypadkach rozmowa została przekierowana do poczty głosowej, ruszyłam więc w stronę garażu, żeby sprawdzić, czy jest tam ich samochód. A na miejscu znalazłam... karteczkę z wiadomością i kopertę przyklejone do drzwi.

„Kochana Vanesso!

Twój ojciec i ja czekaliśmy na idealny moment, żeby przekazać ci prezent z okazji ukończenia szkoły średniej. Wiemy, że nie przyjąłabyś go, gdyby nie to, że jest ci rzeczywiście bardzo potrzebny i że musisz jakoś dostać się dziś do pracy, kiedy my oboje będziemy załatwiali sprawy w mieście. Dlatego prosimy cię, przyjmij go z radością. A jeżeli już naprawdę musisz zaprotestować, chętnie odwiedzimy cię od tego osobiście, kiedy spotkamy się dzisiejszego popołudnia.

Jesteśmy z ciebie bardzo dumni i kochamy cię bardziej, niż możesz sobie wyobrazić”.

Pod starannym pismem mamy tata nabazgrolił wiadomość od siebie.

„Do elektrycznych szyb i działającej dmuchawy będziesz się musiała przyzwyczać, ale wiem, że potrafisz się dostosować. Bo ty potrafisz wszystko.

Poza tym pamiętaj, proszę, o pasach. Twoja matka nie chciała kłaść swojego listu nadopiekuńczymi uwagami, dlatego biorę to na siebie. Pamiętaj, dziecko, bezpieczeństwo to podstawa!”

Elektryczne szyby? Działająca dmuchawa? Pasy?

Rodzicom należało się uznanie. Bo gdyby byli w domu, kiedy otworzyłam drzwi do garażu, a w nim znalazłam nowiuteńkiego ciemnozielonego jeepa wranglera, nie weszłabym do środka. Ani nie wyjęłabym kluczyka z koperty i nie włączyła stacyjki. Skoro ich jednak nie było, a ja musiałam jakoś dostać się do pracy, zrobiłam to.

Słyszac pomruk budzacego się do życia silnika, uśmiechnęłam się szeroko. Nigdy wcześniej nie miałam własnego samochodu; najbliższe do tego było prastaremu volvo taty, którym jeździłam, dopóki ubiegłego lata nie wydał z siebie ostatniego rżęzącego tchnienia.

Ponieważ tego lata mieliśmy spędzać wiele czasu razem, plan był taki, że będziemy na zmianę jeździć SUVem. Przynajmniej ja tak sądziłam. Teraz zdałam sobie sprawę, że rodzice musieli wpaść na pomysł zakupu nowego auta dla mnie wiele miesięcy wcześniej. Może nawet wtedy, gdy zostałam przyjęta do Dartmouth. Przecież chyba nie zamierzali wozić mnie do New Hampshire i z powrotem wraz z rozpoczęciem każdych ferii czy kolejnych semestrów.

No ale nowy samochód to jednak droga sprawa. Czy na pewno mogli sobie pozwolić na tak hojny podarunek, zwłaszcza że mama od dawna pozostawała na bezpłatnym urlopie? Nie wspominając już o problemie ze sprzedażą domku nad jeziorem, która miała pomóc w spłacie nowego domu na plaży.

Wyluzuj! To właśnie powiedziała by Justine, gdyby tu była. Zapewniłaby mnie, że to świadoma decyzja rodziców i nie podjęliby jej, gdyby nie mogli sobie na to pozwolić. Dla uspokojenia sumienia wmówiłam sobie, że prezent wcale nie jest ekstrawagancki - jest praktyczny! Bezpieczny i niezawodny środek transportu będzie niezwykle przydatny zarówno moim rodzicom, jak i mnie. Więc po pozostawieniu na poczcie głosowej u obojga długich, pełnych wdzięczności przemów zapięłam pasy i na wstecznym wyjechałam z garażu.

Mój nowy jeep miał opuszczany dach, dlatego w drodze do restauracji „U Betty” delektowałam się wilgotnym, słonym powietrzem, które napełniało mnie świeżą dawką energii. Czułam się tak wspaniale, że udało mi się nawet odsunąć od siebie myśli o tym wszystkim, co zdarzyło się, zanim znalazłam przyklejoną do garażowych drzwi karteczkę. To był przypadek, jednorazowa akcja. Teraz, kiedy Colin zabrał to, po go przyszedł, już nigdy więcej nie zobaczę go czekającego na mnie na plaży. A to znaczy, że już nigdy więcej nie będę tak zaskoczona, natychmiast pozbawiona energii i ogarnięta desperacką potrzebą zwrócenia na siebie jego uwagi.

- Vanesso! - Paige pomachała mi na powitanie i podbiegła do samochodu, kiedy wjeżdżałam na parking przy restauracji.

- Dzięki Bogu jesteś!

Zatrzymałam wóz niedaleko wejścia i wyskoczyłam.

- Niezła bryka. - Paige uśmiechnęła się, podziwiając jeepa.

- Specjalne względy u dilera?

- Raczej u rodziców. To właściwie...

Moje wyjaśnienia zagłuszył łoskot. Paige obróciła się na pięcie. Spoglądając przez jej ramię, zobaczyłam jednego z budowlańców z zakłopotaniem wruszającego ramionami i schylającego się po deskę, którą właśnie upuścił na nowy ganek.

- Zrobili spore postępy - oznajmiłam.

Ganek wyglądał na ukończony - poza brakującą balustradą - a fasada budynku została pokryta drugą warstwą fioletowej farby

- Owszem. - Paige skinęła głową. - Coś mi się zdaje, że jednemu z tych nowych wpadłam w oko. To niebywałe, jak wiele można zdziałać odrobiną staroświeckiego flirtu.

Mówiąc to, ruszyła w kierunku restauracji.

- Dzisiaj z samego rana mieliśmy tu małą katastrofę - zawołała przez ramię, kiedy próbowałam ją dogonić. - Carla zjawiła się dwadzieścia minut przed rozpoczęciem swojej zmiany i Louisowi odbiło.

- Dlatego, że przyszła wcześniej? To chyba dobrze, co?

- Zwykle tak. - Dotarłszy do ganku, Paige posłała przystojnemu młodemu budowlańcowi przelotny uśmiech. Gdy puścił się pędem, żeby otworzyć jej drzwi, znów wypadła mu deska.

- Niestety, nasz ulubiony szef kuchni był jeszcze wtedy przed poranną kawą, o czym wszystkich nas dobitnie poinformował.

Młody mężczyzna przytrzymał drzwi i dla mnie. Podziękowałam i weszłam za Paige do środka, nie podnosząc wzroku.

- W każdym razie Carla przeszła załamanie nerwowe. Próbowałam opanować sytuację, ale siedziałam jeszcze w domu, kiedy do tego doszło, i zanim dotarłam na miejsce, było już po wszystkim.

- Louis ją wylał?

Przystanęłyśmy w drzwiach prowadzących do sali jadalnej. Paige odwróciła się do mnie i znacząco uniosła jedną brew.

- Ach, no tak. To przecież twoja działka - poprawiłam się.

- Ja nic takiego nie zrobiłam. Może Carla była trochę przewrażliwiona, ale prawdę mówiąc, widziałam w niej potencjał.

- Więc co się stało?

- Sama się zwolniła. Zostawiając nas bez kelnerskiej obsługi tuż przed śniadaniową porą szczytu.

- Był szczyt? - zapytałam.

- No nie. Ale liczyłam, że będzie. - Pokazała mi swój telefon. - To z tego powodu te kryzysowe spotkania i niezliczone SMSy. Musiałam pozmienić harmonogram i opanować panikę wśród reszty personelu. Od jakiegoś czasu nie mogą specjalnie liczyć na napiwki, więc już i tak byli na krawędzi. Bałam się, że wszyscy uciekną z tonącego okrętu, co niektórzy już

zrobili, i że ty i ja będziemy musiały tyrać na dwie zmiany.

- Wiesz, że zawsze ci pomogę. O cokolwiek poprosisz.

- Wiem i dziękuję. Ale, na szczęście, to nie będzie konieczne.

Odrzuciła głowę w tył. Przechyliłam się na lewo i spojrzałam ponad jej ramieniem na bar, gdzie... ładna blondynka polerowała kieliszki.

- Natalie? - zapytałam.

Oczy Paige rozbłysły.

- To wy się znacie?

- Tak. Którego dnia wpadła tu na lunch.

- No widzisz, dzisiaj rano przyszła na śniadanie - dokładnie w chwili, gdy Carla zerwała z siebie fartuszek i uciekła gdzie pieprz rośnie. Była tu wtedy jedna rodzina, którą Carla zdążyła posadzić przy stoliku, ale jeszcze nie przyjęła od nich zamówienia, i jedna para czekająca na odprowadzenie do stolika, której nikt nie obsługiwał, więc... zrobiła to Natalie.

- A co z Louistem? - zapytałam. - I resztą personelu? Nie mogli się nimi zająć?

- Pewnie, że mogli. I gdyby tylko Louis nie był tak pochłonięty ujadaniem, a reszta personelu nie kuliła się ze strachu w kuchennym kącie, może i by to zrobili.

Obserwowałam, jak Natalie przestawia kieliszki do wina i wysokoprocentowych trunków. Jej ruchy były szybkie, zdecydowane, jakby całe życie spędziła za barem.

- Przez pięć lat pracowała w podobnej restauracji w rodzinnym Vermont - wyjaśniła Paige, jakby czytając w moich myślach. - Spędza tutaj lato, bo jej ojciec uparł się, żeby przeżyć ostatnią wspólną przygodę, zanim Natalie zacznie studia.

- W takim razie dlaczego dwa razy przyszła tutaj bez niego?

Paige spojrzała na mnie.

- Bo poszedł popływać? Uciął sobie drzemkę? Czyta gazetę? A ona ma trochę wolnego czasu? - Paige przyjrzała się uważnie mojej twarzy, która poczerwieniała pod jej spojrzeniem. - Vanesso, coś nie tak?

Chciałam zaprzeczyć, ale się powstrzymałam. Ja też usłyszałam podejrzliwość we własnym głosie, a zaprzeczając, tylko sprowokowałabym dalsze pytania, na które nie umiałabym znaleźć odpowiedzi. Paige znała mnie zbyt dobrze, żeby taki szczegół umknął jej uwagi.

- Przepraszam - odparłam. - Dziwny poranek, to wszystko.

Wyprostowała się, a jej oczy się rozszerzyły.

- Czy to ta pomarańczowa furgonetka? Śledziła cię tutaj?

- Na szczęście, nie. Nie widziałam jej od tamtego wieczoru.

- Wcześniej opowiedziałam Paige o pościgu, bo musiałam się przed kimś wyzalić, a nie chciałam martwić rodziców. Poza tym, z wyjątkiem ubiegłego roku, Paige przez całe życie była pełnoetatową mieszkanką Winter Harbor, więc uznałam, że może wie, kim są właściciele furgonetki. Nie wiedziała, ale obiecała, że będzie mieć oczy i uszy otwarte. - Po prostu nie czułam się najlepiej i potrzebowałam trochę więcej czasu, żeby się pozbierać.

- Dzięki Bogu. Mam na myśli tę furgonetkę, a nie...

- Załapałam. - Uśmiechnęłam się. - A swoją drogą, jak ty się czujesz?

- Co masz na myśli?

Zaczekałam, aż minie nas pomocnik kelnera, i dopiero wtedy, zniżywszy głos, dokończyłam:

- Jak się czujesz fizycznie od naszego powrotu? Inaczej niż w Bostonie?

Rozważyła moje pytanie.

- Czy ja wiem... Raczej nie. Może trochę bardziej zmęczona, ale tylko dlatego, że rozmyślanie o sprawach restauracji nie pozwala mi nocą zmrużyć oka. Poza tym wszystko wydaje mi się bez zmian. - Zrobiła pauzę. - A co? Ty czujesz się inaczej?

Nie chciałam dawać jej kolejnych powodów do niepokoju, więc potrząsnęłam przecząco głową. - Też czuję się tylko zmęczona. Ale chyba można się tego spodziewać, biorąc pod uwagę przeprowadzkę do nowego domu i całe to zamieszanie.

- Jak najbardziej. - Chwyciła mnie za rękę. - Chodź. Wiem, co nam pomoże.

Poprowadziła mnie przez jadalnię. Kiedy mijaliśmy bar, głowa Natalie była schowana za otwartymi drzwiczkami szafki. Paige najwyraźniej uznała, że formalne przedstawienie nas sobie może poczekać, bo przemknęła obok, nawet nie zwalniając.

W kuchni kazała mi usiąść na stołku obok zamrażarki na mięso i - unikając Louisa, który choć siedział cicho, wciąż był nie w sosie - zabrała się do przygotowywania jedzenia. Dwie minuty później podała mi plastikową tacę i usiadła na stołku obok.

- Bajgiel z serkiem śmietankowym i glonami morskimi, do tego frytki, woda z lodem i kawa XXL. Wszystko hojnie doprawione solą.

Śledziłam wzrokiem jej palec, który wskazał poszczególne punkty programu.

- To brzmi jak najbardziej nieapetyczny posiłek, jaki kiedykolwiek mi podano.

- Ale... - broniła się Paige.

- Jest doskonały.

Towarzyszyła mi przy jedzeniu, ale nie spuszczała oka z Louisa. Chciała się upewnić, że nikogo więcej nie zmusi do zwolnienia się. Gawędziłyśmy na lekkie tematy, takie jak mój nowy jeep czy jej plany pomalowania holu i zrobienia skrzynek na kwiaty.

Od dnia wystawienia domu na sprzedaż minęło kilka dni, a my nadal nie wracałyśmy do tematu tego, co wtedy usłyszałam. Odpowiadało mi to. Miałam nadzieję, że to jednorazowe zdarzenie, które ostatecznie będziemy mogły puścić w niepamięć.

Kiedy przybyłam do restauracji, czułam się dobrze, ale po zjedzeniu śniadania i pogawędce z przyjaciółką poczułam się jeszcze lepiej. W rzeczywistości Colin mógłby wparować do kuchni i obwieścić wszem i wobec, że mnie kocha, a... moje serce nawet by nie drgnęło.

Gdy o tym myślałam, Colin nie wparował do kuchni. Zrobiła to Natalie.

- Przyszedł ktoś po zamówienie na wynos, wiecie coś o tym?

- zapytała. - Przystojniak w okularach.

Opuściłam kubek z kawą. Louis cisnął w Natalie dwie brązowe papierowe torby, a ona zniknęła za wahadłowymi drzwiami.

- Przystojniak - powtórzyła Paige po chwili milczenia.

- W okularach.

Skinęłam głową, popijając dalej.

- Nie chcesz pójść się przywitać?

Chciałam. I to tak bardzo, że powstrzymanie się od zeskoczenia ze stołka i wyfrunięcia z kuchni odbierało mi wszystkie kalorie, które właśnie spożyłam. Ale nie mogłam przestać myśleć o tym, co tata powiedział o mamie, i nie wiedziałam, czy powinnam.

- Piłka jest po jego stronie boiska - odparłam. - Nie mogę skakać przez siatkę.

- Ale on wie, że tu jesteś. Gdyby nie chciał się z tobą widzieć, nie wchodziłby do środka. - Paige wzruszyła ramionami.

- Nie znam się na piłce, ale to mi wygląda na zagrywkę.

Odstawiłam kubek i podałam jej tacę.

- Zaraz wracam - rzuciłam i wybiegłam z kuchni do sali jadalnej.

Mijając lustrzaną ścianę za barem, popełniłam błąd, sprawdzając swój wygląd. Jazda z opuszczonym dachem wysuszyła i splątała moje sięgające do ramion włosy w sieć węzłów i kołtunów. Poza tym jechałam tu w takim pośpiechu, że nie zdążyłam nałożyć na rzęsy tuszu, a na usta błyszczyku, co równało się pogwałceniu dwóch absolutnie podstawowych zasad makijażu, którym powinna podporządkować się każda dziewczyna, zanim wyjdzie do ludzi - to zawsze wbijała mi do głowy Justine. Szczotka do włosów i przybory do malowania zostały w domu, więc w drodze do holu pozostało mi tylko podszczypnąć policzki i na siłę

przezcesać włosy palcami.

Niepotrzebnie się wysilałam. Okazało się, że Caleb - nie Simon - właśnie wychodził. Przez okno zobaczyłam jeszcze, jak podchodząc do Subaru, zsuwa z czubka głowy na nos okulary przeciwsłoneczne - nie korekcyjne.

- Znam ten wyraz twarzy.

Odwróciłam się do Natalie. W całym swoim rozczarowaniu zupełnie zapomniałam, że tam stoi.

- Widzę go codziennie. W lustrze.

Próbowałam się uśmiechnąć.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Oparła się o ladę i pociągnęła za cienki łańcuszek zawieszony na szyi. Spod koszulki na ramiączkach wysunął się srebrny pierścionek z diamencikiem.

- Mój chłopak oświadczył się dwa miesiące temu - oznajmiła.

- Wow. - Nie wiedziałam, czy przemawia przeze mnie zaskoczenie, bo w końcu była w moim wieku, czy zazdrość.

- Moje gratulacje.

Wsunęła pierścionek na czubek kciuka i obracała nim palcem wskazującym.

- Byliśmy razem od trzech lat, a jednak uważałam, że powinniśmy jeszcze poczekać. On był innego zdania, a ja kochałam go zbyt mocno, żeby się o to kłócić. Twierdził, że skoro i tak wiemy, że zawsze będziemy razem, co za różnica, kiedy oficjalnie ogłosimy to światu.

Pokiwałam głową. Zastanawiałam się, dlaczego mi o tym mówi, a jednocześnie byłam zbyt zadowolona, by pytać i ryzykować, że przerwie opowieść.

- W każdym razie postanowiliśmy wziąć ślub pod koniec lata. Wielka feta, dwieście osób, rzeźby z lodu, przyjęcie weselne w jego rodzinnym domu nad jeziorem Champlain.

- Brzmi wspaniale - wtrąciłam.

Podniosła wzrok znad pierścionka.

- Prawda? I byłoby wspaniale, gdyby trzy tygodnie temu... wszystkiego nie odwołał.

- Ale dlaczego? - zapytałam, nie mogąc się powstrzymać.

- Z tych wszystkich powodów, które sama uważałam za słuszne: jesteśmy za młodzi, nie ma się co spieszyć, na razie lepiej po prostu się ze sobą spotykać. I jeszcze jednego.

Czekałam. Delikatnie zsunęła pierścionek z kciuka, a on opadł na jej pierś.

- Zakochał się w innej.

Przed oczami przemknęła mi seria obrazów: czerwona łódź wiosłowa, piękna dziewczyna o srebrzystych oczach i krótkich czarnych włosach, Simon pochylający się ku



niej, przymykający oczy, całujący ją.

- Może wcale tak nie jest - podsunęłam szybko. - Może tylko wydaje mu się, że się w niej zakochał, bo ogarnęła go panika przed ślubem.

Posłała mi smutny uśmiech.

- Dzięki. Ale uwierz mi, znam go dobrze i wiedziałabym, gdyby tak było. Gdyby istniał choć cień szansy, nie dałabym namówić się tacie na ten przedłużony ucierlop.

- Co takiego?

- Urlop łamane przez ucieczkę. Stworzyliśmy ten zlepek, żeby zaoszczędzić sobie czasu, bolesnych wspomnień i nieco rozładować napięcie.

Kiedy Natalie ruszyła w stronę sali jadalnej, przyszło mi do głowy, że jej historia wyjaśnia, dlaczego znalazła się tutaj, w Winter Harbor. Może nawet tłumaczy, dlaczego zatrudniła się w Restauracji Rybnej „U Betty”; ubiegłego lata sama trafiłam na to miejsce i zupełnie nieoczekiwanie przyjąłam pracę, żeby rozproszyć myśli. Jej historia nie wyjaśnia natomiast, dlaczego postanowiła podzielić się nią ze mną.

- Mój chłopak... były chłopak... nigdy się nie oświadczył - wyznałam nieśmiało.

Obróciła się.

- Ale ty nadal chcesz z nim być, prawda?

Odpowiedź była prosta, nasuwała się automatycznie, ale nie mogłam wypowiedzieć jej na głos. Na szczęście Natalie umiała czytać między wierszami.

- Więc lepiej daj mu to jasno do zrozumienia. Bo jeśli ty tego nie zrobisz... jakaś inna cię uprzedzi. żeby rozproszyć myśli. Jej historia nie wyjaśnia natomiast, dlaczego postanowiła podzielić się nią ze mną.

- Mój chłopak... były chłopak... nigdy się nie oświadczył - wyznałam nieśmiało.

Obróciła się.

- Ale ty nadal chcesz z nim być, prawda?

Odpowiedź była prosta, nasuwała się automatycznie, ale nie mogłam wypowiedzieć jej na głos. Na szczęście Natalie umiała czytać między wierszami.

- Więc lepiej daj mu to jasno do zrozumienia. Bo jeśli ty tego nie zrobisz... jakaś inna cię uprzedzi.

Tego wieczoru, stojąc w kuchni naszego starego domku nad jeziorem, wpatrywałam się w ekran telefonu. Bez względu na to, jak bardzo tego pragnęłam, słowa nie chciały napisać się same, a wszystko, co próbowałam wystukać na klawiaturze w ciągu ostatniej godziny, było kompletnie do niczego. Chciałam, by moje słowa zabrzmiały swobodnie, a jednocześnie poważnie. Czarująco, ale szczerze. Nienachalnie, a przy tym tak, by nie mógł się

oprzeć. A im dłużej się starałam, tym mniej czasu pozostawało na delektowanie się owocami mojej pracy. Przy założeniu - które wcale nie musiało okazać się słuszne - że moja praca przyniesie owoce. Ten brak pewności sprawiał, że tylko trudniej było mi się skupić.

Jesteś syreną, zgańlam się. Czy ci się to podoba, czy nie, takie rzeczy powinny ci przychodzić z łatwością.

Przez kolejną minutę gapiłam się tępo w ekran, po czym odłożyłam telefon na blat. Znow go podniosłam. Otworzyłam lodówkę. Zamknęłam ją. Włączyłam radio. Obróciłam pokrętłem.

Nie mogłam wybrać pomiędzy jazzem a starymi przebojami - dwiema jedyne stacjami, które nie brzmiały tak, jakby ich audycje nadawano ze środka trąby powietrznej - kiedy rozległo się pukanie do kuchennych drzwi.

Mój wzrok zatrzymał się na niewyraźnym zarysie postaci za zasłoną, którą wcześniej zasunęłam, by mieć nieco prywatności. Z przyzwyczajenia sięgnęłam po ceramiczny dzbanek z nożami i drewnianymi łyżkami, a kiedy go nie znalazłam, przyszło mi na myśl, że niezapowiedzianym gościem musi być pośredniczka Anna albo jacyś przyjezdni, którzy zobaczyli przy drodze tabliczkę na sprzedaż i postanowili przyjrzeć się nieruchomości z bliska.

Podchodząc do drzwi, zacisnęłam telefon w dłoni i zanotowałam w pamięci, żeby porozmawiać o tym z mamą. W końcu było już po dwudziestej. Dom nadal należał do nas, a sam fakt, że już w nim nie mieszkamy, wcale nie oznaczał, że każdy może sobie tu wpaść o dowolnej porze dnia i nocy.

- Cześć, Vanesso...

No chyba że, ma się rozumieć, tym kimś miałby być Simon.

- Ona jeździ audi - powiedział.

Oparłam się o futrynę, by nie stracić równowagi.

- Kto taki?

- No tak, przepraszam. - Potrząsnął głową, skinął w stronę podjazdu. - Wasza pośredniczka. Jeździ audi. Czarnym, z bagażnikiem na dachu. Kiedy zobaczyłem jeepa, nie wiedziałem... to znaczy, nie byłem pewien... po prostu pomyślałem, że powinienem sprawdzić, i...

- Ten jeep należy do mnie - wyjaśniłam szybko. - To prezent od rodziców z okazji ukończenia szkoły.

- O, to świetnie - jeden kącik jego ust się uniósł. - Do tego jest ciemnozielony. Mogę się założyć, że wiem, czyj to był wybór.

Ja też się uśmiechnęłam.

- Lada dzień dotrze nalepka na zderzak i flaga na antenkę z logo Dartmouth. A tylne siedzenie jest na tyle szerokie, żeby pomieścić mój nowy worek marynarski w barwach Dartmouth, kiedy już będzie wypchany nowymi dresami, bluzami, ręcznikami i poszewkami na poduszki z właściwym logo.

- Poszewkami na poduszki?

- Te akurat sama wybrałam. Są flanelowe i zaskakująco przyjemne w dotyku.

Jego uśmiech zelżał, po czym całkiem zbladł.

- A swoją drogą, gratuluję. Z okazji ukończenia szkoły. No i przyjęcia do Dartmouth, i wszystkiego innego. To naprawdę duże osiągnięcia.

Mówił o rzeczach wesołych, ale w jego głosie pobrzmiewał smutek. Wiedziałam dlaczego. Z tego samego powodu, dla którego przyjmowałam dyplom ze łzami w oczach, a kiedy otrzymałam list z Dartmouth, machinalnie wybrałam numer kierunkowy stanu Maine i natychmiast się rozłączyłam.

Dlatego, że powinien być wtedy przy mnie. I gdyby nie to, co wydarzyło się ubiegłej jesieni, na pewno by był.

- Chcesz wejść? - zaproponowałam.

Wziął głęboki oddech.

- Czy chcę? - Spojrzał mi w oczy i nie odwrócił wzroku. Wstrzymałam oddech w obawie, że jeśli poruszę się choćby o milimetr, on zdecyduje się odejść. - Owszem, chcę. Ale czy powinienem?

I tak po prostu słowa znów mnie zawiodły. Jak miałam go przekonać, żeby wszedł, tak naprawdę wcale nie przekonując? Co miałam powiedzieć, żeby pomóc mu podjąć w pełni przemyślaną decyzję? Po rozmowie z Natalie czułam, że Simon musi się dowiedzieć o moim uczuciu, ale po rozmowie z tatą kilka dni wcześniej pamiętałam, jak ważne jest, by pozostawić mu całkowitą wolność wyboru. Dlatego właśnie plan na ten wieczór był taki, żeby jak gdyby nigdy nic dać mu znać, że tu jestem. Gdyby zechciał się ze mną spotkać, miał taką możliwość. Gdyby nie zechciał, nie musiałby tego robić. Cokolwiek zdarzyłoby się potem, zależałoby całkowicie od niego.

- Mamy nową zasłonę pod prysznic - wydusiłam wreszcie.

- W łazience na dole.

- Czy to znaczy, że mapa świata na płycie z winylu...?

- Odeszła w niepamięć - zawyrokowałam. - Piętnaście lat to imponujący wynik, ale nasza pośredniczka od nieruchomości stwierdziła, że na jej widok potencjalni kupcy

pochowają portfele głęboko w kieszeni. A że mama nie zamierzała zabierać jej do nowego gustownego domu, poszła na śmietnik. Jej następczyni ma paski, nie państwa.

Skinął powoli głową.

- To akurat... chyba muszę zobaczyć.

Poczułam, że rozpiera mnie radość. Informacji o zmianie wystroju łazienki nie da się raczej nazwać perswazją, więc... to był w pełni jego wybór, prawda?

Odstąpiłam na bok i otworzyłam szerzej drzwi. Zrobił krok do przodu i przystanął.

- O! Spodziewasz się kogoś.

Jego wzrok zatrzymał się na stoliku nakrytym dla dwóch osób. Przyniosłam naczynia z drugiego domu i ustawiłam je na stole z nadzieją, że w mojej głowie w końcu powstanie idealnie sformułowana wiadomość.

- Lepiej już pójdę.

- Nie odchodź. - Dotknęłam jego ramienia, a serce podeszło mi do gardła. - Zostań, proszę.

- Vanesso - odezwał się napiętym głosem - wiem, że upłynęło już sporo czasu... ale ja nie potrafię. Wciąż nie mogę widzieć cię z...

Kiedy zmagął się z wypowiedzeniem tego, czego żadne z nas nie chciało usłyszeć, uzmysłowiłam sobie trzy rzeczy. Po pierwsze, Simon wywnioskował, że zaplanowałam romantyczną randkę bez jego udziału. Po drugie, uczucie, jakim mnie darzył, wciąż jeszcze nie minęło - przynajmniej nie całkiem, skoro dziewięć miesięcy po tym, jak był świadkiem mojego pocałunku z Parkerem Kingiem, gwiazdą piłki wodnej z liceum Hawthornea, nie mógł widzieć mnie z innym.

Po trzecie natomiast, zmarnuję tę szansę, jeśli jakoś nie zareaguję, i to szybko.

- Zrobiłam to z myślą o tobie - wypaliłam. - Miałam nadzieję, że przyjdiesz.

Przeniósł wzrok ze stolika na mnie. Otworzyłam klapkę telefonu i przytrzymałam tak, by widział ekran, na którym wciąż widniała pusta wiadomość, nad którą ślęczałam. W białym polu u góry wyświetlał się jego numer.

- Próbowałam coś wymyślić, żeby cię zaprosić, nie robiąc tego wprost. Bo sądziłam, że jeśli zaproponuję to otwarcie, nie zechcesz przyjść. - Zatrzasnęłam klapkę telefonu i opuściłam wzrok. - A ja po prostu... bardzo chciałam się z tobą zobaczyć.

Nie odpowiedział, ale też nie wyszedł. Zachęcona, mówiłam dalej.

- Nasz nowy dom stoi nad brzegiem oceanu. Moja sypialnia jest tak blisko wody, że kiedy wiatr się wzmaga, bryza sięga okien. - Zamilkłam na chwilę i bawiłam się telefonem.

- Wsłuchuję się w fale i potrafię rozróżnić, kiedy jest przyływ, a kiedy odpływ. Woda

wzbiera i ustępuje powoli. Stopniowo. Zupełnie inaczej niż ubiegłego lata.

Simon trwał w kompletnym bezruchu. Uniosłam wzrok na jego klatkę piersiową; ani drgnęła.

- Każdej nocy, kiedy leżę w łóżku, wsłuchując się w szum wody, myślę o tym, jak dobrze byłoby siedzieć nad brzegiem oceanu, na piasku... razem z tobą. Gdy świeci słońce, a fale przychodzą i odchodzą właśnie w takim rytmie, w jakim powinny. Po prostu być razem, jak dawniej, zanim sprawy tak bardzo się skomplikowały.

Przestałam mówić, czekałam. Tyle tylko mogłam powiedzieć. Cokolwiek jeszcze byłoby jak chwycenie go za ramię i wciągnięcie do środka.

- Nie cofniemy tego, co się stało - powiedział cicho po chwili. - Zbyt wiele się zdarzyło.

- Wiem. - Ledwie zdawałam sobie sprawę z pulsu dudniącego w moich uszach. - Ale nadal możemy patrzeć w przyszłość.

Spojrzał na mnie. Oparłam się o drzwi, żeby nie przylgnąć do niego.

- Jak przyjaciele? - podsunął.

Puls w uszach ustał.

- Tak. Oczywiście. Jak przyjaciele.

Złączył wargi, posyłając mi przelotny uśmiech.

- Czyżbym czuł zapach pieczywa czosnkowego? - zapytał.

Weszłam do kuchni i otworzyłam drzwi tak szeroko, jak tylko się dało. Kiedy bez dalszego wahania wszedł do środka, do oczu napłynęły mi łzy szczęścia, ale zanim zauważył, szybko rozproszyłam je mruganiem.

Wcześniej zamówiłam kolację we włoskiej restauracji w miasteczku i wstawiłam jedzenie do piekarnika, żeby nie wystygło. Zamiast naczyń, które przywiozłam ze sobą, użyliśmy papierowych talerzyków znalezionych na górnej półce spizarki, a do papierowych kubeczków nalaliśmy wody, a nie wina, które zabrałam z domu na plażę. Zamiast siadać przy stole w kuchni, wyszliśmy na tyły domu i przycupnęliśmy na schodkach tarasu.

Jedną z rzeczy, które uwielbiałam w spędzaniu czasu z Simonem, było to, że mogliśmy być razem i wcale nie rozmawiać. Nieważne, co robiliśmy - mogliśmy iść w góry albo oglądać film czy siedzieć nad jeziorem i dosłownie nie mówić nic godzinami. Cisza między nami nigdy nie była krępująca, przykra.

Tego wieczoru jednak rozmawialiśmy. O moim ostatnim semestrze w szkole. O jego zajęciach w Bates. O Dartmouth.

O jego rodzicach. O moich rodzicach. O Calebie. O Paige.

O muzyce. O filmach. O przewadze przekładni nad automatyczną skrzynią biegów i innych samochodowych sprawach. Jedyne tematy, których unikaliśmy, to te mogące nam przypomnieć, dlaczego mieliśmy tak wiele do nadrobienia. Ale mnie to nie przeszkadzało. Spędziłam wystarczająco dużo czasu na odtwarzaniu w myślach momentu, w którym przestałam całować Parkera i zobaczyłam odjeżdżające subaru Simona. A także chwili, kiedy Simon zakomunikował mi, że potrzebuje czasu na zrozumienie, jak się czuje z tym, kim naprawdę jestem, oraz kilku innych momentów, w których wszystko poszło nie tak, jak powinno. W tej chwili chciałam tylko rozmawiać o błahostkach i mieć nadzieję, że może pewnego dnia wszystko znów będzie jak dawniej.

I odniosłam wrażenie, że nie tylko ja tego chcę. Bo kiedy dwie godziny później wreszcie przyznałam, że zmarłam, i zapytałam, czy nie zechciałby wejść do środka - co odkładałam z obawy, że Simon zdecyduje się już wracać do domu - bez wahania przystał na moją propozycję.

Przeniesienie się pod dach zakłóciło nieco przebieg rozmowy, ale nie do tego stopnia, byśmy poczuli się skrępowani. Milczeliśmy, sprzątając razem z kuchennego stołu, polerując go do połysku, by wyglądał, jakby nas tu nigdy nie było, a potem idąc do salonu. Milczenie nie wprawiało mnie w zakłopotanie, dopóki nie usiedliśmy na dwóch końcach kanapy. Wtedy dopiero poczułam niepokój, i to nie było naturalne - zupełnie jak fizyczna odległość między nami.

- Teraz lepiej? - zapytał po chwili.

- Lepiej?

- Czy już ci cieplej?

- Ach, tak. Znacznie cieplej. Dziękuję.

Pokiwał głową, po czym rozejrzał się po pokoju. Wykorzystałam okazję, żeby przyjrzeć mu się w taki sposób, o jakim marzyłam od miesiący. Miał na sobie ciemne dżinsy, szarą sportową bluzę na zamek i schodzone nike. Jego ciemne włosy były nieco dłuższe niż zwykle i kręciły się nieznacznie ponad koniuszkami uszu, zawijały nad zapiętą bluzą. Górną wargę i brodę wciąż pokrywał lekki zarost, ale był starannie przystrzyżony. Simon sprawił sobie nowe okulary bez oprawek, które podkreślały jego oczy.

Wyglądał inaczej. Doroślej.

Nawet lepiej, niż go zapamiętałam.

- To takie dziwne - powiedział.

Serce załomotało mi w piersi.

- Co takiego?

- Ze twoi rodzice sprzedają ten dom.

Serce się uspokoiło.

- No wiesz, nikt inny poza wami nigdy tu nie mieszkał.

- Skrzyżował ramiona na piersi i oparł głowę na zagłówku kanapy. - Nie sądziłem, że to się kiedyś zmieni.

Rozejrzałam się po salonie. Zawiesiłam wzrok na kraciastych zasłonach, potem na kamiennym kominku i drewnianych kaczkach stojących na jego gzymsie. Na przedmiotach, które po sobie zostawiliśmy, by potencjalni kupcy mogli poczuć prawdziwy klimat domku nad jeziorem.

- Ani ja - przyznałam. - Ale rodzice najwyraźniej uznali, że tak będzie prościej. Wrócić tu, a mimo to ruszyć z miejsca.

Przez krótką chwilę oboje milczeliśmy. Potem Simon powiedział tak cicho, że ledwie dosłyszałam:

- Jeśli nie widzisz czegoś każdego dnia, to wcale nie znaczy, że wymazujesz to z pamięci.

Głowę, nadal wspartą na oparciu kanapy, zwrócił w moją stronę. Opuściłam wzrok z obawy, że gdybym natrafiła na spojrzenie Simona, mogłabym powiedzieć albo zrobić coś niekontrolowanego. Ale przypominałam sobie, że nie ma znaczenia, co powiem czy zrobię, bo - zdaniem Charlotte

- moje zdolności nie działają na Simona; zakochał się we mnie, zanim przeszłam całkowitą transformację, więc wszelkie uczucia, jakie do mnie żywił, i dobre, i złe, były autentyczne.

A to znaczyło, że wybór wciąż należy do niego.

Wstał. Założyłam, że chce wyjść, zanim wkroczymy na niebezpieczne terytorium, więc ja także wstałam. Nie podnosząc wzroku, ruszyłam do kuchni, żeby odprowadzić go do wyjścia.

W ostatniej chwili zatrzymałam się, ledwie na niego nie wpadając.

- Przepraszam - wyjąkałam.

Czekałam, aż ruszy przodem, a kiedy tego nie zrobił, odstąpiłam na bok. Niemal upadłam, kiedy jego palce otarły się o mój nadgarstek.

- Simon...

- Wiem. - Przesunął palcami po mojej skórze, jego kciuk przez chwilę lekko badał mój puls. - Wiem, co mówiłem. Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu... chciałbym tylko coś sprawdzić.

Nie miałam pojęcia, co to miało oznaczać. Jego głos, choć cichy, był opanowany. Zdecydowany. Do tego stopnia, że oparłam się chęci, by odwieść go od tego, co zamierzał. Miałam nadzieję, że później nie będzie tego żałował.

Stałam całkowicie nieruchomo, kiedy zbliżał się do mnie, i wpatrywałam się wprost przed siebie, w zamek jego bluzy. Mój oddech przyspieszył. Wkrótce Simon był już tak blisko, że widziałam wyraźnie każdy ścieg szwu biegnący po obu stronach taśmy zamka, każdy maleńki srebrny ząbek.

Czułam też jego zapach - mieszaninę mydła i soli, pozostałość po całym dniu pracy poza domem. Czułam bijące od niego ciepło. Jego delikatny oddech na moim czole.

Jego ramiona obejmujące mnie w pasie.

Zamknęłam oczy i przygotowałam się na nagły zastrzyk energii... ale nie nadszedł. Zamiast zyskiwać na sile, całe moje ciało zdawało się słabnąć, wiotczeć.

Jego ramiona zacisnęły się wokół mnie. Uniosłam ręce i złożyłam dłonie na piersi Simona. Czując, jak jego serce przyspiesza, zarzuciłam ramiona wyżej, wokół jego szyi. Czując lekki napór na plecach, podeszłam bliżej, aż nasze ciała się zetknęły. Kiedy zadrżał, spróbowałam się odsunąć, ale mnie nie puścił.

Wsparliśmy się jedno o drugie, jego broda spoczęła na czubku mojej głowy, mój policzek na jego piersi. Myślałam, że o to chodziło, że to właśnie chciał sprawdzić - choć nadal nie byłam pewna, co to dokładnie było - ale wtedy poruszył się znowu. Uniósł brodę. Zadarłam głowę, a jego oddech z wolna powędrował w dół po moim uchu, aż do twarzy.

Nie zrobiłaś nic złego... To się dzieje, bo on tego chce...

- Vanesso - wyszeptał, zbliżając wargi do moich warg. - Ja...

Urwał i odepchnął mnie, przytrzymując obie ręce wyprostowane na moich barkach, jak na wypadek, gdybym zamierzała do niego doskoczyć. Co wcale nie było wykluczone, bo z chwilą, gdy nasze ciała się rozłączyły, każdym skrawkiem skóry rwałam się, by to zrobić.

- Co się stało? - zapytałam. - Czy coś nie tak?

Potrząsnął głową i spojrział w stronę okna w salonie. Przez to, że w środku było jasno, a na zewnątrz panował mrok, nie mogłam dostrzec nic poza naszymi odbiciami.

- Chyba coś słyszałem - powiedział po chwili. - Przepraszam.

- Nic się nie stało. - Staliśmy tak jeszcze przez kilka sekund: jego ręce na moich barkach, moje na jego ramionach. Nie słyszałam nic poza odgłosem świerszczy i szelestem liści. Zapytałam cicho: - Może sobie to tylko wyobraziłeś? Żeby powstrzymać się przed zrobieniem tego, czego nie byłeś pewien, czy chcesz zrobić?

Spojrział na mnie, po czym posłał mi przelotny uśmiech. Jego dłonie spoczywały na



moich biodrach, a moje sięgały do jego szyi. Wtedy pokój zalało jaskrawe światło.

Zamarłam w bezruchu.

- Co to było? Wyglądało jak...

Błyskawica. To właśnie zamierzałam powiedzieć, ale wtedy nastąpił kolejny błysk. A po nim jeszcze jeden, i następny. Oślepiające błyski następowały po sobie tak szybko, że kiedy ustały, przez kilka sekund nie widziałam nic. Jednak gdy tylko odzyskałam zdolność widzenia, zorientowałam się, że w pokoju jestem sama, a tylne drzwi są otwarte na oścież.

- Simon? - Wybiegając na dwór, pacnęłam wyłącznik światła. Taras i część podwórza zalała przyćmiona żółta poświata. Było pusto. Spojrzałam na jezioro, potem na niebo. Tafla wody była niezmacona, spokojna. Migotała w blasku półksiężyca, który lśnił na przejrzystym, bezchmurnym niebie.

Cokolwiek przed chwilą widzieliśmy, nie były to błyskawice. Usiłowałam zachować spokój, gdy nagle zdałam sobie sprawę, że robię coś, czego nie robiłam, odkąd Simon i ja zostaliśmy uwięzieni na dnie tego tu jeziora dziewięć miesięcy wcześniej.

Nasłuchiwałam. Rainy. Zary. Innych syren, które w obliczu śmierci były im posłuszne tak samo jak za życia. Wyobraziłam sobie, jak pływają, roją się wokół nas; ich kończyny są wiotkie, a srebrzyste oczy puste.

Jednak w mojej głowie panowała cisza. Nie było czego nasłuchiwać.

A wtedy rozległy się kroki. Przyciszone, nagłe głosy dobiegające z zachodniej części domu. Rzuciłam się w tamtym kierunku, świadoma, że mogą należeć do każdego - intruzów, włamywaczy, rybaków, których spotkałam tamtego wieczoru - i że nie mam nic, czym w razie konieczności mogłabym się obronić.

Ale było mi wszystko jedno. Myślałam tylko o tym, by odnaleźć Simona.

Przemknęłam po trawie, uważając, by pozostać w cieniu. Zakradłam się wzdłuż bocznej krawędzi drugiego końca tarasu i wyjrzałam za róg domu. Ujrawszy dwie sylwetki biegnące w stronę podjazdu, ruszyłam za nimi, ale... powierzchnia podwórka od tej strony domu szła w górę. A moje ciało najwyraźniej się odwadniało, bo z każdą chwilą mięśnie traciły sprężystość. Wciąż jeszcze byłam kilka kroków od miejsca, w którym trawnik wyrównywał się, kiedy poczułam, że muszę przykucnąć, by złapać oddech.

Rozległ się odgłos uruchamianego silnika. Nad moją głową rozbłysło światło reflektorów.

Czyjaś dłoń zacisnęła się na moich ustach, a ramię otoczyło brzuch.

Z całych sił napałam na obie ręce, gdy nagle poczułam szarpnięcie w tył, w stronę tarasu. Wyrывая się, tylko słabłam.

- Vanesso - przy uchu usłyszałam znajomy szept. - To ja.

Moje ciało ustąpiło. Simon trzymał mnie blisko przy sobie, kiedy światła reflektorów przecięły podwórze. Silnik warknął, a opony zazgrzytały na żwirze. Samochód, którego nie mogliśmy dostrzec, pomknął w górę podjazdu, na drogę i dalej, w kierunku miasteczka.

- Kto to był? - zapytałam, kiedy wreszcie mnie puścił.

- Nie wiem. Ale zostawili to.

Coś kwadratowego jaśniało w ciemnościach. Pośrodku widniała podobizna pary. Kochankowie przywarli do siebie w oczekiwaniu pocałunku, jakby potrzebowali go niczym ludzie tlenu.

Kwadracik był ekranem aparatu cyfrowego.

A parą na zdjęciu - Simon i ja. widniała podobizna pary. Kochankowie przywarli do siebie w oczekiwaniu pocałunku, jakby potrzebowali go niczym ludzie tlenu.

Kwadracik był ekranem aparatu cyfrowego.

A parą na zdjęciu - Simon i ja.

- To pewne, że znów się zejdziecie.

Wręczyłam Paige plik fioletowych kartek.

- Dotarło do ciebie cokolwiek innego z mojej opowieści?

- Coś o ludziach, którzy was szpiegowali? I o zdjęciach zrobionych przez psycho-prześladowcę? I o samochodzie, który wydarł z twojego podjazdu, jakby pod maską miał silnik odrzutowy? - Sięgnęła po obitą w skórę kartę dań ze stosu piętrzącego się przed nią i otworzyła ją. - Jasne. Jak mogłoby nie dotrzeć, skoro wszystko to doprowadziło do najważniejszego zdarzenia całego wieczoru?

- Kiedy Simon odeskortował mnie do domu?

Potrząsnęła przecząco głową.

- To było miłe, ale miałam na myśli moment, w którym zaproponował, żebyś została na noc. Razem z nim.

- To nie była propozycja - uściśliłam. - Nie tego rodzaju. Było późno. Czułam się trochę roztrzęsiona. On zaoferował mi nocleg w pokoju gościnnym w domu swoich rodziców, żebym nie musiała jechać sama do domu.

- Możliwe, że powiedział „pokój gościnny”, ale miał na myśli swój własny. Idę o zakład, że tam właśnie byś wylądowała po tych wszystkich wspólnie spędzonych godzinach serdecznej pogawędki. Zasnęlibyście - albo zajęli się czymkolwiek innym - razem. - Wzruszyła ramionami. - Ja to wiem, ty to wiesz i Simon na pewno o tym wiedział.

Mówiła z pełnym przekonaniem, mimo że pominęłam niektóre z bardzo ważnych szczegółów tego, co zaszło między Simonem a mną, zanim błyski flesza rozświetliły salon - łącznie z tym, jak niewiele dzieliło nas od pocałunku. Przez ten przykry incydent nie miałam dość czasu ani wystarczającej przytomności umysłu, żeby próbować zrozumieć, co to oznaczało; tym bardziej nie czułam się gotowa, by dzielić się tym z przyjaciółką. To, że Simon niczego mi nie wyjaśnił, wcale nie pomagało; po odjeździe samochodu, jeszcze zanim odeskortował mnie do domu na plaży, jego mózg automatycznie przełączył się na tryb analityczny. Nie wspomniał ani słowem o tym, co się prawie stało.

Jedynym świadectwem, że kompletnie nie wymazał tego z pamięci, było to, co zrobił, kiedy dotarliśmy do bramy.

Wysiadł ze swojego wozu, żeby się pożegnać. Kiedy podszedł do jeepa, odwróciłam się - chciałam wyłączyć radio. To trwało zaledwie ułamek sekundy, ale wystarczyło, by zdążył nachylić się przez otwartą szybę, odsunąć moje włosy z ucha i wyszeptać cztery słowa.

Zobaczyłem, co chciałem zobaczyć.

A potem odjechał.

- Czy możemy przez chwilę skupić się na części o psychopatycznych prześladowcach?  
- zaproponowałam. - Proszę.

Zamknęła kartę dań i rozejrzała się po sali jadalnej, by mieć pewność, że troje gości, którzy zawitali na późne śniadanie, nie słucha naszej rozmowy. Kiedy odwróciła się znowu, wesołego ognika w jej niebieskich oczach już nie było.

- Przepraszam - odparła cicho. - Niczego bardziej dla ciebie nie pragnę niż tego, byś znów zeszła się ze swoim ukochanym... ale chciałabym też wierzyć, że tegoroczne lato będzie po prostu normalne. Rozmawianie o psychopatycznych prześladowcach trochę to utrudnia.

- Rozumiem. Uwierz mi, że to prawda.

Złożyła skrzyżowane ręce na stosie fioletowych kartek i pochyliła się ku mnie.

- Były tam inne zdjęcia? Poza tymi, które zrobiono tamtej nocy?

- Tak. Na szczęście nas na nich nie było, ale nikogo innego też nie. To po prostu kilka zwykłych widoczków: plaża, leśne szlaki, skały. Gdyby nie zdjęcia z poprzedniej nocy, aparat mógłby należeć do każdego z setek turystów odwiedzających Winter Harbor.

- Myślisz, że należy do tych, których widziałaś kilka tygodni temu? W dniu wystawienia domu na sprzedaż?

- Możliwe. To chyba najsensowniejsze wyjaśnienie. Ale jeżeli tak, po co zakradaliby się tam tak późno w nocy, skoro w domu zwykle nikogo nie ma?

Paige otworzyła usta, ale zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, na naszym stoliku pojawił się dzbanek z kawą.

- Wyglądacie mi na ciężko zapracowane - powiedziała Natalie, ustawiając przed nami dwa kubki i cukierniczkę. - Choć pewnie przydałoby wam się nieco dodatkowego paliwa, żeby rozniecić ten zapal.

- Dziękujemy. - Paige uśmiechnęła się szeroko i wyprostowała na krześle, wyraźnie wdzięczna za zmianę tematu. - Jesteś genialna. Czyż ona nie jest genialna?

Biorąc pod uwagę, jak krótko znałyśmy Natalie, pomyślałam, że to zbyt wygórowana ocena. Ale szybko stwierdziłam, że znów daje o sobie znać uporczywa paranoja, która zagościła w moich myślach po naszym pierwszym spotkaniu, a także nowa, zupełnie nieuzasadniona obawa, że przed chwilą Natalie przysłuchiwała się naszej rozmowie. Spróbowałam odsunąć od siebie wszelkie wątpliwości.

- Nie da się ukryć, że dziewczyna ma niezłe wyczucie czasu.

- Uśmiechnęłam się, kiedy Natalie napełniała mój kubek kawą.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Więc nad czym dziś debatujemy? Nad kaflami w kuchni? Gzymsami przysufitowymi? Miedzianą armaturą łazienkową?

Paige przechyliła głowę na bok.

- Miedzianą, mówisz. Hm. O tym nie pomyślałam. Uniosłam skórzane menu.

- Nad nowymi kartami dań.

- A co wam się nie podoba w starych? - zapytała Natalie.

- Właśnie to - odparła Paige. - Są stare. A ściślej rzecz biorąc, prastare. I zrobione z zalaminowanego kartonu, który dawniej był czerwony, ale jakies pięćdziesiąt lat temu wyblakł i stał się szary.

- A czy od tamtej pory menu choć trochę się zmieniło? - dopytywała się Natalie.

- Same potrawy nie - wyjaśniła Paige - tylko ich nazwy. Natalie zerknęła na kartkę, którą Paige podsunęła jej pod nos.

- Dlaczego?

- Z tego samego powodu, dla którego zmieniliśmy kolor ścian. Aby tchnąć nowe życie w to miejsce i przyciągnąć nowych klientów.

Natalie pokiwała głową. Z namysłem.

- O co chodzi? - zapytała Paige.

- O nic. Nowe życie to zawsze coś dobrego.

Patrzyłam, jak Paige opuszcza wzrok na menu, wydyma usta.

- Chodzi o to... - podjęła Natalie. - Nie sądzę, żeby fioletowy papier coś zmienił.

- Różowy byłby lepszy? - podsunęła Paige.

- Choćbyś użyła wszystkich kolorów tęczy, to nie będzie miało znaczenia. Ludzi nie obchodzi, jak wygląda menu.

W pewnym stopniu zgadzałam się z nią, ale widząc, jak twarz Paige natychmiast smutnieje, musiałam się wtrącić:

- Nawet jeżeli ich nie obchodzi, to zacznij, gdy tylko zobaczą, jak śliczne są nasze nowe karty.

- Być może - powiedziała Natalie. - Ale szczerze wątpię.

- Co sugerujesz? - zapytałam. - Pracowałaś już w restauracji, prawda? Jak tam szedł interes?

- Tak dobrze, że ludzie ustawiali się w kolejkach już o piętnastej i czekali do siedemnastej, aż zaczniemy serwować obiad.

- Spojrzała na Paige, która wpatrywała się w ziarenka cukru lecące ciurkiem z

cukiernicy do kubka z kawą. - Ale to było zupełnie inne miejsce.

Czekałam, aż Paige zareaguje. Albo przynajmniej podniesie wzrok.

- Z chęcią wysłuchałybyśmy paru wskazówek, prawda?

- rzuciłam, kiedy nic takiego się nie stało. Paige, sącząc kawę, posłała mi wymuszony uśmiech.

- Jasne.

- Wiecie co? Przepraszam. Zapomnijcie, że cokolwiek mówiłam. - Natalie zaczęła się wycofywać. - To nie moja sprawa, a zresztą... jestem tu tylko kelnerką. Co ja mogę wiedzieć?

Zdawało się, że to zmiękczyło Paige, która wreszcie odwróciła wzrok od kubka.

- Pewnie tyle, co i my. Jeżeli znasz jakieś sekrety sukcesu restauracji, z przyjemnością o nich usłyszę.

Natalie obejrzała się za siebie, a kiedy uznała, że jej klienci wyglądają na zadowolonych, pospiesznie osunęła się na puste krzesło.

- To miejsce nazywało się „U Górala” i było zwykłą spelunką - zaczęła cichym, lecz podnieconym głosem. - Prawdziwa dziura i podupadła rudera, którą większość ludzi wołałaby omijać z daleka.

- Czy przynajmniej okolica była ładna? - zapytała Paige.

- Miejscowi przedsiębiorcy od zawsze twierdzą, że mamy najlepszą lokalizację w mieście: niedaleko centrum i nad samym oceanem.

- To była najgorsza dzielnica miasta. W pobliżu nie było ani wody, ani żadnej uczelni, ani żadnego innego miejsca, które ludzie mieliby z jakiegoś powodu regularnie odwiedzać. Największą okoliczną atrakcją była pralnia samoobsługowa, która nocą przemieniała się w nielegalny dom gry.

- Brzmi cudownie. - Paige posłała mi wymowne spojrzenie.

- To było okropne miejsce. Rodzice nigdy nie pozwoliliby mi tam pracować, gdyby nie to, że znali właściciela i że napiwki były niesamowite. A uwierzcie, że były. Każdego wieczoru bez wyjątku. - Sięgnęła do kieszeni szortów i wyciągnęła wyświechtany kartonik. - To było nasze menu.

- Wygląda jak podkładka pod kufel - powiedziała Paige.

- Bo to jest podkładka pod kufel, pozalowana piwem i poplamiona pikantnym sosem. - Natalie obróciła kartonik i przytrzymała go przed naszymi oczami. - Noszę je ze sobą wszędzie. Jestem troszkę sentymentalna.

- Poniedziałek: żeberka - przeczytałam, mrużąc oczy, by odcyfrować niechlujne pismo. - Wtorek: skrzydełka. Środa: pałki kurczaka.

- Jedzenie barowe? - zdziwiła się Paige. - I tylko jedno danie dziennie?

- To wystarczyło. Raz na jakiś czas właściciel zmieniał kolejność dań serwowanych w poszczególne dni, ale same potrawy - przez te pięć lat, kiedy tam pracowałam - nie zmieniły się ani razu.

- W takim razie musieli serwować naprawdę rewelacyjny jedzenie - zawyrokowałam.

- Nie było najgorsze... ale równie smaczne, o ile nie smaczniejsze, można było dostać w dziesięciu innych znacznie ładniejszych lokalach w mieście.

- To dlaczego ta knajpa cieszyła się takim powodzeniem?

- Paige wzięła od Natalie kartonik ze spisem dań i przyjrzała się mu uważnie, jakby w plamach miały się kryć tajemne wskazówki. - Co skłaniało gości, żeby czekali dwie godziny na wejście do środka?

Natalie zrobiła efektowną pauzę.

- Rozrywka.

- Masz na myśli zespół muzyczny? - podsunęła Paige.

- Niekoniecznie.

Paige zmarszczyła brwi, które po chwili się uniosły.

- Ach, tak. Tego rodzaju rozrywka. Takie rzeczy to nie u nas. Babcia Betty może nie jest już tak zaangażowana jak dawniej, ale to nadal jej restauracja. Coś takiego przyprawiłoby ją o zawał serca.

Natalie dopiero po chwili pojęła, co właściwie Paige ma na myśli. Kiedy to do niej dotarło, roześmiała się.

- Gdyby oferowali rozrywkę dla dorosłych, mój ojciec dawno umarłby ze wstydu. A Will był tak słodki, że...

Urwała. Jej dłoń powędrowała w górę, a palce musnęły okrągły kształt odznaczający się pod bluzką.

- Tam, gdzie mieszkam, jest pewna popularna knajpka - zareagowałam szybko - w której karaoke trwa dwadzieścia cztery godziny na dobę. Czy „U Górala” było coś w tym rodzaju?

Dłoń Natalie opadła. Dziewczyna ciągnęła:

- Oficjalnie to nie, chociaż stali bywalcy często zaczynali śpiewać, gdy posiedzieli dłużej.

- W takim razie jeżeli ta rozrywka nie ma nic wspólnego z muzyką - wtrąciła Paige - to z czym?

Natalie uśmiechnęła się szeroko.

- Z łowieniem ryb spod lodu.

Paige spojrzała na nią.

- Nie rozumiem.

- W północnym Vermoncie żyje niewielka społeczność rybaków bardzo poważnie traktujących wędkarstwo pod lodowe. Gdy raz do roku jeziora zamarzają, spędzają na nich całe dnie, wycinają otwory w lodzie, zapuszczają wędziska i czekają, aż coś weźmie. To sport, w którym człowiek jest odizolowany. Dlatego po długich godzinach spędzonych w samotności rybacy kierują się do Burlington, żeby się ogrzać i побыć wśród ludzi.

- Taaa... - Paige pokiwała głową. - Dalej nic nie kapuję.

- Osiem lat temu, kiedy przy dobrych wiatrach do „Górala” zaglądał tuzin klientów dziennie, pewien gość, Tuck Hallerton, zatrzymał się tam na drinka po długim dniu wędkowania. Temperatura na dworze była tak niska, że nie zawracał sobie głowy ładowaniem złowionych ryb do chłodziarki; po prostu napełnił pakę furgonetki śniegiem i tam zostawił złowione sztuki. Zaparkował na chodniku po drugiej stronie ulicy. Tymczasem okazy pozostawione na pace zwróciły uwagę kilku stałych bywalców baru.

- Dlatego, że nigdy nie widzieli ryb przechowywanych w ten sposób? - zapytałam.

- Dlatego, że nigdy nie widzieli tak ogromnych ryb, a już na pewno nie w środku zimy. - Natalie obejrzała się za siebie. Stwierdziwszy, że jej goście wciąż jeszcze siedzą przy stolikach, znów obróciła się do nas. - Podobno były olbrzymie: wielkości rekina. Tego wieczoru ludzie wypytywali Tucka, gdzie je złowił, a on odparł, że to pozostanie między nim a jego rybami. Ponad dwudziestu miejscowych - głównie mężczyzn - było pod tak silnym wrażeniem, że opowiedziało o tym swoim znajomym, którzy powtórzyli to swoim znajomym. Nikt nigdy wcześniej nie słyszał o żadnym Tucku, ale historia tajemniczego wędkarza, któremu udało się złowić sztuki, o jakich inni mogli tylko pomarzyć, tak bardzo ich zaciekawiła, że zaczęli przychodzić do baru co wieczór - w nadziei, że Tuck zjawi się znowu ze swoimi monstrualnymi stworzeniami z głębin. I rzeczywiście, od czasu do czasu się zjawiał, więc przychodzili i oni.

Zerknęłam na Paige. Wzmianka o monstrualnych stworzeniach z głębin i dla niej musiała być wtargnięciem na niebezpieczne wody.

- Powróćmy do terazniejszości - zaproponowała jak gdyby nigdy nic. - Jakim cudem furgonetka pełna ryb doprowadziła do takiego rozkwitu interesu?

- Wystarczyło, że ludzie zaczęli gadać. Wkrótce do lokalu zagląдали nowi rybacy, żeby się przekonać, jak ich połów wypada na tle innych. Wtedy co bardziej ciekawscy stali bywalcy zaczęli przychodzić częściej, żeby obejrzyć połowy tych nowych i pochwalić się



swoimi okazami. Do dzisiaj każdego wieczoru „U Górala” odbywa się konkurs, w którym wygrywa wędkarz z największą albo najdziwniejszą złowioną danego dnia rybą.

- Natalie poklepała stosik fioletowych kartek. - Marketing szeptany to najlepsza reklama dla każdego biznesu. I przykro mi to stwierdzić, ale nikt nie będzie mówił o nowych ślicznych kartach dań w Restauracji Rybnej „U Betty”.

- No dobrze - przyznała Paige - ale będą mówili o jedzeniu. Zawsze tak było, a dania, które serwujemy, się nie zmieniły.

- A klientela? - Natalie nie dawała za wygraną.

- Jest mniej liczna, to fakt. Ale to przez menu, remonty i wszystko inne.

- Dobrze, zostawmy liczby. - Natalie wskazała skinieniem na starszą parę przy pobliskim stoliku. - Czy ludzie, którzy tu przychodzą na śniadanie, wrócą z przyjaciółmi?

Paige rozważała to, przyglądając się parze.

- Być może.

- A co z latem? - zapytałam. - Kiedy jeziora nie zamarzają. Co sprawia, że ludzie wracają do „Górala” latem?

- Dobra reputacja. - Natalie wstała. - Bo od tamtej zimy lokal cieszy się renomą. I choć niewielu było świadkami wydarzeń, które to miejsce rozślawiły, każdy chce zobaczyć, gdzie zdarzyły się te dziwaczne rzeczy, o których swojego czasu tak wiele się mówiło. Bo każdy, choćby w niewielkim stopniu, chce stać się częścią tego doświadczenia.

Po tych słowach Natalie odeszła, żeby sprawdzić, czy para przy stoliku niczego nie potrzebuje. Wtedy spojrzałam na Paige.

- To brzmi jak historia pubu Buli & Finch.

- Gdzie wszyscy znają się z imienia?

- Gdzie wszyscy znali się z imienia, dopóki nie rozeszła się fama, że posłużył za inspirację dla baru w starym serialu telewizyjnym Zdrówko. A teraz jest jedną z atrakcji turystycznych Bostonu.

- Tylko bez dziwnych ryb.

- Ale z reputacją, o jakiej mówi Natalie. Twarzy znanych z ekranu nigdy tam nie uświadczysz, a mimo to ludzie ustawiają się w kolejce, która wychodzi aż na chodnik.

Paige westchnęła.

- Restauracja Rybna „U Betty” ma dobrą reputację. Jest tutaj od ponad pięćdziesięciu lat. Pisano o niej w dziesiątkach magazynów podróżniczych. Ludzie powinni już o niej wiedzieć i przyjeżdżać do Winter Harbor tylko po to, by posmakować naszej słynnej zupy rybnej.

- Ale nie przyjeżdżają - powiedziałam cicho.

- Może panuje chwilowy zastój. Jeżeli to przetrwamy, może wszystko ostatecznie wróci do normy. - Głos miała wesoły, ale z każdym słowem na jej twarzy malowało się coraz silniejsze zaniepokojenie.

- Sama w to nie wierzysz, co? - zapytałam.

- To jest prawdopodobne. Dobrze wiemy, że działy się dziwniejsze rzeczy. - Próbowała się zaśmiać. - Chodzi o to... Pamiętasz tę szkołę zarządzania w branży restauracyjnej, o której czytałam? Tę w San Francisco?

Skinęłam głową. Zanim Paige podjęła decyzję o powrocie do rodzinnego miasta, przez ostatni semestr każdego wieczoru godzinami ślęczała przed komputerem, wertując oferty kursów policealnych.

- Wszystko sobie przemyślałam i bardzo bym chciała się zapisać...

- To wspaniale!

- No tak. Dzięki. Problem w tym, że kurs jest bardzo drogi. A po opłaceniu ostatniego roku w Hawthorne, przywróceniu domu do stanu używalności po tym, jak Oliver zdemolował go ubiegłej jesieni, i wyłożeniu masy forsy na remont restauracji sakiwka babci Betty zrobiła się lekka jak piórko. Wciąż mi powtarza, że możemy sobie na to pozwolić, ale jeżeli ruch przez resztę lata będzie tak marny jak w ciągu tych ostatnich tygodni... czekają nas kłopoty.

Przez moment przed oczami stanął mi obraz Olivera zgarbionego przy biurku w piwnicy domu Betty i Paige, wycinającego zdjęcia i artykuły z gazet, doglądającego kilkunastu syren - łącznie ze mną - zanurzonych pod wodą w prowizorycznych zbiornikach. Zbiorniki te sklecił na polecenie Rainy z porąbanych na kawałki mebli i uszczelnił fragmentami podartego dywanu. Nie byłam tam od powrotu do Winter Harbor, a Paige zapewniała, że kiedy odwiedzę ją przy następnej okazji, nie poznam tego miejsca.

Zamrugałam, żeby odpędzić obraz sprzed oczu, i - wyprzedzając wywołany stresem spadek energii - chwyciłam kubek z kawą.

- To co robimy? - zapytałam, dosypując do kawy łyżeczkę cukru.

Paige zamieniła podkładkę na notes.

- Skoro mieszkańcy Winter Harbor chcą rozrywki, damy im rozrywkę.

Kiedy Paige zabrała się do zapisywania pomysłów, ja sączyłam kawę. Zanotowałam w pamięci, żeby pochwalić Natalie za jej talent do parzenia tego napoju. Musiałam przyznać, że udało jej się uzyskać doskonale połączenie goryczki i słoności, przez co kawa smakowała tak wybornie, że po opróżnieniu pierwszego kubka nalałam sobie drugi.

Wypiłam już połowę, kiedy zdałam sobie sprawę, że coś jest nie tak. Wzięłam kolejny

łyk, żeby się upewnić, po czym chwyciłam łyżkę, zanurzyłam ją w cukierniczce i podsunęłam do ust.

Biały proszek w cukierniczce to nie był cukier.

To była sól.

Czując kołatanie serca i suchość w ustach, nachyliłam się przez stół i zapytałam przyciszonym głosem:

- Paige, chyba nie wspominałaś Natalie nic o...

Urwałam. Osunęłam się na oparcie.

- O czym nie wspominała? - Natalie niespodziewanie zmaterializowała się obok naszego stolika.

Myślałam błyskawicznie.

- O maszynie do lodu. W barze. Dźwignia się zacina, dlatego od czasu do czasu trzeba nią potrząsnąć, żeby zbiornik się nie przepełnił.

- Dobrze wiedzieć. - Natalie kiwnęła głową w stronę holu.

- Vanesso, ktoś przyszedł się z tobą zobaczyć.

Wyciągnęłam szyję, ale nie ujrzawszy nikogo, wstałam.

- Dzięki. Zaraz wracam.

Przemierzając jadalnię, spojrzałam na zegarek. Nie było nawet jedenastej, a to znaczyło, że Simon i Caleb nie mieli jeszcze przerwy. Czyżby Simon wyszedł wcześniej? Bo nie mógł się doczekać, kiedy mnie zobaczy?

Ta myśl natchnęła mnie takim szczęściem, że przyspieszyłam kroku. Kiedy w polu widzenia znalazła się lada recepcyjna, dotarło do mnie, że Simon nie jest jedyną osobą, która mogłaby chcieć złożyć mi niezapowiedzianą wizytę. Byli przecież jeszcze rybacy, których spotkałam w zeszłym tygodniu. Podglądacze, którzy podeszli do nas ubiegłej nocy. I jedni, i drudzy śledzili mnie do pewnego momentu, więc równie dobrze mogli dotrzeć za mną i tutaj.

Jest środek dnia, pomyślałam. To jest miejsce publiczne. Gdyby zamierzali sprawiać kłopoty, nie nachodziliby mnie tutaj, o takiej porze.

To był logiczny argument. A mimo to, zanim dotarłam do głównego wejścia, nogi tak bardzo mi drżały, że szukając oparcia, zaczęłam przechylać się w stronę ściany i... ..zanim uderzyłam w nią ramieniem, zostałam podtrzymana w pół kroku.

Nie przez Simona. Ani przez jednego z rybaków czy podglądaczy.

Tylko przez moją matkę. Charlotte Bleu.

- Co TY TU ROBISZ?

Charlotte trzymała mnie za ramię, dopóki nie złapałam równowagi i nie stanęłam

prosto. Dopiero wtedy zwolniła uścisk.

- Przepraszam, że cię zaskoczyłam. Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy cię tu zastanę.

Charlotte wiedziała, że czasem tu pracuję. I choć nie rozmawialiśmy ze sobą od miesięcy, ktoś musiał dostarczyć jej informacji albo... bez mojej wiedzy słuchała moich myśli. Przypomniawszy sobie o tym, za wszelką cenę spróbowałam je wyciszyć.

- Znajdziesz chwilkę, żeby porozmawiać? - zapytała.

Obróciłam się i wychyliłam, żeby zajrzeć na salę jadalną. Na moim miejscu przy stoliku siedziała teraz Natalie. Były z Paige pochłonięte rozmową.

- Tak - odparłam. - Ale nie tutaj.

Odstąpiła na bok, żebym mogła pójść przodem. Pragnąc jak najszybciej uzyskać prawdziwą odpowiedź na pytanie, które jej zadałam, popędziłam przez hol, w dół po schodkach ganku i wokół budynku. Zakładałam, że idzie za mną, ale kiedy wstąpiłam na pomost cumowniczy, a ten po chwili nie zakołysał się pod jej ciężarem, obróciłam się i zobaczyłam, że dzieli nas dystans kilkunastu metrów.

Gdy się zbliżała, moja głowa była tarczą, a myśli szturmującymi strzałami. Nie widziałam jej od ubiegłej jesieni, od dnia, kiedy uratowała Simona i mnie od Rainy, Zary i innych syren na dnie jeziora Kantaka. To właśnie wtedy powiedziała, że choć bardzo chciałyby widzieć swoją córkę codziennie i nadrobić siedemnaście straconych lat, charakter naszej relacji zależy całkowicie ode mnie. Jeżeli zechcę widywać się z nią tak często, jej drzwi stoją przede mną otworem. Jeżeli będę potrzebowała czasu, żeby sobie to poukładać i zaakceptować wszystko, co się stało, mam do tego pełne prawo. A gdybym uznała, że najlepiej będzie powrócić do sytuacji z czasów, kiedy nie wiedziałam o jej istnieniu i przypadkiem natknęłam się na nią w bostońskiej kawiarni, gdzie pracowała, też całkowicie to zrozumie. Zdawała sobie sprawę, że jej obecność byłaby kolejną wielką zmianą, do jakiej nie tylko ja, ale i moja rodzina musielibyśmy się przyzwyczaić; a mogłam przecież nie chcieć niczego więcej ponad to, by spróbować zapomnieć o zmianach, jakie nastąpiły w moim życiu w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Gdybym kiedykolwiek jej potrzebowała, była dostępna, ale jeżeli nie, dawała mi pełne prawo do życia bez niej.

Tamtego dnia wybrałam ostatnią opcję. Jakaś część mnie chciała wiedzieć wszystko o Charlotte, a tym samym o mnie samej, jednak większa część wolała udawać, że nigdy się nie spotkałyśmy. Nie wiedziałam, czy zdołam znieść jeszcze jakieś sekretne prawdy. Poza tym zawsze mogłam zmienić zdanie. Kilka razy zresztą byłam tego bliska, na przykład wtedy, gdy nie czułam się dobrze albo nie rozumiałam reakcji jakiegoś chłopaka ze szkoły, ale wtedy

patrzyłam, jak mama - kobieta, która mnie wychowała - przytula tatę. Albo jak tata całuje ją w czubek nosa. Albo oboje tańczą razem w kuchni. I powstrzymywałam się.

Gdybym tego nie robiła, pojawienie się Charlotte nie byłoby dla mnie teraz takim zaskoczeniem. Nie zdążyłam dobrze się jej przyjrzeć w holu restauracji, ale kiedy zbliżała się do mnie, krocząc w kierunku pomostu, nie było wątpliwości, że się zmieniła. Pół roku temu była wysoką, szczupłą kobietą o niebieskozielonych, pełnych blasku oczach. Jej ciemne włosy były długie i gęste, jasna skóra gładka, bez choćby jednej zmarszczki. Nie tylko wyglądała wspaniale, ale też tak się poruszała; nurkowała i pływała bez najmniejszego wysiłku, niczym młoda atletka u szczytu kariery.

Kobieta, która zbliżała się do mnie teraz, szła zgarbiona, lekko kulejąc. Spojrzenie miała jasne, ale powieki opuszczone. Jej skóra była wiotka i opadała miękkimi fałdami. Siwe pasma krótkich włosów zdecydowanie przeważały nad ciemnymi. Ubrana w ciemne dżinsy, długą kaszmirową narzutkę i srebrne skórzane sandaalki i tak nosiła się szykowniej niż niemal każda mieszkanka Winter Harbor, ale... biorąc pod uwagę to, czego ubiór nie mógł zakryć, wyglądała jednocześnie na kobietę, która przypuściła szturm na garderobę swojej córki.

Swojej córki. Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek oswoję się z faktem, że to ja nią jestem.

- Wiem, o czym myślisz - oznajmiła.

Kiedy wkraczała na pomost, podałam jej rękę. Chwyliła ją, a wtedy jej dłoń zadrżała.

- Oczywiście, że wiesz - odparłam.

Uśmiechnęła się i na krótką chwilę cała jej twarz pojaśniała.

- Nie tym sposobem. Obiecałam, że nie będę słuchać, i tego nie robiłam.

Próbowałam się do niej uśmiechnąć, ale wciąż tylko zastanawiałam się, czy mówić prawdę.

Teraz, stojąc na podeście obok mnie, najpierw uściśniła moją dłoń, a potem ją uwolniła.

- Myślisz o tym, że mnie nie wzywałaś. Nie próbowałaś się skontaktować, a jednak jestem, pomimo naszej umowy. Nie muszę słuchać, ja to widzę. Potrafię wyczytać to z każdego milimetra twojej twarzy.

- Po prostu mnie zaskoczyłaś - wyjaśniłam, czując ulgę, że tylko tyle podejrzewa. - Ale i tak cieszę się, że cię widzę. Minęło dużo czasu.

Odwróciła wzrok i ruszyła pomostem przed siebie.

- To prawda.

Ruszając za nią, obróciłam się, by spojrzeć na restaurację. Parking wciąż świecił

puszka. Na tarasie na piętrze siedziało dwoje pracowników; byli pochłonięci rozmową i nie zwracali na nas uwagi.

- Jak się miewasz? - zapytała.

Zastanowiłam się nad odpowiedzią. Jeżeli nie słuchała moich myśli, nie starała się wyłowić konkretnej odpowiedzi.

- Dobrze. W porządku. Zpracowana, ale mam się dobrze.

- To musiał być dla ciebie ciężki rok. Ostatni semestr szkoły średniej, egzaminy, składanie papierów na uniwersytety.

- Uniwersytet - poprawiłam. - Tylko jeden. Dartmouth.

- Ten sam, na którym miała studiować Justine.

Przez chwilę milczałam. Nie znała prawdy - że Justine nigdy nie złożyła papierów na studia i udawała tylko, że została przyjęta, niecierpliwie planując ucieczkę z Calebem.

Widocznie ojciec pominął pewne szczegóły w swoich ostatnich mailach.

- Zgadza się - potwierdziłam, bo to było łatwiejsze niż wyjaśnianie prawdy. - I zostałam przyjęta. Wyjeżdżam pod koniec sierpnia.

Wyciągnęła ramię, żeby mnie przytulić, ale po chwili najwyraźniej uznała, że to nie najlepszy pomysł, i zamiast tego splotła ręce za plecami.

- To cudownie - pochwaliła. - Gratuluję.

- Dziękuję.

Dotarliśmy do końca pomostu, skąd roztaczał się widok na całą przystań. Podobnie jak parking, była niemal zupełnie pusta. Ubiegłego lata w tym miejscu tłoczyły się motorówki, żaglówki, skutery wodne, kajaki, kanadyjki - w zasadzie wszystko, co unosi się na wodzie. Teraz była to przede wszystkim główna arteria dla łodzi rybackich, a wzmożenie ruchu następowało zwykle po południu, kiedy rybacy zaczynali wracać z połowów.

- Jak się czujesz? - zapytała cicho.

Zmęczona. Słaba. Spragniona. Nawet bardziej niż zwykle i znacznie dłużej.

- Świetnie. Nasz nowy dom leży nad samym oceanem, co bardzo pomaga. - Podniosłam na nią wzrok, nie poruszając głową. - Na pewno tata powiedział ci, że się przeprowadziliśmy.

- Na pewno by to zrobił, gdybyśmy nadal pozostawali w kontakcie. Ale ponieważ tak nie jest, nic o tym nie wiem.

Nasze spojrzenia się spotkały. Odwróciłam wzrok. Ich kontakt też był częścią umowy. Dawniej, kiedy powierzyła ojcu opiekę nade mną, pisali do siebie regularnie. Ale po naszym oficjalnym spotkaniu przestali. Bo skoro sama mogłam ją informować, co się dzieje w moim

życiu, zgodnie uznaliśmy, że nie ma powodów, by utrzymywali ze sobą kontakt. Zwłaszcza że wiadomość o sekretnej wieloletniej przyjaciółce korespondencyjnej taty - i to nieprzypadkowej kobiecie - musiała bardzo zboleć mamę.

- A jak ty się czujesz? - zapytałam po chwili. Nie z grzeczności. Naprawdę chciałam wiedzieć.

Od wody powiało chłodną bryzą. Otuliła się ciasno narzutką, a wtedy dostrzegłam zarys jej żeber.

- Vanesso - powiedziała cicho i z powagą - nie zamierzam zajmować ci wiele czasu.

Spojrzałam na nią.

- Przecież dopiero co przyszedłaś.

Musiała usłyszeć rozczarowanie w moim głosie, bo spoglądając na mnie, przechyliła głowę na bok i wyjaśniła:

- Zatrzymałam się w Winter Harbor przejazdem, w drodze do Montrealu. Jadę tam, żeby się z kimś spotkać...

- Z kobietami z rodu Nenufarów? - Z opowiadań Charlotte wiedziałam, że Nenufary to grupa potężnych syren, które na przestrzeni pokoleń zdobyły władzę i umiejętności, jakich brakowało innym syrenom. Charlotte i ja byłyśmy ich potomkiniami, i to dlatego tata nie zdołał oprzeć się sile jej uroku, chociaż był po uszy zakochany w mamie.

- Tak - odparła. - Mam parę spraw do załatwienia z kilkoma krewniaczkami.

- Sądziłam, że wiele lat temu przestałaś z nimi rozmawiać. Kiedy się stamtąd wyprowadziłaś i przenieśliś tutaj.

- To prawda. Ale tak jak nadszedł czas, by spotkać się z tobą, pora spotkać się i z nimi.

- Chcesz je widzieć, mimo że zamordowały więcej mężczyzn niż którakolwiek inna grupa syren na świecie? Czy nie dlatego odeszłaś od nich za pierwszym razem? - Gdy zdałam sobie sprawę, jak krytycznie to zabrzmiało, odwróciłam wzrok.

- Masz rację - odparła. - Mimo to.

Skinęłam głową. Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Chociaż łączyło nas pokrewieństwo, w zasadzie byłyśmy sobie obce, więc - prawdę mówiąc - to nie powinno mnie obchodzić. Z drugiej strony, ubiegłej jesieni Charlotte sama odebrała komuś życie. Po raz pierwszy zrobiła coś, przed czym wiele lat wcześniej uciekła, a postąpiła tak, bo chciała zdobyć energię, jakiej potrzebowała do pokonania Rainy i pozostałych syren z Winter Harbor. Wyznała wtedy, że świadomość odebrania komuś życia była znacznie straszniejsza, niż sobie wyobrażała, i złożyła przysięgę, że nigdy więcej się tego nie dopuści.

A zatem jakie sprawy miała teraz do załatwienia z najniebezpieczniejszymi syrenami na świecie?

- W każdym razie - mówiła dalej - nie byłam pewna, czy się tu zatrzymam, aż do chwili, gdy mijałam zjazd z autostrady na Winter Harbor. To dlatego nie powiadomiłam cię wcześniej. Ale nie wiem... - Jej wzrok zatrzymał się na podeście, a głos zanikł. Chwilę później uniosła głowę i spróbowała znowu: - Nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Dlatego chciałam chociaż przywitać się i sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujesz, zanim stanę się niedostępna.

- A co z telefonem komórkowym? - zapytałam. To był jedyne numer do niej, jaki znałam. - Nie zabierasz go ze sobą?

- Spotykam się tylko z jedną kuzynką w Montrealu, a potem będę podróżować po bardzo odległych regionach kraju. Trzeba liczyć się z tym, że nie będę miała zasięgu, a jeśli już, to nieregularny.

- Ale...

- Hej, Yanesso!

Obróciłam się i uniosłam rękę do czoła, żeby zasłonić oczy przed rażącym słońcem.

- Czy to Simon? - zapytała Charlotte.

Serce poderwało mi się do gardła, bo zdałam sobie sprawę, że to faktycznie on. Stał na skraju parkingu, twarzą w kierunku wody. Subaru, z Calebem w środku, było zaparkowane za nim.

- Nadal jesteście razem. Podejrzewałam, że tak właśnie będzie.

- Tak naprawdę to nie jesteśmy. - Pomachałam i uniosłam w górę palec, sygnalizując w ten sposób, że za chwilę podejść.

- Zerwał ze mną w październiku, po tym jak...

Tym razem to mój głos zanikł. Wyjaśnienia były zbyteczne.

- Uwierz mi - odezwała się, a w jej głosie słychać było mieszankę satysfakcji i rozczarowania - być może zerwaliście ze sobą... ale wciąż jesteście razem.

Obróciłam się, a Charlotte posłała mi przelotny uśmiech.

- Idź. Przywitaj się.

- Nie, w porządku, mogę...

- Vanesso. - Dotknęła mojego ramienia. - Kiedy skończysz, będę tu na ciebie czekać.

Nie poruszyłam się, gdy przycupnęła przy krawędzi pomostu, podwinęła nogawki dżinsów i zdjęła sandaalki. Czekałam, aż zanurzy gołe stopy w wodzie, jakby sól miała unieruchomić je do czasu mojego powrotu, i dopiero wtedy ruszyłam na parking. Idąc



pospiesznie do Simona, próbowałam uporządkować własne uczucia. Charlotte mieszkała w Bostonie. Dopóki i ja tam mieszkałam, mogłam widywać się z nią każdego dnia, gdybym tylko chciała, ale nie odwiedzałam jej wcale. A teraz, kiedy zamierzała wyjechać, nagle zapragnęłam spędzić z nią jak najwięcej czasu.

Tak czy inaczej, w miarę jak zbliżałam się do Simona, wszystkie te skomplikowane uczucia stopniowo ustępowały miejsca jednemu.

Radości.

- Cześć - powitał mnie.

- Cześć. - Przystanęłam dwa kroki od niego. Chciałam się do niego przytulić, ale nie byłam pewna, czy powinnam.

- Przepraszam, mam nadzieję, że nie przeszkodziłem...

- Nie przeszkodziłeś - zaprzeczyłam szybko. - A tak na przyszłość: możesz to śmiało zrobić, zawsze i wszędzie.

- Zapamiętam. - Skinął w stronę pomostu. - Czy to Betty?

Zerknęłam za siebie. Nie mogłam powiedzieć, że to Betty, bo przecież Simon ją znał i mógłby zechcieć podejść, by się przywitać. Kusilo mnie, żeby powiedzieć, że to przyjaciółka rodziców albo kandydatka do pracy w restauracji, bo nie chciałam przypominać mu o tym wszystkim, o czym oboje wolelibyśmy zapomnieć... Jednak nie chciałam kłamać. Jeżeli Simon i ja mieliśmy jakąkolwiek szansę, by zacząć od początku, musieliśmy robić wszystko jak należy. A to oznaczało całkowitą szczerłość, bez względu na to, jak przykra mogła być prawda.

- To Charlotte - odparłam, odwracając się. - Wybiera się do Kanady i postanowiła wstąpić tu po drodze, żeby się ze mną zobaczyć.

- Ach tak. - Przez twarz Simona przemknął grymas napięcia, ale już po chwili zniknął.

- Nie będę cię zatrzymywał, obiecuję... Chciałem się tylko upewnić, czy dotarłaś tu bez problemu.

W piersi poczułam przyływ ciepłej fali.

- Bez najmniejszego.

- Nie zdarzyło się nic dziwnego?

- Nie, nic takiego nie zauważyłam.

- To dobrze. - Zbliżył się do mnie i obniżył głos. - Jest coś jeszcze.

Zatrzymałam wzrok na jego wargach, zaledwie kilka centymetrów od moich.

- Czy miałabyś ochotę na wspólną kolację dziś wieczorem?

Uniosłam wzrok i uśmiechnęłam się.

- Z przyjemnością.

- Świetnie. A Paige?

Przez chwilę nie odpowiadałam.

- Co z Paige?

- Myślisz, że ona też mogłaby przyjść? Bo, biorąc pod uwagę zdarzenia ubiegłej nocy, ci ludzie najwyraźniej są skłonni ponieść pewne ryzyko, żeby dostać to, na czym im zależy. Im więcej głów i pomysłów na to, kim mogą być i czego szukają, tym lepiej.

Natychmiast przyszły mi na myśl trzy rzeczy. Po pierwsze, wnioskując z rozmowy, którą podsłuchałam obok domku nad jeziorem, miałam dość duże pojęcie o tym, dlaczego ktoś obserwował nas ubiegłej nocy. Po drugie, nie chciałam, żeby Simon o tym wiedział, bo przypuszczałam, że będzie się martwił. Sądziłam, że to na pewno poszukiwacze przygód, którzy podłapali w internecie plotkę o syrenach i wcale nie mieli złych zamiarów. Byłam jednak pewna, że to wystarczy, by Simon wszczął alarm.

A po trzecie, on już się martwił. Jak zwykle.

- Zapytam - obiecałam.

- Świetnie. - Odetchnął i zrobił krok wstecz. - Teraz muszę już wracać na przystań, ale co powiesz na siódmą? W „Skrzydłkach i Udkach Murphyego”?

Skinęłam głową. Posłał mi przelotny uśmiech, po czym odwrócił się i truchtem podbiegł do samochodu.

Idąc w kierunku pomostu, rozmyślałam o tym, jak bardzo to lato odbiegało od wymarzonego. Wiedziałam, że nie ucieknę od tego, kim jestem, choćbym nie wiem jak chciała... ale jeżeli to wciąż będzie głównym przedmiotem moich spotkań z Simonem, to czy kiedykolwiek uda nam się naprawdę zacząć od początku? I zbudować normalną przyjaźń - a przynajmniej możliwie zbliżoną do normalności?

Ta myśl była tak przygnębiająca, że z chwilą gdy moje stopy zetknęły się z deskami pomostu, ledwie je poczułam. W ustach mi zaschło, a gardło płonęło żywym ogniem. Mój tułów zaczął przeważać na jedną stronę, więc przyspieszyłam kroku i pozostałą odległość częściowo przebiegłam, a częściowo przesłam, zataczając się.

Na krańcu pomostu przysiadłam na deskach, szybko podciągnęłam nogawki spodni i zanurzyłam nogi w wodach portu. Ulga nie nadeszła od razu, więc pochyliłam się i chlusnęłam wodą na twarz i ramiona. Zajęło co najmniej minutę, zanim znów poczułam się na tyle silna, żeby usiąść prosto, nie opadając natychmiast bezwładnie do przodu.

W tym momencie Charlotte, która zgodnie z obietnicą wciąż na mnie czekała, w końcu przemówiła. Jej głos był cichy i poważny.

- Vanesso... czy potrzebujesz czegoś ode mnie?

- Tak. - Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze z płuc. - Chcę, żebyś została na dłużej. Proszę.

- Jestem singielką od dwustu czterdziestu dwóch dni, dziewięciu godzin i trzech minut - oznajmiła Paige.

- No i? - zapytałam.

- I nie wiem, czy to wystarczająco długo, by rany się zagoiły, i czy jestem gotowa, by znów umawiać się na randki.

Zaparkowałam jeepa i odwróciłam się do niej.

- Po pierwsze, to ty zerwałaś z Rileyem, a nie odwrotnie, więc raczej nie mam wątpliwości, że w pełni pozbierałaś się po tym zawodzie miłosnym.

- To było o wiele trudniejsze, niż myślisz. Nigdy dotąd z nikim nie zrywałam, a zresztą nawet specjalnie nie chciałam się z nim rozstawać. Zrobiłam to tylko dlatego, że nie miałam innego wyboru.

- Rozumiem. - I naprawdę rozumiałam. Po tym, jak ubiegłej jesieni Paige przeszła transformację w syrenę, by pomóc ostatecznie rozprawić się z Rainą, chciała poznać swoje nowe możliwości, nie krzywdząc przy tym kogoś, na kim jej naprawdę zależało. To dlatego rozstała się z Rileyem, przyjacielem i współlokatorem Simona ze studiów w Bates College. - Ale do dzisiejszego wieczoru ani razu nie wymieniłaś jego imienia, co daje jakieś dwieście czterdzieści dwa dni.

- Może dlatego, że czułam się zbyt przygnębiona.

- A może dlatego, że twoje myśli zaprzętało kilkunastu przystojnych licealistów, którzy nagle zaczęli rywalizować o twoje względy.

- No cóż. - Wzruszyła ramionami. - Opędzanie się od nich rzeczywiście było dość absorbujące.

- A po drugie - ciągnęłam, posyłając jej szeroki uśmiech - to wcale nie jest randka.

- Jasne. Tylko randka w dwie pary.

- To po prostu spotkanie.

- No tak, z jedzeniem, pićiem... i ładnym nowym wdziankiem, którego nigdy wcześniej nie widziałam.

Zerknęłam na turkusową spódniczkę, którą kupiłam dzisiejszego popołudnia w czasie przerwy w pracy.

- Ja tylko wspieram lokalnych przedsiębiorców.

Poklepała mnie po kolanie.

- Cóż za godna pochwały postawa obywatelska.

Spojrzałam na nią.

- Przesadziłam? Może powinnam polecić do domu się przebrać. Bo to naprawdę nie jest randka i nie chcę, żeby Simon myślał, że próbuję to spotkanie w nią zamienić. To ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba.

- Chyba żartujesz. Przecież ty kochasz tego chłopaka. Musisz wykorzystać każdą szansę, żeby mu przypomnieć, że czuje do ciebie to samo. Zaufaj mi, moglibyśmy spotykać się na stacji benzynowej, a to - skinęła na moją marszczoną bluzeczkę, dzinsową kurtkę i paciorkowy naszyjnik - i tak nie byłoby zbyt wiele.

Jej ręka wciąż spoczywała na moim kolanie; ścisnęłam ją.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. A teraz chodźmy już odegrać naszą rolę w najsłynniejszej smażalni w Winter Harbor.

Kiedy wysiadliśmy z jeepa i przeszliśmy przez ulicę, zastanowiło mnie, nie po raz pierwszy tego dnia, dlaczego Simon na miejsce naszego spotkania wybrał właśnie ten lokal. Skoro mieliśmy rozmawiać o sprawach, o których nikt inny nie miał się dowiedzieć, czy nie byłoby sensowniej spotkać się w miejscu gwarantującym większą prywatność, jak choćby w domu któregoś z nas?

Kiedy weszliśmy do środka, pobudki Simona stały się dla mnie jeszcze trudniejsze do zrozumienia. Bo lokal był pełen ludzi. Każdy stolik i każde krzesło barowe - zajęte.

- Nic z tego nie rozumiem! - oświadczyła Paige, przekrzykując zgiełk klasycznego rocka, rozmów i śmiechu. - Czyżby do burgerów dodawali tu forsę zamiast sałaty?

- Bry wieczór! - Krępy mężczyzna z opróżnionym do połowy kuflem piwa odwrócił się od stołu bilardowego, na którym toczyła się rozgrywka, i obrzucił nas spojrzeniem. - Panienki pozwolą, że postawię im drinka?

- Nie, dzięki! - Wsunęłam rękę pod ramię Paige i pociągnęłam ją przez tłum.

- Szukacie wolnego miejsca? - zawołał inny gość od strony baru. - Mam tu akurat dwa!

Paige się wzdrygnęła.

- Ten gość poklepał się po kolanach!

Pociągnęłam mocniej.

- Idziecie w złą stronę! - zawołał trzeci z grupki około dwudziestu zebranych dookoła stołu do piłkarzyków. - Tu jesteśmy!

Kiedy przedzierałyśmy się na tyły restauracji, dziesiątki podobnych zaczepek posypały się w naszą stronę niczym kule.

Mężczyźni, którzy byli albo zbyt pijani, albo nie dość pijani, żeby się odezwać, posyłali nam tylko leniwe, pełne uznania spojrzenia znad sączonych drinków. Nawet ci z obrączkami na palcach przerywali rozmowę, żeby zmierzyć nas wzrokiem. Tego rodzaju zainteresowanie nie było nam obce, ale w tak wielkiej dawce - szokowało. Staralam się za wszelką cenę unikać kontaktu wzrokowego i z całego serca żałowałam, że nie mam na sobie dżinsów i bluzy zamiast nowego ładnego wdzianka.

- Vanesso!

Ten głos był mi znany. Zwolniłam nieznacznie i pośród tłumu dostrzegłam Colina. Siedział w boksie z trzema dziewczynami - jedynymi w lokalu poza Paige i mną.

- Przyłączcie się do nas! Zrobimy wam miejsce!

Kiedy pomachał i przesunął się na siedzisku, tłum zafalował, robiąc lepszy widok na jego towarzyszkę. Dwóch z nich nigdy wcześniej nie widziałam, ale trzecia z całą pewnością miała znajomą twarz.

- Natalie! - zawołała Paige, szarpiąc mnie za ramię.

- Chodźmy się przywitać!

Kiedy ruszyłyśmy w ich stronę, poczułam lekki ucisk w piersi. Paige najwyraźniej chciała zacieśnić znajomość z Natalie, ale ja wciąż miałam pewne opory. Z powodu mieszanych uczuć, jakie mi towarzyszyły podczas naszego pierwszego spotkania, słonej kawy, którą zaserwowała, i czegoś jeszcze, czego nie umiałam zdefiniować, czułam, że lepiej będzie zachować wobec niej dystans.

Poza tym wolałam, by nasze towarzystwo nie musiało czekać - nie miałam też ochoty się później tłumaczyć, gdyby się okazało, że na mój widok Colin jest o wiele bardziej podekscytowany, niż powinien. Więc kiedy Paige pociągnęła mocniej, stanęłam jak wryta. Obejrzała się na mnie, a wtedy kiwnęłam głową w stronę drugiej sali w lokalu.

Była mniejsza, ale tak samo zatłoczona. Przy maleńkim stoliku w rogu siedzieli Simon i Caleb.

Paige uniosła do góry kciuk, po czym odwróciła się do Natalie i ułożywszy dłoń na kształt słuchawki, przyłożyła ją do ucha, dając do zrozumienia, że zadzwoni później. Pomachałam do Colina, a wtedy Natalie zbliżyła się do niego i powiedziała mu coś na ucho. Na jego twarzy odmalował się jakiś niezdefiniowany wyraz, jednak zanim zdążyłam go rozszyfrować, tłum przepchnął nas dalej.

- Czy ja mam zwidy, czy tam stoi laptop? - zapytała Paige, kiedy zbliżyłyśmy się do Simona i Caleba.

W tej sali serwowano posiłki i było tu zdecydowanie ciszej niż w sekcji barowej.

Zauważyłam, że na stoliku między Simonem a Calebem rzeczywiście stoi laptop. Obok leżały notesy, długopisy, fiszki, zupełnie jakbyśmy spotykali się w bibliotece.

- Miałaś rację - szepnęła mi do ucha Paige. - Jest komputer, nie ma randki.

Może faktycznie nie była to randka, ale ani trochę nie umniejszało to mojego szczęścia. Mogłam przecież widzieć Simona. Wstał, odsunął krzesło obok swojego i zanim usiadł, zaczekał, aż wsunę się w ciasną przestrzeń między krawędzią stołu a ścianą. Caleb zrobił to samo dla Paige.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się. - Dobrze wiedzieć, że są jeszcze matki, które uczą swoich synów dobrych manier.

- Bardzo was przepraszam - zaczął Simon. - Nie mieliśmy pojęcia, że będzie tu tak tłoczno.

- Nie mieliśmy pojęcia, że w tym miasteczku w ogóle jest jeszcze tyle ludzi - dodał Caleb.

- Dlatego właśnie przeprosiny nie są konieczne - podsumowała Paige. - Właściwie to miły widok. Jak się sprawy mają na przystani?

Nie mogłam stwierdzić, czy celowo skierowała to pytanie do Caleba, ale znając ją, mogłam założyć, że tak. Chłopak zabrał się dość szczegółowo do przekazywania najświeższych nowin na temat swojego szefa, kapitana Montyego, oraz wszystkiego, co dzieje się na przystani. Zbyt świadoma obecności Simona zaledwie kilka centymetrów obok, tylko połowicznie słuchałam ich rozmowy; wtedy on zbliżył się jeszcze bardziej i znów przeprosił.

- Naprawdę nic nie szkodzi - zapewniłam. - Tylko dlaczego nie spotkaliśmy się w domu któregoś z nas?

- Uznałem, że lepiej będzie unikać rodziców. Moja mama tak bardzo by się ucieszyła na twój widok, że nie wypuściłaby cię z kuchni przed wspólnym wypiciem dzbanka herbaty. Nie byłem pewien, ale pomyślałem sobie, że twoi rodzice mogliby podobnie zareagować na widok Caleba i mnie.

- Jak najbardziej. I nawet gdyby jakimś cudem udało nam się uciec przed gradem pytań o szkołę i rodzinę, znaleźliby milion powodów, żeby nam przeszkodzić: a to gorąca czekolada, a to przekąski, a to więcej gorącej czekolady. - Czując się dziwnie onieśmielona, posłałam mu przelotny uśmiech. - To była słuszna decyzja.

Kąciki jego ust uniosły się, a oczy na moment utkwily w moim naszyjniku, po czym znów napotkały moje spojrzenie.

- Swoją drogą, bardzo ładnie wyglądasz.

Zarumieniłam się.

- Dzięki. Ty również.

Obiecałam sobie, że nie będę rozmyślać nad każdym słowem i gestem w nadziei, że uda mi się rozgryźć, co Simon naprawdę myśli i czuje, ale nie mogłam nie zauważyć, że zgolił zarost i ostrzygł włosy. I że włożył spodnie khaki zamiast dżinsów i brązowy sweter zamiast zwykłej koszulki. W przeciwieństwie do naszego spotkania w domku nad jeziorem dzisiejsze zaplanował wcześniej... więc może dołożył starań, by zadbać o wygląd? Tak jak ja to zrobiłam z myślą o nim?

- Dobry wieczór. Czym mogę służyć? - zza naszych pleców dobiegł głos kelnerki.

Chwyciłam kartę dań, kiedy nagle Paige szturchnęła mnie w bok. Spojrzałam na nią zdumiona, a wtedy uniosła brodę w kierunku, z którego dobiegał głos. Nie wiedziałam, na co chciała zwrócić moją uwagę. Na makijaż, który na twarzy dziewczyny tworzył maskę? Na jej koszulkę, która była tak ciasna, że unosiła się na brzuchu? Czy może na to, że - choć najwyraźniej sama obsługiwała tę salę - jest całkowicie zrelaksowana, jakby był to dla niej chleb powszedni?

- Carla - syknęła Paige, złożywszy zamówienie.

- Kto taki? - nie zrozumiałam.

- Ta nowa kelnerka, którą zatrudniłam, a która zwolniła się po tym, jak Louis doprowadził ją do łez. - Słowa potoczyły się z ust Paige ciurkiem. - To ona.

- Niemożliwe. - Okręciłam się na krześle, żeby raz jeszcze się jej przyjrzeć. Carla nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat, a ta dziewczyna miała co najmniej dwadzieścia parę, może nawet trzydziestkę.

- Jestem tego pewna. Ma na ręce srebrną bransoletkę z wygrawerowanymi inicjałami i kwiatami, taką samą, jaką nosiła Carla. Każdego dnia, kiedy pracowała „U Betty”. - Paige potrząsnęła głową. - Zauważyłaś, że przyjęła nasze zamówienie, niczego nie notując? Po tym można rozpoznać profesjonalistkę. A przecież jeszcze parę tygodni temu nie potrafiła jednocześnie utrzymać ołówka i podkładki, nie upuszczając któregoś z nich.

- Dobrze ją wyszkoliłaś.

- Jestem dobra - przyznała Paige - ale nie jestem cudotwórczynią.

Carla zniknęła w tłumie w drugiej sali. Kiedy się obróciłam, na stoliku przede mną i Paige stał otwarty laptop Simona.

- Kabel z mojego aparatu pasował do tego, który znaleźliście - oznajmił Caleb. - Zrzuciliśmy zdjęcia na komputer, żeby mieć pewność, że niczego nie przeoczyliśmy.

Powoli pokazywał nam kolejne klatki, z których każda zajmowała cały ekran



monitora. Wypatrywałam wskazówek, które zdradziłyby, do kogo należy aparat, ale na większym ekranie wcale nie było widać wiele więcej niż na wyświetlaczu aparatu.

- Dla mnie ciągle wyglądają na typowe zdjęcia turystyczne - stwierdziłam.

- Dla mnie też - przyznał Simon z westchnieniem.

- Niezupełnie - odezwała się Paige.

Spojrzeliliśmy na nią, potem znów na ekran.

- Co masz na myśli? - zapytał Simon.

Wskazała na panel dotykowy.

- Mogę?

Simon przesunął komputer po blacie, a Paige przewinęła zdjęcia do początku.

- Kilka z nich mogłoby uchodzić za turystyczne: latarnia morska, widok na ocean, nawet pomost na przystani. Ale gdyby ten aparat naprawdę należał do przypadkowego turysty, znalazłyby się na nim też zdjęcia znaku powitalnego w kształcie żaglówki przy wejździe do Winter Harbor, trzymetrowego nadmuchiwanego homara przed wypożyczalnią sprzętu wodnego czy rzeźby kapitana łowiącego ryby na końcu nabrzeża. Spędziłam wystarczająco dużo czasu, rozmawiając z turystami „U Betty”, żeby wiedzieć, co najczęściej przyjeżdżają zobaczyć.

- To prawda, że dmuchany homar cieszy się ogromną popularnością - przyznał Caleb.

- A poza tym gdzie są ludzie? - zapytała Paige. - Turyści uwielbiają robić zdjęcia tym, z którymi podróżują. Głównie po to, żeby mieli się później z czego śmiać, powracając do odwiedzonych miejsc we wspomnieniach.

Pomyślałam o starych, opasłych albumach ze zdjęciami poustawianych na jednej ze szklanych półek w salonie domu na plaży. Moja rodzina i ja od dawna nie bawiliśmy się w turystów, a mimo to mieliśmy tony zdjęć przedstawiających któreś z nas na tle jednej z takich atrakcji, o których mówiła Paige.

- Ale to jedno wydaje mi się szczególnie podejrzane. - Zatrzymała się na fotografii przedstawiającej kawałek skały. - Potężny głaz. Na plaży. Typowy szczur lądowy mógłby zapragnąć udokumentować coś takiego, ale wówczas próbowałby ukazać na zdjęciu szerszy kontekst, żeby móc udowodnić wszystkim w domu, jaki był naprawdę wielki. Fotograf przyrody też mógłby się nim zainteresować, ale prawdopodobnie spróbowałby uzyskać większą równowagę między samym obiektem a jego otoczeniem. To ujęcie natomiast przedstawia czubek kamienia ze srebrnym piaskiem i wodą w tle. Jaki to ma sens?

Miała rację. Zresztą to zdjęcie głazu było pierwszym spośród kilku podobnych. Na niektórych widać było mniejsze, okrągłe kamienie - jak te, które pokrywają całe wybrzeże w

okolicy.

Inne przedstawiały płyty granitowe. A jeszcze inne czerwone i szare otoczaki, które można znaleźć na samochodowych podjazdach. A po nich były inne zbliżenia: pni, drewna wyrzuconego na brzeg i traw porastających wydmy.

- Zaczekaj. - Położyłam dłoń na rękę Paige, żeby nie przewijała dalej. - Chyba rozpoznaję to miejsce.

- Naprawdę? - zdziwiła się, przypatrując zdjęciu. - Mnie to wygląda na pierwsze lepsze wyszczerbione skały.

Przyciągnęłam do siebie komputer i zmrużyłam oczy.

- Wydaje mi się, że tam byłam. - Zerknęłam na Paige.

- Czy to ci niczego nie przypomina?

- To wygląda jak każde miejsce, w którym byłam. Na tym polega problem.

Ustawiłam komputer pod takim kątem, żeby Simon i Caleb mieli lepszy widok.

- Jak myślicie?

Caleb potrząsnął głową.

- Zgadzam się z Paige.

Simon wpatrywał się w zdjęcie, a ja wpatrywałam się w Simona z nadzieją, że przez jego twarz przemknie błysk olśnienia. Nie przemknął, za to wymalowało się na niej coś innego: połączenie podniecenia i powagi. Znałam ten wyraz twarzy; widziałam go ubiegłego lata, kiedy - razem ze starym profesorem nauk przyrodniczych - wpadł na pomysł, jak skuć lodem wody Winter Harbor. Na widok tego wyrazu twarzy teraz poczułam tchnienie nadziei - i niepokój.

Simon musnął kciukiem panel dotykowy. Cursor przemknął przez zdjęcie skał i wylądował w górnej części ekranu. Kolejna seria kliknięć nastąpiła po sobie tak szybko, że nie nadążałam z rejestrowaniem, które pliki i foldery otwiera.

Kilka sekund później zdjęcie skał zastąpiła mapa.

Mapa Ośrodka Leśnego „Bohaterka”.

- Czy to nie tam, gdzie... - Głos Paige zamarł. - Czy to nie wy...?

- Tak. - Kiedy Simon zrobił zbliżenie, przelknęłam ślinę.

- To my.

- Tom Connelly - powiedział cicho Simon. - To tam znaleźliśmy jego ciało w dniu gwałtownej burzy, kiedy szukaliśmy Caleba.

- Jesteś pewien? - zapytała Paige.

- Aparat ma funkcję GPS - wyjaśnił Simon. - Rejestruje współrzędne geograficzne

każdego miejsca, w którym zrobiono zdjęcie. Krajobraz wydawał mi się znajomy, ale to dzięki współrzędnym mogłem precyzyjnie określić, gdzie to było.

- Ty też myślałaś o tym właśnie miejscu? - zwróciła się do mnie Paige.

Pokiwałam głową, nie mogąc oderwać wzroku od czerwonej kropki na cyfrowej mapie ośrodka. Od tamtej pory minął prawie rok, a ja nadal potrafiłam przywołać z pamięci każdy fragment jego ciała; widziałam go tak wyraźnie, jakby to wczoraj fale wyrzuciły ciało na brzeg. Rozdęty tułów, zegarek marki Rolex zaciśnięty wokół napuchniętego nadgarstka, sine wargi rozciągnięte w szerokim uśmiechu...

- Czegoś tu nie rozumiem - odezwał się po chwili Caleb.

- Ten, kto zjawił się w twoim domu zeszłej nocy, przyszedł tam, żeby zobaczyć ciebie, Vanesso. My dobrze wiemy, jaki był twój udział w wydarzeniach ubiegłego lata, ale to nie są informacje powszechnie znane. Co prawda razem z Simonem znaleźliście ciało na terenie ośrodka „Bohaterka”, ale ty zostałam w samochodzie, kiedy Simon rozmawiał z policją na plaży. Nie mogli wiedzieć, że tam byłaś. - Zrobił pauzę i zaczerpnął powietrza. - Poza Justine nie ma powiązania między tobą a całą resztą.

- A ponieważ wszystkie pozostałe ofiary były mężczyznami, większość ludzi nie kojarzy jej z tamtymi zająciami - dodał cicho Simon.

Spojrzałam na Paige. Skinęła głową.

- Oni wiedzą. - Z chwilą, gdy wypowiedziałam te słowa, znienawidziłam je, dlatego kolejne dobierałam ostrożniej.

- Wiedzą, kto odpowiada za tamte tragedie. Nie wiem skąd... Podśledzałam, jak pewni ludzie rozmawiali o nich... o nas... w dniu wystawienia domu nad jeziorem na sprzedaż. Na podstawie tego zdjęcia zakładam, że to ci sami, którzy zjawili się tam zeszłej nocy.

Po mojej wypowiedzi nastąpiło długie milczenie.

- Czy rzeczywiście wypowiedzieli to słowo? - zapytał Caleb. - To, które do zeszłego lata znaliśmy tylko z książek?

Wszyscy wiedzieliśmy, o jakie słowo chodzi, choć Caleb nie wypowiedział go na głos. To, które do tej pory ledwie przechodziło mi przez gardło, nawet kiedy nie byłam otoczona przez tłum potencjalnych podsłuchiwczy.

Syrena.

- Tak - odparłam.

- Widziałaś, kto to powiedział? - zapytał Caleb.

Potrząsnęłam głową, po czym rzuciłam ukradkowe spojrzenie na Simona, który wpatrywał się w ekran monitora.

- Nie miałam okazji.

Po tym nastąpiła jeszcze dłuższa chwila ciszy. Nie byłam pewna, czy rozmyślają nad tym, co powiedziałam, czy czekają, aż ujawnię więcej informacji, czy może jedno i drugie.

Zaczynałam żałować, że w ogóle o tym wspomniałam, kiedy Caleb odezwał się znowu.

- Powinniśmy przyrzeć się współrzędnym pozostałych zdjęć.

Simon przez kolejną chwilę skupiał się na zdjęciu formacji skał, po czym pokiwał głową i zabrał się do sprawdzania współrzędnych. My natomiast przyglądaliśmy się bez słowa, jak na mapie pojawiają się kolejno znajome lokalizacje. Po namierzeniu miejsc ukazanych na trzech fotografiach Caleb otworzył zeszyt i zaczął notować.

Wreszcie, z chwilą gdy opróżniłam cały dzbanek wody dla naszego stolika i poczułam, że moje gardło znów się zacieśnia, Simon dotarł do ostatniego zdjęcia z serii.

- Wow - powiedziała nagle Paige.

Gdybym mogła mówić, powiedziałabym to samo. Nie tylko miałam wrażenie, że usta mam wypchane watą, ale na widok Simona i mnie samej natychmiast poczułam się jak sparaliżowana. Na ekranie widniało zdjęcie, którym wyrwano nas z transu zeszłej nocy, i choć już wcześniej widziałam je na wyświetlaczu aparatu, teraz wyglądało zupełnie inaczej. Było powiększone, więc widziałam dokładnie, jak mocno Simon obejmuje mnie w talii. I jak głęboko koniuszki moich palców wbijają się w jego kark. I to, w jaki sposób nasze ciała napierają na siebie, zupełnie jakby spętano nas liną i kazano wyskoczyć z samolotu sześć tysięcy metrów nad ziemią.

- Dziwi mnie, że w ogóle zauważyliście błysk lampy - skomentowała Paige.

Wyciągnęłam rękę ponad stołem i zatrzasnęłam wieko laptopa.

- Więc co to znaczy? - wydusiłam.

- To znaczy - rzekł cicho Simon - że motywy tych ludzi są poważne. Przyłożyli się, odrabiając zadanie domowe.

- Ale to wciąż może być każdy, prawda? - podsunęła Paige.

-,Herald” wyczerpująco dokumentował ubiegłoroczne utonięcia. Ci ludzie musieli po prostu znaleźć numery archiwalne w sieci.

-,Herald” podawał lokalizacje w przybliżeniu - zauważył Caleb. - Latarnia morska, przystań. Nigdy nie było mowy o „drugiej skale na lewo” czy „gnijącym kawałku drewna nieopodal stanowiska ratownika”.

- Ale to niemożliwe. Jedynymi osobami, które wiedziały dokładnie, gdzie znaleziono ciała - poza policją i ratownikami - były... - Paige potrząsnęła głową i nie dokończyła. Chwilę

później odsunęła krzesło i poderwała się z miejsca. - Sprawdzę, co z naszym zamówieniem.

Kiedy zniknęła w tłumie, Caleb również wstał.

- Ja sprawdzę, co z Paige - oznajmił.

I tak oto zostaliśmy we dwoje, tylko Simon i ja, tak jak to sobie wyobrażałam, kiedy zaprosił mnie na kolację. Tylko zamiast rozmawiać, śmiać się i odbudowywać łączącą nas niegdyś więź, ja obiema dłońmi kurczowo ścisnęłam pustą szklanę, a on systematycznie darł na kawałki papierową serwetkę.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? - zapytał wreszcie.

- Nie chciałam cię martwić.

- I tak się martwiłem.

- Wiem, ale... - westchnęłam i spojrzałam na niego. - Nie chciałam tego robić.

Uniósł wzrok i nasze spojrzenia się spotkały.

- Czego?

- SkUPIAĆ SIĘ NA TYM, KIM - CZYM - JESTEM. I POZWOLIĆ, BY TO ZNÓW STANĘŁO MIĘDZY NAMI.

- Vanesso, nawet bez tych zdjęć i tego, co podsłuchałaś, nadal byłabyś sobą. A my musielibyśmy się z tym zmierzyć.

Z tym. Jakby to, kim jestem, było problemem. Chorobą. Czymś uciążliwym i irytującym, na co nie ma lekarstwa.

- Masz rację - przyznałam. - Oczywiście masz rację, ale...

Przerwał mi znajomy odgłos dobiegający z sali obok. Simon podniósł wzrok - na jego twarzy malowało się napięcie - i wiedziałam, że też go słyszy. Siedzący obok goście, jeden po drugim, milkli i nasłuchiwali.

To była Paige.

Śpiewająca w sali obok.

„Co TO BYŁO??”

„Ale co??”

„Paige. Proszę cię”.

„Przecież grali REO Speedwagon. Jak mogłam się oprzeć?” „Jak? Wystarczyło choć raz spojrzeć na twarze osób, które się w ciebie wpatrywały niczym zahipnotyzowane”.

Oparłam się o jeepa i czekałam. Kiedy na ekranie telefonu nie pojawiła się nowa wiadomość, wysłałam kolejną.

„Wiesz przecież, co nasze głosy im robią. Po co tak kusić los?” Nadal nic. Chciałam zadzwonić i zadać jej te pytania wprost, bo nie wątpiłam, że ma dość oleju w głowie, by to zrozumieć. A nawet jeżeli nie, dobrze wiedziała, że podczas zeszłorocznego Festiwalu Świąteł Raina, Zara i inne syreny śpiewały, by zwabić swoje ofiary na dno. Więc dlaczego postępowała tak nieroztropnie?

Niestety, nasza rozmowa musiała zaczekać. Była z Simonem i Calebem, którzy odwozili ją do domu, ponieważ mieszkali bliżej. Odjechali zaraz po tym, jak odeskortowali mnie aż do samego podjazdu - chcieli się upewnić, że nikt mnie nie śledzi - dlatego wiedziałam, że co najmniej przez następne dwadzieścia minut nie będzie mogła rozmawiać.

„Zadzwoń, jak będziesz mogła.\* V.”.

Wcisnęłam przycisk „Wyślij” i ruszyłam do domu. Na szczęście, jeżeli chodzi o jedzenie, w „Skrzydłkach i Udkach Murphyeego” nie żalowali soli; gdyby było inaczej, nie przetrwałabym kolacji bez wpadania twarzą w talerz frytek. Po powrocie Paige do stolika udało nam się nawet porzucić temat morderczyń i prześladowców, bo prawdopodobnie dlatego właśnie sobie poszła, a ja nadal zmagalam się z uczuciem ucisku w gardle i napięcia na skórze, jakbym od wielu godzin opalała się w pełnym słońcu. Gdyby nie to, że Simon jechał kilka metrów za mną, przekroczyłabym wszelkie ograniczenia prędkości i przemknęła przez całe miasto bez zatrzymywania jeepa na znakach stop, żeby tylko jak najszybciej znaleźć się w domu.

Bo chciałam popływać. Musiałam popływać.

- Jestem! - Zamknęłam drzwi frontowe, upuściłam torebkę na podłogę i zrzuciłam sandały. - Zaraz do was przyjdę, ale najpierw muszę na chwilę wskoczyć do wody!

Ruszyłam korytarzem prowadzącym do mojego pokoju - i stanęłam jak wryta, kiedy kątem oka uchwyciłam obraz odbijający się w oknach po mojej lewej stronie.

W szybie odbijało się wnętrze kuchni, stół... i siedzące przy nim osoby. Obróciłam się,

a widok pozostał ten sam.

Przeszłam przez pokój, stopniowo dostrzegając nowe szczegóły. Trzy kubki po kawie. Napoczęty kawałek sernika. Mała torba podróżna. Kapcie.

- Nie wiedziałam, że urządzamy piżama party - oznajmiłam, wchodząc do kuchni.

Łyżka, którą mama mieszała swój napój, zastygła w bezruchu. Tata zakrztusił się kawą, którą sączył.

Charlotte się uśmiechnęła.

- Witaj, Vanesso.

- Dobry wieczór. - Przeniosłam wzrok z Charlotte na rodziców, którzy starali się zachowywać, jakby nic się nie stało.

- Co się tu naprawdę dzieje?

- Właśnie jedliśmy deser. - Mama poderwała się z krzesła i mijając mnie w drodze do szafki, ścisnęła moje ramię. - Siadaj. Dam ci talerzyk.

- Nie trzeba. Nie jestem głodna. - Stałam przy kuchennym blacie. Czekałam.

- Jak się udało spotkanie fantastycznej czwórki? - zapytał wreszcie tata, a następnie obrócił się do Charlotte i mówił, jakby mnie tam nie było: - Vanessa wybrała się z przyjaciółmi na kolację. Z Paige, kochaną dziewczyną, którą poznała zeszłego lata. Paige mieszkała u nas w Bostonie przez cały rok szkolny. I z chłopakami Carmichaelów...

- Charlotte wie, kim oni są.

Tata zamknął usta. Za moimi plecami mama upuściła widelczyk. Rozległ się brzęk metalu na posadzce z terakoty.

- Co się tu naprawdę dzieje? - powtórzyłam.

- Charlotte jest w mieście przejazdem. - Głos mamy był ciepły, jakby moja biologiczna matka była daleką kuzynką, której nie znała za dobrze, ale mimo to cieszyła się, że ją widzi.

- Wiem. Ale jak się tu znalazła? W naszym domu?

Zadając to pytanie, patrzyłam na Charlotte. Otworzyła usta, żeby zacząć, ale mama ją uprzedziła.

- Wpadliśmy na siebie w sklepie. Kiedy Charlotte wspomniała, że zamierza zatrzymać się w „Latarni” na kilka dni, zaprosiłam ją do nas.

- I zgodziła się? - Wciąż patrzyłam na Charlotte.

- Tak. - Głos mamy zabrzmiał ciepło tuż przy moim uchu.

- Wszystko w porządku, kochanie. Naprawdę.

Chciałam jej wierzyć, ale to było trudne. Spotkały się tylko raz, w dniu, kiedy syreny

zawlekły Simona i mnie na dno jeziora. Biorąc pod uwagę, co zdarzyło się między Charlotte a ojcem, zastanawiałam się, jak mama mogła teraz odgrywać rolę gospodyni. Czyżby pomyślała, że będę chciała mieć Charlotte jak najbliżej? Mimo że - jak mogła przypuszczać - nie widziałam się z nią od tamtego dnia nad jeziorem?

- Twój ojciec właśnie opowiadał mi o waszej prywatnej plaży - oznajmiła Charlotte. - Z przyjemnością bym ją zobaczyła.

- Jestem pewna, że Vanessa z przyjemnością ci ją pokaże - oznajmiła mama.

Tępy ból, który utrzymywał się w mojej piersi od kolacji, nagle się zaostrzył. Nie kłamałam wcześniej - naprawdę ucieszyłam się na widok Charlotte. Był to jeden z powodów, dla których poprosiłam ją, by została dłużej. A jednak moje oddanie względem kobiety, która mnie wychowała, brało górę nad uczuciem do tej, która przyprawiła tę pierwszą o tak wiele cierpienia. Wiedziałam, że to się nigdy nie zmieni.

Dlatego właśnie powiedziałam teraz:

- Jasne. Może chodźmy od razu?

- Czy ja wiem? - Tata zerknął w okna wychodzące na wodę. - Jest już późno i ciemno. Nie lepiej poczekać do rana?

- Nie - odparła Charlotte, odsuwając krzesło. - Myślę, że Vanessa i ja czekałyśmy już zbyt długo.

Nie byłam pewna, co chciała przez to powiedzieć, ale powstrzymała tym tatę od dalszych protestów. Opuścił wzrok iszturchnął sernik, kiedy wstała. Jej nogi przez krótką chwilę

- Tak. - Głos mamy zabrzmiał ciepło tuż przy moim uchu.

- Wszystko w porządku, kochanie. Naprawdę.

Chciałam jej wierzyć, ale to było trudne. Spotkały się tylko raz, w dniu, kiedy syreny zawlekły Simona i mnie na dno jeziora. Biorąc pod uwagę, co zdarzyło się między Charlotte a ojcem, zastanawiałam się, jak mama mogła teraz odgrywać rolę gospodyni. Czyżby pomyślała, że będę chciała mieć Charlotte jak najbliżej? Mimo że - jak mogła przypuszczać - nie widziałam się z nią od tamtego dnia nad jeziorem?

- Twój ojciec właśnie opowiadał mi o waszej prywatnej plaży - oznajmiła Charlotte. - Z przyjemnością bym ją zobaczyła.

- Jestem pewna, że Vanessa z przyjemnością ci ją pokaże - oznajmiła mama.

Tępy ból, który utrzymywał się w mojej piersi od kolacji, nagle się zaostrzył. Nie kłamałam wcześniej - naprawdę ucieszyłam się na widok Charlotte. Był to jeden z powodów, dla których poprosiłam ją, by została dłużej. A jednak moje oddanie względem kobiety, która



mnie wychowała, brało górę nad uczuciem do tej, która przyprawiła tę pierwszą o tak wiele cierpienia. Wiedziałam, że to się nigdy nie zmieni.

Dlatego właśnie powiedziałam teraz:

- Jasne. Może chodźmy od razu?

- Czy ja wiem? - Tata zerknął w okna wychodzące na wodę.

- Jest już późno i ciemno. Nie lepiej poczekać do rana?

- Nie - odparła Charlotte, odsuwając krzesło. - Myślę, że Vanessa i ja czekałyśmy już zbyt długo.

Nie byłam pewna, co chciała przez to powiedzieć, ale powstrzymała tym tatę od dalszych protestów. Opuścił wzrok i szturchnął sernik, kiedy wstała. Jej nogi przez krótką chwilę zdrząły i dla utrzymania równowagi uchwyciła się krawędzi stołu. Przypuszczałam, że ojciec poderwie się i poda jej rękę, i ogarnęła mnie ulga, gdy zamiast tego zaoferował mamie pomoc przy sprzątanii kuchni.

A Charlotte dała sobie radę. Nadal poruszała się w tempie artretyczki dwukrotnie od siebie starszej, była jednak na tyle sprawna, by bez niczyjej pomocy przejść z kuchni do wyjścia na tyłach domu.

Tylko że kamienne schody prowadzące na plażę to była już inna sprawa.

- Idź przodem - poleciła, przystając na najwyższym stopniu.

Zatrzymałam się na schodku poniżej i wyciągnęłam rękę.

- Wyglądają na bardziej strome, niż są w rzeczywistości. Po prostu musimy zejść powoli.

Potrząsnęła głową.

- Musisz się zanurzyć, czuję zapach soli parującej przez pory twojej skóry. Do czasu, kiedy skończysz, będę na dole.

- Sama nie chcesz popływać? Nie poczujesz się lepiej? Mniej zmęczona?

- Wystarczy, że pobrodzę chwilę przy brzegu. Słowo.

- Przechyliła głowę. - Yanesso, proszę. Idź już.

Im dłużej stałyśmy na schodach, tym moje ciało wydawało się cięższe. Byłam rozdarta między potrzebą zanurzenia się w słonej wodzie a chęcią sprowadzenia jej ze schodów, ale gdybym została jeszcze kilka sekund dłużej, prawdopodobnie obie utknęłybyśmy tam na dobre.

- W porządku - ustąpiłam. - Nie będę pływać długo.

Zbiegłam po schodach, oglądając się za siebie dwa razy, żeby sprawdzić, czy nic jej nie jest. Kiedy spojrzałam za pierwszym razem, ciągle stała w tym samym miejscu, ale już

chwilę później udało jej się zejść o schodek niżej. Uspokojona, przebiegłam resztę drogi na plażę. Przez chwilę rozważałam, czy nie podbiec trawnikiem do mojej sypialni i nie przebrać się w kostium kąpielowy, ale uznałam, że nie mam aż tyle siły. Zamiast tego, odeszłam kawałek, by całkiem schować się za skałami, i dopiero wtedy zrzuciłam pospiesznie kurtkę i spódniczkę. Po chwili, w samej bieliźnie i koszulce bez rękawów, zanurzyłam się w oceanie.

Musiałam być bardziej spięta, niż sądziłam, bo zanim poczułam znajomy przyływ energii biegnącej od koniuszków palców u rąk do palców u stóp, minęło o wiele więcej czasu niż zwykle. Ta świadomość sprawiła tylko, że przejęłam się jeszcze bardziej, przez co wszystko trwało w nieskończoność. W nadziei, że przyspieszę proces, nawadniając ciało przez skórę i od środka, otworzyłam usta i, pływając, piłam.

Kilka minut później pod palcami stóp wyczułam piasek i wynurzyłam się na powierzchnię. Kiedy brnęłam do brzegu przez fale, światło księżyca połyskiwało na nagiej skórze moich ud, a ja bezwiednie rozmyślałam o Simonie. Ogarnięta nagłym poczuciem winy za to, że podświadomie próbuję przywołać go do siebie, przekonać, by ze mną był, skupiłam myśli na plaży - i na Charlotte.

Tak jak obiecała, dotarła już do plaży i przycupnęła na piasku na tyle blisko wody, by spienione jęzory fal lizały jej wyprostowane nogi. Kiedy szłam plażą, odwróciła wzrok, dając mi czas na włożenie spódniczki i kurtki, i dopiero kiedy usiadłam obok niej, przemówiła.

- Bardzo mi przykro, że znów cię zaskoczyłam. Nie miałam zamiaru zjawiać się niezapowiedzianie, ale Jacqueline... twoja matka i ja wdałyśmy się w rozmowę... to ona nalegała, żebym zatrzymała się u was.

Jej głos zabrzmiał niepewnie, kiedy wypowiadała imię mamy; poprawiła się i przez krótką chwilę czułam, że muszę spróbować wyjaśnić jej różnicę między nimi dwiema i uwolnić ją od zmartwień. Jednak wtedy chłodna fala obmyła mi stopy i chęć przeminęła.

- Tak, wiem - przyznałam. - Postawiła sobie za cel, żeby maksymalnie ułatwiać mi życie. To najwyraźniej obejmuje zapewnienie całodobowego kontaktu z tobą.

- To wszystko musi być dla niej bardzo trudne.

- Pewnie milion razy trudniejsze, niż daje po sobie poznać.

- Z przyjemnością znajdę powód, żeby zabrać rzeczy i zatrzymać się w hotelu, jeśli uważasz, że dzięki temu poczuje się lepiej.

Rozważyłam tę opcję.

- Doceniam, że to proponujesz, ale... skoro już jesteś, na pewno poczułaby się jeszcze gorzej, gdybyś nas opuściła.

- Myślałaby, że pozbawia cię kontaktu ze mną?

- Właśnie.

Pokiwała głową w zamyśleniu. Chwilę później zadzwonił mój telefon. Wyciągnęłam go z kieszeni spódnicy i zobaczyłam, że na ekranie wyświetla się imię Paige.

- Oddzwonię do niej później - rzuciłam, zanim Charlotte zdążyła powiedzieć, żebym odebrała. To nie była pora, by rozmawiać o tym, co wydarzyło się u „Murphyego”. Już chciałam wsunąć telefon z powrotem do kieszeni, kiedy rozległ się sygnał nowej wiadomości tekstowej.

„V., właśnie próbowałam dzwonić. Totalnie wykończona, idę spać. Pogadamy jutro?”

Sekundę później przyszła kolejna wiadomość.

„Na marginesie: S.? Zabujany po uszy. Idę o zakład, że do siebie wrócicie!!”

Kiedy odpisywałam, serce łomotało mi w piersi jak szalone.

„Miło słyszeć, że masz co do tego pewność. Pogadamy jutro. Słodkich snów”.

- To musi być przyjemne - odezwała się Charlotte. - Mieć przyjaciółkę, z którą chce

się rozmawiać już dziesięć minut po spotkaniu.

Uśmiechnęłam się.

- To prawda.

- Czy ty i Justine byliście sobie tak bliskie?

To pytanie zupełnie mnie zaskoczyło, ale zdołałam odpowiedzieć.

- Bliższe. - Trudno było to sobie wyobrazić, bo Paige i ja miałyśmy teraz ze sobą więcej wspólnego, niż kiedykolwiek miałam z własną siostrą, a jednak to była prawda. -  
Mogę cię o coś zapytać?

- Tak, oczywiście. - Sprawiała wrażenie zadowolonej.

Spojrzałam na nią.

- To pytanie osobiste.

- Śmiało.

Ostrożnie dobierałam słowa.

- Czy kiedykolwiek byłaś z kimś w związku? To znaczy... w prawdziwym związku? Z kimś, kto...

- Nie został przeze mnie uwiedziony?

Odetchnęłam ciężko.

- Właśnie.

- Nie.

Poczułam ucisk na sercu.

- Ach tak.

Z wolna podsunęła kolana do piersi i objęła je, krzyżując ramiona.

- Miałam zaledwie trzynaście lat, kiedy przeszłam transformację. Niestety, byłam wtedy za młoda, żeby kogoś pokochać szczerze i z wzajemnością.

- A co było później? Nigdy nie miałaś chłopaka? - To słowo zabrzmiało głupio, zwłaszcza w zestawieniu z tym, co łączyło niegdyś Simona i mnie, ale było jedynym, jakie przychodziło mi na myśl.

- W powszechnym rozumieniu, nie. Życie syreny, zwłaszcza niepraktykującej, może być bardzo samotne.

Spojrzałam na dom. Zobaczyłam, że w kuchni jest już ciemno, a z salonu dobiega bladoniebieskie migotliwe światło telewizora.

- A co z tatą? Żywiłaś do niego jakieś uczucia?

- Owszem. Bardzo silne. Twój ojciec był i nadal jest wspaniałym mężczyzną.

- Więc gdyby okoliczności były inne, gdybyś poznała go, kiedy jeszcze nie miał

nikogo... myślisz, że udałoby wam się stworzyć coś bardziej trwałego?

Przeniosła na mnie wzrok utkwiony w horyzont i uchwyciła moje spojrzenie.

- Myślę, że z całych sił starałabym się, żeby tak było.

- Jak?

Nie odpowiedziała od razu i zmartwiłam się, że nie odpowie wcale, że pomimo jej zapewnień istniała jakaś granica. I właśnie ją przekroczyłam. Ale wtedy odwróciła się w stronę wody i powiedziała:

- Przekonując go, że jestem kimś innym.

W mojej głowie natychmiast zaroilo się od nowych pytań. W jaki sposób? Dlaczego? Kim innym miałabyś być? Czy to by zdało egzamin? Ale zanim zdecydowałam, które z nich zadać, odezwała się znowu.

- Zakładam, że to, o co naprawdę pytasz, dotyczy ciebie i Simona: chcesz wiedzieć, jak moglibyście przebrnąć przez to, co zdarzyło się ubiegłego lata, i zbudować związek, na jaki mogą liczyć inni młodzi ludzie. Mam rację?

- Tak. - To było tylko jedno słowo, ale wymówienie go przyszło mi z trudnością.

Duża fala rozbiła się o brzeg. Była tak potężna, że Charlotte odchyliła się do tyłu, a wielki jęzor opłynął ją dookoła, zachłannie zagarniając duży kawałek piasku. Zaczekała, aż woda się wycofa, po czym ciągnęła:

- Vanesso, gdybyśmy nie były tak blisko spokrewnione, moja odpowiedź byłaby krótka: to niemożliwe.

- Ale... - powiedziałam z nadzieją.

- Kochasz go. A on, mimo wszystko, wciąż kocha ciebie.

- Co do mnie to się zgadza. Co do niego - nie jestem pewna.

Wyciągnęła rękę i, nie odwracając się w moją stronę, położyła dłoń na moim kolanie.

- Ja jestem.

To dawało już dwie osoby. Charlotte i Paige najwyraźniej nie miały najmniejszych wątpliwości, że Simon mnie kocha, i jeszcze chwila, a pewnie zabrałyby się do zamawiania kwiatów i rezerwowania DJa.

- To powinno wystarczyć, prawda? Autentyczne, głębokie i odwzajemnione uczucie. Bo wasza miłość jest silniejsza niż wszystko inne i przetrwa każdą burzę, tak?

Właśnie na takie zapewnienie liczyłam, a jednak kiedy wypowiedziała te słowa, uświadomiłam sobie, jak naiwnie to brzmi.

- Ale to nie wystarczy - zawyrokowała Charlotte.

- Skąd wiesz? Skoro nigdy wcześniej tego nie doświadczyłaś? - Zrobiłam gwałtowny

wdech i zasłoniłam dłonią usta.

- Przepraszam. To było okropne.

- Nie przepraszaj. To dobre pytanie. - Przyciągnęła kolana jeszcze bliżej piersi. - Niestety wiem, bo widziałam, jak spotyka to niezliczone pary. Zwykła kobieta wierzy, że prawdziwa miłość potrafi pokonać wszelkie przeszkody, i tak samo myśli syrena - dopóki nie nauczy się, że jest inaczej. Bo choć taki związek może zacząć się dobrze, po prostu nie jest w stanie przetrwać wszystkich wyzwań, jakie napotyka.

- Masz na myśli pragnienie? Osłabienie? Nieustanną potrzebę pływania? - Potrząsnęłam głową. - Simon dałby sobie z tym wszystkim radę. Chciałby mnie chronić, opiekować się mną. - Byłam tego pewna. Nie wiedziałam tylko, czy nadal chce ze mną być.

Jej oczy napotkały moje.

- To wspaniale... ale to też nie wystarczy.

- Ale...

- To nie wszystko, Vanesso. - Jej głos zabrzmiał ostrzej.

- Pragnienie, osłabienie, inne potrzeby twojego ciała... to dopiero początek. Zwłaszcza dla syreny z rodu Nenufarów. Nasze zdolności znacznie przewyższają zdolności innych syren, ale jednocześnie o wiele więcej nam potrzeba.

- Co masz na myśli?

- W porównaniu z przeciętnymi syrenami - zaczęła, zniżając głos - nasze ciała po transformacji przystosowują się bardzo szybko. Przypominają gąbki, które chłoną nie tylko słoną wodę, ale także sygnały, zarówno wysyłane, jak i odbierane. Nasze ciała wiedzą, do czego są zdolne, wobec mężczyzn i siebie nawzajem, o wiele wcześniej, niż zdamy sobie z tego sprawę. I choć tego nie czujemy, zawsze jesteśmy dziesięć kroków przed innymi syrenami - nawet jeżeli nie praktykowałyśmy ani nie doskonaliłyśmy naszych zdolności.

Zastanawiałam się nad jej słowami.

- Czy to znaczy, że posiadam moc, o której istnieniu nie wiem? I nie umiem jej kontrolować?

- Jak najbardziej. A twoja moc może być potężniejsza i zupełnie odmienna od mojej czy mocy innych Nenufarów. Pod tym względem syreny bardzo różnią się od siebie. Mogę dać ci pewne wskazówki, ale i tak musisz odkryć je sama na podstawie osobistych doświadczeń i ćwiczeń. A lekcje często przyjdą wtedy, gdy będziesz się ich najmniej spodziewała.

Przed oczami pojawił mi się obraz Rainy i Zary. Dla nich perspektywa nowych nieoczekiwanych umiejętności byłaby z pewnością ekscytująca. Dla mnie stanowiła powód

do wczolganiania się do łóżka i niewyściubiania nosa spod kołdry już nigdy więcej.

- W pewnych okolicznościach - mówiła dalej Charlotte - taka moc może przynieść ogromne korzyści. W innych, zwłaszcza takich, gdzie zaawansowane zdolności nie są pożądane, to wyczerpujące utrudnienie. Ponieważ nasze ciała nieustannie pracują, wciąż potrzebujemy nowych dostaw paliwa. Znacznie częściej i w większej ilości niż syreny o innym pochodzeniu.

W głowie mi wirowało, kiedy próbowałam przyswoić te informacje.

- Ale co... jeśli nie nadążamy z dostawą paliwa?

Na jej twarzy pojawił się przelotny smutny uśmiech.

- Może lepiej skupmy się na jednej kwestii.

Przytrzymałam jej spojrzenie, po czym odwróciłam wzrok.

Kiedy ucisk w piersi przeniósł się także na nogi i ramiona, docisnęłam dłonie do mokrego piasku, pozwalając, by skóra absorbowowała wilgoć.

- Gdybyś była jedynie młodą syreną przychodzącą do doświadczonej starszej przyjaciółki po radę - podjęła - powiedziałabym ci tak łagodnie, jak tylko się da, że normalny związek oparty na miłości nie jest możliwy. Zasugerowałabym, żebyś zakończyła tę relację, zanim sprawy jeszcze bardziej się skomplikują, i zapewniłabym, że choćby rozstanie było niesłychanie trudne, jak najszybsze podjęcie tego kroku zaoszczędziłoby tobie i twojemu wybrankowi wprost niewyobrażalnego cierpienia, z którego prawdopodobnie nigdy byś się nie otrząsnęła.

Kolejne słowa wypowiedziałam o wiele ciszej, a kiedy nie odpowiedziała, wzięłam głęboki oddech i wymówiłam je głośno:

- Ale ponieważ jestem twoją córką...

Otaczały nas odgłosy - świst wiatru, huk fal uderzających obrzeż, szum wody. Ponad tym wszystkim dosłyszałam, jak gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

- Ale ponieważ jesteś moją córką - powtórzyła cicho, z wahaniem, jakby sprawdzając, czy się nie przesłyszała - zasugeruję, żebyś zrobiła to, co ja zrobiłabym na twoim miejscu. Przekonała Simona, że jesteś kimś innym.

Spojrzałam na nią.

- Kim?

Jej oczy rozbliły.

- Osobą, którą byłaś, zanim zmieniłaś się w tę, którą jesteś teraz.

- Jak miałabym to zrobić? Moje zdolności nie działają na Simona. Sama tak powiedziałaś.

- Nie są ci potrzebne. Po prostu bądźcie razem. Cieszcie się życiem. Rozmawiajcie o tym wszystkim, o czym rozmawialiście dawniej. Róbcie to, co sprawiło, że zakochaliście się w sobie.

- Ale on jest taki dociekliwy, taki sceptyczny... Nie wiem, czy byłby w stanie po prostu cieszyć się życiem. Zwłaszcza bez omówienia wcześniej wszystkiego innego - całej tej transformacji i spraw związanych z byciem syreną. Chciałby to wiedzieć nie tylko po to, żeby zrozumieć, ale dlatego, że mu na mnie zależy. A to mogłoby zająć bardzo dużo czasu.

- Vanesso, zaufaj mi... nadejdzie chwila, kiedy oboje pożałujecie każdej straconej sekundy.

Fale uderzały o brzeg i rozpedzone toczyły się po piasku w naszą stronę, a ja próbowałam to wszystko ogarnąć. Moja spódnica była kompletnie przemoczona, a dzinsowa kurtka przywarła do ramion, ale ledwie to zauważałam. Po kilku minutach zadałam dwa ostatnie pytania.

- Skoro ten związek prędzej czy później musi się skończyć, bo - twoim zdaniem - kończą się wszystkie związki... czy ból i tak kiedyś nie nadejdzie?

Zacisnęła wargi, jakby odpowiedź próbowała zatrzymać w ustach.

- Masz rację - odparła wreszcie. - Nadejdzie.

- Więc dlaczego nie miałabym zrezygnować już teraz?

Jej palce drżały, kiedy przyłożyła zimną, wilgotną dłoń do mojego policzka.

- Dlatego że Simon cię uszczęśliwia, a ty zasługujesz na każdy okruszek szczęścia, jaki życie ma do zaoferowania. - Powoli opuściła dłoń. - Zresztą wiem, że nie potrafiłabyś.

Postanowiłam pójść za radą Charlotte. To było rozwiązanie, które właściwie i tak chciałam wybrać, a - co ważniejsze - to samo zasugerowałyby mi Justine. Kiedy dawniej leżałam nocą z otwartymi oczami, zbyt przerażona, żeby zasnąć, moja siostra kazała mi udawać, że mrok jest jasnością. Dlatego miałam pewność, że teraz kazałaby mi udawać, że ta sytuacja wcale nie jest tak poważna, jak się wydaje. Justine byłaby przekonana, że to jedyny sposób, by powstrzymać strach, zanim sparaliżuje mnie na dobre - i stracę swoją szansę.

Miałaby rację.

Mimo to wiedziałam, że nakłonienie Simona, by zapomniał o wszystkich wydarzeniach minionego roku - a przynajmniej by do nich wciąż nie powracał - będzie trudne. W końcu zwykle patrzył na sprawy z naukowego punktu widzenia i zawsze chętniej kwestionował wszystko, niż przyjmował cokolwiek za pewnik. Ale biorąc pod uwagę długą próbę nadrobienia zaległości, którą odbyliśmy w domku nad jeziorem, miałam nadzieję, że i on, choćby tylko w niewielkim stopniu, pragnie tego samego co ja i że - odpowiednio



zachęcony - rozluźni się na tyle, by przy mnie móc rozmawiać albo nie rozmawiać, śmiać się albo się nie śmiać - z taką swobodą jak dawniej.

Jedyne, co do mnie teraz należało, to rozgryźć, na czym miałyby polegać ta zachęta. Nigdy wcześniej nie planowałam randki z prawdziwego zdarzenia, Simon i ja nie byliśmy oficjalnie parą na tyle długo, by się w ten sposób umawiać, ale przy doborze scenerii przyjął dwa zasadnicze kryteria.

Po pierwsze, musiałam znaleźć miejsce, w którym nigdy wcześniej razem nie byliśmy.

Po drugie, musiało to być z dala od oceanu.

I w ten właśnie sposób, w tydzień po mojej rozmowie z Charlotte na plaży, Simon i ja znaleźliśmy się w drodze do Crawford, małego miasteczka dwie godziny jazdy na zachód od Winter Harbor. Z moich starannie sprawdzonych źródeł internetowych wynikało, że to urocza, cicha, otoczona górami miejscina, co czyniło ją doskonałym punktem startowym do odświeżenia romantycznych uczuć.

I, jak się okazało, równie doskonałym miejscem na śniadanie.

- Nie wspominałaś, że w programie dzisiejszej wycieczki są najlepsze naleśniki na kuli ziemskiej. - Simon wsunął do ust wielki kęs.

- Nie? A wspominałam o najśłodszym, najbogatszym syropie klonowym w stanie Maine?

- Produkowanym na miejscu - dodała kelnerka, dolewając nam wody do szklanek. - Z drzew, w cieniu których siedzicie.

Zadarłam głowę na liściaste konary nad naszymi głowami. Słońce przebijało się przez sklepienie liści, ogrzewając mi twarz. We wnętrzu knajpki, która na pierwszy rzut oka przypominała starą szopę, wiele stolików było pustych, ale siedziało tam też kilku farmerów sączących poranną kawę. Kiedy weszliśmy do środka, większość z nich ledwie omiotła nas wzrokiem, z wyjątkiem jednego, który tak się na mnie zapatrzył, że upuścił nóż i długo nie mógł go podnieść. To wystarczyło, żebyśmy poprosili o stół na zewnątrz, gdzie o tej porze dla innych gości najwyraźniej wciąż jeszcze było zbyt chłodno.

Opuściłam głowę. Simon podsunął mi solniczkę.

- Syrop nie jest aż taki słodki - stwierdziłam.

- Nie chcesz dosypać sobie trochę soli do wody?

Chwyciłam kawałek grzanki ze swojego talerza, skupiając się na jedzeniu.

- Dzięki. Nie potrzebuję.

- Ale czy to nie pomaga ci w zatrzymaniu wody w organizmie?

- No tak. - Wzruszyłam ramionami. - Czasami.

Moje serce dudniło w oczekiwaniu na dalsze pytania. Gdy chwilę później wciąż żadne nie padło, podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Simon przeżuwa, a sól stoi już obok pieprzniczki.

- Więc jak znalazłaś to miejsce? - zapytał Simon. - Można powiedzieć, że leży poza szlakiem.

- Podśledzałam, jak ktoś wspominał o nim „U Betty”.

- Tę odpowiedź długo ćwiczyłam, żeby nie dowiedział się, ile godzin spędziłam na poszukiwaniu wymarzonego miejsca na randkę. - Słyszałam, że to wspaniałe miejsce na całodzienną wycieczkę i że trasa, która tu prowadzi, jest wyjątkowa.

- To prawda. Kiedy jeździ się po wiejskich drogach od dwudziestu lat, człowiekowi wydaje się, że wszystkie one są jednakowo ładne. Ale ta, ze wschodzącym słońcem wyłaniającym się zza wzgórz i łąkami pełnymi kwiatów, które przy opuszczonym dachu kuszą zapachem, jakby się je miało tuż pod nosem...

- Jest niezła - przyznałam.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Całkiem niezła.

Zrewanżowałam się uśmiechem, czując, że moje ciało się rozluźnia. Jak dotąd, szło nawet lepiej, niż to sobie wymarzyłam. Kiedy Simon zjawił się wczoraj „U Betty” po swój lunch i zapytałam, czy następnego dnia nie zechciałby spędzić ze mną trochę czasu, zgodził się bez wahania. Nawet nie zapytał, co mielibyśmy robić, gdzie ani dlaczego; po prostu zgodził się i poprosił, żebym szczegóły wysłała mu SMSem. Kiedy to zrobiłam, sugerując małą samochodową wycieczkę z samego rana, odpisał prawie natychmiast, że zapowiada się bardzo przyjemny poranek. A potem, kiedy przyjechałam po niego bladym świtem, a szare niebo dopiero zaczynało różowieć, czekał już na mnie na ganku domu rodziców i podbiegł do jeepa, zanim zdążyłam zaparkować. Podczas jazdy trochę rozmawialiśmy, głównie o naszej pracy albo o piosenkach, które leciały w radiu, ale poza tym milczeliśmy, rozkoszując się rześkim powietrzem i widokami.

Atmosfera była swobodna; przemknęło mi nawet przez myśl, że to jednak może się udać.

- Chciałem ci powiedzieć - odezwał się - że Caleb i ja zamieściliśmy ogłoszenie na stronie internetowej „Heralda”. W rubryce rzeczy znalezionych. Mamy nadzieję, że temu, kto upuścił aparat, będzie bardzo zależało na jego odzyskaniu i złapie przynętę.

Albo i nie.

- Sprytne. - Pochyliłam się nad stołem i zniżyłam głos:

- Myślisz, że z tą furgonetką to tak na poważnie?

Przechylił się na bok i, omijając mnie wzrokiem, spojrział na furgonetkę czekającą z warczącym silnikiem na żużlowym parkingu. Na pace stała wysoka biała dwustronna tablica reklamowa; Simon odczytał na głos umieszczony na niej napis:

-,„Końskie »ślady« doprowadzą cię do stu magicznych akrów stanu Maine”. - Osunął się na oparcie krzesła. - Furgonetka ciągnie przyczepę. Przyczepa się porusza, chociaż sama furgonetka stoi w miejscu. Więc myślę, że to na poważnie.

Odczekałam, aż znów spojrzy mi w oczy.

- Masz ochotę tam pojechać? - zapytałam.

- Do stu magicznych akrów stanu Maine?

Pokiwałam głową i wstrzymałam oddech. Było mnóstwo powodów, dla których mógł odmówić. Po pierwsze, nie wiedzieliśmy, gdzie dokładnie leżą te magiczne akry ani jak to daleko stąd. Po drugie, to mogła być zwyczajna pułapka na turystów, a po trzecie, Simon pewnie wolał wrócić do Winter Harbor prędzej niż później, żeby razem z Calebem móc dalej bawić się w detektywów. A ponieważ długo nie odpowiadał, przygotowałam się na każdy z tych wariantów odmowy.

On jednak wrzucił kolejny kawałek naleśnika do ust, przeżuł, połknął i oznajmił:

- Lepiej, jeśli się pospieszymy. Skoro to magiczna kraina, ktoś wie, co potrafi ta furgonetka.

Roześmiałam się. Poderwaliśmy się z miejsc i nastąpiła chwila zawahania, bo oboje sięgnęliśmy po portfele w tym samym czasie.

- Ty zapłacisz przy następnej okazji - rzucił.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

- Umowa stoi.

Pomachaliśmy i podziękowaliśmy kelnerce, która odpowiedziała kiwnięciem ręki przez otwarte okno knajpki, i podbiegliśmy do jeepa. Kierowca furgonetki zdążył już wrócić i właśnie wyjeżdżał z parkingu na drogę główną. Nie można powiedzieć, żeby furgonetka była demonem prędkości, bo kiedy już ją dogoniliśmy, musiałam bez przerwy hamować, żeby nie wjechać w przyczepę i nie oberwać końskimi „śladami”, które raz po raz wypadały spod dwóch ogonów. Simon i ja spędziłyśmy następne dwadzieścia minut, śmiejąc się i żartując, a ja uznałam, że miejsce, do którego jedziemy, z pewnością jest magiczne.

Było też piękne, o czym przekonaliśmy się, gdy tylko nasz jeep wtoczył się na zwirową szosę, którą telepaliliśmy się, podziwiając ziemię uprawne wokół. Prawie kilometr dalej furgonetka przystanęła nieopodal wielkiej białej stajni. My podjechaliśmy nieco,

dołączając do kilkunastu samochodów zaparkowanych na gruntowym parkingu, i wyskoczyliśmy z wozu.

- Kłaniam się! - zawołał kierowca, kiedy podeszliśmy się przywitać. - Witajcie na farmie Langdenów. Jestem Jack, w jednej trzeciej kierowca, w dwóch trzecich sprzedawca.

- Dzień dobry. - Simon uściśnął wyciągniętą rękę Jacka i rozejrzał się dokoła. - Ależ tu pięknie.

- A żebyś pan wiedział. Tym bardziej mi przykro, że się spóźniłem.

Zerknęłam na Simona.

- Na co?

- Nie na co, a z czym. Z obwieszczeniem porannej przejażdżki. - Jack, powłócząc nogami, przeszedł na tył furgonetki, wetknął jednego buciora między górną część tylnej opony a jej obręcz i wsparłszy się na niej, wyprostował. - Były kłopoty z zaprzęgiem, a kiedy się z nimi uporaliśmy, pierwsza tura już odjechała. Reklamy nie składałem, na wypadek gdyby ktoś zechciał przyłączyć się do popołudniowej przejażdżki, ale ta wyrusza dopiero za sześć godzin. - Złapał tablicę w obie ręce i położył płasko na pace furgonetki. - A wy z daleka?

- Z Winter Harbor - odparł Simon. - To takie małe miasteczko nad...

- Wiem, gdzie to jest. - Zeskoczył z opony i zwrócił się do nas. - Ubiegłe lato to mieliście nie z tej ziemi, co?

Simon pokiwał głową. Opuściłam wzrok.

- Co racja, to racja - rzucił. - Nie z tej ziemi.

- Razem z żoną zabraliśmy wnuki, żeby pojeździły sobie na łyżwach. Kiedy stąd wyjeżdżaliśmy, było dwadzieścia sześć stopni, a po dotarciu do skraju waszych lasów temperatura spadła może do pięciu. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

- I, miejmy nadzieję, już pan nie zobaczy - powiedział Simon.

- Obyś miał rację, chłopcze. - Jack skinął na mnie głową.

- Panienska ma ubranie na zmianę?

Cała ta wymiana zdań sprawiła, że moja twarz przybrała ten sam odcień co nowa płócienna spódnica: jaskrawoczerwony. Poza spódnicą miałam na sobie białą koszulkę bez rękawów, dżinsową kurtkę i skórzane japonki.

- Niestety nie - odparłam.

- To nie szkodzi. - Otworzył drzwiczki przyczepy i poklepał zad konia, aż zwierzę zaczęło się cofać. - Zaczekajcie tu chwilę. Sprawdzę, co da się zrobić.

Odprowadził konie do stajni. Simon oparł się o furgonetkę. Ja oparłam się obok

Simona.

- Dalej dziwnie słyszeć, jak inni o tym mówią - powiedział cicho. - Zdaję sobie sprawę, że większa część kraju przynajmniej w przybliżeniu wie, co się wtedy stało... a mimo to ciągle mam wrażenie, jakbyśmy tylko my tego doświadczyli.. Wiesz, co mam na myśli?

Wiedziałam. Ale nie chciałam o tym rozmawiać. Na szczęście Jack nie kazał nam długo na siebie czekać, więc Simon zadowolił się moim milczeniem.

- Jakie macie doświadczenie w jeździe konnej? - zawołał Jack, powłóczęc nogami w naszą stronę.

- Żadnego! - odkrzyknęłam w odpowiedzi.

- Jakieś dziesięć minut na lonży na grzbiecie kucyka podczas dożynek w dziewięćdziesiątym ósmym - odparł Simon.

Jack zachichotał.

- W porządku. W takim razie są dwie opcje. - Przystanął przed nami i wskazał na stajnię za swoimi plecami. - Mamy dwa koniki gotowe do jazdy, tylko że z waszym przebiegiem bez przewodnika daleko nie zajedziecie, a wszyscy trzej są w terenie. Sam bym was zabrał na przejażdżkę, ale jestem poumawiany na spotkania. A to znaczy, że pozostaje wam przejażdżka po tej dużej łące, do czego serdecznie was zachęcam. Jest płaska, bezpieczna i doskonale widoczna z okien naszego domu, więc jeżeli będziecie mieli jakieś kłopoty, ktoś na pewno przybiegnie z odsieczą.

Zerknęłam na łąkę za plecami Jacka: przypominała raczej duże podwórko. Była dość ładna, ale też wystawiona na widok każdego, kto tędy przejeżdżał.

- Jaka jest ta druga opcja? - zapytał Simon.

- Wróćcie za sześć godzin - zaproponował Jack. - Będą na was czekały dwa koniki z waszymi imionami.

Simon spojrzał na mnie. Wzruszyłam ramionami.

- Pierwsza opcja jest OK - powiedziałam.

- No dobra. - Simon pokiwał głową. - To jedziemy.

- Fantastycznie. - Jack rzucił do mnie zwinięte w kulkę ubranie. - To ze sklepiku z upominkami. Na koszt firmy, jeżeli chcesz.

- Dziękuję. - Złapałam i rozwinęłam tłumoczek, który okazał się parą szortów khaki z logo farmy Langdenów na jednej z kieszeni. Przedstawiało stado czarnych koni galopujących pod gwiaździstym niebem. - Bardzo miło z pana strony.

- Przynajmniej tyle możemy zrobić dla naszych sąsiadów.

- Odwrócił się i, powłóczęc nogami, ruszył z powrotem. - Niedługo ktoś wam

przyprowodzi koniki, a płatnością zajmiemy się później. Bawcie się dobrze!

Kiedy zniknął za drzwiami stajni, odwróciłam się do Simona i uniosłam szorty.

- Zaraz wracam.

Mogłam bez trudu wsunąć spodenki pod spódnicę, nie odsłaniając przy tym ciała, ale konieczność przebrania się dała mi doskonały pretekst do chwili na osobności. Zanim zniknęłam za rogiem stajni, zabrałam z jeepa swoją torebkę. Upewniwszy się, że Simon wciąż stoi przy furgonetce Jacka i nie zwraca na mnie uwagi, szybko zmieniłam ubranie i opróżniłam dwie butelki słonej wody, które wcześniej schowałam do torebki. Tego ranka pływałam przez dwie godziny i wypilałam tak dużo wody, że maleńkie kropelki wypełniały pory mojej skóry, która wręcz lśniła; jak do tej pory czułam się znakomicie. Jednak nie byłam w stanie przewidzieć, jak zareaguje moje ciało, gdy przez dłuższy czas będę tak blisko Simona, więc wolałam uzupełnić zapasy soli z wyprzedzeniem, niż pozwolić, by wyczerpały się na jego oczach.

- Ho, ho, ale cię przysuszyło.

Odwróciłam się. Podszedł do mnie młody chłopak ubrany w dżinsy i polar z logo farmy Langdenów. Trzymał szpadel w dłoni.

- Co proszę? - zapytałam.

Skinął na pustą butelkę wody, którą trzymałam w ręce.

- Opróżniłaś całą butlę i ani razu nie zaczerpnęłaś powietrza. Jestem pod wrażeniem.

- Dzięki. - Próbowałam się uśmiechnąć i zwiększyć dystans między nami, idąc tyłem.

- Najwyraźniej chciało mi się pić bardziej, niż sądziłam.

- Zgubiłaś się? Mogę ci w czymś pomóc?

Przyspieszył kroku. Ja zrobiłam to samo i, zahaczając piętą o jakiś kamień, upadłam. Krzyknęłam, a wtedy ktoś z tyłu wsunął mi ręce pod ramiona i pomógł wstać.

- Nic jej nie jest - powiedział Simon. - Niczego nie potrzebujemy.

Próbowałam wyrównać oddech. Chłopak zatrzymał się z lekko uniesionym szpadlem. Sekundę później opuścił go i zaczął się wycofywać.

- Spokojnie, stary. Ja tylko robię, co do mnie należy.

Nie poruszyliśmy się, dopóki nie zniknął za ścianą stajni.

- Może powinniśmy stąd jechać - zaproponował Simon. Wcisnęłam puste butelki do torebki i obróciłam się w jego stronę.

- Nic z tego. Czuję się świetnie i jestem gotowa na przejażdżkę.

- Ten gość mógł...

- Ten gość był niegroźny. Na pewno nic by nie kombinował, a gdyby spróbował,

dałabym sobie z nim radę.

Byłam tego pewna w mniejszym stopniu, niż wskazywał ton mojego głosu, ale to najwyraźniej nieco uspokoiło Simona. Nie protestował, kiedy ścisnęłam jego dłoń i powiedziałam:

- Chodź. Osiodłamy nasze jednorożce, Pegazy czy inne mityczne stworzenia, czymkolwiek są te nazywane przez nich niepozornie koniki.

Kiedy się obróciłam, ujrzałam, że naszym środkiem lokomocji po stu magicznych akarach stanu Maine są naprawdę zwyczajne konie. Mnie przypadła lekko utykająca kasztanowa klacz z białym rombem na całej długości pyska, Simonowi zaś starszy stalowoszary ogier. Dziadziusiowaty dżentelmen udzielił nam kilku wskazówek co do stawania, ruszania i prowadzenia koni, a także zademonstrował, jak na nie wsiadać i jaką pozycję przybierać w siodle.

Zaczęliśmy ode mnie: postawiłam lewą stopę w strzemieniu i chwyciłam wodze, by się podciągnąć. Już miałam przerzucić prawą nogę przez grzbiet, kiedy Simon obiema rękami delikatnie chwycił mnie za biodra. Chciał mnie podsadzić, jednak jego nieoczekiwany dotyk sprawił, że straciłam nie tylko oddech, ale i równowagę. Przerzuciłam drugie ramię ponad siodłem i całą siłą tułowia wciągnęłam resztę ciała.

- Bułka z masłem. - Uśmiechnęłam się i odgarnęłam kosmyk włosów z oczu.

Simon poklepał moją klacz, jakby prosił, by obchodziła się ze mną delikatnie, po czym podszedł do swojego konia. Dopiero po kilku próbach udało mu się zasiąść w siodle, ale trudno mi było stwierdzić, czy to dlatego, że koń był płochliwy, czy może Simon.

Kiedy oboje usadowiliśmy się wygodnie, pokierowaliśmy konie w górę i w dół podjazdu. Instruktor, najwyraźniej zadowolony z naszych nowo odkrytych umiejętności, pozwolił nam wyjechać na łąkę, ale nakazał trzymać się ogrodzonej strefy imieć cały czas gospodarstwo na widoku. Robiliśmy, jak nam kazano, dopóki nie spostrzegłam szlaku, który rozpoczynał się w odległym krańcu łąki.

- Jak myślisz, dokąd prowadzi? - wyszeptalam, jakby ktoś mógł nas usłyszeć. - Do zamku Kopciuszka? Na drugą stronę lustra? Do krainy Oz?

- Może w każde z tych miejsc? - powiedział Simon.

Widząc już tylko dach gospodarstwa, zatrzymałam klacz i zawróciłam na niewielkie wzniesienie. W polu widzenia znalazło się drugie piętro domu. Wtedy znów zaciągnęłam wodze. Klacz stanęła.

- Coś nie tak?

Obróciłam się. Brwi Simona były zmarszczone, dłonie kurczowo zaciśnięte na

wodzach. Uśmiechnęłam się, żeby go uspokoić, po czym szybkim ruchem szturchnęłam piętami boki konia. Klacz ruszyła z kopyta ku początkowi szlaku.

- Vanesso, co ty...? Jack mówił, żeby...

Mijając Simona, wstrzymałam oddech i wjechałam na szlak. Początkowo nie słyszałam nic poza uderzeniami kopyt mojej klaczy o ubitą ziemię, ale wkrótce dołączyło do nich dudnienie drugich, szybszych.

Odetchnęłam i raz jeszcze lekko szturchnęłam konia piętami. Klacz przyspieszyła kroku; kłusowała teraz ścieżką prowadzącą między bujnie porośniętymi pagórkami, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Początkowo niezgrabnie - i boleśnie - odbijałam się od grzbietu klaczy w siodle, ale po chwili eksperymentowania zaczęłam miarowo unosić biodra i poruszać się w rytm końskich kroków. Moje serce dudniło, kiedy nasłuchiwałam, czy nie rozlega się nigdzie odgłos kopyt trzeciego konia, może nawet warkot samochodu doganiającego nas z tyłu, zajeżdżającego nam drogę, nakazującego oddanie wierzchowców i opuszczenie posiadłości, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Po dziesięciu minutach jazdy dotarliśmy do miejsca, w którym szlak zniknął w głębi gęstej połaci lasu. Pociągnęłam lekko za wodze i czekałam, aż Simon zasugeruje, żeby zawrócić na polanę. Ale i to nie nadeszło. Ruszyliśmy naprzód.

Niewiele czasu upłynęło, zanim zdążyliśmy się przekonać, dlaczego kraina stu akrów zyskała sobie miano magicznej. Ścieżka zwężała się, a drzewa, które rosły tu w większych odstępach, stały się bardziej strzeliste. Cienkie strużki światła sączyły się przez falujące gałęzie, sprawiając, że powietrze skrzyło się, a ziemia lśniła przedziwną poświatą. Kwiaty w barwach fioletu, czerwieni i żółci rozkwitały bujnie pod ochronnym sklepieniem liści. Motyle unosiły się lekko pośród płatków. Ptaki świergotały, a ich trele brzmiały miękko i słodko. Kiedy nasze konie kroczyły krętą ścieżką, odniosłam wrażenie, jakby to miejsce nas otulało, a nie jakbyśmy to my się tędy przedzierali.

Przez cały czas milczeliśmy. Kiedy zbliżaliśmy się do starego zadaszonego mostku, żadne z nas nie zapytało drugiego, czy ma ochotę na chwilę się zatrzymać. Po prostu oboje przystanęliśmy, zsunęliśmy się z końskich grzbietów, owinęliśmy wodze wokół konarów drzew i ruszyliśmy ku czerwonej drewnianej konstrukcji. Doszliśmy w milczeniu na środek mostu i oparliśmy się o niską balustradę. Kiedy spoglądaliśmy na strumień migoczący trzy metry pod nami, miałam świadomość tylko dwóch rzeczy: naturalnego piękna otaczającego nas krajobrazu i... ramienia Simona ocierającego się o moje ramię.

Po chwili Simon się odezwał:

- Kiedy to stałaś się taka odważna?



Uniosłam spojrzenie znad wody i utkwiłam je w wysokim wiecznie zielonym drzewie.

- Dawniej byś tego nie zrobiła. - Mówił cicho i z zadumą.

- To znaczy czego?

- Nie zignorowałaś zakazu. Nie złamałaś zasad. Wiem, że Jack może nie należy do osób szczególnie budzących postrach, ale mimo wszystko. Powiedział nam, gdzie powinniśmy zostać, tymczasem... proszę, jesteśmy tutaj. Dawna Vanessa byłaby zbyt przerażona - niekoniecznie tym, że wpakuje się w tarapaty, ale że sprawi komuś zawód - żeby dotrzeć aż tutaj.

Dawna Vanessa. Czy to znaczyło, że moje próby przekonania go, że jestem kimś innym, kimś nowym i lepszym, skutkowały?

Jakby w odpowiedzi na moje pytanie Simon mówił dalej:

- Zresztą to nie wszystko. Chodzi też o to, jak zlekceważyłaś zachowanie tego gościa za stajnią. I o to, jak nalegałaś na samotny powrót samochodem tamtej nocy...

- Na co mi nie pozwoliłeś - przypominałam mu. - Jechałeś za mną całą drogę, aż do podjazdu.

- Wiem. I zrobiłbym to znowu. Ale to nie znaczy, że nie byłaś przekonująca. Wcześniej może nie odważyłaś się zapytać, czy dopilnuję, żebyś bezpiecznie dotarła do domu, ale nie protestowałaś, gdybym to zaoferował.

Nic nie odpowiedziałam. Miał rację.

- Nawet to - dodał ciszej. - Zapraszasz mnie na wspólną wycieczkę, tym bardziej kiedy sprawy między nami są tak... niezdefiniowane. To coś nowego. Innego.

- Dawna Vanessa czekałaby, aż sam po nią przyjdiesz.

- Tak. Tak sądzę.

- A przyszedłbyś?

Roześmiał się lekko.

- Widzisz? Nawet to. Dawniej nigdy nie zadałabyś takiego pytania.

Po tych słowach nastąpiła długa pauza. Czekałam na jego odpowiedź.

- Hm... - Stał teraz wyprostowany, z dłońmi wspartymi okrawędź balustrady. - Czy przyszedłbym do ciebie? Jako ktoś więcej niż przyjaciel?

Łokciem szturchnął mój łokieć. Wstrzymałam oddech.

- Chyba nie miałbym wyboru.

W tym momencie dawna Vanessa - to znaczy ta sprzed tygodnia - natychmiast wybiłaby sobie z głowy to, co chwilę później zrobiła nowa Vanessa.

Pocałowała go. Ja go pocałowałam. Nie obracając się i nie czekając, aż on obróci się

do mnie, nie przybliżając się w nadziei, że on zrobi to samo, położyłam dłoń na jego barku, pociągnęłam na tyle, by móc wpasować się w ciasną przestrzeń między nim a balustradą mostu, wspięłam na palce... i pocałowałam go.

Może to właśnie miała na myśli Charlotte na plaży kilka tygodni temu. Moje ciało działało bez porozumienia z rozumem, który w normalnym wypadku by je powstrzymał. Czyżby ujawniła się tu moja moc?

Tak czy inaczej, gdybym wiedziała, co nastąpi po tym jednym pocałunku, zdecydowałabym się na niego wcześniej. Bo oto wszystko - wszelkie niezdecydowanie, pytania i zastrzeżenia - zniknęło. Cała nerwowość ustąpiła miejsca radosnemu podnieceniu, onieśmienie odwadze. Zwykle nasze pocałunki, zwłaszcza te pierwsze, które następowały po kilku dniach niewidzenia, były delikatne. Nieśmiałe. Czułe. Tym razem pominęliśmy ten etap, nasze usta poruszały się, a wargi rozchyłały tak, jak działo się tylko w punkcie kulminacyjnym najgorętszych pieśczoł. Jego dłonie były silne, kiedy zdecydowanie zsunął je po moich plecach i chwycił za biodra. Całym ciałem przywarłam do niego, jakbym wiedziała, bez cienia wątpliwości, że tego właśnie pragnie, że nie odsunie się ode mnie.

I wtedy niespodziewanie sama się odsunęłam.

Pochylił się do przodu, dociskając mnie do balustrady. Na krótką chwilę wypuściłam z rąk jego sweter, żeby oprzeć obie dłonie na poręczy, i uniosłam się. Nogami oplotałam go w pasie, a on chwycił mnie dłońmi za uda. Jego usta przesunęły się po mojej szyi, całując nagą skórę ponad krawędzią koszulki. Wsunęłam mu palce we włosy i przyciągnęłam jego twarz jeszcze bliżej. Jedną ręką objął mnie w talii, podczas gdy druga powędrowała w górę po moich plecach, chwyciła za kołnierz dżinsowej kurtki i szarpnęła, aż materiał zsunął się z ramienia. Kiedy jego usta muskały mój bark, palce znów powędrowały w górę i odsunęły na bok cienkie ramiączko bluzeczki. Jego druga ręka pięła się w górę po prawym udzie, wślizgując pod mankiet spodenek. Zaciśnęłam uda wokół jego pasa i całowałam po wszystkim, czego mogłam dosięgnąć - po szyi, brodzie, miękkim płatku ucha.

Czuję się dobrze, pomyślałam, przygotowując się do odpowiedzi na pytanie, które miało nadejść. Właściwie czuję się wspaniale. To... ty... jesteś właśnie tym, czego chcę. Tylko tego chcę.

Jednak pytanie, które Simon zadawał zawsze, bez względu na to, ile razy byliśmy razem, wcale nie padło.

Albo byłam jeszcze bardziej przekonująca, niż sądziłam, albo ktoś inny też stał się śmielszy.

- Czy zdajecie sobie sprawę, że wasze konie odjechały bez was?

Simon odskoczył. Ja zasłoniłam usta, jakby próbując zniszczyć dowody na to, co właśnie robiliśmy, po czym ześlizgnęłam się z balustrady.

Na wysokim koniu przy krańcu mostu siedział Jack. Skinął w stronę szlaku, gdzie z wolna kroczyły nasze konie.

- Dobrze by było, gdybyście je dogonili - podsunął. - Szuka was pół tuzina ludzi, a para koni bez jeźdźców raczej nie doda im otuchy.

Mówiąc to, zawrócił i... puściwszy do nas oko, odjechał galopem.

Na chwilę powietrze stężało, a wtedy Simon i ja parsknęliśmy śmiechem. Ta reakcja sprawiła, że poczułam się cudownie - byłam tak naładowana energią, że nawet nie martwiłam się tym, jakie czekają nas konsekwencje po powrocie na farmę.

- Chodź do mnie - powiedział Simon, kiedy się uspokoiliśmy. Wyciągnął rękę, a gdy ją chwyciłam, przyciągnął mnie do siebie. - Vanesso...

Nie powiedział nic więcej, a ja pokiwałam głową wspartą na jego piersi.

- Wiem. Ja też.

Ucałował mnie w czubek głowy, czubek nosa i w usta. Miętko. Delikatnie. Czule.

Dogoniliśmy nasze konie i ruszyliśmy w stronę farmy. Co prawda nie ponieśliśmy żadnych konsekwencji swojego wyczynu, ale też nie usłyszeliśmy ciepłych słów na pożegnanie.

Nie spiesziliśmy się w drodze powrotnej do Winter Harbor. Przez jakiś czas jeździliśmy po okolicy, zjedliśmy lunch, weszliśmy do kilku sklepów ze starociami i zatrzymaliśmy się na niespieszny obiad. Poruszaliśmy tylko lekkie tematy i ani razu nie wróciliśmy do sprawy zeszłego lata, jesieni ani nawet zeszłego tygodnia. Nawet mi to nie przeszło przez myśl.

Chyba żadne z nas nie chciało, by ten dzień się skończył, ale zgodnie uznaliśmy, że jeśli mamy to w przyszłości powtórzyć, nie możemy teraz przyprawiać o zmartwienia naszych rodziców. Kiedy więc słońce chyliło się ku zachodowi, wyruszyliśmy na wschód.

Samo to, że Simon chciał nadal spędzać ze mną czas, było pokrzepiające. Kiedy zaoferował, że w drodze powrotnej poprowadzi, bez wahania oddałam mu kluczyki. Od porannego pływania minęło dwanaście godzin i choć ukradkiem nieustannie brałam po parę łyków słonej wody, moja energia stopniowo słabła. Poza tym mieliśmy za sobą dzień tak pełen wrażeń, że uznałam, iż po tym wszystkim, co robiliśmy, mam prawo czuć się zmęczona.

W pewnym momencie musiałam przysnąć, bo w jednej chwili podziwiałam różowiejące niebo nad łąką pełną kwiatów, a w drugiej w pełni rozbudzona wpatrywałam się

w migające czerwone światła.

- Co się stało? - zapytałam, siadając prosto. - Gdzie jesteśmy?

- Wygląda na wypadek. - W głosie Simona słyhać było napięcie. Prowadził jeepa powoli, posuwając się naprzód w leniwym ogonku aut. -1 właśnie przejechaliśmy wjazd do Winter Harbor.

Wypadki bez przerwy się zdarzają. Wiedziałam, że zdarzają się bez przerwy, zwyczajnym ludziom, ze zwyczajnych powodów. Dlatego też zdołałam zachować spokój, kiedy mijaliśmy dwa radiowozy i ambulans i zbliżaliśmy się do kręgu ratowników prowadzących właśnie reanimację.

W pewnej chwili jeden z ratowników się odsunął. Plastikowa maska zsunęła się z ust dziewczyny, a jej głowa bezwładnie opadła na bok.

A wtedy pozbawione życia oczy Carli zatrzymały się na moich.

„Wstrząsająca wiadomość: śmierć 18-letniej gwiazdy szkolnej bieźni z Winter Harbor.

Niewiele ponad rok po tym, gdy u podnóża urwiska Chione znaleziono ciało Justine Sands, pierwszej ofiary ubiegłorocznej fali śmiertelnych wypadków, doszło do kolejnej tragedii. Zwłoki Carli Marciano, tegorocznej absolwentki liceum w Winter Harbor i rekordzistki w biegach na 400 metrów, odkryto przy skrzyżowaniu Mapie Lane i Washington Avenue.

Śledztwo, jest w toku, a policja pilnie poszukuje świadków. Jeżeli ktoś z Państwa lub znanych Państwu osób ma jakiegokolwiek informacje na temat zdarzeń, które doprowadziły do śmierci panny Marciano, prosimy o kontakt z wydziałem policji w Winter Harbor pod numerem 207-555-3900.

Więcej informacji wkrótce, zapraszamy do czytania aktualności”.

- Ta wiadomość trafiła na stronę internetową „Heralda” w niecałe dwanaście godzin - zauważyła Paige, przewijając myszką do góry ekranu. - Ludzie odwiedzający to miasto po raz pierwszy nigdy by nie zgadli, że do ubiegłego lata widniała na tej stronie jedynie podobizna tekturowego kraba przypominającego, by nie śmiecić i podnosić papierki na ulicach.

- I to wszystko? - zapytałam. - Tylko tyle masz do powiedzenia?

Paige zamknęła wieko laptopa i opadła na oparcie krzesła.

- Oczywiście, że nie. To okropne. Tragiczne. I piekielnie mnie przeraża. Ale jeśli zacznę mówić o tym, jak bardzo, chyba całkiem zwariuję. A to dopiero początek lata i wolałabym, żeby jeszcze mi kompletnie nie odbiło.

Rozejrzałam się, chcąc się upewnić, że nadal jesteśmy same na tarasie dla personelu.

- Przecież ją znałaś. Czy kiedykolwiek wspominała o czymś, co by sugerowało...

- Że była prześladowana przez mściwe syreny? Nie. Zresztą pracowała tu tylko kilka dni, z czego połowę czasu spędziła, biegając jak oszalała, a drugą połowę, mażąc się. Dowiedziałam się o niej tylko tyle, że jest uzależniona od chusteczek higienicznych Kleenex.

- Paige opuściła wzrok na kolana, potem spojrzała w stronę przystani. - A raczej była.

Popatrzyłam za jej spojrzeniem. Powierzchnia wody była niewzruszona, spokojna. Bezchmurne niebo - niebieskie. Jak wczoraj i przedwczoraj, i dzień wcześniej, pogoda w Winter Harbor była wspaniała. To powinno być pocieszające, jako że zeszłoroczne ofiary, nie wyłączając Justine, zawsze znajdowano po przejściu gwałtownej burzy... jednak to tylko czyniło sytuację bardziej zagadkową.

- A jak ty się czujesz? - Paige odwróciła się w moją stronę.

- No wiesz, okropne jest już samo to, że widziałas ją tam, na środku drogi, ale...  
czytanie nazwiska swojej siostry w sieci...

- Odsunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy i pochyliła się w moją stronę. -  
Wszystko w porządku? Może chciałabyś wziąć dzień wolnego? Spędzić trochę czasu z  
rodzicami?

- Dzięki, ale nie. Nic mi nie jest. Męczy mnie co prawda poczucie winy, ale poza tym  
w porządku.

- Poczucie winy? Z jakiego powodu?

- Z powodu pierwszej rzeczy, jaka przeszła mi przez myśl na widok wczorajszej  
ofiary.

Paige przykryła moją leżącą na stoliku dłoń swoją ręką.

- To okropne, tragiczne wydarzenie, bez względu na wszystko, tak jak mówiłaś, i...

- Mów śmiało, Vanesso.

- Poczułam ulgę, że to dziewczyna. - Słowa wypłynęły z moich ust. - To okropne,  
wiem, ale...

- To wcale nie jest okropne. To naturalne. Ja pomyślałabym to samo.

Westchnęłam.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. I nie mówię tego, bo to właśnie chciałabyś usłyszeć. - Zrobiła pauzę. -  
Wiesz, inni ludzie prawdopodobnie pomyślą o tym samym. Ta wzmianka na stronie  
„Heralda” to dopiero początek. Większe kanały informacyjne może początkowo tego nie  
podłapią, ale przynajmniej tu, w okolicy, ludzie będą mówić, porównywać...

- Chcesz powiedzieć, że będą porównywać Carlę do Justine? Ponieważ była pierwszą  
ofiara i jedyną dziewczyną?

Twarz Paige skrzywiła się przepaszająco.

- Wiem. Ale przecież są duże różnice, a największa z nich to ta, że Carla nie została  
znaleziona w pobliżu wody. Poza tym przy tamtym skrzyżowaniu jest ostry zakręt, więc  
istnieje duże prawdopodobieństwo, że została potrącona, a kierowca zbiegł z miejsca  
wypadku. Dlatego nie przejmuj się. Przecież obie wiemy, że to niemożliwe, by coś takiego  
jak ubiegłe lato zdarzyło się znowu. - Wzruszyłam ramionami. - Więc niech sobie gadają.

Ścisnęła moją rękę.

- Nieustraszona. Jak powiedział pewien przystojny spozstrzegawczy naukowiec.

Dokończyłam mrożoną kawę, jakby miała zatrzymać ciepło rozchodzące się po mojej  
twarzy.

- Skoro o nim mowa, powinnam już iść na dół. Napisał dziś rano, że razem z Calebem wstąpią tu na śniadanie. I nie martw się - za ten posiłek zapłacą. Jestem pewna, że chce się przekonać na własne oczy, że dotarłam tu w jednym kawałku.

- Daj spokój. Jeżeli Simon zażyczy sobie filet mignon zamiast kanapki z jajkiem na bekonie, dostanie go, i to zupełnie za darmo. Każdy, kto tak uszczęśliwia moją Vanessę, ma prawo do wszystkiego, co mu się tylko zamarzy. - Uśmiech błąkał się po jej twarzy, gdy wstawała, zabierając laptopa i teczki. - A Caleb jest w porządku. Oczywiście jako kolega.

- No oczywiście.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Już miałam zapytać, czy coś mi umknęło, gdy w jednej chwili jej uśmiech zniknął i spojrzała na mnie z pełną powagą.

- A swoją drogą, chciałam cię przeprosić. Za tamten wieczór w „Skrzydłkach i Udkach Murphiego”. Nie miałam okazji zrobić tego wcześniej, a naprawdę zależy mi, żebyś wiedziała, jak strasznie się po tym czułam. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło... Chyba miałam już tego dość, wiesz? Po obejrzeniu tych wszystkich zdjęć i wywlekaniu tych spraw raz jeszcze...

Ja też wstałam.

- Nic się nie stało. Rozumiem.

Wyciągnęła rękę. Objęłyśmy się ponad blatem stołu.

- Widzisz? - Pociągnęła nosem. - Jestem o jedną tragedię od kompletnego załamania nerwowego.

- W takim razie całe szczęście, że ta wczorajsza była ostatnia.

Zeszliśmy na dół, a w kuchni każda z nas poszła w swoją stronę. Paige podeszła do Louisa, który wyglądał, jakby przeżywał własne mini załamanie nerwowe przed frytkownicą, a ja skręciłam do jadalni.

- Vanesso! Dzięki Bogu!

Zastygłam przy barze. Drzwi wahadłowe wróciły i popchnęły mnie naprzód. Natalie potraktowała mój ruch jako pewnego rodzaju zachętę i, przemykając obok, wpackowała mi w rękę dzbanek do kawy.

- Przy stoliku numer osiem prosili o dolewkę, na dziesiątce potrzebne jest kolejne nakrycie, a na czwórcie skończył się cukier.

- Dobrze, ale ja nie...

- Aha, wiesz może, jak uruchomić klimatyzację? Trochę tu gorąco od tych wszystkich ciał! Dzięki!

Wciąż trzymając dzbanek z kawą, rozejrzałam się po sali i policzyłam.

Osiem stolików. W jadalni było dwadzieścia stolików... i tylko osiem z nich stało pustych. Bez wątpienia był to dzień największego ruchu „U Betty” od początku lata.

Z kuchni za mną dobiegał szczeł naczyń. Robiło się też coraz głośniejsze od rozmów. Ruszyłam z miejsca, zaczynając od dolewki przy stoliku numer osiem.

- Najwyższy czas - chrząknął jeden z mężczyzn, kiedy napełniałam jego filiżankę.

- Przykro mi, że musiał pan czekać - przeprosiłam. - Na tej zmianie mamy za mało pracowników.

- Niech pani nie zwraca na niego uwagi - powiedział jego towarzysz. - Zwykle i tak pije przypaloną kawę w papierowym kubku z kawiarenki na stacji paliw.

Kiedy się uśmiechałam, mój wzrok spoczął na ich dłoniach. Pierwszy miał na palcu obrączkę. Drugi nie.

- Mogę coś jeszcze dla panów zrobić? - zapytałam.

- Może pani podać swój numer telefonu. - Gość bez obrączki wysączył kawę, którą mu właśnie nalałam, i szczerząc zęby, podsunął filiżankę. Ponownie ją napełniłam.

- Kelnerka za moment panów obsłuży.

- Nie ma pośpiechu. - Uśmiechnął się szerzej. - Kiedy ma się tak miły widok, można się nim napawać w nieskończoność.

- Posłałam mu wymuszony uśmiech i odwróciłam się. Świadoma odprowadzającego mnie spojrzenia, pomknęłam w stronę baru, skąd zabrałam zestaw sztućców i cukiernicę. Dostarczyłam i jedno, i drugie do właściwych stolików, zbyt szybko, żeby wzbudzić czyjeś nadmierne zainteresowanie, i ruszyłam do holu, gdzie kilku klientów czekało na odprowadzenie ich do stolika. Zgarnęłam z lady recepcyjnej karty dań i zaprowadziłam trzy grupy, składające się wyłącznie z mężczyzn, do wolnych stolików. Zerknąwszy na swoje odbicie w lustrze nad zaciemnionym kominkiem, już teraz zauważyłam warstewkę potu na czole i przypomniałam sobie pytanie Natalie o klimatyzację. Termostat znajdował się na drugim końcu jadalni, obok wejścia do kuchni. Podbiegłam tam od razu, trzymając się obrzeży sali, żeby zachować bezpieczny dystans od mojego adoratora.

Obniżyłam właśnie temperaturę z dwudziestu pięciu stopni, co według Paige było dla nas dolnym progiem ze względów oszczędnościowych, do dwudziestu dwóch, kiedy w kieszeni szortów zabrzączał telefon.

„Caleb zaspał. Będę niedługo. S.”.

Odpisałam.

„Nie spiesz się. Nigdzie się stąd nie ruszam”.

- Studnia bez dna.



Podniosłam wzrok. Obok mnie stała Paige, z rękami wspartymi na biodrach owiniętych fartuszkim, ze wzrokiem utkwionym w tłumie.

- Co takiego? - Usłyszałam, co mówi, ale nie wiedziałam, co ma na myśli.

- Ojciec Natalie zawarł pewnego rodzaju układ z każdym, kto przyjdzie tu przed ósmą rano. Więc serwujemy darmowe napoje i nieograniczone dolewki wszystkiego, o co poproszą

- kawy, herbaty, soku pomarańczowego, coli. A jeżeli zechcą napełnić termosy przed wyruszeniem na połów, zrobmy i to.

Coś dziwnie załaskotało mnie w podbrzuszu - podejrzliwość, nieufność, zazdrość?

- Jak to: ojciec Natalie? A co on ma z tym wszystkim wspólnego?

Paige zdjęła z nadgarstka frotkę i zebrała swoje ciemne włosy w koński ogon.

- Któregoś dnia zrobiłyśmy burzę mózgów w poszukiwaniu pomysłów na rozkręcenie interesu, a ona podzieliła się tym ze swoim ojcem, który najwyraźniej szepnął słówko każdemu na przystani. Normalnie bym się wściekła, ale... sama spójrz na te tłumy. - Odwróciła się do mnie z błyskiem w błękitnych oczach. - Może jednak wypłyniemy na powierzchnię.

Otworzyłam usta, żeby zadać więcej pytań, ale zamknęłam je, gdy wyjęła z kieszonki fartuszka długopis i notes i wyciągnęła je w moją stronę.

- Nie masz nic przeciwko temu, co? Zbierzesz kilka zamówień w przerwie między sadzaniem gości przy stolikach. Tylko dzisiaj, obiecuję. Gdy będę miała wolną chwilę, podzwonię do osób, które się pozwalniały kilka tygodni temu. - Pochyliła się i ucałowała mnie w policzek. - Dziękuję. Zawsze mogę na ciebie liczyć.

Zobaczyłam, że wyciąga z kieszonki drugi zestaw kartek z ołówkiem i nurkuje w morze stolików.

Zanim została kierowniczką, pracowała jako kelnerka, i teraz uśmiechała się i gawędziła, i żartowała, w jednej chwili oczarowując klientów. Dopiero kiedy minęła mojego adoratora, który otaksował ją spojrzeniem, zdałam sobie sprawę, jak wielu mamy klientów płci męskiej. Spośród, licząc ha oko, trzydziściorga gości jedynie czworo miało torebki przewieszane przez oparcie krzesła. Reszta to byli niechlujni, ogorzali, głodni mężczyźni. I to nie zwyczajni mężczyźni, tylko rybacy, którzy ładowali akumulatory przed wypłynięciem w morze.

Restauracja Rybna „U Betty” była w tym miejscu od wieków, ale w ostatnich latach chętniej odwiedzali ją raczej turyści niż tubylcy. Ten tłum był z całą pewnością nowy - i bardzo potrzebny. Dlatego mimo zastrzeżeń, z których większość miała związek z propozycją rozdawania darmowych napojów bez oficjalnej zgody Paige, ruszyłam ku jednemu ze

stolików, przy którym chwilę wcześniej usadziłam gości.

Przez następne dwadzieścia minut nie miałam chwili wytchnienia. Ledwie zipsałam. Tak jak Paige i Natalie przyjmowałam zamówienia, napełniałam szklanki, serwowałam dania, Otworzyłam usta, żeby zadać więcej pytań, ale zamknęłam je, gdy wyjęła z kieszonki fartuszkę długopis i notes i wyciągnęła je w moją stronę.

- Nie masz nic przeciwko temu, co? Zbierzesz kilka zamówień w przerwie między sadzaniem gości przy stolikach. Tylko dzisiaj, obiecuję. Gdy będę miała wolną chwilę, podzwonię do osób, które się pozwalniały kilka tygodni temu. - Pochyliła się i ucałowała mnie w policzek. - Dziękuję. Zawsze mogę na ciebie liczyć.

Zobaczyłam, że wyciąga z kieszonki drugi zestaw kartek z ołówkiem i nurkuje w morze stolików.

Zanim została kierowniczką, pracowała jako kelnerka, i teraz uśmiechała się i gawędziła, i żartowała, w jednej chwili oczarowując klientów. Dopiero kiedy minęła mojego adoratora, który otaksował ją spojrzeniem, zdałam sobie sprawę, jak wielu mamy klientów płci męskiej. Spośród, licząc na oko, trzydziściorga gości jedynie czworo miało torebki przewieszane przez oparcie krzesła. Reszta to byli niechlujni, ogorzali, głodni mężczyźni. I to nie zwyczajni mężczyźni, tylko rybacy, którzy ładowali akumulatory przed wypłynięciem w morze.

Restauracja Rybna „U Betty” była w tym miejscu od wieków, ale w ostatnich latach chętniej odwiedzali ją raczej turyści niż tubylcy. Ten tłum był z całą pewnością nowy - i bardzo potrzebny. Dlatego mimo zastrzeżeń, z których większość miała związek z propozycją rozdawania darmowych napojów bez oficjalnej zgody Paige, ruszyłam ku jednemu ze stolików, przy którym chwilę wcześniej usadziłam gości.

Przez następne dwadzieścia minut nie miałam chwili wytchnienia. Ledwie zipsałam. Tak jak Paige i Natalie przyjmowałam zamówienia, napełniałam szklanki, serwowałam dania, sprzątałam ze stołów i wycierałam je, odprowadzałam nowo przybyłych gości do stolików, i tak w kółko. Oprócz tego ignorowałam komplementy i unikałam flirtów, co było jeszcze trudniejsze - i bardziej wyczerpujące - niż spełnianie próśb gości z wyprzedzeniem. Wkrótce byłam tak rozgrzana, spragniona i zmęczona, że między poszczególnymi obowiązkami zaczęłam dawać nura za bar, żeby raz po raz napić się słonej wody.

Właśnie ukradkiem wzięłam łyk i szybko się podniosłam, gdy w kieszeni zabrzączał telefon. Odczytałam nową wiadomość od Simona.

„Jedziemy. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę”.

Słowa były rozmazane. Mrugnęłam, żeby odzyskać ostrość widzenia, i złapałam się

ręką za głowę, bo wszystko wokół mnie zawirowało. Zamknęłam klapy telefonu, przykucnęłam i wzięłam duży łyk ze szklanki, którą trzymałam pod ladą. Znow wstałam. Tym razem zatoczyłam się na lewo. Chwyliłam się kasy, żeby nie upaść.

- W damskiej skończył się papier - ogłosiła Paige, przemykając obok w drodze do kuchni. - Dołóżysz parę rolek? Co? Dzięki!

Czuąc ulgę, że mam pretekst, by opuścić salę, zabrałam spod lady zapasową solniczkę i ruszyłam w stronę holu, gdzie mieściły się toalety. Z każdym krokiem nogi zdawały się coraz bardziej miękkie, a kiedy w zasięgu mojego wzroku znalazły się drzwi wejściowe do restauracji, w kilku susach przemierzyłam pozostały dystans i wpadłam do damskiej toalety.

Najpierw upewniłam się, że obie kabiny są puste, po czym zamknęłam drzwi na zamek i odkręciłam wodę. Kiedy jedna z umywalk napędziła się, odkręciłam metalową nakrętkę solniczki i wsypałam do wody całą jej zawartość. Mieszając wodę, badałam swój wygląd w lustrze - i cieszyłam się, że jestem sama, bo nikt nie słyszał mojego sapania.

Wcześniej tego ranka, po zwyczajowym pływaniu i kąpeli, wyglądałam w porządku, zupełnie normalnie. Ale teraz moja skóra przypominała białą porcelanową umywalkę, a przy tym było mi tak strasznie gorąco, że pot spływał mi po twarzy i szyi strumieniami, brudząc kołnierzyk koszulki. Przed wyjściem z domu wysuszyłam włosy, ale teraz były mokre jak po kąpeli w oceanie. Bezbarwny błyszczak, który od jakiegoś czasu nakładałam na usta, kompletnie wyparował - wargi miałam jasnofioletowe i spierzchnięte.

Ale najgorzej prezentowały się moje oczy. Zwykle miały odcień orzechowy i były nakrapiane niebieskimi plamkami. Od czasu do czasu, w zależności od światła, wydawały się szare - czasem nawet srebrzyste. Ostatnio coraz częściej zauważałam metaliczny połysk, który przyprawiał mnie o mdłości, bo srebrne oczy są typową cechą większości syren.

Z moimi oczami jednak działo się coś gorszego.

Nie chodziło o sam kolor, który przechodził z szaroniebieskiego przez stalowoszary aż po czarnozielony, i przypominał mroczne głębie oceanu. Nie chodziło nawet o cętkowaną mgielkę, którą zdawały się skrywać. Po prostu wyglądały na znacznie mniejsze, ponieważ... moja skóra stała się bardziej miękka i lekko obwisła. Brwi opadły, powieki się osunęły. Wewnętrzne i zewnętrzne kąci oczu wywinęły się w dół. Zwykle gładka skóra pod linią dolnych rzęs teraz była wiotka i pomarszczona.

Zrobiłam krok wstecz i w osłupieniu wpatrywałam się w swoje odbicie.

Co się ze mną dzieje?

Niezamierzenie skierowałam to nieme pytanie do Charlotte i nasłuchiwałam, czy

padnie odpowiedź. Kiedy nie nadeszła, opuściłam głowę i zaczęłam oblewać wodą twarz, kark i ramiona. Złączyłam obie dłonie, zanurzyłam je w wodzie i piłam. Piłam tak długo, aż przestałam już czuć smak soli, a moja twarz ochłodziła się nieco. Wtedy znów podniosłam wzrok.

Lepiej. Nie cudownie - moje oczy, choć powróciły do normalnego rozmiaru, nadal były zbyt ciemne - ale skóra stała się jędrniejsza i z wolna powracał jej różowy odcień.

Czy to miała na myśli Charlotte, mówiąc, że Nenufary potrzebują więcej energii, i to w znacznie częstszych dawkach niż inne syreny? Czy gdybym bezustannie nie dostarczała mojemu ciału tego, czego potrzebowało, każdego dnia wyglądałabym odziesięć lat starzej? A jeżeli moje zdolności przekraczały zdolności przeciętnych syren, czy miało mi to przynajmniej ułatwić pozyskiwanie tej energii?

Podskoczyłam na dźwięk naciskanej klamki. Osoba po drugiej stronie zapukała do drzwi.

- Chwileczkę! - Wyrwałam garść papierowych ręczników z pojemnika na ścianie. Po osuszeniu twarzy wyciągnęłam z kieszeni szortów klucze i podeszłam do małej szafki na środki czyszczące i zapasowy papier. Otworzyłam drzwiczki i sięgnęłam po rolki papieru, ale okazało się, że cały zapas już się wyczerpał. Szafka była pusta.

Po wyjściu z toalety wyjaśniłam wszystko kobiecie czekającej przed drzwiami i zapewniłam, że zaraz wrócę. Odszukałam Paige i zapytałam, gdzie mogę znaleźć dodatkowe zapasy. Pokierowała mnie do głównego kantorka z zaopatrzeniem mieszczącego się w piwnicy. Idąc tam, kątem oka spostrzegłam własne odbicie w lustrze nad kominkiem i stwierdziłam, że moja skóra znów zaczyna wiotczeć. Zauważyłam też, że mój adorator jeszcze nie wyszedł... i że mnie obserwuje.

Zerknęłam na zegarek. Simon powinien tu być lada chwila. To, co zobaczyliśmy wczorajszego wieczoru w drodze powrotnej do Winter Harbor, boleśnie przypomniało nam o wszystkim, o czym chciałam, żeby zapomniał. Jeżeli miałam wykorzystać szansę i wynagrodzić mu stracony czas, nie mógł zobaczyć mnie w takim stanie. Żadne późniejsze wyjaśnienia nie miałyby sensu - ogarnąłby go natychmiastowy, a może nawet permanentny niepokój. Najszybszym i najłatwiejszym rozwiązaniem byłoby oddanie skoku do wody z przystani, która mieściła się tuż za budynkiem restauracji. Ale nie dało się tego zrobić, nie zwracając na siebie uwagi.

Była też inna opcja.

- Dzień dobry. - Stałam na wyciągnięcie ręki od mojego adoratora w średnim wieku. Uśmiechnęłam się. - Czy wszystko w porządku?

- Obsługa zbyt tu nie spieszy - poskarżył się jego kompan. - Ale poza tym może być.

Z bijącym sercem oparłam jedno biodro o krawędź stolika i zwróciłam się ku młodszemu mężczyźnie.

- A pan jak się miewa?

Rozsiadł się wygodnie na krześle i otaksował mnie pełnym uznania spojrzeniem.

- Ciągłe głodny.

- Bardzo mi przykro. Czy podać coś jeszcze? Naleśniki? Grzanki francuskie?

Lekko zmrużył oczy. Oboje wiedzieliśmy, że nie o jedzenie mu chodzi. Dlatego właśnie pochyliłam się do przodu, oparłam dłoń na jego ramieniu i przysunęłam usta tuż do jego ucha.

- Jak ci na imię?

Jego mięśnie naprężyły się pod moimi palcami. Pocisk energii wystrzelił, rozlewając się po mojej skórze.

- Alex.

Przełknęłam ślinę i spróbowałam znowu.

- Skąd jesteś?

Gwałtownie zaczerpnął powietrza. Poczulałam przyływ siły w nogach.

- Z Portland.

- Wspaniałe miasto. - Przysunęłam usta jeszcze bliżej.

- A przynajmniej tak mówią.

Przechylił głowę zachęcająco. Fala energii przeszła od nóg aż do klatki piersiowej i szyi.

- Powinnaś je odwiedzić. Dopilnuję, żebyś miło spędziła czas.

Głos mu zadrzał. Wyprostowałam się nieznacznie i zerknęłam w lustro nad kominkiem, żeby sprawdzić efekt tej wymiany.

- Świetnie - odparłam.

Ścisnęłam jego ramię dla równego rachunku i ruszyłam przez salę, nie oglądając się za siebie. W kuchni starałam się trzymać poza polem słownego i fizycznego rażenia Louisa

- które z powodu nieoczekiwane go ruchu tego ranka obejmowało większość pomieszczenia - i idąc blisko ściany, dotarłam do podnóża schodów na zapleczu.

Piwnica, jak się szybko przekonałam, była zapewne jedyną częścią restauracji, która - zdaniem Paige - nie wymagała remontu: ani odmalowania choćby pojedynczą warstwą farby, ani nawet wymiany żarówek. Panowały tu mrok i wilgoć, a wszechobecny mdły zapach

przywodził na myśl pleśń i... frytki. Nieużywane meble, obrusy i urządzenia kuchenne piętrzyły się w wysokich stosach. Kantorek znajdował się na tyłach pomieszczenia i przedarciu się przez wąską, krętą ścieżkę, która do niego prowadziła, zajęło mi dłuższą chwilę. Odczułam nieznaczną ulgę, gdy odkryłam, że drzwi otwierają się bez trudu, a lampa sufitowa działa, jednak uczucie to minęło, kiedy dostrzegłam, że zapas papieru toaletowego znajduje się w kartonach na półce pod samym sufitem.

- Świetnie - powiedziałam znowu, tym razem mniej entuzjastycznie niż kilka minut wcześniej.

Ostrożnie przeciskałam się ciasną piwniczną ścieżką, aż dotarłam do starego składanego krzesła, które jakimś cudem nie rozpadło się na pół, gdy je rozłożyłam. Zniosłam krzesło do kantorka, ustawiłam przy ścianie półek i wspierałam się na nie. Zyskawszy dodatkowe centymetry, koniuszkami palców zdołałam dosięgnąć zaledwie podstawy pudła. Wysunęłam je powoli, aż wystawało z półki do połowy i zaczynało przechylać się ku dołowi. Wtedy chwyciłam je obiema rękami i... upuściłam, bo krzesło nielojalnie złożyło się przede mną.

Runęłam na podłogę, lądując boleśnie na kolanie. Pudło, spadając, nie uderzyło mnie, ale za to utraciło lampę, gasząc światło. Gdy klosz lampy stłukł się, a kawałki szkła posypały na posadzkę, natychmiast zasłoniłam twarz i spróbowałam skryć się pod najniższą półką.

- Vanesso!

Pośród brzęku tłukącego się szkła ledwie dosłyszałam męski głos, ale wiedziałam, że to musi być Simon. Dzięki Bogu. Paige pewnie mu powiedziała, że jestem na dole.

- Cześć! - Wygramoliłam się spod półki, próbując wymacać drogę w ciemności. - Już idę!

Przyświecając sobie telefonem komórkowym jak latarką, znalazłam pudło i obróciłam je do pionu. Nadal było zaklejone taśmą, więc trzymając telefon w zębach, wyciągnęłam z kieszeni klucze. Położyłam dłoń na pudle, szykując się do rozcięcia taśmy, i... gwałtownie szarpnęłam ręką do tyłu, gdy zbłąkany odłamek szkła boleśnie utkwiał mi w dłoni.

Krzyknęłam z bólu, a wtedy telefon upadł na podłogę i przyćmione światło zgasło.

- Hej! Co się stało?

Obróciłam się do Simona. Jego głos brzmiał inaczej. Jakby zaniepokojony, ale było w nim coś jeszcze. Niestety, nie mogłam zobaczyć jego twarzy, by wyczytać z niej emocje. W kantorku było tak ciemno, że nie widziałam nawet krwi spływającej mi po dłoni, tylko ją czułam.

- Nic takiego - odparłam. - Po prostu rozciąłam sobie rękę. Ale nic mi nie jest. Czuję

się świetnie.

Tak naprawdę ból był całkiem silny, ale nie chciałam, żeby wiedział. Zamknęłam oczy, kiedy zaszkliły się łzami, i nie protestowałam, kiedy delikatnie ujął moją dłoń. Czekałam, aż wyrazi obawę, że moja rana to wcale nie nic takiego, i zacznie nalegać, by ją opatryć.

Ale nic więcej nie powiedział. Przez chwilę tulił moją dłoń, po czym przesunął palce w górę, wokół nadgarstka. Zbliżył się do mnie i ramieniem otoczył w pasie.

Zamarłam, nie będąc pewna, co zamierza i jak mam się zachować. Czyżbym wczoraj była tak przekonująca, że dziś tak łatwo mi uwierzył? Jeżeli tak, czy powinnam się temu poddać, żeby nie prowokować go do zadawania pytań?

Przyciągnął mnie do siebie, a ja przycisnęłam zdrową dłoń do jego piersi.

- Wiesz - powiedziałam nieśmiało - jestem pewna, że to nic takiego, ale na wszelki wypadek wolałabym to czymś opatryć.

Jego twarz zbliżyła się do mojej. Poczułam, jak kiwa potakująco głową.

- Za chwilę - wyszeptał.

Mój telefon komórkowy, który wciąż leżał na podłodze, zabrzączał. Mała czerwona dioda nie rozświetliła pomieszczenia, ale była na tyle jasna, bym ujrzała poplamione buty robocze przysunięte do czubków moich sandałów.

Simon nie nosił butów roboczych. Nie miał ani jednej pary. Za to Alex, facet, z którym flirtowałam, owszem. Zwróciłam na nie uwagę, kiedy pochylałam się, szepcząc mu do ucha słowa zachęty.

Otworzyłam usta, żeby krzyknąć. Próbowałam zamachnąć się i z całej siły go uderzyć, ale wtedy jego druga ręka owinęła się wokół mojej talii i zacieśniła uchwyt. Drgnął, a jego klatka piersiowa napięła się, uciskając moją pierś. Wiedziałam już, że nie mam szans wyrwać się przy użyciu siły - przynajmniej nie tej fizycznej.

Zmusiłam się, by zarzucić mu ramiona na szyję, i starając się zachować opanowanie, zapytałam spokojnie:

- Lubisz plażę?

Poczułam, że znów kiwa głową.

- Może się przejdziemy? Jest taki piękny dzień. Z przyjemnością spędziłabym go z tobą na świeżym powietrzu.

- Niech będzie - mruknął. - Ale później.

Jego usta musnęły mój obojczyk. Z trudem powstrzymałam się od krzyku.

- Może jednak chodźmy od razu? - wydusiłam.

Naparł na mnie, dociskając moje plecy do regału. Jego dłonie poruszały się badawczo po moim ciele. Kiedy znów spróbowałam przemówić, uciszył mnie ustami.

Oderwałam wargi i odwróciłam twarz w bok, wykręcając się pod ciężarem jego napierającego ciała. Nie mówił nic, tylko napierał coraz mocniej, szukając ustami moich ust. Ta walka mnie wyczerpała; wiedziałam, że najdalej za kilka sekund stanę się całkiem bezbronna.

Dlatego krzyknęłam. Najgłośniej jak mogłam. Ale głos, który się ze mnie wydobył, nie był nieprzyjemny ani ostry. Nie był przenikliwy ani zatrważający.

Był delikatny. Słodki.

Skuteczny.

Alex uwolnił mnie z objęć i zatoczył się do tyłu. Zaszokowana jego nieoczekiwaną reakcją - i tym, co ją spowodowało

- potrzebowałam sekundy, żeby się poruszyć. Wreszcie rzuciłam się do drzwi. Przedzierając się przez zagraconą piwnicę i biegnąc w górę po schodach, miałam ledwie mglistą świadomość jaskrawego światła migającego za mną.

Przebiegając przez kuchnię, z wielkim trudem próbowałam się opanować. Nie chciałam zaalarmować gości, ale potrzebowałam Paige. Simona. Kogoś, kto pomógłby mi zrozumieć, co się właśnie stało.

Na szczęście, nie musiałam długo szukać. Simon i Caleb siedzieli przy barze. Paige nalewała im kawę.

- Vanesso, co się stało? - Simon zeskoczył ze stołka. Caleb ruszył zaraz za nim.

- O mój Boże! - Paige odstawiła dzbanek na ladę i chwyciła stos czystych papierowych ręczników.

- Wszystko w porządku - wydyszałam, kiedy mnie otoczyli.

Co było kłamstwem z trzech powodów.

Po pierwsze, rana na dłoni była tak głęboka, że krew kapłała z niej na podłogę.

Po drugie, rozcięcie tych rozmiarów powinno piec tak boleśnie, że amputacja wydawałaby się pociągającą alternatywą, jednak moje ciało było kompletnie wycieńczone. Nie czułam zupełnie nic.

A po trzecie i najbardziej alarmujące, Alexa, rybaka z Portland, nie było w piwnicy.

Siedział przy stoliku, gdzie go zostawiłam, i jadł naleśniki.



- Wiesz, jeżeli nie chcesz być kelnerką, wystarczy powiedzieć. Simon posłał Paige wymowne spojrzenie.

- Przepraszam - skwitowała. - Ale dwanaście szwów? Muszę z tego żartować, bo inaczej...

- Kompletnie jej odbije - dokończyłam jak gdyby nigdy nic.

- A to dopiero początek lata.

Simon zwrócił się do mnie.

- Wygodnie ci? Potrzebujesz czegoś jeszcze?

- Mam jedzenie, koce, poduszki i najbliższych przyjaciół. Czego chcesz więcej? - Poklepałam miejsce na kanapie obok siebie. - Siadajcie. Proszę. Jedzcie.

Simon spojrzał na mój bandaż i jeszcze bardziej spochmurniał.

- To tylko lewa ręka - oświadczyłam. - Skoro nadal mogę utrzymać pałeczki do chińszczyzny, mogę wszystko.

Na jego twarzy przez chwilę utrzymywał się wyraz wątpliwości, jednak usiadł i wziął swój talerzyk ze stolika.

- Monitoring - oznajmiła Paige, wgrzyzając się w sajonkę.

- To pierwsza rzecz, w którą inwestujemy. Nie mogę uwierzyć, że tak długo obchodziliśmy się w restauracji bez niego.

- Świetny pomysł - przyznał Simon.

- Ale nie niezbędny. - Chciałam uspokoić Paige, bo wiedziałam, że czuje się winna za to, co się stało. - Nigdy wcześniej „U Betty” nie było takich problemów, mam rację? A poza tym to się zdarzyło w piwnicy. Nie jesteś w stanie monitorować każdego ciemnego kąta.

- Owszem, jestem - upierała się.

- Vanesso, czy mogłabyś jeszcze raz opowiedzieć nam, co się stało? - zapytał Caleb, który zajmował miejsce na dwuosobowej kanapie. - Od początku?

Powstrzymałam się przed westchnieniem. Opowiadałam im już dokładnie, co zaszło, w samochodzie, w drodze do szpitala. Nie chciałam jechać, ale nie miałam wyjścia, bo samymi jałowymi gazami i bandażem nie dało się zatamować krwawienia. Liczyłam na to, że lekarze nie zechcą badać mojej krwi ani robić innych testów, które mogłyby ujawnić, że nie jestem całkiem zwyczajną pacjentką. Na szczęście, spędziliśmy tam niecałą godzinę, a żadne dodatkowe badania nie okazały się konieczne. Potem, po opuszczeniu szpitala, opowiedziałam im wszystko po raz drugi, w drodze do domku nad jeziorem, gdzie już

zostaliśmy. Wiedziałam, że moi przyjaciele po prostu martwią się o mnie i chcą mieć pewność, że dysponują wszystkimi informacjami. Jednak ja wolałam dać sobie już spokój, zapomnieć. Bo im dłużej o tym rozmawialiśmy, tym bardziej odległe stawało się wspomnienie raczej udanej randki z Simonem. Jednak miałam następujący wybór: albo opowiedzieć im, albo iść na policję. Paige i ja nie chciałyśmy, by to zdarzenie przyciągało więcej uwagi, i przekonałyśmy chłopaków, że zawiadamanie komendy głównej w Winter Harbor nie jest konieczne - przynajmniej na razie. W tej sytuacji uznałam, że im więcej będą wiedzieć, tym silniejsze będzie ich przekonanie, że uda im się zrozumieć, kto mnie zaatakował i dlaczego - a w ten sposób unikniemy angażowania władz.

- Zeszłam do piwnicy, żeby uzupełnić zapas papieru w toalecie - zaczęłam. - Kiedy byłam w kantorku, pudło spadło z szafki i stłukło lampę. Potem próbowałam rozciąć taśmę kluczami, ale przyszedł ten facet, którego z powodu ciemności wzięłam za Simona. Zrobił się nieco brutalny, ja skaleczyłam się odłamkiem szkła, on spanikował, a ja wyszłam.

- Czy on cię popchnął? - dopytywał się Caleb. - Tak było?

Zerknęłam na Simona. Pominęłam parę szczegółów, które mogłyby niepotrzebnie go zmartwić. Szczęki nadal miał zaciśnięte i wpatrywał się w talerz z nietkniętym jedzeniem, który trzymał na kolanach.

- Tak było. Więc naprawdę dobrze się stało, że się skaleczyłam i wrzasnęłam. Bo okazało się, że ten wielki, silny facet nie może znieść widoku krwi.

- Ale skoro było tak ciemno, jak udało mu się zobaczyć tę krew? - zauważyła roztropnie Paige.

Nasze spojrzenia się spotkały. Paige rozwarła oczy i poruszając ustami, wyszeptała bezgłośnie: „Sorry!”.

- Zadzwoił Simon - powiedziałam szybko. - Telefon upadł mi na podłogę, ale krew było widać w jego świetle.

- A jednocześnie było za ciemno, żeby mu się przyjrzeć? - zdziwił się Caleb.

- Tak naprawdę nie próbowałam - wyznałam. - Jedyne, oczym myślałam, to żeby się stamtąd wydostać.

Simon chwycił mnie za kolano i ścisnął je.

- I nikt inny niczego nie widział ani nie słyszał? - Caleb skierował to pytanie do Paige.

- Personel kuchenny nie zauważył jakiegoś obcego, rozjuszonego typa przechodzącego przez kuchnię?

- Personel kuchenny składał się z Louisa i pomocnika kelnera, a obaj byli tak otumanieni, że nie zauważyliby odrzutowca lądującego na blacie roboczym. Nie ma innego

wyjścia z piwnicy, a z całą pewnością nie wyszedł przez jadalnię, więc pewnie wymknął się od zaplecza. - Wsunęła do ust resztę sajgonki, przeżuła i połknęła. - Dlatego montujemy kamery przemysłowe. Jutro.

- On musi być jednym z tych ludzi, którzy węszą w sprawie zeszłego lata, tych, którzy upuścili aparat. Jak myślicie? - Potrząsnął głową Caleb. - To jedyne sensowne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy.

- Albo to jeden z tych facetów z pomarańczowej furgonetki.

Simon spojrzał na Paige.

- Jakich facetów?

- Z jakiej pomarańczowej furgonetki? - dorzucił Caleb.

Nasze spojrzenia znów się spotkały. Tym razem Paige nie zwracała sobie głowy niemymi przeprosinami.

- Wiecie co? Obiecałam Natalie, że zadzwonię i dam znać, jak wygląda sytuacja, a robi się późno, więc lepiej zrobię to teraz. - Wstała, zabierając ze sobą talerz z chińszczyzną. - Na dworze jest lepszy zasięg. Gdybyście mnie potrzebowali, będę na tarasie.

Wyszła. Siedzieliśmy cicho przez kilka sekund, po czym Caleb poderwał się i ruszył do drzwi, mówiąc:

- Skoro mowa o aparacie... Nie sprawdzałem dziś, czy przyszedł jakiś email. Zaraz wracam.

Gdy tylko wyszedł, usiadłam wyprostowana i wsunęłam rękę pod ramię Simona.

- To nic takiego - powiedziałam.

- Co konkretnie... to nic takiego? - wycodził pełnym napięcia głosem.

- Parę tygodni temu jacyś dwaj faceci, chyba rybacy, zaczepili mnie w sklepie narzędziowym; pojechałam tam po coś dla taty. Kiedy wyszłam, jeździli za mną po miasteczku przez kilka minut. To nic wielkiego.

Odstawił talerz, odsunął się i obrócił w moją stronę, żeby spojrzeć mi w oczy.

- Przeciwnie, Vanesso, to jest coś wielkiego. To byłoby coś wielkiego, nawet gdyby nie wydarzyło się wszystko inne - rozmowa, którą podsłuchałaś koło domku nad jeziorem, aparat, Carla, czy to, co stało się dzisiaj. Dlaczego to bagatelizujesz?

- Wcale nie bagatelizuję. Chodzi o to, że... nic mi nie jest. Nic mi nie będzie.

Ujął moją skaleczoną dłoń w swoje dłonie.

- Dwanaście szwów to nie jest nic. Sprawy mogłyby potoczyć się inaczej, gdybym dziś rano nie zadzwonił. To też nie jest nic. Musimy o tym porozmawiać.

Nie odpowiedziałam. Przychodziło mi na myśl tylko jedno pytanie: „Po co?” - ale go

nie zadałam, bo wolałam nie znać odpowiedzi.

Chwilę później zapytał cicho:

- Rozpoznałeś ich? Tych facetów ze sklepu z narzędziami?

- Nie.

- Wsiedli do pomarańczowej furgonetki?

Skinęłam głową.

- Była stara. Kanciasta. Z paki wystawały wędki.

- Rejestracja stanu Maine?

- Chyba tak. Ale było ciemno.

- W porządku. Nie kojarzę takiego samochodu, ale większość wędkarzy, miejscowych czy nie, prędzej czy później zahacza o przystań, żeby zaopatrzyć się w przynętę i sprzęt wędkarski. Caleb i ja będziemy go wypatrywać. Tymczasem jeżeli cokolwiek innego się stanie, nawet coś pozornie nieistotnego, jak choćby zderzenie się z przypadkowym człowiekiem na ulicy... powiesz mi o tym, dobrze? Proszę.

Miał tak smutny głos, że zgodziłam się, chociaż wiedziałam, że nadal będę cenzurować swoje relacje w miarę potrzeb. Skoro oboje chcieliśmy tego samego, czy było ważne, jak któreś z nas się do tego przyczyni?

- Szczerze mówiąc, jest coś jeszcze - oznajmiłam po dłuższej chwili poskubywania jedzenia w milczeniu - co na pewno poprawi moje samopoczucie.

Jego twarz pojaśniała.

- Jeszcze jeden koc? Więcej wody?

Wstałam i wyciągnęłam zdrową rękę. Obejrzał się na tylne drzwi, które pozostawały zamknięte, potem chwycił moją dłoń. Poprowadziłam go przez salon i po schodach na górę.

- Vanesso - wyszeptał - dokąd idziemy? Czy drugie piętro nie jest zakazane?

- Nie bardziej niż pierwsze. - Ze względu na nieobecność rodziców w domku nad jeziorem stał się on naszym nieoficjalnym miejscem wieczornych spotkań. - Zresztą nikt się nie dowie, że tu byliśmy. Chcę ci tylko coś pokazać.

Na górze było zupełnie ciemno, ale każdy zakamarek tego domu znałam tak dobrze, że dotarliśmy do sypialni na końcu korytarza, ani razu na nic nie wpadając. Nie zapaliłam górnego światła, pozwalając, by niebieskawa poświata księżyca zaprowadziła nas do niewielkiej ławeczki w oknie naprzeciw drzwi wejściowych.

- Na co patrzymy? - Wyrzał przez okno.

- To moje ulubione miejsce.

- Jezioro? Rzeczywiście, wspaniały widok.

- Najlepszy w całym domu. Ale nie to miałam na myśli. - Wciąż trzymając go za rękę, pociągałam delikatnie, aż stanął przy prawym krańcu ławeczki, po czym napałam na jego bark, żeby usiadł. - Spójrz teraz.

Wyciągnął szyję.

- To dziwny kąt. Widzę tylko mnóstwo liści i kawałek mojego domu.

- Który kawałek?

- Dach... i okno pokoju na poddaszu.

Przez chwilę nic nie mówiłam, chcąc się przekonać, czy to cokolwiek dla niego znaczy. Kiedy odwrócił się w moją stronę, powiedziałam:

- Lubiłeś tam pracować. Przy biurku obok tamtego okna. Wiem, bo spędziłam wiele letnich nocy, czytając właśnie w tym miejscu. Siedziałeś tam, z opuszczoną głową, robiłeś kalkulacje, pomiary, analizy, kiedy ja byłam tutaj. A kiedy podnosiłam wzrok sto stron dalej, wciąż tam byłeś.

- Musiałeś tu mieć dobre światło.

- Szczerze mówiąc, nie najlepsze. - Kiedy odwrócił się, żeby spojrzeć raz jeszcze, dodałam: - Nie śledziłam cię, nic z tych rzeczy. Po prostu miło było wiedzieć, że tam jesteś. Twoja obecność dodawała mi otuchy.

Długo wpatrywał się w to miejsce. Mijały sekundy, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy przywołanie przeszłości było dobrym pomysłem. Z pewnością to niezbyt oczywisty sposób, by go przekonać, że jestem kimś innym. Ale pomyślałam, że i tak może zadziałać, bo dawna Vanessa nie byłaby na tyle odważna, żeby pokazać mu to miejsce i zdradzić swój sekret.

Zanim zaczęłam martwić się na dobre, odwrócił się i powiedział:

- Nie miałbym ci za złe, gdybyś mnie śledziła.

Zaczepił palec o kieszeń moich dżinsów i przyciągnął mnie, sadzając sobie na kolanach. Przytuliłam się do niego, ugięłam nogi i podciągnęłam je do piersi. Objął mnie i mocno przytulił. Potem, ponieważ jak dotąd szło dobrze, zamknęłam oczy i wyjawiałam mu coś jeszcze.

- Chcę być z tobą, Simonie - wyszeptałam. - Nie wiem, czy powinnam to mówić... nie jestem pewna, czy chcesz to usłyszeć... ale to prawda.

Czułam, jak jego serce bije coraz mocniej i szybciej.

- Kiedy myślę o tobie każdego ranka po przebudzeniu, chcę do ciebie zadzwonić i usłyszeć twój głos. Kiedy dzieje się coś miłego, chcę podzielić się tym z tobą, zanim powiem komukolwiek innemu. Kiedy nie mogę w nocy zasnąć, chcę wreszcie zapaść w sen, wiedząc, że następnego dnia cię zobaczę. - Otworzyłam oczy i napotkałam jego spojrzenie. - Bardziej

niż czegokolwiek innego chcę, żebyś czuł się przy mnie szczęśliwy; nie smutny, zaniepokojony czy zatroskany. Szczęśliwy. Każdego dnia, tak długo, jak mi na to pozwolisz. O ile pozwolisz.

To były słowa, których nie wypowiedziałabym rok temu, mimo że wtedy były równie prawdziwe co teraz.

- A jeżeli pozwolę ci na to, ale jedynie przez miesiąc? - zapytał cicho.

Poczułam ucisk w sercu. Czy zamierzał wcześniej wrócić na uczelnię? Czy on także, jak Charlotte, uważał, że najlepiej będzie zerwać łączące nas więzy?

Czy to miało znaczenie?

- Dobrze i to - odparłam.

Przyciągnął mnie bliżej, unióśł brodę tak, że jego wargi były teraz tuż przy moich.

- Przez resztę lata?

- Jeszcze lepiej.

Jego usta zbliżyły się do moich.

- Zawsze?

Kula ognia wystrzeliła w moim brzuchu, promieniując falami gorąca.

- Bardzo tego chcę.

Pocałunki, którymi mnie obsypał, były nowe, inne - nawet od tych, które wymieniliśmy na moście. Były czułe i jednocześnie gwałtowne, delikatne i zdecydowane, słodkie i namiętne.

I najprawdopodobniej trwałyby, dopóki nie poczulibyśmy promieni porannego słońca na plecach, gdyby nagle pod nami nie rozległo się trzaśnięcie drzwi.

- Simon?! - zawołał Caleb.

- Vanessa?! - krzyknęła Paige.

Odsunęliśmy się od siebie i poderwaliśmy z miejsca. Simon chwycił mnie za rękę i trzymał mocno, kiedy zbiegaliśmy w dół po schodach.

- Co się stało? - zapytał, zanim jeszcze pokonaliśmy ostatni stopień.

Paige odsunęła na bok pudełko po jedzeniu na wynos, które piętrzyły się na stoliku. Caleb położył na nim otwartego laptopa. Oboje usiedli na krawędzi kanapy i utkwili wzrok w ekran.

- Przyszły odpowiedzi - oznajmił Caleb. - Na ogłoszenie o znalezionym aparacie zamieszczone w „Heraldzie”.

- Podałeś własny adres mailowy? - zapytałam, przechodząc za Simonem dookoła stolika.

- Stworzyłem nowy do tego celu.  
- Zgubionyaparatwinterharbor@gmail.com - Paige odczytała z ekranu. - Sprytne.  
- Dzięki. - Caleb zabrał się do pisania, a jego palce pomykały po klawiaturze. - Nie byłem pewien, czy nasze łącze WiFi będzie miało zasięg aż tutaj, więc pobrałem wszystkie wiadomości, nie czytając ich.

W milczeniu patrzyliśmy na ładujące się wiadomości.

- Nadesłane z różnych adresów - zauważyła Paige.  
- Które wyglądają na utworzone specjalnie do tego, tak samo jak twój. - Simon nachylił się bliżej. - Garść przypadkowych liter i cyfr na tym samym serwerze.  
- I wszystkie z załącznikiem - oznajmiłam na widok ikony spinacza do papieru. - Co nadawcy mieliby zrobić? Wykonać takie same zdjęcia innym aparatem, żeby dowieść, że ten, który mamy, należy do nich?

- Ale przecież do tego wystarczyłby jeden adres - zauważyła Paige.

Na te pytania już po chwili dostaliśmy odpowiedź, która wzbudziła tylko więcej pytań. W załącznikach istotnie były zdjęcia - każdy email zawierał jedno - ale nie były to takie zdjęcia, jakie już znaliśmy. Było kilka ujęć krajobrazu, zbliżenia innych skał, kępy trawy, a także seria wykonana w miasteczku - w lodziarni „U Eddiego”, na polu do minigolfa, w bibliotece. Na tych ostatnich widać było ludzi, choć sprawiali wrażenie nieświadomych tego, że są fotografowani. Zresztą nie skupiano się na nikim konkretnym.

- To już wszystkie - powiedział Caleb, kiedy załadowało się ostatnie zdjęcie.

- Możesz zlokalizować miejsca, w których je zrobiono? - zapytał Simon.

Caleb wpisał coś jeszcze.

- Nie ma współrzędnych. Najwyraźniej złączyli i wyłączyli funkcję GPS w nowym aparacie.

Przewijał zdjęcia powoli. Szukałam czegoś, co by je łączyło, gdy nagle Paige położyła rękę na dłoni Caleba, zatrzymując kursor.

- Ta dziewczyna pojawia się na wszystkich ujęciach z udziałem ludzi - spostrzegła.

- Skąd wiesz? - zapytał Caleb. - Przecież na tym ledwie widać jej twarz.

- Zielona torebka i różowe buty - odparła Paige. - Są dość charakterystyczne.

Miała rację. Dziewczyna, którą sfotografowano podczas kupowania deseru lodowego, wbijania piłeczki golfowej do dziewiątego dołka, zwracania wypożyczonej książki w budynku biblioteki i załatwiania innych spraw, była widoczna na każdym zdjęciu z udziałem ludzi.

- Ale dlaczego? - zapytał Simon. - Kim ona jest?

Kiedy Caleb zrobił zbliżenie, żebyśmy mogli lepiej się przyjrzeć, z komputera dobiegł sygnał.

- Wygląda na to, że nasze WiFi jednak sięga aż tutaj. - Zminimalizował zdjęcie i przywołał stronę z pocztą gmail, która wciąż była otwarta. - Przyszła nowa wiadomość i kolejne zdjęcie.

Była to fotografia z serii tych wykonanych w mieście, ale przedstawiała tylko jedną osobę. I nie była to kobieta od zielonej torebki i różowych butów.

To była Carla. Posiniaczona i nieprzytomna. Zgięta wpół, ze związanymi nadgarstkami. Jej oczy, półprzymknięte i wyraźnie błagające o litość, były skierowane prosto w obiektyw.

Z podwórza dobiegł odgłos zamykanych drzwiczek samochodowych. Simon i Caleb w tym samym momencie poderwali się z kanapy i szybko podeszli do okna w korytarzu.

- To czarne audi - oznajmił Simon. - Wasza pośredniczka handlu nieruchomościami.

Wstałam z bijącym sercem, czując ulgę, że mam pretekst, by odwrócić wzrok od ekranu.

- Spodziewałaś się jej? - zapytał.

- Nie, ale to o niczym nie świadczy. Pewnie przyjechała podrzucić coś przed kolejnym dniem otwartym. - Ucałowałam go w policzek i otworzyłam drzwi. - Nic mi nie będzie, ale możesz mnie mieć na oku.

- Bądź tego pewna.

Kiedy się zbliżałam, tylne drzwi audi były uniesione. Dopiero gdy opadły, spostrzegłam, że stoi za nimi nie Anna, a Colin.

- Vanessa? Cześć! - Na mój widok uśmiechnął się szeroko.

- Nie wiedziałem, że cię tu zastanę.

- No tak. - Obejrzałam się za siebie i pomachałam do Simona. - Razem z przyjaciółmi postanowiliśmy spotkać się tu na ostatniej kolacji. Wiesz, żeby powspominać i takie tam. Nie mówiłam rodzicom, bo uznałam, że pewnie by się nie zgodzili.

- Jasne, rozumiem i obiecuję, że nie pisnę słówka. - Uniósł podłużną ceramiczną donicę pełną kwiatów. - Mama prosiła, żebym to tu podrzucił. Ma wizję: chce tym trochę upiększyć kamienny chodnik.

- Brzmi świetnie. Postaw ją, gdziekolwiek chcesz.

Niestety, miejscem, w którym zechciał postawić donicę, okazał się najniższy stopień schodów, na którym stał teraz Simon. Colin przedstawił się Simonowi, który z pewną rezerwą ucisnął mu dłoń, a potem zajrzał przez otwarte drzwi do salonu.



- Hej, czy to...? - Głos Colina zamarł, a chłopak spojrział najpierw na Simona, potem na mnie. - Przepraszam, mogę tylko coś zobaczyć?

- Nie wiem, czy...

- Jasne - powiedziałam, przerywając Simonowi. Rozumiałam jego zaniepokojenie, ale Colin wydawał mi się wystarczająco niegroźny. Poza tym chciałam, żeby wyszedł zadowolony i nie wygadał się w sprawie miejsca naszych wieczornych spotkań - a tym bardziej nie wspomniał o tym, co wydarzyło się między nami na plaży tydzień wcześniej.

- W porządku - powiedziałam, kiedy Colin wszedł już do domu, a ja minęłam Simona. - On tylko wejdzie i wyjdzie.

- Czy to nowy MacBook Pro? No przecież!

Simon i ja dotarliśmy do salonu w chwili, gdy Caleb zatrzasnął wieko laptopa i spojrzął gniewnie na Colina.

- Przepraszam. - Colin się wycofał. - Nie zamierzałem przeszkadzać, po prostu nie widziałem go jeszcze na żywo.

- Nic się nie stało - odezwałam się, zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć coś, czego moglibyśmy pożałować. - Colinie, czy ty albo twoja mama potrzebujecie czegoś jeszcze?

Potrząsnął głową i raz jeszcze przeprosił. Odprowadziłam go do drzwi, zostawiłam Simona, który śledził wzrokiem odjeżdżający samochód, po czym przeprosiłam wszystkich i wyszłam do łazienki.

Staralam się nie patrzeć w lustro, gdy napełniałam umywalkę wodą i wsypywałam do niej zawartość torebki z solą, którą wcześniej ukryłam pomiędzy dwoma ręcznikami pozostawionymi w bielizniarce w celach pokazowych. Ale po chwili, zbyt zaciekawiona tym, jakie fizyczne skutki całego dnia pełnego rozmaitych stresów mogły odbić się na mojej twarzy, zerknęłam ukradkiem.

Piękna.

To pierwsze słowo, jakie przyszło mi na myśl, a przecież byłam najbardziej samokrytyczna spośród znanych mi dziewcząt. Ale nic nie mogłam na to poradzić. W przeciwieństwie do własnego odbicia w toalecie restauracji zaledwie parę godzin wcześniej teraz moja skóra była miękka i gładka, bez najdrobniejszej zmarszczki. Włosy lśniły, opadając na ramiona luźnymi falami. Usta były zaróżowione, nawilżone.

Oczy szeroko otwarte, lśniące.

I bardziej srebrzyste niż kiedykolwiek przedtem.

„Tydzień po zdarzeniu nadal brak tropów w sprawie Carli Marciano.

Pomimo licznych apeli wydział policji w Winter Harbor nie odebrał jeszcze ani jednego zgłoszenia od naocznego świadka, który przebywałby w miejscu śmierci 18-letniej Carli Marciano lub w jego pobliżu.

Komisarz policji Green, zapytany, czy przypadek ten - wraz z brakiem jakichkolwiek informacji od potencjalnych świadków - nie przypomina serii zeszłorocznych śmiertelnych wypadków związanych z wodą, odpowiedział: »I tak, i nie. Zeszłego lata mieliśmy do czynienia z podobnym brakiem odzewu ze strony otoczenia, jednak charakter tamtych zgonów był zupełnie inny«. Komisarz Green, poproszony o sprecyzowanie tych różnic, nabrał wody usta; oznajmił tylko: »Ta śmierć to nie wypadek«.

Rodzina panny Marciano gorąco wierzy, że prawda wreszcie wyjdzie na jaw. Sami nie mogą wiele pomóc. »Była w pracy«, wyjaśnia Pamela Marciano, matka ofiary. »Zanim wyszła, cały dzień spędziła w domu. Dotarła do pracy bezpiecznie. Wiem, bo od razu po przyjeździe wysłała SMS. A potem, w czasie swojej przerwy, zapadła się pod ziemię. Tylko tyle wiemy. Ale ktoś przecież musiał coś widzieć. Moja Carla mówiła, że ostatnio ruch »U Murphy’ego« jest jeszcze większy niż zwykle. Wierzę, że świadkowie, kiedy będą gotowi, wyjdą z cienia. Muszą to zrobić!«.

Ta tragedia, co zrozumiałe, wstrząsnęła zarówno mieszkańcami miasteczka, jak i wczasowiczami. Margot Davenport, instruktorka pływania z domu kultury w Winter Harbor, mówi: »Czy się boję? Nie. Ja jestem przerażona. To lato miało być dla nas szansą, by zacząć wszystko od nowa. Ale jak mamy zacząć od nowa, skoro strach każe nam nieustannie oglądać się przez ramię?«.

Artykuł kończył się numerem telefonu, adresem mailowym i adresem strony internetowej wydziału miejscowej policji. Przebiegłam wzrokiem po innych nagłówkach z pierwszej strony, po czym przekartkowałam resztę gazety. Nic nie przebijało historii Carli, a to znaczyło, że nikt więcej nie umarł.

- To największe homaroburgery, jakie kiedykolwiek widziałam - powiedziała Charlotte.

Gdy podeszła do stolika piknikowego z dwoma papierowymi talerzami, odsunęłam gazetę na bok.

- Pewnie ze względu na mniejszy ruch zostało im parę skorupiaków. - Wzięłam jeden talerz i patrzyłam, jak obchodzi stolik i opada powoli na ławkę po drugiej stronie. Zamiast

przełożyć nogi ponad siedzeniem, usiadła bokiem, pozwalając, by wystawały poza ławkę. - Nie rozumiem, dlaczego nie zgodziłaś się, żebym to ja kupiła dla nas lunch.

- Bo wiem, że chciałaś mi oszczędzić tych dziesięciu kroków do kasy knajpki „Mam Smaka na Skorupiaka” i z powrotem.

- Uśmiechnęła się i rozłożyła na kolanach papierową serwetkę.

- A to nie było konieczne.

Wzięłam łyk wody, by nie zacząć protestować. Charlotte wyglądała pięknie - w długiej letniej sukience, szydełkowej kamizelce i dużych okularach przeciwsłonecznych - ale poruszała się jeszcze wolniej niż kilka dni temu, gdy przyjechała do Winter Harbor. Nawet teraz, po przejściu raptem kilku kroków, oddychała ciężko. Jej czoło zrosił pot, a dłonie zadrżały, gdy uniosła kanapkę do ust.

- Mogę cię o coś zapytać?

Pogryzła i przełknęła kęs.

- Czuję się dobrze, Vanesso. Uwierz mi na słowo.

- To dobrze. Ale nie o to chciałam zapytać. - Oczywiście sama się nad tym zastanawiałam, ale nie chciałam podważać jej słów.

- Ach tak? - W jej głosie zabrzmiały jednocześnie zaskoczenie i ulga. - W takim razie o co chodzi?

Na szczęście na niebie nie było ani jednej chmurki, co dawało mi pretekst, by pozostać w ciemnych okularach - dzięki temu Charlotte nie spostrzegła, że mój wzrok przenosi się na gazetę leżącą na drugim końcu stolika.

- Słyszałaś ostatnio coś... dziwnego?

Miała zamiar wziąć kolejny kęs, ale się powstrzymała.

- Dziwnego?

- No nie wiem... Jakież głosy? Śpiew?

Opuściła rękę z kanapką, a ja wiedziałam, że zrozumiała, oco pytam.

- A co? Ty słyszałaś?

- Nie... ale tak naprawdę to ja nie wiem, jak to się robi.

Rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy dzieli nas wystarczająca odległość od kilkorga ludzi na molo, po czym pochyliła się w moją stronę.

- Jak ty się czujesz? Czyżby bóle głowy powróciły?

Nie powróciły, ale to było dobre wprowadzenie do kolejnego pytania, które chciałam zadać. Miałam ich tak wiele, że nie wiedziałam, od którego zacząć, żeby nie przytłoczyć Charlotte - ani siebie samej. Przy założeniu, że coś ostatnio usłyszała, nie byłaby aż tak

zaskoczona moim pierwszym pytaniem, postanowiłam więc postawić kolejne.

- Szczerze mówiąc, czuję się nie najlepiej - przyznałam. Jej twarz natychmiast stężała, więc dodałam szybko: - Z głową wszystko dobrze. Nie boli ani trochę. Za to reszta ciała to zupełnie inna historia.

Zacisnęła wargi, a skóra wokół nich zwiótzała.

- Mów dalej.

Nie chcąc jej przesadnie niepokoić, ugryzłam duży kawałek burgera. Jeśli jedzenie jest najwyraźniej ważniejsze od tego, co zamierzałam powiedzieć, nie mogło to być aż tak poważne.

- Ostatnio moje samopoczucie jest... odrobinę nieprzewidywalne - powiedziałam wreszcie. - W jednej chwili czuję się silna i pełna energii, a już w następnej mam wrażenie, że zaraz zemdleję.

- Nie musiała wiedzieć, że kilka tygodni wcześniej obok domku nad jeziorem faktycznie straciłam przytomność. - Całkiem nieźle sobie z tym radziłam w czasie roku szkolnego; wiedziałam, że po upływie określonego czasu albo po szczególnie stresującej sytuacji będę musiała uzupełnić zapas energii. Wiedziałam też, jak to zrobić: albo pijąc, albo kąpiąc się, albo pływając w słonej wodzie. Ale coś się zmieniło. To, co mi wystarczało wcześniej, teraz już nie zawsze wystarcza. Jeżeli nawet, efekt jest krótkotrwały. Męczę się i czuję pragnienie znacznie częściej. Wiem, mówiłaś, że moje potrzeby są większe, bo jestem z rodu Nenufarów, ale czasem mam wrażenie, że nic nie przynosi rezultatu.

- Stajesz się silniejsza - oznajmiła spokojnie Charlotte.

- Nawet jeżeli czujesz się słaba, twoje ciało nadal uczy się, rozwija, dojrzewa. Objawy, które opisałaś, wskazują, że zmiany postępują szybciej niż w moim przypadku. I znacznie szybciej, niż przypuszczałam, że nastąpią u ciebie. Ale to nic nieoczekiwanego.

Nie mogłam dostrzec jej oczu ukrytych za ciemnymi okularami, jednak węzełki ślad zaskoczenia zniknął z jej twarzy. Nawet jej usta rozluźniły się, a ich kąciki opadły.

- Parker King.

To nazwisko zapiekło niczym uderzenie w twarz. Opadłam na oparcie i sięgnęłam po butelkę wody.

- Co się z nim stało? - zapytała Charlotte.

- Nic - wypaliłam. - Po tym, jak Simon i ja zerwaliśmy ze sobą, powiedziałam Parkerowi, że nie możemy być przyjaciółmi - ani nikim innym. Od tamtej pory zamieniliśmy ze sobą jedynie parę słów przed ceremonią rozdania dyplomów.

- Co takiego sobie powiedzieliście?

W pierwszej chwili najeżyłam się i machinalnie przyjęłam postawę defensywną, ale - choć z trudem - udało mi się zdławić jej przejawy. Charlotte sprawiała wrażenie jedynie zaintrygowanej, nie krytycznej.

- Po ceremonii podszedł do mnie, żeby się przywitać i zarazem pożegnać. - Nie patrząc na nią, podniosłam kanapkę.

- Chciał mi też powiedzieć, że jednak wybiera się do Princeton, tak jak chciał jego ojciec.

- Jak się wtedy poczułaś?

- Okropnie. Wiedziałam, że robi to wbrew sobie. Marzył okupnie łodzi - małej łódki, nie takiego jachtu, jaki miał jego ojciec - i wypłynięciu w rejs wzdłuż wybrzeża. - Zmarszczyłam brwi. - Swego czasu chciał nawet, żebym popłynęła razem z nim.

Przez krótką chwilę obie milczałyśmy. Jedynymi dźwiękami na plaży były stare przeboje dochodzące z „Mam Smaka na Skorupiaka” i śmiech młodych mężczyzn grających we frisbee.

- Zależało ci na nim.

- Nie, nic podobnego.

- Gdyby ci nie zależało, mówienie o nim teraz nie wzbudziłoby w tobie tylu emocji.

- Byliśmy przyjaciółmi. Niezbyt długo, ale jednak. Miałabym to samo poczucie niesprawiedliwości, gdyby którakolwiek z moich przyjaciółek powiedziała, że zrobi coś wbrew własnej woli tylko dlatego, że chcą tego jej rodzice.

- Nawet gdyby ta przyjaciółka stanęła pomiędzy tobą a jedyną osobą, którą kochasz bardziej niż kogokolwiek innego na świecie?

Odsunęłam talerz, opróżniłam butelkę wody. Nie tylko to, co powiedziała Charlotte, było dla mnie przykre. Powróciły wspomnienia z ceremonii rozdania dyplomów, kiedy Parker nieśmiało uśmiechnął się i przytulił mnie - a ja początkowo opierałam się, nie chcąc odwzajemnić uścisku, a potem nie chciałam puścić. Przypomniały mi się miesiące poprzedzające to wydarzenie, kiedy nie rozmawialiśmy ze sobą wskutek mojego uporu, wymienialiśmy tylko przelotne spojrzenia na szkolnym korytarzu. Przypomniałam sobie o wspólnie spędzonych chwilach ubiegłej jesieni, o tym, jak silny fizyczny pociąg czułam do niego, a także o tym, jak zmienił się on w emocjonalną bliskość. Jeżeli teraz czasami przychodził mi na myśl - a tak się działo, pomimo moich najszczerzych chęci - to tylko jako przypomnienie, że Simon zasługuje na wszystko to, co mogę mu dać, i na wiele więcej.

- Nie próbuję cię zdenerwować, Vanesso - zapewniła Charlotte. - Wiem, że kochasz Simona bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek innego. Ale pomyśl, proszę, jak się czujesz,

kiedy jesteś z nim, a potem porównaj to z tym, jak się czułaś, będąc z Parkerem. To znaczy... fizycznie. Oczywiście nie musisz mi o tym opowiadać, ale sama oceń, czy czujesz różnicę.

Nie musiałam się nad tym zastanawiać. Nie musiałam porównywać. Już znałam odpowiedź.

Różnica była kolosalna. Bliskość Simona była niezwykła i ekscytująca, była wszystkim, czego chciałam.

Bliskość Parkera była równie niezwykła i ekscytująca, z tą tylko różnicą, że była wszystkim, czego...potrzebowałam. Całowaliśmy się zaledwie kilka razy, ale te krótkie wymiany czułości, których nie potrafiłam przerwać - choćby nie wiem jak usilnie mój umysł próbował interweniować - dawały mi potężny zastrzyk energii i wprowadzały moje ciało w tryb bezobsługowy na długie dni.

- Wiesz, co chcę teraz powiedzieć, prawda?

Podniosłam wzrok znad talerza.

- Nadal nie nasłuchuję twoich myśli - zapewniła Charlotte.

- Zresztą to temat, do którego jeszcze wrócimy. A z ciebie jest mądra dziewczyna. Być może nie pozwalałaś sobie w to uwierzyć... a poruszyłaś tę kwestię tylko dla pewności.

- Ale Paige czuje się dobrze - powiedziałam, wciąż licząc na inne wyjaśnienie. - Mówiła mi, że czuje się tak samo jak w Bostonie.

- Jak wspominałam jakiś czas temu, to dlatego, że długofalowy efekt słonej wody słabnie stopniowo. Wciąż potrzebujesz słonej wody, jednak sama woda już ci nie wystarcza. Paige przeszła transformację miesiąc po tobie, dlatego jej ciało wciąż się przystosowuje. - Charlotte odwróciła wzrok. Spojrzała w kierunku portu. - Poza tym jest mało prawdopodobne, że będziecie reagowały jednakowo na różne źródła energii. W końcu przecież Paige nie jest potomkinią Nenufarów. Zawsze będziesz potrzebowała więcej niż ona.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, na stole między nami wylądowało frisbee.

- Oj, przepraszam! - W naszą stronę truchtał chłopak w szerokich szortach i bluzie. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat. - Śliskie palce!

- Spójrz na to - szepnęła Charlotte. A przynajmniej tak mi się zdawało. Słowa pojawiły się i znikły niemal natychmiast.

- Dzień dobry. - Chłopak zwolnił kroku i wskazał na nasze jedzenie. - Mam nadzieję, że nie popsulem paniom lunchu.

- Nic podobnego. - Charlotte chwyciła frisbee, zsunęła okulary i uśmiechnęła się. - Dzień w sam raz na grę.

- To prawda, razem z przyjaciółmi...

Zamilkł, a jego wzrok znieruchomiał na oczach Charlotte. Ta, wciąż trzymając frisbee w jednej dłoni, drugą przyłożyła do jego torsu. W tej samej chwili rozległ się przenikliwy pisk; oderwałam wzrok od tych dwojga, żeby obejrzeć się za siebie. Najpierw pomyślałam, że w restauracji najwyraźniej mają problemy techniczne z zewnętrznym systemem nagłaśniania, jednak muzyka grała normalnie. Dźwięk przycichł, gdy byłam odwrócona tyłem do stolika, a kiedy znów spojrzałam na tę dwójkę, wzmógł się.

Charlotte. Jej wargi nie poruszały się, ale... jakimś sposobem ten odgłos wydobywał się właśnie z niej. Śpiew trwał nie dłużej niż pięć sekund, zyskując na głębi i donośności, na koniec przechodząc w drzenie, jednak wystarczył, by palce Charlotte wyprostowały się, skóra wygładziła, a siwe włosy pociemniały, zyskując jedynie szarawy odcień.

Po chwili dźwięk ucichł. Charlotte oderwała dłoń od piersi mężczyzny i jak gdyby nigdy nic podała mu frisbee.

- Dzięki. - Zamrugał i wziął plastikowy dysk.

Charlotte z powrotem wsunęła na nos ciemne okulary i wróciła do jedzenia kanapki. Mężczyzna stał przy niej jeszcze przez chwilę, po czym zaczął się wycofywać. Rozległ się kolejny dźwięk - tym razem tak krótki i cichy, że przez chwilę wątpiłam, czy nie jest jedynie wytworem mojej wyobraźni - a po nim mężczyzna potrząsnął głową, odwrócił się i truchtem ruszył w stronę przyjaciół. Nie obejrzał się już ani razu.

- Co to było? - zapytałam.

Charlotte, jakby znów na tyle silna, by czuć apetyt, jadła łąpczywie.

- Nawet na mnie nie spojrzał - oznajmiłam zdumiona.

- Jakby mnie tu wcale nie było. Proszę, potraktuj to wyłącznie jako pełną uznania obserwację: coś takiego nie zdarzyło mi się od bardzo dawna. I spójrz na swoją skórę! - Wskazałam na jej ramię. - Jest tak gładka, jakbyś dopiero co skończyła miesięczny maraton pływacki. - Obejrzałam się na grupkę graczy.

- On jest kompletnie nieświadomy. Zupełnie jakby nic nie zaszło.

- Bo dla niego nic nie zaszło. - Skończyła pałaszować kanapkę.

Pomyślałam o własnym odbiciu w lustrze w domku nad jeziorem kilka dni temu. Czy to dlatego wyglądałam tak pięknie? Bo, obejmując rybaka wtedy w piwnicy, krzyknęłam - a raczej próbowałam, choć dźwięk, jaki się ze mnie wydobył, okazał się czymś zupełnie innym? Czyżby reakcja mężczyzny dostarczyła mi tak potężnej dawki energii, że zupełnie zmyła oznaki nienaturalnie szybko upływającego czasu, który odciskał piętno na moim wyglądzie zewnętrznym?

- Czy on wie, że tu przyszedł? - zapytałam, wracając do teraźniejszości.

- Tak, ale będzie pamiętał tylko zabranie frisbee ze stołu. Nie zapamięta ani słowa z naszej krótkiej rozmowy.

- Ale jak to możliwe? Przecież... dotykałaś go, i to przez kilka sekund.

Charlotte złożyła dłonie na stole, uniosła się lekko i zmieniając pozycję na ławce, usiadła przodem do mnie. Jej ciało wciąż było słabe, ale teraz pewnie trzymała się na nogach. Gdy pochyliła się bliżej, nasze kolana otarły się o siebie pod blatem.

- Vanesso, to, czego doświadczasz - brak spójności w poziomie energii, nagłe ataki pragnienia, obezwładniające zmęczenie - nigdy nie minie. Będzie jeszcze gorzej. Jedynym sposobem na odsunięcie objawów na dłużej jest przyciąganie uwagi, zarówno emocjonalnej, jak i fizycznej, przedstawicieli płci przeciwnej - najlepiej kogoś, kto jest zainteresowany inną kobietą, na którą uwagę będziesz musiała zapracować. Tak było w przypadku Parkera, mam rację?

- Tak, ale ja nie mogę...

- Znow zrobić tego Simonowi. Wiem. Dlatego zademonstrowałam ci drogę na skróty.

- Na skróty? Ale do czego?

- Do serca twojego obiektu. Przy użyciu fizycznego kontaktu i wewnętrznego głosu. Ta sztuczka nigdy nie pozwoli ci uzyskać długofalowych rezultatów, jakie dałoby zbudowanie bliższej relacji, ale da ci milion razy więcej niż butelka słonej wody, którą właśnie opróżniłaś. A jeżeli będziesz to robić umiejętnie i wystarczająco często, pozwoli ci przetrwać z dnia na dzień bez konieczności robienia czegokolwiek innego.

Próbowałam poskładać jej wyjaśnienia w całość i zrozumieć to, czego właśnie byłam świadkiem.

- Ale czy to nie jest trudne? Podejść ot tak sobie do przypadkowego faceta i zrobić to, co zrobiłaś... zwłaszcza w miejscu publicznym, gdzie dokoła pełno ludzi? Czy może lepiej poczekać, aż się wyludni?

- To nie jest łatwe - przyznała Charlotte. - Nic w tym nie jest łatwe. To od ciebie zależy, którą bitwę uznasz za wartą zaryzykowania ewentualnych konsekwencji.

- I to wszystko? Miałabym albo związać się z jakimś gościem, który jest mi obojętny, i stracić Simona na zawsze, albo hipnotyzować rzeszę facetów na krótką chwilę i liczyć na to, że nikt nie zauważy? To moja jedyna alternatywa?

Opuściła głowę. Miałam nadzieję, że zastanawia się usilnie nad innym rozwiązaniem albo słucha porad starszej, bardziej doświadczonej syreny, która skrywa w zanadrzu szereg interesujących opcji - najlepiej niemających nic wspólnego z żadnymi przypadkowymi mężczyznami.



O czymkolwiek rozmyślała, zostało to wkrótce przerwane. Powietrze przeszył krzyk, który zagłuszył dźwięki starego przeboju i sprawił, że obie się wzdrygnęłyśmy. Obróciłam się i wzrokiem omiotłam wybrzeże. Na przystani było może z tuzin osób, nie licząc nas i ekipy grającej we frisbee, a na plaży jeszcze mniej. Prawie natychmiast odkryłam, skąd dobiegał głos.

Od pary stojącej nieopodal posągu rybaka - tego samego, którego wszyscy turyści muszą fotografować na pamiątkę, jak twierdziła Paige. Dziewczyna, która nadal krzyczała, choć już nie tak piskliwie, mocno odepchnęła mężczyznę. On zaś wyciągnął ramiona, objął ją i przyciągnął do siebie. Krzyknęła znowu i wyrwała się z jego objęć.

Tak bardzo skupiałam się, by zrozumieć sens jej wrzasków, że nie od razu zauważyłam, w co była ubrana. Kiedy spostrzegłam szorty w kolorze khaki, czarny Tshirt i czarny fartuszek, poderwałam się z miejsca i ruszyłam biegiem w stronę pary.

- Vanesso! - zawołała za mną Charlotte.

- Zaraz wracam! - krzyknęłam w odpowiedzi, wyszarpując telefon z kieszeni spodenek. Otworzyłam klapkę w biegu i zawiesiłam kciuk nad dziewiątką. Wydział policji był na tyle blisko przystani, że jakiś funkcjonariusz mógł zauważyć przepychankę zza biurka, ja jednak wołałam nie ryzykować.

Okazało się, że telefonowanie pod 911 nie jest konieczne. Kiedy zbliżałam się do pary, sprzeczka ucichła, a facet czmychnął do niebieskiego SUVa z tablicami rejestracyjnymi stanu Vermont. Dziewczyna ruszyła wolnym krokiem w stronę plaży i opadła na piasek, zasłaniając twarz jedną ręką, a szyję drugą.

- Nic ci nie jest?

Natalie zachłysnęła się i podniosła wzrok.

- Vanessa?

Opadłam na kolana.

- Co się stało? Kto to był?

Spojrzała ponad moim ramieniem na innych ludzi rozproszonych na przystani i plaży.

- O, nie! - załkała, zasłaniając teraz twarz obiema dłońmi.

- Tak mi wstyd!

- W ogóle się tym nie przejmuj... - urwałam, gdy nagle mój wzrok natrafił na cienką różową pręgę biegnącą wokół jej szyi. Ślad zaczynał powoli sinieć, nabierając odcienia soczystego fioletu.

- Sama to sobie zrobiłam. - Natalie uniosła na wyciągniętej dłoni zerwany srebrny łańcuszek. - Ręce tak bardzo mi się trzęsły, że nie mogłam go odpiąć, więc złapałam i

szarpnęłam tak mocno, jak się dało. Gdybym tylko była Sandrą Bullock, a to byłby film, a nie moje życie, na pewno poszłoby gładko - i nikomu nie stałaby się krzywda.

Mój wewnętrzny alarm przycichł i przysiadłam na piętach.

- To był twój narzeczony?

- Były narzeczony. - Złożyła dłoń w pięść i uderzyła nią o piasek. - Taka ze mnie idiotka. Dlaczego jestem taką idiotką?

Przypomniawszy sobie o Charlotte, odwróciłam się i machnęłam do niej ręką na znak, że wszystko w porządku. Widząc innych gapiów, do nich też machnęłam.

- Will powiedział, że chce porozmawiać. Mówił, że to ważne i że musimy się spotkać. A potem jechał siedem godzin, żeby tu dotrzeć. Siedem godzin! Do dzisiejszego dnia najdłuższa podróż, jaką odbył, żeby się ze mną zobaczyć, trwała czterdzieści minut - i to tylko dlatego, że rozpętała się śnieżycą, a on nie chciał tkwić zasypany w domu bez swojego iPod'a, którego zostawił u mnie. - Znów wymierzyła pięścią w piasek, ale uderzenie straciło impet i dłoń opadła z cichych tąpnięciem.

- A ja, idiotka, myślałam, że chce do mnie wrócić.

- Wcale nie jesteś idiotką - pocieszyłam ją i dodałam po chwili: - Więc nie o to mu chodziło?

- Wprost przeciwnie. - Przyciągnęła ugięte nogi do piersi i oparła czoło na kolanach. - Chciał odebrać pierścionek.

- Twój pierścionek zaręczynowy? Ale dlaczego?

- Żeby dać go swojej nowej dziewczynie? Żeby sprzedać ikupić jej coś ładnego? Skąd mogę wiedzieć!? Zresztą kogo to obchodzi? - Westchnęła ciężko. - Mnie. Bo. i.

- Bo jesteś człowiekiem - dokończyłam. - Każdy w podobnej sytuacji zareagowałby tak samo.

Przetoczyła głowę na bok i spojrzała na mnie z ukosa.

- Czyżby? Każdy krzyczałby i wrzeszczał, dając żenujący pokaz na wielką skalę?

- Twoim zdaniem to była wielka skala? - zapytałam lekko.

- Proszę cię! To miasto turystyczne. Ta przystań widziała już gorsze przedstawienia - zwłaszcza gdy ludzie, którzy spędzili cały dzień na słońcu, wieczorem postanawiali się napić.

Kącik jej ust uniósł się nieśmiało, po czym opadł.

- A jednak był wystarczająco rozpaczliwy, żebyś ruszyła tu biegiem.

Skinęłam głową.

- No cóż, po tym, co stało się z Carłą, i po ostatnich wydarzeniach „U Betty”... zdaje się, że mam niski próg pobudliwości. Ale to mój problem, nie twój.

- W każdym razie dziękuję. - Pociągnęła nosem i przetarła oczy. - Paige mówiła, że jesteś wspaniałą przyjaciółką. Widzę, że miała rację.

Chcąc się upewnić, że Natalie naprawdę czuje się dobrze, przycupnęłam na piasku obok i zapadłyśmy w krzepiące milczenie. Pomyślałam o swojej podejrzliwości wobec niej, nieufności co do jej zamiarów wobec Paige, i zrobiło mi się głupio. Natalie przechodziła ciężkie chwile. Dlaczego miałyby nie chcieć uczeplić się kogoś innego? I zanurzyć w zupełnie obcym świecie, żeby zapomnieć o swoim? Wiedziałam lepiej niż ktokolwiek inny, jak kusząca to była perspektywa.

Chwilę później usiadła wyprostowana i klasnęła dłońmi o uda.

- Dosyć. Nie zamierzam stracić ani sekundy więcej na myślenie o nim. Faceci zwyczajnie nie są warte tych wszystkich starań ani nieuniknionego cierpienia. - Poderwała się i wyciągnęła rękę, żeby pomóc mi wstać. - Może z wyjątkiem twojego. Jak myślisz? Jest tego wart?

Chwyciłam jej wyciągniętą dłoń i już zamierzałam się podnieść, gdy nagle znów klapnęłam na piasek. Moje nogi - czy to z powodu stresu wywołanego tym, co działo się z Natalie, z powodu fizycznego wysiłku, jakiego wymagało dobiegnięcie do niej, czy po prostu zwykłego zmęczenia - zrobiły się jak z waty.

Wtedy, jak na zawołanie, na piasku obok wylądowało frisbee. Jeden z dwudziestokilkulatków grających na plaży odłączył się od grupy i podbiegł w moją stronę. Powoli uniosłam wzrok, aż zatrzymał się na jego piersi.

- Owszem - odparłam. - Jest.

- Ale ciemno - stwierdził Simon.

- Jesteśmy w kinie - przypomniałam.

Siedzieliśmy w ostatnim rzędzie. Na ekranie wyświetlano reklamy, a Simon lustrował rzędy przed nami.

- Może to nie był dobry pomysł.

- To doskonały pomysł. Od lat nie byliśmy razem w kinie.

- Wiem, ale... nie wolałabyś obejrzeć filmu na DVD u ciebie albo u mnie?

- I zrezygnować z frajdy patrzenia w wielki ekran? Z kinowej atmosfery? Z popcornu?

- Potrząsnęłam głową i zatłuszczonym kartonowym pojemnikiem. - Nic z tego!

Simon rozparł się wygodniej w fotelu i spojrzał na mnie. Uśmiechał się, ale w jego oczach widać było niepokój. Chciał być tu razem ze mną, na normalnej randce, tak samo jak ja, ale nie mógł przestać rozmyślać, kto jeszcze siedzi na widowni.

- Nic się nie wydarzyło - powiedziałam cicho. - Minęło kilka dni, a w prasie nie pojawił się ani jeden artykuł, nie przyszedł ani jeden email, ani razu nie wybraliśmy się z wizytą na pogotowie po parę szwów.

Opuścił wzrok na moją skaleczoną dłoń, która leżała teraz w jego otwartej dłoni. Rana goiła się dobrze, a bandaż nie rzucał się w oczy, jeśli nie spojrzano się wprost na moją rękę. Jednak Simon nie musiał widzieć dowodu napaści w piwnicy, żeby o niej pamiętać.

- Ani śladu pomarańczowej furgonetki na przystani, co? - zagadnęłam.

Pogłaskał kciukiem wierzch mojej dłoni.

- Ani śladu.

- A tu, zobacz, tu jest co najmniej piętnaście osób. Kto próbowałby zrobić cokolwiek przy tylu świadkach?

Reklamy ustąpiły miejsca zapowiedziom pokazów premierowych. Simon pochylił się i przybliżył twarz do mojej twarzy. Wymieniliśmy pocałunek, kiedy przyćmione górne światło zupełnie zgasło.

- Widziałaś to? - szepnął, odsuwając się.

Widziałam. Przelotny błysk bladego światła, który rozświetlił salę kinową, zanim zrobiło się ciemno.

- Tam. - Skinęłam na grupę dzieciaków kilka rzędów niżej. Śmiały się, robiąc miny i fotografując się aparatem w telefonie.

- Są za młodzi - dodałam, żeby go uspokoić. To nie ci, których widziałam nad

jeziorem kilka tygodni temu.

Parę minut później zaczął się film. Kino w Winter Harbor miało tylko dwie sale. Stając przed wyborem: komedia albo dramat, zdecydowaliśmy się na tę pierwszą opcję. To był dobry wybór, bo Simon wydawał się zrelaksowany, a w przerwach między śmiesznymi scenami obejmował mnie i przyciskał wargi do mojej skroni.

Ja też byłam rozluźniona - przynajmniej na początku. Ale nie minęło jeszcze pół godziny od rozpoczęcia filmu, kiedy zaczęło mnie ogarniać znajome uczucie dyskomfortu. Całymi garściami pakowałam do ust słony popcorn, a kiedy już opróżniłam swoją butelkę z wodą, wypiliśmy napój Simona, ale i to nie wystarczyło.

To idiotyczne, myślałam. Przecież ja nawet nic nie robię. Ja tu tylko siedzę.

Jednak to nie miało znaczenia. Postanowiłam więc wstać, zanim będzie za późno.

- Łazienka i dolewka - wyjaśniłam szeptem, kiedy Simon poprawił się na krześle. Wzięłam pusty papierowy kubek, ucałowałam Simona w policzek i przestąpiłam nad jego stopami.

- Za dwie minuty wracam.

W holu na krótko niemal mnie oślepiło; musiała minąć chwila, zanim przypomniałam sobie, że jest wczesne popołudnie. Mrugając, żeby przyzwyczaić wzrok do światła dziennego, cisnęłam kubek do kosza i ruszyłam prosto do damskiej toalety.

Niestety, dwie z trzech kabin były zajęte. Żeby nie tracić czasu, skorzystałam z trzeciej.

Kiedy wyszłam, jakaś dziewczyna myła ręce. Wyglądała na kilka lat starszą ode mnie. Nasze spojrzenia spotkały się w lustrze i przez chwilę zdawało mi się, że cień zaskoczenia, a może czegoś więcej, przemknął po jej twarzy. Znamy się? Czyżbym ostatnio obsługiwała ją „U Betty”? Niezależnie od tego, jaka to była reakcja, zniknęła zbyt szybko, bym zdołała ją rozpoznać. Uśmiechnęłam się na wszelki wypadek, a kąciki jej ust na jedną chwilę też się uniosły. Potem opuściła wzrok.

Podeszłam do umywalki na skraju, zachowując dystans, i odkręciłam wodę. Na szczęście, przez pierwszych kilka sekund była lodowata. Pomyślałam, że zanim zdąży się nagrzać, a ja skończę myć ręce, dziewczyna już sobie pójdzie, a ta druga, która wciąż siedziała w kabinie, zacznie się zbierać.

Właśnie na to liczyłam. Ale ona wcale się nie spieszyła. Opłukała i wysuszyła ręce, wyciągnęła krem z torebki i zabrała się do smarowania dłoni, co ciągnęło się w nieskończoność. Potem, ponieważ najwyraźniej nałożyła za dużo kremu, znów umyła ręce i powtórzyła wszystko od początku, tym razem nakładając mniejszą ilość. Drugi raz

uruchomiła dwukrotnie suszarkę, co byłam w stanie zrozumieć, bo to zabytkowe urządzenie zawsze wydmuchiwało więcej zimnego powietrza niż ciepłego, więc dłonie długo pozostawały wilgotne.

Potem zabrała się do poprawiania makijażu. Wyjmowała z torebki jeden kosmetyk po drugim - błyszczczyk, tusz do rzęs, róż - i układała je kolejno na metalowej półeczce pod lustrem. Poświęcała kilka dobrych sekund na każdy etap, co było mi trudno zrozumieć, bo jej makijaż i tak wyglądał na doskonale wykonany - i to całkiem niedawno. Po tym wszystkim zajęła się swoimi długimi brązowymi włosami: szczotkowała je i układała, utrwalała sprayem, jakby przygotowywała się do profesjonalnej sesji zdjęciowej.

Nie chciałam opuszczać łazienki, nie zrobiwszy tego, po co przyszłam, dlatego grałam na zwłokę. Niestety, moja torebka nie była zbyt dobrze wyposażona, więc żeby znaleźć jakiś powód do pozostania przed lustrem, musiałam uruchomić kreatywne myślenie. Zająłam się rozpinaniem i zapinaniem długiego kaszmirowego swetra, który pożyczyłam od Charlotte, i przyglądaniem się sobie w obu wersjach. Nagle dziewczyna odwróciła się do mnie.

- Wyglądasz znajomo - powiedziała. - Czy my się znamy?

- Nie wydaje mi się. Ale może ostatnio byłaś w Restauracji Rybnej „U Betty”? Pracuję tam.

Dziewczyna zmrużyła zielone oczy i wyduła wargi.

- Nie przepadam za rybami.

- Jesteś z Winter Harbor? - zapytałam. - Moja rodzina przyjeżdża tu od lat, więc może widziałymy się przy okazji gdzieś w mieście.

- Możliwe. - Wydawała się pełna wątpliwości.

Poczułam, że pod jej przenikliwym spojrzeniem czerwienieje mi twarz. Chwilę później wzruszyła ramionami i odwróciła się w stronę swojego przenośnego zestawu do wizażu. Gdy jednym ruchem zgarnęła wszystkie kosmetyki do torebki, powstrzymałam się przed westchnieniem ulgi. Jeszcze kilka minut, a pewnie zemdlałabym bez uzupełnienia zapasów wody.

- Już wiem! - Obróciła się z szerokim uśmiechem i błyskiem w oczach. - Jesteś tamtą dziewczyną!

Przez chwilę milczałam.

- Jaką dziewczyną?

- Tą z zeszłego lata. Której siostra spadła z urwiska i utonęła.

Kiedy ona uśmiechała się promiennie, wyraźnie dumna z możliwości swojej pamięci, ja uchwyciłam się umywalki, żeby nie upaść.

- Nie mogę uwierzyć, że wróciłaś. - Wzięła marynarkę z krawędzi umywalki i ruszyła w stronę drzwi. - No wiesz, większość rodzin drży na samą myśl o powrocie w miejsce zdarzenia... Przynajmniej w filmach, no nie?

Po kafelkach poniósł się głuchy odgłos. Przystanęła twarzą do drzwi, a ja pochyliłam się, żeby podnieść jej telefon komórkowy, który musiał wypaść z kieszeni marynarki. Klapka telefonu była otwarta, a kiedy jej go podawałam, przed oczami mignęły mi czerwone połyskujące kafle posadzki poruszające się na małym ekranie.

- Dzięki. - Wzięła ode mnie telefon i zniknęła w holu. Z obawy, że podejście do drzwi i zamknięcie ich na zamek będzie mnie kosztowało zbyt wiele czasu i cennej energii, pochyliłam się nad umywalką, odkręciłam oba kurki do oporu i zatkałam korkiem odpływ. Wyciągnęłam saszetkę soli z torebki i opróżniłam ją nad małym wirującym basenem.

- I pomyśleć, że wszyscy pochodzimy od tych samych przodków.

Gwałtownie złapałam powietrze, zakręciłam wodę i odwróciłam się za siebie. Komentarz brunetki tak zbił mnie z tropu, a świadomość słabnącego ciała do tego stopnia dekoncentrowała, że całkiem zapomniałam o drugiej użytkownicy toalety. W otwartych drzwiach drugiej kabiny stała ładna, nieco pulchna blondynka i przecierała oczy.

- Ale niektórzy ludzie najwyraźniej rodzą się bez kręgosłupa. - Pociągnęła nosem i wyszła z kabiny.

Znów zrobiłam gwałtowny wdech i świszczący wydech. Oddychałam ciężko.

- Jak to bez kręgosłupa? - Wreszcie zebrałam się, by przemówić.

- Mam na myśli najbardziej podstawowe umiejętności społeczne. Umiejętności, które nie dają ci palnąć strasznej głupoty do zupełnie obcej osoby w toalecie publicznej - albo przynajmniej pozwalają ci uświadomić sobie, co właśnie palnęłaś, i podpowiadają, żeby przeprosić, jeżeli już jest za późno. - Wzięła głęboki oddech i wydmuchała nos. - Te same umiejętności nie pozwalają ci wystawić do wiatru nieszczęsnej, żalosnej kobiety, która po miesiącu widywania cię codziennie rano w kawiarni zbiera się na odwagę i zaprasza do kina.

Na krótką chwilę zapomniałam o własnych problemach.

- Przykro mi.

- Mnie też. - Zwinęła chusteczkę w kulkę i cisnęła ją do kosza na śmieci. Spudłowała i kulka wylądowała na podłodze.

- W takiej sytuacji zazwyczaj nie wytrzymuję... powinnam powiedzieć tej wrednej babie, co o niej myślę, ale teraz zaczęłabym się od nowa mazać. I nic dobrego by z tego nie wynikło dla żadnej z nas - no, może z wyjątkiem tej prostaczki, która pewnie miałaby niezły ubaw.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytałam. - Chcesz, żebym stanęła na czatach i nie wpuszczala nikogo, dopóki nie będziesz gotowa?

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, ale to może trochę potrwać. Zresztą i tak ukrywam się tutaj od jakichś dwudziestu minut. - Przemierzyła toaletę, powłócząc nogami, podniosła zużyta chusteczkę i wrzuciła ją do kosza. - Ale jest coś, o co chciałabym cię prosić.

- Mówisz i masz. - Sięgnęłam do kieszeni po telefon, żeby napisać do Simona, że nic mi nie jest i że potrzebuję jeszcze kilku minut.

- Bądź ostrożna.

Moje palce znieruchomiały w kieszeni.

- To nieważne, co ci mówią ani w co chcesz wierzyć... Facetom nie można ufać.

Posłała mi kolejny smutny uśmiech, wyrwała garść papierowych ręczników z automatu i wyszła.

Odwrociłam się w stronę umywalki, która teraz była prawie pusta, choć jeszcze przed chwilą wirowała w niej moja słona woda. Resztki solanki, bulgocząc, wysączały się przez starą gumową zatyczkę i spływały rurami.

- Świetnie - wymamrotałam. Przed wyjściem do kina spieszyłam się na spotkanie z Simonem, przez co zabrałam ze sobą tylko jedną saszetkę soli.

Odkręciłam kurek, podłożyłam złączone dłonie pod strumień wody i piłam. Słodka woda nie działała na mnie tak jak słona, ale była lepsza niż nic. A ja potrzebowałam czegokolwiek, co pomogłoby mi dotrzeć do stoiska z przekąskami.

- Vanesso! - Kiedy wyszłam z toalety, Simon, z telefonem w dłoni, szybkim krokiem przechodził przez hol. - Dobrze się czujesz?

Nie wierząc, że moje ciało utrzyma mnie na nogach, przystanęłam i zaczękałam, aż to on podejdzie do mnie.

- Jasne - odparłam.

- Nie było cię dziesięć minut.

Sama byłam tym zaskoczona. Nie sądziłam, że upłynęło tak wiele czasu.

- Przepraszam. - Kiedy podszedł, dla uspokojenia objęłam go krótko. - Sytuacja awaryjna.

Przytrzymał mnie na odległość wyprostowanych ramion.

- Co masz na myśli? Co to za sytuacja awaryjna?

- Zapłakana dziewczyna. - Skinęłam w stronę podwójnych drzwi wyjściowych, gdzie kierowała się właśnie pulchna blondynka z naręczem toreb ze słodyczami; musiała je kupić,



kiedy byłam w łazience. - Biedactwo, chłopak wystawił ją do wiatru.

Ramiona Simona się rozluźniły.

- To okropne.

- No właśnie. Dlatego pozwoliłam jej się wygadać. Gdybym tego nie zrobiła, pewnie musiałyby ubiegać się o prawo do stałego pobytu w kabinie numer dwa.

Pochylił się niżej i pocałował mnie w czoło.

- Jesteś kochana.

- I dalej jestem ci winna napój, który właśnie zamierzałam kupić. Spotkamy się w środku?

- W porządku, nie trzeba.

Nie ruszyłam się z miejsca, kiedy delikatnie pociągnął za moją zdrową rękę.

- Nalegam.

- No dobrze - powiedział, posyłając mi niepewny uśmiech.

- W takim razie pójdę z tobą.

- Nie chcę, żebyś przegapił tyle filmu.

W normalnych okolicznościach to nie byłby dla Simona wystarczający powód, by zostawić mnie samą, tym bardziej że już się zaniepokoił. Jednak im bardziej ja starałam się być odważniejsza, tym bardziej on próbował przystopować z nadopiekuńczością. Dlatego raz jeszcze uściskał moją dłoń, po czym ją puścił.

- W takim razie do zobaczenia w środku - powiedział.

Odczekałam, aż drzwi do sali kinowej zamkną się za nim, i dopiero wtedy ruszyłam - tak szybko, jak pozwalało mi na to moje ciało - ku stoisku z przekąskami. Ponieważ oba filmy trwały już od jakiegoś czasu, nie było kolejki, a za ladą stał tylko jeden pracownik.

Zamówiłam dużą porcję prażonej kukurydzy, duży napój gazowany i butelkę wody. Moja obecność najwyraźniej zbiła z tropu pracownika - wysokiego, noszącego się po gangstersku chłopaka, który wyglądał na nie więcej niż siedemnaście lat.

Według napisu z plakietki miał na imię Tim. Najpierw upuścił moje pieniądze, potem wydał mi za dużo reszty i zderzył się z regałem ze słodyczami, aż w końcu dotarł do podajnika z napojami. Powrót do kasy zajął mu jeszcze więcej czasu, bo połowę napoju po drodze rozlał i musiał wracać po dolewkę. Kiedy postawił przede mną napoje i odwrócił się w stronę maszyny do robienia popcornu, odkręciłam butelkę z wodą, wysypałam do niej zawartość solniczki, potrząsnęłam i wypiałam.

Jakimś cudem przygotowanie popcornu poszło Timowi sprawniej, bo gdy wrócił z kubelkiem, ciągle jeszcze byłam przyssana do butelki.

- Z podwójną porcją masła - wysapałam, nabierając tchu.

- Proszę.

- Jasne. - Na jego twarzy zakwitł szeroki uśmiech, jakbym właśnie poprosiła go, by dał sobie spokój z tą robotą na pół etatu i uciekł ze mną do Las Vegas.

Próbowałam odpowiedzieć mu uśmiechem, ale nie mogłam. Pijąc, zdałam sobie sprawę, że coś jest bardzo nie w porządku - słona woda nie przynosiła żadnych efektów. Białe plamy sprzed moich oczu znikwały po każdym łyku, ale z chwilą, gdy woda docierała do przełyku, pojawiały się znowu. Z każdym łykiem plam było coraz więcej, wystrzelały szybciej, a w ich miejsce pojawiały się nowe. Wkrótce dołączyły do tego zawroty głowy, w której wirowało tak szybko, że nie potrafiłam ogarnąć własnych myśli.

- Tyle wystarczy? - zapytał Tim. - Czy może chcesz...

Zamilkłam. Niewiele widziałam z powodu plam, ale to, co zobaczyłam, wystarczyło. Brązowe oczy Tima, szeroko otwarte i nieobecne. Moja zdrowa ręka sięgająca naprzód. Palce chwytające za jego żółtą połówkę. Dłoń przyciskająca się do jego piersi.

Eksplozja srebrzystego światła, pochłaniająca całe pole widzenia.

- Vanesso?

Na głos Simona moja dłoń opadła na ladę. Mrugnęłam, a mój wzrok się wyostriżył.

- Słyszałaś to?

Słyszałam. Były to dwa ciche, wysokie dźwięki. Pierwszy trwał kilka sekund, załamywał się na końcu. Drugi zakończył się niemal równie szybko, jak zaczął. Oba zdawały się dobiegać z wnętrza mojego ciała, a jednocześnie z oddali.

Ale, jak się okazało, nie o tej przedziwnej muzyce mówił Simon.

- Ta dziewczyna - oznajmił, kiedy się obracałam - ta, którą chłopak wystawił do wiatru... Wiedziałem, że jest w niej coś znajomego, i właśnie skojarzyłem, co to takiego. - Zrobił krok w moją stronę, nie zerkając nawet na Tima, który - jak zakładałam - wciąż stał za ladą. - Miała blond włosy. Różowe buty i zieloną torbę. Zupełnie jak...

- Dziewczyna ze zdjęć - dokończyłam, nie mogąc uwierzyć, że sama tego nie zauważyłam. - Przysłanych w mailach.

- Myślisz, że to ona? - zapytał.

Nie odpowiedziałam. Nie musiałam.

Krzyk z zewnątrz tłumaczył wszystko.

Ofiara nazywała się Erica Anderson. Miała dwadzieścia osiem lat i wychowała się w Winter Harbor. Ukończyła college w północnej części stanu Nowy Jork, a po przepracowaniu kilku lat na północnym wschodzie wróciła do Maine jako profesjonalna niania. Zatrudniła się w miejscowym salonie kosmetycznym „Magia muszli i wodorostów”, żeby mieć z czego opłacić czynsz, ale często mówiła o powrocie na studia po tytuł magistra. Uwielbiała Poppyego, swojego cockerspaniela, którym teraz mieli się zająć jej rodzice i młodszy brat nadal mieszkający w Winter Harbor.

- I to wszystko? - zapytała Paige. - A co z numerem buta? Albo jej słabością do biszkoptów i gier planszowych? Albo z faktem, że zanim stała się profesjonalną nianią, była najbardziej popularną babysitterką w mieście?

- To nie twoja wina - powiedziała cicho, nie po raz pierwszy.

Opadła na oparcie krzesła, odsuwając twarz od ekranu komputera, na którym wyświetlała się strona internetowa „Heralda”.

- Powinam ją była rozpoznać.

- Dawno temu zajmowała się Simonem i mną - oznajmił Caleb - i my też jej nie rozpoznaliśmy. Na żadnym ze zdjęć nie było widać wyraźnie jej twarzy. A ponieważ przybrała na wadze i zafarbowała włosy, wyglądała zupełnie inaczej.

- Ja za to rozmawiałam z nią kilka minut wcześniej i nie poskładałam tego w całość. Nawet gdyby któremuś z nas to się udało, czy miałyby to jakiegokolwiek znaczenie? Nie mogliśmy przewidzieć, że to się stanie. - Przynajmniej tak sobie w kółko powtarzałam. Musiałam w to jeszcze tylko uwierzyć.

- W każdym razie Paige ma rację. - Simon przewinął kursorem w dół strony. - Jest cała masa informacji o Erice... ale nic o tym, co się z nią stało.

- Może policja chce przeprowadzić szczegółowe’ dochodzenie, zanim wyjawি więcej informacji? - podsunęłam.

- A może są tak wyczerpani wydarzeniami zeszłego lata, że zwyczajnie sobie odpuścili? - Paige potrząsnęła głową. - No bo przecież to był środek dnia. Środek miasta. Jak to możliwe, że nie ma świadków?

To było dobre pytanie. Niestety, nie znaleźliśmy na nie odpowiedzi. Ericę znaleziono leżącą przy kontenerach na śmieci w alejce między kinem a sklepikiem z bajglami. Krzyk, który Simon i ja usłyszeliśmy w kinie, wydała z siebie starsza kobieta; spacerując z wnukiem, dostrzegła nogę Eriki wystającą zza metalowego kosza. Dotarliśmy na miejsce na kilka minut

przed policją. Ja zatrzymałam się w pewnej odległości, nie mogąc odwrócić wzroku od porzuconego różowego lakierka, ale on podszedł do ciała. Stwierdził brak pulsu i zobaczył oczywiste oznaki walki, więc puścił się pędem w głąb alejki i obiegł przecznicę w poszukiwaniu napastnika.

Ten jednak zdążył już uciec - najwyraźniej tam, skąd miał dostęp do komputera. Wiedziałam, bo Simon stał obok mnie, wciąż próbując złapać oddech, kiedy Caleb przysłał mu wiadomość, że przyszedł nowy email.

Żadne z nas nie było zaskoczone, kiedy okazało się, że w załączniku jest zdjęcie przedstawiające twarz martwej Eriki.

- To musiał być ten facet, który nie przyszedł na randkę.

- Simon spojrzał na mnie. - Nie sądzisz? Pewnie zgadzając się na to spotkanie, już miał zamiar zrobić to, co zrobił.

- Może - odparłam. - Erica mówiła mi, że to ona go zaprosiła. Po miesiącu widywania codziennie rano w tej samej kawiarni. A jest dopiero dziesiąty lipca. Grupa, którą widziałam przy domku nad jeziorem, wyglądała dość młodo - byli co najwyżej w wieku studenckim - więc czy mogli kręcić się po miasteczku od tak dawna?

- Zdjęcia z upuszczonego aparatu zrobiono trzy tygodnie temu. - Caleb wzruszył ramionami. - Kilka dni więcej nie zrobiłoby dużej różnicy.

- A co z tą drugą dziewczyną? - zapytał Simon. - Z tą od makijażu? Wiedziała, kim jesteś, prawda?

Pokiwałam głową, czując ulgę, że tym razem nic przed nim nie zataiłam. Wyznałam wszystko (prawie) o tym, co się wydarzyło w damskiej toalecie.

- Tylko że... jej reakcja była opóźniona, tak jak wasza w przypadku Eriki. Wydawało się, że mnie rozpoznaje, ale dopiero przed samym wyjściem przypomniała sobie dokładnie.

- Ale skąd mogła wiedzieć, kim jesteś? - zapytał Caleb.

- W niektórych artykułach publikowanych zeszłego lata wspomniano, że Justine miała siostrę, jednak twoje zdjęcie nigdy nie zostało zamieszczone.

To kolejne dobre pytanie pozostające bez odpowiedzi. Zresztą nie bez znaczenia był też fakt, że brunetka całe wieki poprawiała makijaż i uczesanie. Czyżby czekała, aż Erica wyjdzie z kabiny, a ja z toalety? A może jedno i drugie?

- No cóż, nawet jeśli miała z tym cokolwiek wspólnego - powiedział Simon - nie działała w pojedynkę. Sińce na szyi Eriki były zbyt rozległe. Musiał to zrobić ktoś większy i silniejszy.

Paige jęknęła cicho, wstała i podeszła do barierki tarasu.

- Jeżeli to robota tych szalonych prześladowców... Dlaczego to robią? Jeśli chcą zwrócić naszą uwagę, zdemaskować nas przed światem czy cokolwiek innego, dlaczego za cel ataków nie biorą mężczyzn? Mogliby nas w ten sposób wypłoszyć z ukrycia. Skoro najwyraźniej wiedzą coś o powiązaniach Vanessy, dlaczego nie atakują nas bezpośrednio? Czy przyjmują, że wszystkie kobiety w Winter Harbor są takie jak my i zasługują na karę? A jeżeli tak, czy nie powinnyśmy wydać, sama nie wiem, pewnego rodzaju oświadczenia? Żeby oszczędzić pozostałą część żeńskiej populacji?

Z każdym kolejnym zdaniem słowa z ust Paige wypływały szybciej. Chciałam do niej podejść, ale uprzedził mnie Caleb. Lekko otoczył jej ramiona swoim ramieniem. Przez chwilę milczeliśmy; jedyne dźwięki wydawały mewy i garnki Louisa pobrzękujące w kuchni pod tarasem.

Wtedy coś do mnie dotarło.

- Jest dziesiąty lipca - oznajmiłam.

Spojrzenie Simona i moje się spotkały.

- No i?

- To znaczy, że wczoraj był dziewiąty. - Sięgnęłam po laptopa stojącego na stoliku przed nim. - Mogę?

Przesunął komputer w moją stronę. W oknie wyszukiwarki na stronie „Heralda” wpisałam „daty utonięć” i prześledziłam wyniki.

Znalazłam właściwy link, kliknęłam na niego i obróciłam laptopa przodem do Simona. Znieruchomiał wpatrywał się w ekran.

- Co się stało? - zapytała Paige, podchodząc do nas. - O co chodzi?

- Charles Spinnaker - powiedziałam.

- Drugi mężczyzna, który zmarł zeszłego lata. - Skinęła głową. - Co z nim?

- Zginął dziewiątego lipca - powiedział cicho Simon.

Oczy Paige się rozszerzyły.

- A ten pierwszy? Paul Carsons?

- Trzynastego czerwca. - Simon zmarszczył brwi.

- Dzień, w którym znaleziono Carlę - dodałam.

Paige sięgnęła za siebie po dłoń Caleba.

- Więc ci ludzie... kimkolwiek są... trzymają się zeszłorocznych dat? Z tą różnicą, że na ofiary wybierają kobiety, a nie mężczyzn?

Zanim któreś z nas zdążyło cokolwiek powiedzieć, na dole trzasnęły drzwi, na schodach rozległ się głośny tupot i na taras wbiegła Natalie. Na nasz widok jej uśmiech

zbladł.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam przeszkadzać... Nie wiedziałam, że wszyscy tu jesteście. Chciałam tylko poinformować Paige, że mamy pierwszego gościa.

Paige puściła dłoń Caleba, jakby to w jakiś sposób mogło wskazywać na temat naszej rozmowy. Wygładziła spódniczkę, poprawiła bluzkę i szybkim krokiem podeszła do Natalie.

- Czy blaty do ekspozycji są gotowe? - zapytała. - A muzyka? Jesteś pewna, że dwa rodzaje menu wystarczą?

Ruszyły w dół po schodach, Natalie na czele. Zanim głowa Paige zniknęła za ścianą klatki schodowej, obróciła się do mnie i szepnęła bezgłośnie:

- Pogadamy później.

- Szkoda, że nie zaplanowałyście tej uroczystości na inny wieczór, kiedy moglibyśmy być tu z wami - powiedział Simon, gdy wyszły. - Naprawdę wypadałoby, żebyśmy byli na urodzinach taty.

Zerknęłam na Caleba, który stał oparty o barierkę. Teraz wyprostował się i ruszył w stronę schodów.

- Zaczekam w samochodzie. Nie spiesz się.

- Vanesso...

- Kocham cię.

Simon zamilkł. Pomimo zaniepokojenia na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Zamknęłam wieko laptopa, wstałam i wyciągnęłam rękę. Zawahał się, zanim ją chwycił, a wtedy poprowadziłam go na odległy kraniec tarasu, skąd roztaczał się najpiękniejszy widok na przystań.

- Czy możemy skupić się przez minutę tylko na tym?

- Przyciągnęłam go do siebie i złożyłam mu głowę na piersi.

- Proszę.

Potaknął, muskając brodą czubek mojej głowy. Potem, dokładnie sześćdziesiąt sekund później, oznajmił:

- Ja też cię kocham. Dlatego zależy mi, żeby dzisiaj wieczoru być tu z wami. Czuwać nad tobą i dopilnować, by nic ci się nie stało.

Odsunęłam się i podniosłam na niego wzrok.

- Nawet gdybyś mógł tu dzisiaj być... co będzie jutro? I pojutrze?

- Coś wymyślę.

- A co zrobimy jesienią, kiedy złączą się studia? Zamierzasz kursować między Bates a Dartmouth, żeby każdej nocy utulić mnie do snu?

Odsunął luźny kosmyk włosów z mojego policzka i pocałował miejsce, które przed chwilą zasłaniał.

- Czy to byłoby takie straszne?

W piersi poczułam przyływ ciepłej fali.

- Byłoby cudowne. Ale raczej trudne do zrealizowania...

- Uniosłam twarz, żeby nasze usta się spotkały. Miałam nadzieję, że moje słowa dodadzą mu otuchy, choć we mnie wywołały odwrotny skutek. - Dam sobie radę sama. Muszę. Czy ci się to podoba, czy nie - bo mnie ani trochę - nie możemy spędzać razem każdej sekundy każdego dnia.

Pocałował mnie i przyciągnął do siebie.

- Dlaczego nie? - szepnął, przywierając ustami do moich warg.

W odpowiedzi pocałowałam go mocniej.

Kiedy rozstawaliśmy się parę minut później, próbowałam jakoś go uspokoić. Zapewniłam, że za pośrednictwem ojca Natalie zaprosiliśmy tylko kilkoro wybranych gości. I że, zgodnie z obietnicą, Paige zainstalowała kamery przemysłowe na terenie restauracji. Zatrudniła też więcej kelnerów - nie dlatego, że przewidywaliśmy tak duży ruch, ale na wypadek gdyby ktoś zaczął się awanturować i trzeba by było zakończyć ewentualne sprzeczki przy użyciu silniejszych argumentów. Na zakończenie pokazałam mu swój telefon, w którym numer do wydziału policji w Winter Harbor ustawiłam pod klawiszem szybkiego wybierania.

- Nie znoszę tego - powiedział, patrząc na mój telefon. - To znaczy... to dobry pomysł, ale nie znoszę tego, że to dobry pomysł.

Pocałowałam go raz jeszcze i zeszliśmy na dół. Kiedy dotarliśmy do holu, on ruszył w stronę wyjścia, a ja zajęłam swoje miejsce za ladą recepcyjną. Gdy wyrównywałam stosik kart dań, które Paige przygotowała z okazji dzisiejszej imprezy - na liście znajdowało się mniej niż dziesięć opcji do wyboru, łącznie z przystawkami i deserami, oraz rysunek latającej ryby autorstwa Paige - zauważyłam butelkę wody stojącą przy telefonie. Do etykiety przyklejona była karteczka samoprzylepna.

Rybacy potrafią być gadatliwi. To powinno pomóc! Natalie

Dałam sobie spokój z podejrzeniami wobec naszej nowej kelnerki po ostatnim spotkaniu na plaży, więc w pierwszej chwili pomyślałam, że to życzliwy gest. Wtedy jednak przypomniałam sobie sól, którą podała nam do kawy parę tygodni wcześniej. Choć o to nie pytałam, Paige wyjaśniła mi, że to pomocnik kelnera przez przypadek pozamieniał pojemniki z solą i cukrem, kiedy uzupełniał solniczki, pieprzniczki i cukierniczki, ale tamta sytuacja i tak zapadła mi w pamięć.

Teraz odkręciłam butelkę i napiłam się wody.

Nie była słona. Poczułam ulgę i uśmiechnęłam się.

Na szczęście, wcześniej zadbałam o to, by nie musieć uzupełniać zapasów energii. Przez kolejną godzinę ledwie nadażałam: po powrocie do holu po usadzeniu gości zabierałam ze sobą kolejne menu i robiłam kolejną rundę. Drzwi wejściowe ani na chwilę nie przestawały otwierać się i zamykać, a do środka napływali coraz to nowi rybacy dźwigający chłodziarki i papierowe zawiniątka. Prowadząc ich do stolików, wskazywałam na długi stół ustawiony w jednym końcu sali jadalnej oraz na rozwieszony nad nim baner z napisem: Pierwszy w Historii Konkurs Morskich Dziwów U Betty. Obserwowałam ich reakcje, wciąż nie w pełni przekonana do uniwersalnej wymowy metod marketingowych stosowanych z powodzeniem „U Górala”, jednak większość osób wydawała się podekscytowana i zaciekawiona. Ci, którzy sprawiali wrażenie, jakby woleli być gdzieś indziej, szli poszturchiwani przez tryskające entuzjazmem żony i przyjaciółki, a tych, ku mojemu zadowoleniu, było całkiem sporo.

Wkrótce wszystkie stoliki były zajęte i musiałam sadzać gości przy barze. Kiedy skończyły się stołki barowe, a goście nie przestawali przychodzić, pomachałam do Paige, która nadzorowała obszar konkursowy.

- Nie odsyłaj nikogo z kwitkiem - zaordynowała, dołączając do mnie za ladą recepcyjną.

- Ale nie mamy już ani jednego wolnego krzesła - wyjaśniłam. - A ci, którzy już przyszli, nie zamierzają w najbliższym czasie wychodzić.

- Więc będziemy oferować miejsca stojące. Ustawiamy ludzi wszędzie, gdzie się da - przy barze, na ganku, na tylnym patiu.

- Czy to nie jest sprzeczne z przepisami przeciwpożarowymi?

- Możliwe. - Skinęła głową na pobliski stół. - Ale mamy tu inspektora do spraw BHP.

Inspektor najwyraźniej miał słabość do wędkarstwa. Ze swojego miejsca słyszałam, jak między haustami piwa opowiada swoim przyjaciółom o monsturalnych rozmiarów rybie, którą udało mu się kiedyś złowić.

- A tak swoją drogą, skąd ci wszyscy ludzie się tu wzięli? - zapytałam. - Myślałam, że ty i Natalie zaprosiłyście tylko kilku rybaków. Na próbę.

- Bo tak było. - Paige wzruszyła ramionami. - Ale, jak wiesz, miałam na głowie inne sprawy i nie śledziłam zbyt uważnie listy gości. Zdaje się, że Natalie zaprosiła kilka osób więcej. Albo ci, których zaprosiliśmy, posłali zaproszenie w świat - a przecież właśnie o to nam chodziło.



Docelowo. Właśnie o to nam chodziło docelowo, kiedy już będziemy wiedzieć, co się sprawdza, a co nie.

- A przy okazji - dodała Paige z uśmiechem - mówiłam ci już, że pięknie dziś wyglądasz?

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, zawołał ją kelner. Obróciłam się do następnej grupy czekających rybaków i poprosiłam, by poszli za mną. Kiedy mijaliśmy jadalnię w drodze do części barowej, zerknęłam na własne odbicie w lustrze nad kominkiem.

Paige miała rację. Zanim Simon i ja zaczęliśmy się spotykać, raczej wstydziłam się własnego wyglądu i nigdy nie poświęcałam urodzie wiele uwagi. Od tamtej pory zaszła we mnie pewna zmiana, ale koncentrowałam się głównie na swoich wadach - przypuszczalnie mając nadzieję, że okażą się wystarczające, by płeć przeciwna nie zauważała mnie z ich powodu. Od przyjazdu do Winter Harbor tego lata moje własne odbicie w lustrze już dwukrotnie poważnie mnie zaskoczyło. Za pierwszym razem stało się to w łazience domku nad jeziorem, w wieczór po przykrym zajściu w piwnicy restauracji „U Betty”. Drugi raz był wczoraj, gdy szykując się do łóżka, odtwarzałam w myślach zdarzenia tamtego popołudnia. Biorąc pod uwagę to, jak fatalnie czułam się w kinowej toalecie, i to, jak wstrząśnięta - i przerażona - byłam śmiercią Eriki, powinnam w ogóle nie mieć siły na stawanie przed lustrem.

Jednak mimo to czułam się silna. A spojrzenie na swoje odbicie teraz odebrało mi oddech z zaskoczenia, nie ze strachu.

Było tylko jedno wytłumaczenie. Kiedy używałam wewnętrznego głosu wobec mężczyzn, jak zrobiłam to w piwnicy „U Betty” i w kinie, moje ciało jakimś sposobem przejmowało ich energię w potężnej dawce. Jak nigdy dotąd. Nie tylko czułam się nieskończenie silniejsza, ale moje oczy błyszczały, a skóra lśniła, zupełnie jakby rozpierała mnie chęć życia i uskrzydlała miłość, i jakby obie te siły przeszywały mnie na wskroś.

Nie mogłam zaprzeczyć rezultatom, bo były widoczne gołym okiem.

Widok zapierał dech w piersiach.

- Vanessa?

Odprowadziwszy rybaków, obróciłam się i zobaczyłam Olivera obejmującego Betty.

- Co to wszystko ma znaczyć? - próbował przekrzyczeć wrzawę. - Co się tu dzieje?

- Jest impreza! - odpowiedziała radośnie Betty. - Nawet ja to widzę.

- Ale Paige mówiła, że organizujecie niewielkie przyjęcie. Dlatego postanowiliśmy zajrzeć, żeby coś przekąsić i się przywitać.

- To bardzo miło z waszej strony. - Wymieniając z nimi krótkie uściski, próbowałam

zwrócić uwagę Paige. Była jednak zbyt zajęta rozmową z rybakami przy stołach konkursowych, by cokolwiek zauważyć. - Przypuszczam, że po tak spokojnym początku lata ludzie poczuli wreszcie ochotę na odrobinę rozrywki. Zaraz znajdę dla was miejsce. Mogę zaproponować coś do picia?

Poprosiłam kelnera, żeby podał im mrożoną herbatę, a dwóch innych, by znieśli z tarasu na piętrze dwa krzesła i niewielki stolik. Ruszałam już z powrotem w stronę holu, kiedy zobaczyłam Natalie idącą do kuchni. Chwyła mnie za ramię i przyciągnęła do siebie.

- Czy to nie wspaniałe? - Uśmiechała się promiennie.

- Mamy komplet!

- Rzeczywiście, przybyły większe tłumy, niż się spodziewaliśmy.

- I wygląda na to, że wszyscy doskonale się bawią. - Uniosła brodę. - W tym nasza ulubiona pani kierownik.

Zerknęłam za siebie. Kilka sekund wcześniej Paige rozmawiała z pojedynczymi rybakami, którzy przyglądali się złowionym sztukom wystawionym w skrzyniach z lodem. Teraz wszyscy utworzyli wokół niej krąg i zupełnie ignorowali konkursowe okazy. Sama Paige, roześmiana, stała pośrodku kręgu i od czasu do czasu wyciągała rękę, by poklepać kogoś po ramieniu czy ucisnąć za bark.

- Może i ja powinnam tak robić - podsunęła Natalie. - Poromansować z garstką przystojnych, przypadkowych facetów, żeby zapomnieć o Willu.

- Ona wcale nie romansuje - sprostowałam szybko.

- Nie w tej chwili. Ale sądząc po jej wyglądzie, jest otwarta na propozycje.

Nic nie odpowiedziałam. Bo Natalie miała rację. Paige flirtowała, jakby od tego zależało jej życie... I chociaż w pewnym sensie tak właśnie było, wciąż nie potrafiłam na to patrzeć. Nie chciałam, żeby moja najlepsza przyjaciółka musiała robić to co ja. A już na pewno nie zgadzałam się, by robiła to w miejscu publicznym, gdzie każdy jej krok śledziły setki par oczu.

- Lepiej zajmę się swoimi stolikami - oznajmiła Natalie.

- Nie chcemy przecież, żeby nasi klienci zapamiętali obsługę jako nijaką.

Odeszła, a ja precyzyjnie się przez tłum z powrotem do holu. Nadal czułam się pełna energii po wczorajszym kontakcie ze sprzedawcą przekąsek w kinie, dlatego szłam ze spuszczonego wzrokiem i rękami skrzyżowanymi na piersi. Miałam świadomość śledzących mnie zaciekawionych spojrzeń i chciałam uniknąć niepotrzebnego kontaktu wzrokowego; wolałam też nie zachęcać do rozmowy.

- Pani ma na imię Vanessa?

W przejściu do holu przystanąłam i podniosłam wzrok. Przy ladzie recepcyjnej stał starszy mężczyzna o siwych włosach, uprzejmym uśmiechu i z obrączką na palcu.

- Tak, a o co chodzi? - zapytałam.

- Poproszono mnie, żebym przekazał panience to. - Wyciągnął przed siebie podłużny przedmiot owinięty w brązowy papier. - To spóźnione zgłoszenie na konkurs.

Postąpiłam w jego stronę i wzięłam paczkę. Była bardzo miękka i lżejsza, niż przypuszczałam.

- Czy to ryba? - zapytałam.

Większość uczestników konkursu postawiła na okazy dłuższe i cięższe.

- Tak sądzę, choć człowiek, który prosił o przekazanie paczki, nie powiedział, co jest w środku. Po prostu zatrzymał mnie na ganku, poprosił, żebym to panience przekazał jako konkursowy okaz, i poszedł sobie.

Obróciłam pakunek. Brązowy papier niczego nie zdradzał.

- Wspominał konkretnie o mnie?

- Jeżeli panienka nazywa się Vanessa Sands, to tak.

- Wie pan, kto to był?

- Nie mam pojęcia.

Uważając, by nie przytłoczyć leciwego posłańca nadmiarem pytań, opuściłam pakunek i odpowiedziałam na jego uśmiech.

- Jak wyglądał?

- Nie jestem pewien. Stałem odwrócony do niego tyłem, wtedy wepchnął mi w rękę paczkę, rzucił tych kilka słów, a kiedy się odwróciłem, już go nie było.

Podziękowałam mężczyźnie i poprowadziłam go wraz z towarzyszem w stronę baru. Byli ostatnimi klientami, których musiałam gdzieś posadzić, więc kiedy znalazłam dla nich miejsce, podeszłam do Betty i Olivera, którzy wciąż sprawiali wrażenie zdezorientowanych, ale i zadowolonych. Zajrzałam też do Louisa, który co prawda miotał się po kuchni jak ryba wyrzucona na brzeg, ale był uszczęśliwiony liczbą zamówień. Zajęłam się też Simonem, który zdążył już wysłać dwa SMSy.

„Duży ruch, ale bez problemów. Wszystko pod kontrolą. Miłej kolacji, zadzwonię później - odpisałam. Kiedy wróciłam do jadalni, Paige stała przed mikrofonem należącym do wynajętego przez nią lokalnego zespołu rockowego. Powitała wszystkich na Pierwszym w Historii Konkursie Morskich Dziwów U Betty, podziękowała za udział i przystąpiła do prezentacji zgłoszonych okazów. Nie było gigantycznych ryb jak te, które opisywała Natalie, ale znalazło się kilka zdumiewająco ciężkich egzemplarzy i kilka o dość charakterystycznym

wyglądzie, na przykład o zniekształconych płetwach czy nietypowym ubarwieniu. Paige przemawiała naturalnie, z lekkością i sprytnie zbywała rybaków, kiedy wykrzykiwali pytania czy komentarze. Nie chciałam jej przerywać, więc zaczekałam, aż sama zauważy mnie przy skrzynkach z rybami, a wtedy podniosłam wysoko ostatni konkursowy okaz.

Gestem zachęciła, bym przyłączyła się do niej na prowizorycznej scenie. Przecząco potrząsnęłam głową.

- Chyba wszyscy już poznaliście Vanesę, prawda? - Paige niemal zaśpiewała do mikrofonu. - Naszą zachwycającą hostesę.

Rybacy zaklaskali i podnieśli wrzawę. Czerwieniąc się jak wiśnia, zmusiłam się do uśmiechu i pomachałam zgromadzonym.

- Co tam trzymasz? - zapytała Paige.

Zerkając przez ramię z nadzieją, że drzwi wyjściowe mogą się do mnie przybliżyć, próbowałam - bez powodzenia - znaleźć sposób, aby się stamtąd wydostać.

- Spóźnione zgłoszenie do konkursu - odparłam wreszcie.

Przyłożyła złożoną dłoń do ucha.

- Co takiego?

Powtórzyłam, tym razem głośniejszym głosem.

- Fantastycznie! Pokaż wszystkim ten okaz!

Zapłacisz mi za to, pomyślałam.

Jeżeli Paige mnie usłyszała, nie dała tego po sobie poznać. Kiedy podchodziłam do sceny, wyraz jej twarzy pozostał niezmienny.

- Oto i ona! Powitajmy naszą przepiękną hostesę kolejną burzą oklasków!

Podaliśmy jej pakunek, uśmiechnęłam się, znów pomachałam i wystrzeliłam na koniec sali. Czułam, jak moja skóra płonie od ognia intensywnych spojrzeń, które mnie śledziły.

- Co my tu mamy... - Paige podała mikrofon wokaliście, który chwycił go mocno obiema rękami, jakby przerażała go wizja upuszczenia go i sprawienia zawodu fascynującej dziewczynie. Paige odkleiła taśmę, delikatnie rozerwała papierowy pakunek i uśmiechnęła się szerzej. Pochyliła się do mikrofonu.

- Wygląda na to, że będziemy potrzebować większej sceny: proszę państwa, mamy tu komedianta! - I uniosła nad głowę, tak żeby wszyscy mogli zobaczyć... pluszową orkę.

Pomyślałam, że to raczej dziwne niż zabawne, ale po sali przetoczył się gromki śmiech rozbawionych rybaków.

- Tylko proszę, nie mówcie mi, że ta maskotka ma reprezentować prawdziwy okaz - ciągnęła Paige. - Nasz nowy ganek jest co prawda piękny, ale na pewno nie utrzyma cielska

półtonowej orki.

Ten komentarz wywołał kolejną salwę śmiechu. Paige przyłączyła się do rozbawionego towarzystwa, a jej perlisty śmiech tylko zdwoił zadowolenie rybaków. Żeńska część widowni nie wyglądała na równie rozweseloną, jednak Paige zdawała się tego nie zauważać.

A może jednak zauważyła, bo w następnej chwili jej uśmiech znieruchomiał, po czym zbladł.

Jednak ona nie patrzyła już na tłum - spoglądała na pluszową orkę. Obróciła ją i zbliżyła do twarzy. Kiedy przesuwiała maskotkę pod przerośnym oświetleniem sceny, coś zabłysnęło wokół szyi zwierzaka. Ten błysk przypominał iskrę odpalanej zapalniczki, z tą różnicą, że zalśnił na srebrno, nie na złoto.

Raina.

Paige upuściła pluszową orkę i pospiesznie zeszła ze sceny, a ja usłyszałam jej głos, choć... usta mojej przyjaciółki nie poruszyły się wcale.

- Dzięki Bogu!

Stałam w drzwiach kuchni z kluczykami do samochodu w ręce. Mama rzuciła się ku mnie z dłonią przyciśniętą do piersi.

- Jest po północy - dodała.

- Dzwoniłam trzy razy - usprawiedliwiłam się. - Żeby ci powiedzieć, że się spóźnię, potem, że spóźnię się jeszcze bardziej, i wreszcie żeby dać ci znać, że właśnie opuściłam restaurację.

Zarzuciła mi ramiona na szyję i uściśnęła mnie.

- Dobrze, córeczko, ale od twojego ostatniego telefonu minęło czterdzieści pięć minut.

Będąc w objęciach mamy, rozejrzałam się po salonie. Tata stał między kanapą a stolikiem i tak mocno ścisnął kieliszek z winem, że jego bielejące knykcie mogłabym dojrzeć aż z drugiego pokoju.

- Przepraszam. - Odsunęłam się od mamy, żeby nie mogła poczuć bicia mojego serca, które przyspieszyło. Poprzedzało kłamstwo. - Samochód Paige nie chciał odpalić, więc odwiozłam ją do domu.

Mama westchnęła. Tata pokiwał głową. Pomyślałam o tym, jak było naprawdę: za każdym razem, gdy w lusterku wstecznym pojawiały się światła reflektorów, reagowałam tak paranoicznie, że ośmiokrotnie zmieniałam trasę, żeby zmylić potencjalnych prześladowców. Wszystkie jadące za mną samochody gubiłam z łatwością, co znaczyło, że prawdopodobnie żaden mnie nie śledził. Koniec końców piętnastominutowa przejażdżka z restauracji „U Betty” do domu trwała trzy razy dłużej.

- Ale już jestem - zmusiłam się, by powiedzieć to lekko.

- Czuję się wykończona. Chyba pójdę chwilę popływać, a potem prosto do łóżka.

Ucałowałam mamę w policzek i ruszyłam w stronę taty, żeby zrobić to samo. Kiedy się do niego zbliżyłam, położył dłoń na moim ramieniu. Gest był delikatny, a jednocześnie stanowczy.

- Chcielibyśmy przez chwilę z tobą porozmawiać - oznajmił.

- Czy to nie może poczekać do rana? - zapytałam, bo jego słowa zabrzmiały poważnie, a ja nie wiedziałam, ile jeszcze zdołam znieść tego wieczoru. Poza tym obiecałam Simonowi, że zadzwonię do niego, gdy tylko dotrę do domu. Wiedziałam, że i on się martwi.

- Obawiam się, że nie. - Tata ruchem ręki wskazał fotel po przeciwnej stronie stolika. - Usiądź, proszę.

Zerknęłam na mamę, która sięgnawszy po kieliszek wina, przysiadła obok taty na kanapie.

- Coś świętujemy? - zapytałam, opadając na fotel. Rodzice przeważnie popijali wino obiadowe, chociaż ten posiłek skończył się kilka godzin temu. Zwykle wieczorem wybierali herbatę albo kawę bez kofeiny.

- W pewnym sensie tak - odparła mama.

- Nie wyglądasz na szczególnie ucieszoną - zauważyłam.

- Dostaliśmy ofertę. - Tata odstawił kieliszek, pochylił się i splótł dłonie między kolanami. - Chodzi o zakup domku nad jeziorem.

Mieszane emocje odbijające się na ich ponurych twarzach i wino teraz zaczynały nabierać sensu. Poczułam, jak serce mi rośnie, a po chwili się zaciska.

- To chyba dobre wieści, prawda? - zapytałam. - Wiadomo, że jest to też smutne, bo dom nie będzie już należał do nas... ale przynajmniej jedno zmartwienie mniej.

- Owszem, to dobre wieści. - Mama pogłaskała tatę po plecach. - A to znaczy, że zrobiliśmy już tutaj wszystko, co do nas należało.

Znów poczułam się zbита z tropu.

- Co masz na myśli?

- Teraz, kiedy sprzedaliśmy domek nad jeziorem, nie mamy tu już nic do zrobienia - ojciec oznajmił to tonem kończącym sprawę.

- Tu, to znaczy gdzie? - zapytałam. - W tym domu? W Winter Harbor?

- I tu, i tu - uściśliła mama.

- Wybaczcie - potrząsnęłam głową - ale czegoś tu nie rozumiem. Przecież dopiero kupiliśmy ten dom. Mamo, ledwie skończyłaś go dekorować. Skoro mieliśmy tu siedzieć tylko do czasu, aż sprzedamy domek nad jeziorem, po co zaprzętałaś sobie tym wszystkim głowę?

Próbowałam zachować spokój i myśleć logicznie. Miałam do wyboru albo to, albo wsiąść z powrotem do jeepa, pojechać do Simona i przykuć się kajdankami do jego nadgarstka.

Zamiast odpowiedzieć na moje pytania, mama uniosła butelkę wina ze stolika. W tej samej chwili spostrzegłam gazetę, która dotychczas pełniła rolę podkładki. Z pierwszej strony krzyczał przerażający nagłówek:

„Erica Anderson, lat 28, znaleziona martwa niedaleko miejskiego kina. Wczasowicze i mieszkańcy wpadli w panikę, policja rozpaczliwie szuka tropu”.

- Chcecie wyjechać? - zapytałam. - Z tego powodu?

- A uważasz, że jest lepszy powód? - zapytał cicho tata.

Przyszła mi do głowy masa innych powodów - jak choćby pojawienie się ofiar płci męskiej, nie żeńskiej - ale żaden z nich nie był lepszy.

- Kiedy znaleziono pierwszą dziewczynę, postanowiliśmy jeszcze poczekać - mówił dalej tata łamiącym się głosem - ale po tym nie możemy czekać dłużej.

- Vanesso. - Mama pochyliła się w moją stronę. - Sądziłyśmy, że to wszystko jest już za nami.

- Ale to nie syre... - nie dokończyłam. - To nie to, co zeszłego lata.

- Nieważne - stwierdziła mama. - To nie powinno mieć miejsca. A gdyby pojawiła się choć najdrobniejsza oznaka, że coś takiego się powtórzy, nigdy nie zdecydowalibyśmy się tu wrócić.

- Po prostu nie możemy ryzykować, że coś ci się stanie - dodał tata.

- Nic mi się nie stanie. Czuję się dobrze. A nawet więcej - czuję się świetnie. - Wyciągnęłam rękę w stronę lampy stojącej obok mojego fotela i zapaliłam światło. - Spójrzcie. Czy nie wyglądam świetnie? Zdrowo?

- Wyglądasz cudownie - przyznała mama - ale...

- To dlatego, że jesteśmy tutaj. Dlatego, że mogę wdychać słone powietrze i pływać w oceanie, kiedy tylko zechcę. Właśnie tu jest moje miejsce, tu potrzebuję być. Powrót do Bostonu byłby o wiele niebezpieczniejszy niż pozostanie tutaj.

- Nie musimy wracać do Bostonu. - Tata spojrzął na mamę, która pokiwała głową. - Pomyśleliśmy, że możemy wyjechać do Kalifornii albo Oregonu, a może nawet na Hawaje. Możemy spędzić resztę lata nad oceanem - ale nad Pacyfikiem, nie Atlantykiem.

Oczy zasły mi łzami.

- Ale co z Paige?

- Jest twoją przyjaciółką. Zrozumie - powiedziała mama.

- Może nawet pojechać z nami, jeśli zechce.

- Ona nie może zostawić restauracji. - Wzięłam głęboki oddech, zamrugałam, żeby rozproszyć łzy. - A co z Charlotte?

- Ona i tak nie zamierzała zostać tu długo - odezwał się tata. - Wiesz o tym.

Opuściłam wzrok. Łzy spływały mi z oczu i spadły na kolana. Ledwie to spostrzegłam.

- Jeśli chodzi o Simona - powiedziała cicho mama, słusznie odgadując, o kim naprawdę myślę - on też zrozumie.

- Czy on też mógłby pojechać z nami? - zapytałam.

Mama się zawahała.



- Nie jestem pewna, czy to najlepszy pomysł. Zresztą wy dwoje i tak prędzej czy później musielibyście się rozstać. Może w ten sposób będzie łatwiej.

Wiedziałam, że wcale nie będzie łatwiej. Rozstanie z Simonem, choćby na jeden dzień, nie mogłoby przynieść niczego poza bólem.

Jednak tego nie mogłam wyjaśnić rodzicom. Nawet gdybym umiała znaleźć słowa, nie zrozumieliby. I chociaż byłoby im przykro z powodu całej sytuacji, to by nie wystarczyło, żeby przekonać ich do pozostania.

Była tylko jedna rzecz, która mogła zadziałać.

- Justine - wyszeptalam.

Tata opadł na oparcie kanapy. Mama gwałtownie nabrała powietrza.

Wyobraziłam sobie moją siostrę, jej zaraźliwy uśmiech, niebieskie oczy połyskujące z podniecenia. Niemal widziałam ją ukrywającą się w sąsiednim pokoju, szepczącą do małego mikrofonu połączonego z niewidocznym odbiornikiem ukrytym w moim uchu. Gdyby nie fakt, że to, co zamierzałam powiedzieć, było częściowo prawdą - i gdybym nie miała stuprocentowej pewności, że Justine poparłaby każdy mój krok - czułabym się winna.

- Tęsknię za nią - powiedziałam.

Mama poderwała się z miejsca, prędko okrążyła stół i przysiadła na poręczy fotela.

- To naturalne, kochanie. Wszystkim nam jej brakuje.

- I wydaje mi się, że... sama nie wiem... będąc tutaj, czuję, że jestem bliżej niej. Może dlatego, że to ostatnie miejsce, w którym byliśmy razem? To bez sensu, ale...

- Ależ to ma sens. - Mama otuliła mnie ramieniem i pocałowała w czubek głowy.

Wzięłam głęboki oddech.

- To dlatego tak trudno byłoby mi wyjechać. Nie potrafię wyobrazić sobie lata gdzieś, gdzie nigdy nie byłam z Justine. Wakacje zawsze spędzaliśmy tutaj. Wyprowadzić się z domku nad jeziorem to jedno, ale wyjechać z Winter Harbor na zawsze? To po prostu wydaje mi się... niestosowne.

Mama przyciągnęła mnie mocno do siebie, aż moja głowa spoczęła na jej piersi. W oczach wciąż miałam łzy, więc nie udało mi się odczytać wyrazu twarzy taty, kiedy w milczeniu wymieniał spojrzenia z mamą. Nie zdziwiłoby mnie jednak, gdyby sam był na granicy płaczu.

Chwilę później mama westchnęła i oznajmiła:

- No cóż, nie musimy pakować się już dzisiaj. Może teraz odpocznij, a jutro rano jeszcze porozmawiamy, dobrze?

Pociągnęłam nosem i skinęłam głową. Przytuliła mnie raz jeszcze, po czym wstała i

dołączyła do taty na kanapie. Osuszyłam łzy rękawem dżinsowej kurtki, powiedziałam dobranoc i ruszyłam do wyjścia.

- Ach, jeszcze jedno, kochanie - zawołała mama, kiedy wychodziłam na korytarz.

Przystanęłam. Odwróciłam się.

- Chcemy, żebyś zrezygnowała z pracy „U Betty”.

- Ale...

- Ta sprawa nie podlega dyskusji. Nie możemy pozwolić, żebyś jeździła po mieście sama, i to jeszcze po nocy. Ojciec i ja pokryjemy twoje wydatki. - Uniosła się do pozycji półsiedzącej i posłała mi całusa przez oparcie kanapy. - Dobranoc!

Otworzyłam usta, żeby i tym razem zaprotestować, ale szybko je zamknęłam. W porównaniu z decyzją o opuszczeniu miasta to było uczciwe żądanie. A ja wolałam nie przeciągać struny.

Po powrocie do pokoju wyciągnęłam dwie butelki słonej wody z lodówki i piłam, wybierając numer Simona. Odebrał w połowie pierwszego sygnału.

- Chcesz się jutro dokądś wybrać? - zaproponowałam, zanim zdążył zapytać, gdzie byłam i jak się czuję.

Przez chwilę nie odpowiadał.

- Wybrać?

- Na wycieczkę czy coś w tym rodzaju? Moglibyśmy urządzić piknik.

- Nie musisz iść do pracy?

Usiadłam na łóżku i ruchem ramion strząsnęłam z siebie kurtkę.

- Biorę dzień wolnego. A ty możesz się urwać z przystani?

- Pewnie tak... Musiałbym tylko dogadać się rano z Montym i Calebem.

Wydawał się zadowolony, ale zdezorientowany. Nie przestawałam mówić, żeby to drugie nie przysłoniło pierwszego.

- Wiem, że widzieliśmy się kilka godzin temu, ale i tak wydaje mi się, że upłynęło za dużo czasu. I jedyne, o czym marzę, to spędzić razem z tobą cały dzień. Nie uważasz, że byłoby miło?

- Biorąc pod uwagę, że tylko o tym marzę każdego dnia, zdecydowanie tak. Zrobię, co mogę, żeby się udało.

Po brzmieniu jego głosu poznałam, że się uśmiecha. To sprawiło, że - pomimo przygnębiającej rozmowy, która przed chwilą odbyła się w salonie - i na mojej twarzy pojawił się uśmiech.

Rozmawialiśmy jeszcze przez kilka minut. Opowiedziałam mu o wieczorze „U

Betty”, starannie pomijając niektóre spośród bardziej niepokojących momentów, uznawszy, że lepiej będzie je omówić na żywo. On opowiedział mi o kolacji urodzinowej swojego ojca.

- Szkoda, że cię tu nie było - rzucił.

- Ja też żałuję. - Opróżniłam pierwszą butelkę wody i otworzyłam drugą. - Może w przyszłym roku, co?

- Na pewno.

Umówiliśmy się na dogadanie szczegółów naszej randki nazajutrz rano, powiedzieliśmy sobie dobranoc i się rozłączyliśmy.

Efekty mojego kontaktu z Timem, pracownikiem kina, słabły w wyniku stresującego wieczoru. Moje ciało było osłabione, a skóra tak sucha, że pas czarnej spódniczki zdobiły jasne płatki naskórka. Rozsądnie byłoby pójść popływać. Wróciłam do łazienki po kostium zwisający z haczyka na drzwiach. Zanim się przebrałam, podeszłam do okna, by opuścić roletę. Spozrzęłam, że światło w sypialni Charlotte jest nadal zapalone.

Leżała w łóżku, ale nie umiałam stwierdzić, czy jeszcze czyta, czy już śpi. Na jej kolanach widziałam otwartą książkę, ale głowa Charlotte, przechylona na bok, spoczywała na poduszce. Obserwowałam ją przez chwilę; gdy uznałam, że się nie porusza - poza lekkim falowaniem klatki piersiowej - chwyciłam za sznur rolety i pociągnęłam.

Nie śpię.

Zamarłam w bezruchu. Nie oddychałam. Powoli unosiłam roletę.

Charlotte siedziała teraz wyprostowana. Oczy miała otwarte... i patrzyła prosto na mnie.

Chciałabyś ze mną porozmawiać?

Podobnie jak wcześniej usta Paige, wargi Charlotte się nie poruszały.

Przełknęłam ślinę. Skinęłam głową.

Kiedy dotarłam do jej pokoju, wciąż była w łóżku. Stałam w drzwiach, nie będąc pewna, czy mam wejść. Nie odwiedzałam pokoju gościnnego, odkąd w nim zamieszkała, i nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że wchodząc tu, naruszam czyjąś prywatność - chociaż dom należy do mojej rodziny.

- Witaj - oznajmiła.

- Dobry wieczór. - Wciąż trwałam w bezruchu.

- Czy mogłabyś podać mi sweter? - poprosiła po chwili.

- Leży na ławeczce w oknie.

Po otrzymaniu konkretnego zadania moje ciało jakby odtajało. Przekroczyłam próg pokoju, poszłam po sweter i podałam go Charlotte. Z bliska dostrzegłam, że ma na sobie tylko

bawełnianą koszulę nocną, i odwróciłam wzrok, kiedy wkładała sweter.

- Przepraszam, nie chcę ci sprawiać kłopotu... ale czy mogłabyś... Czy zechciałabyś...

Spojrzałam na nią. Oddychając szybko, Charlotte z trudem dźwignęła się z poduszki. Jej dłonie i ramiona drżały, gdy próbowała wsunąć je do wełnianych rękawów. Jej twarz skrzywiła się, jakby ten niewielki wysiłek powodował ogromny ból.

- Oczywiście - odparłam, mając nadzieję, że mój głos nie zdradza zaniepokojenia.

Podeszłam do łóżka i przytrzymałam sweter. Nadal miała trudności z poruszaniem drżącymi rękami, więc lekko przycisnęłam jej ramię, by je obniżyła, a następnie naprowadziłam na nie rękaw. Podałam jej dłoń, a ona chwyciła ją obiema rękami. Przytrzymała się i uniosła na tyle, że za pomocą drugiej ręki zdołałam otoczyć jej plecy swetrem, a wtedy gwałtownie opadła na poduszkę i zamknęła oczy. Kiedy dochodziła do siebie, dokończyłam zadanie, nasuwając rękaw swetra na drugie ramię.

- Zamknąć okno? - zapytałam.

- Nie, dziękuję. Przyjemnie jest czuć chłód powietrza na skórze.

Przycupnęłam na krawędzi ławeczki w oknie i czekałam. Rozejrzałam się po pokoju, spojrzałam na nową toaletkę, wyściełany fotel, otomanę. Obraz przedstawiający scenę na plaży autorstwa miejscowego artysty. Bładoniebieski chodnik. Białe róże na stoliku nocnym. Był to jeden z takich pokoi gościnnych, jakie widuje się w czasopiśmie. Większość ludzi pragnęłaby go odtworzyć we własnym domu, a większość gości nigdy nie chciałaby z niego wyjechać.

Z tym że nasz gość, najwyraźniej, miał inne plany.

- Spakowałaś walizkę - zaczęłam. Walizka, z płaszczem przewieszonym przez jej górną część, stała na podłodze przy drzwiach. Buty stały obok.

Charlotte otworzyła oczy. Powoli obróciła głowę w stronę bagażu.

- Tak, to prawda.

- Dlaczego?

Westchnęła, a raczej próbowała westchnąć. Jednak oddech utknął w jej piersi, wywołując atak kaszlu, od którego rozedrgały się filary łóżka.

Poderwałam się z miejsca, pobiegłam do łazienki i przyniosłam szklankę wody. Na czas pobytu Charlotte mama nie zainstalowała tu drugiej minilodówki, ale dbała, by dzban świeżej słonej wody był zawsze pod ręką.

Charlotte sięgnęła po szklankę. Usiadłam na łóżku twarzą do niej, napałam na jej ramię, aż opadła na poduszkę, i podsunęłam szklankę do jej ust. Sączyła wodę, pokaszując, a ja przyjrzałam się jej ustom, policzkom i czołu. Powinny natychmiast zarumienić się i

wygładzić... ale tak się nie stało.

Po opróżnieniu drugiej szklanki wody ustał przynajmniej atak kaszlu. Wówczas Charlotte wsparła głowę na poduszce i spróbowała się uśmiechnąć.

- Byłaś dziś popływać? - zapytałam.

- Tak.

- Powinnaś iść znowu. Teraz. Pomogę ci zejść na plażę.

- Dziękuję, Vanesso, ale to nie jest konieczne. Jestem po prostu zmęczona.

Rozumiesz.

Zrozumiałabym, gdyby rzeczywiście w tym tkwił problem. Ale w to nie wierzyłam.

- Wyjeżdżam z samego rana - podjęła Charlotte. - I tak zostałam już znacznie dłużej, niż planowałam, i nie mogę dalej odkładać umówionych spotkań.

- Przecież jesteś chora albo... okropnie zmęczona. A do tego jest już późno. Nie możesz wybierać się w podróż do Kanady sama, niewyspana.

Zsunęła dłoń z klatki piersiowej na koc między nami, jakby chciała mnie uspokoić.

- Nic mi nie będzie. - Zaczepnęła powietrza i odetchnęła. Jej oddech był suchy, świszczący. - Chcę... muszę powiedzieć ci o paru sprawach, zanim wyjadę.

- To może poczekać - odpowiedziałam bez namysłu. Chciałam, by oszczędzała energię. - Już i tak podzieliłaś się ze mną czymś, co odmieniło moje życie. Cokolwiek chcesz mi powiedzieć, to może zaczekać do naszego następnego spotkania.

- Ale mówiłam ci już, że...

- Nie wiesz, jak długo cię nie będzie. Pamiętam. I mogę poczekać. - Znow chciała zaprotestować, więc dodałam: - Jeżeli będę miała jakiegokolwiek pytania, zawsze mogę zwrócić się do Betty.

Zatrzepotała powiekami i zamknęła oczy, a ja przez chwilę myślałam, że płacze. Ale wtedy znow uniosła powieki, a jej spojrzenie było jeszcze jaśniejsze niż wcześniej.

- Musisz opuścić ten świat - oznajmiła.

- Słucham?

- Kiedy nasłuchujesz. Musisz wytłumić wszystko, co cię otacza - rozmowy, przejeżdżające samochody, szum fal - aż twoje myśli uspokoją się, a umysł rozjaśni. Aż poczujesz, że jesteś zupełnie sama, nawet w miejscu pełnym ludzi. Całkowite skupienie to konieczność.

- Obawiam się, że nie nadążam.

Jej dłoń, wciąż spoczywająca na łóżku, wysunęła się ku mnie.

- Chcesz wiedzieć, jak nasłuchiwać głosów innych takich jak my, prawda? Na własne

życzenie, a nie tylko wtedy, kiedy ktoś do ciebie przemówi?

Owszem, chciałam to wiedzieć - kiedyś, może w bardzo odległej przyszłości. Ale jeszcze nie teraz.

Niestety, zanim przyszło mi na myśl, jak jej to przekonująco wytłumaczyć, Charlotte zaczęła mówić, a kiedy już zaczęła, ciekawość wzięła górę i nie próbowałam jej więcej powstrzymać.

- Musisz wsłuchać się w jej głos. A żeby to zrobić, musisz go poznać w jego naturalnej postaci. Musisz usłyszeć, jak ten głos brzmi, gdy się śmieje, płacze, krzyczy albo w jakichkolwiek innych emocjach. Musisz nauczyć się słyszeć go znowu, równie czysty i wyraźny, jakby rozbrzmiewał tuż przy tobie, dokładnie w tej chwili.

Przerwała, by złapać oddech. Chciałam wstać, żeby podać jej kolejną szklankę wody, ale zatrzymała mnie, zsuwając dłoń na moją.

- Gdy już to opanujesz, musisz wybrać pojedynczy dźwięk, na którym się skupisz. Rozciągnij go, rozdmuchaj, pozwól, by wypełnił twoją głowę, aż napięcie stanie się niemal nie do zniesienia. A wtedy... usłyszysz myśli.

Słuchałam, przyglądając się jej twarzy. Zdawało się, że już nie słabnie. Dała też jasno do zrozumienia, że chce właśnie teraz podzielić się ze mną tą informacją. Więc chociaż kusilo mnie, by wyjść i dać jej odpocząć, uznałam, że zadanie kilku dodatkowych pytań nie będzie aż takie wyczerpujące.

- Jak to możliwe - zaczęłam ostrożnie - że wcześniej słyszałam syreny, wcale ich nie nasłuchując?

- Jak wtedy na dnie jeziora? Kiedy usłyszałaś, jak mówię do ciebie?

Skinęłam głową.

- Syreny rodzą się z naturalną zdolnością do niemego komunikowania się między sobą. Różnica między tym a sposobem, który opisałam, jest taka, że dialog musi odbywać się przy bezpośrednim kontakcie. Automatycznie dostrajamy się do siebie; nasze ciała wyczuwają wspólne fale, nawet jeżeli my same ich nie wyczuwamy. Tak długo, dopóki syrena znajduje się na wyciągnięcie ręki, porozumiewanie się z nią powinno być możliwe bez wymawiania choćby jednego słowa. W obu wypadkach skupienie odgrywa ważną rolę - każda musi mieć zamiar przemówić do tej drugiej - jednak wymagany wysiłek jest znacznie mniejszy niż w tym drugim wypadku. A po początkowej wymianie komunikacja staje się jeszcze prostsza. Niewielka odległość nie jest wówczas warunkiem koniecznym. Dlatego właśnie ty i ja możemy porozumiewać się bez słów, przebywając w pomieszczeniach oddalonych od siebie.

To by wyjaśniało, dlaczego usłyszałam Paige wymawiającą w myślach imię Rainy w restauracji i dlaczego w noc Festiwalu Świąteł ubiegłego lata usłyszałam, jak wyszeptała imię swojego nienarodzonego dziecka. To również wyjaśniało, dlaczego słyszałam Zarę na dnie oceanu u podnóża urwiska Chione i nad jeziorem ubiegłej jesieni.

Była jednak pewna kwestia, która nie dawała mi spokoju.

- Zeszłego lata - zaczęłam - słyszałam Justine. Mówiła do mnie... już po śmierci.

Kąciki ust Charlotte opadły.

- Pamiętam. Mówiłaś mi o tym ubiegłej jesieni.

- Przecież ona nie była syreną... prawda?

- Nie, nie była jedną z nas.

- Więc jak to możliwe?

Palce Charlotte przesunęły się nieznacznie po wierzchu mojej dłoni.

- To niemożliwe - odparła. - Przynajmniej nie w taki sposób, jak ci się wydawało.

Zza okna dobiegł huk fali, która rozbiła się o skały u podnóża domu. Już i tak siedziałam jak na szpilkach, a na ten dźwięk poderwałam się z miejsca.

- To może być trudne do zrozumienia - mówiła dalej Charlotte - a jeszcze trudniejsze do zaakceptowania. Jesteś pewna, że chcesz poznać prawdę?

Czując łomotanie serca w piersi, znów przysiadłam na skraju łóżka.

- Tak. Proszę.

- Głos, który słyszałaś, choć brzmiał identycznie jak ten, którego słuchałaś niemal każdego dnia przez siedemnaście lat, nie należał do twojej siostry. - Zrobiła pauzę, pozwalając, by wiadomość do mnie dotarła. - Należał do ciebie.

Łomotanie w piersi ustało.

- Miałaś wrażenie, że Justine przemawia do ciebie w trudnych chwilach, prawda? Kiedy czułaś się wyjątkowo smutna, przestraszona, zagubiona?

Wróciłam myślami do wydarzeń minionego lata. Usłyszałam ją w pierwszy dzień po powrocie do Winter Harbor - po pogrzebie, po tym, jak zaparkowałam na podjeździe przy domku nad jeziorem i zdawało mi się, że widzę błyski srebrzystego światła za plecami. To jej głos zachęcił mnie, żebym ruszyła za innym srebrzystym światłem dobiegającym ze szpary pod drzwiami sypialni Zary i żebym nie przestawała przeszukiwać albumu Zary z jej zdobyczami i przyszłymi celami, kiedy z całych sił pragnęłam cisnąć nim o ziemię i uciec. To jej głos doprowadził mnie do Caleba, kiedy uciekał przed zabójczym urokiem swojej prześladowczyni. Wyciągała do mnie dłoń zawsze, gdy jej potrzebowałam, tak, jak robiła to za życia.

Charlotte potraktowała moje milczenie jako potwierdzenie i mówiła dalej:

- Jak wiemy, nasze ciała potrafią działać bez żadnych świadomych poleceń, więc kiedy słyszałaś Justine, twoje ciało robiło dwie rzeczy samoistnie. Po pierwsze, manipulowało twoim żalem, sprawiając, że słyszałaś głos, którego nie było. To może przytrafić się każdemu, kto doświadczył tragicznej straty, nie tylko syrenie.

- Ale ona - jej głos - wiedziała o rzeczach, o których ja sama nie wiedziałam. Jak choćby to, że Caleb biegł drogą w stronę stacji benzynowej. To pomogło mi go znaleźć. Gdybym zwyczajnie gadała do siebie, skąd miałabym wiedzieć, gdzie go szukać?

- To druga rzecz, którą robiło twoje ciało - odparła Charlotte.

- Już wtedy dostrajało się do otaczających cię syren, choć o tym nie wiedziałaś, i przejmowało informacje, które one udostępniały. Z tym że przekazywało ci je głosem Justine, żebyś ich wysłuchała.

Potrząsnęłam głową, usiłując poskładać to w spójną całość.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy usłyszałam Justine mówiącą, którędy pobiegł Caleb... wykorzystałam informacje przechwycone od Zary?

- Właśnie tak. Zanim uciekł, ona i Caleb byli fizycznie blisko, prawda? Więc w pewnym sensie nadal istniała między nimi pewna więź, dlatego Zara zdołała go zlokalizować. A twoje ciało wychwyciło tę informację. Tę zdolność, w przeciwieństwie do zdolności słyszenia głosu ukochanej osoby, którą się straciło, posiadają tylko syreny.

Odwrociłam głowę i wyjrzałam przez okno. Charlotte miała rację. Trudno było tego słuchać, a jeszcze trudniej zaakceptować. Przez cały ten czas nie wiedziałam, jak to możliwe, ale mimo to chciałam wierzyć, że właśnie tak jest. Cieszyła mnie złudna świadomość, że Justine wciąż jest przy mnie, nawet jeżeli fizycznie już jej nie było.

- Przestałaś ją słyszeć po Festiwalu Świąteł, zgadza się? - zapytała ostrożnie Charlotte.

- Po tym, jak zmierzyłaś się ze swoim lękiem przed skokiem z urwiska i skutecznie powstrzymałaś atak syren, tak?

Jak się później okazało, nie powstrzymałam ich na długo, ale reszta się zgadzała. Od tamtej pory za każdym razem, kiedy słyszałam głos Justine, bez wątpienia tylko przypominałam sobie, jak do mnie mówiła.

- Tamtej nocy przeszłaś transformację i odwaga Justine przestała ci być potrzebna - wyjaśniła Charlotte. - Twoje ciało czuło już samo, bez dostrajania się do innych syren, a twój umysł się goił. Nie potrzebowałaś jej...

- Oczywiście, że potrzebowałam. - Gwałtownie obróciłam głowę. - Zawsze będę jej potrzebować.



Charlotte posłała mi smutny uśmiech.

- Nie dałaś mi dokończyć. Miałam zamiar powiedzieć, że nie potrzebowałaś jej w taki sposób jak wcześniej.

Chciałam zaprzeczyć, ale nie mogłam.

- Jest coś jeszcze, Vanesso - powiedziała Charlotte po chwili. Mówiła cichym, pełnym powagi głosem. - Naprawdę nie wiem, jak mam...

Urwała, znów zanosząc się kaszlem. Ten atak rozpoczął się gwałtownym wstrząsem i szybko się nasilił. Zerwałam się z łóżka i popędziłam do łazienki po dzban słonej wody. Próbowałam podsunąć szklankę do ust Charlotte, ale jej ciało wiło się w niekontrolowany sposób. Za każdym razem, gdy jej usta zbliżały się do krawędzi szklanki, płuca jakby eksplodowały w klatce piersiowej, powodując, że głowa odskakiwała w tył na poduszkę.

- Vanesso, co...

Podniosłam wzrok. W otwartych drzwiach stał tata. Jego szeroko otwarte oczy były utkwione w Charlotte.

- Pomóż mi! - Chwyciłam ją za rękę, znów unosząc szklankę. - Ona się dusi, a ja nie wiem, jak mam...

W ułamku sekundy znalazł się w pokoju. Usiadł na łóżku tuż przy niej i objął jej barki. Wsparła się na nim, aż jego ciało zaczęło trząść się w rytm wstrząsów szarpiących jej wątłym tułowiem. Drugim ramieniem otoczył jej brzuch i trzymał tak mocno, jak na to pozwalał kaszel. Jej palce wbiły się w jego nogę, a wtedy cienka warstewka skóry pokrywająca knykcie naprężyła się tak mocno, jakby zaraz miała pęknąć.

W pierwszej chwili ich fizyczny kontakt zupełnie zbił mnie z tropu. Był dla mnie krępujący. Wręcz niestosowny.

W następnej chwili sama zaczęłam do niego zachęcać.

- Chwyć ją za rękę.

Ojciec spojrział na mnie, zdezorientowany.

- Dociśnij ją do swojej klatki piersiowej. Proszę!

Zrobił to, o co poprosiłam. Chwyciłam drugą dłoń Charlotte i pochyliłam się nad nią.

- Śpiewaj, Charlotte - powiedziałam, gdy nasze oczy się spotkały. - Musisz śpiewać. Tak, jak mnie uczyłaś.

Dźwięk wydobywający się z jej ust w niczym nie przypominał tego, którym kilka dni temu hipnotyzowała na plaży gracza we frisbee. Ten był niski. Gardłowy. Zniekształcony. Jakby jej ciało zaparło się, by zatrzymać go w środku, niezależnie od tego, jak bardzo próbował się wydostać.

A co najważniejsze, nie był skuteczny. Oczy ojca, który przyciskał jej dłoń do własnej piersi, pozostały zupełnie niezmacone, jakby jej śpiew nie miał na niego żadnego wpływu.

W końcu, kiedy zwyczajnie była już zbyt wycieńczona, by dalej kaszleć, atak ustąpił. Ojciec pozostał na miejscu, delikatnie ją kołysząc i odsuwając włosy z jej czoła. Chciałam dać im nieco przestrzeni i potrzebowałam jej dla siebie, wycofałam się więc i usiadłam na ławeczce w oknie. Przez kilka minut milczeliśmy. Jedyne źródłem dźwięku były fale przetaczające się po brzegu nieopodal, a także płytki, nierówny oddech Charlotte.

Zastanawiałam się, czy zostać, czy wyjść, kiedy Charlotte przemówiła.

- To właśnie próbowałam ci powiedzieć, Vanesso - wyszeptała. - To nie wystarczy.

Wstrzymałam oddech.

- Co masz na myśli?

Powoli przechyliła głowę w moją stronę. Nasze oczy się spotkały. Kiedy przemówiła znowu, jej głos wypełnił moją głowę, choć jej usta pozostały nieruchome.

Życie u boku ukochanej osoby, zabrzmiał głos słyszalny tylko dla mnie, to za mało. Jeżeli chcesz ocalić własne... musisz je komuś odebrać.

Czułam palący ból w nogach. Klucie w piersiach, gdy serce i płuca pracowały ze zdwojonym wysiłkiem. Na brwiach perliły się kropelki potu, które spływały po skroniach.

Jednak nie byłam zmęczona. Nie godziłam się na to, by czuć zmęczenie.

- Dobrze by było zachować nieco energii na drogę powrotną. - Zza moich pleców dobiegło wołanie Simona. - Na pewno nie chcesz zrobić przerwy?

Potrząsnęłam głową i napałam mocniej, przyspieszając tempo. Nie miałam pojęcia, jak długo wędrowaliśmy ani ile drogi pozostało przed nami. Nie obchodziło mnie to. Myślałam po prostu: im dalej, tym lepiej. Bo delectowałam się każdym oddechem i naprężeniem mięśni. Upajałam się ciepłem słońca i chłodem wiatru. Wdychałam słodkie zapachy drzew, kwiatów, ziemi i wsłuchiwałam się w świergot ptaków, odgłosy chrabąszczy i szelest liści. Wszystkiego uczyłam się na pamięć, nie zastanawiając się, dlaczego to robię.

Bo gdybym pozwoliła myślom pójść w tamtym kierunku, nogi ugięłyby się pode mną. Serce i płuca stanęłyby. Umarłabym tam, gdzie stałam, na szlaku.

To rozwiązanie było tak bardzo kuszące, że bałam się je rozważyć.

Po tym, jak zeszłej nocy Charlotte zdradziła mi przytłaczający sekret, poszłam do swojego pokoju, nie zadając już ani jednego pytania. Nie dlatego, że nie miałam pytań - nie można nie mieć pytań po usłyszeniu czegoś takiego. Dlatego, że nie chciałam wiedzieć już nic. Im więcej wiedziałam, tym bardziej to wszystko stawało się realne... a ja nie byłam gotowa, by to zaakceptować.

Zostałam w swoim pokoju, ignorując pukanie taty do drzwi, a nawet telefony Paige. Wcześniej tego wieczoru przyparłam Paige do muru po tym, jak zbiegła z naszej prowizorycznej sceny, porzucając pluszową orkę; potwierdziła, że naszyjnik na szyi maskotki należał dawniej do jej matki. Było to szczególnie niepokojące, ponieważ, zdaniem Paige, Raina miała go na sobie w noc Festiwalu Świąteł ubiegłego lata, gdy podczas ataku syren zamrzły wody portu, natomiast ubiegłej jesieni, kiedy przy wsparciu syren zaatakowała Simona i mnie na dnie jeziora Kantaka, naszyjnika już nie było. A to znaczyło, że tamtej pierwszej nocy albo go zgubiła, albo został jej odebrany. Tak czy inaczej, ten, kto dostarczył naszyjnik do restauracji, wiedział o Rainie, tamtych zdarzeniach i o nas znacznie więcej, niż ktokolwiek spoza naszego najbliższego kręgu powinien.

Zanim zdążyłam się nad tym zastanowić, Paige wykręciła się jakąś pilną sprawą związaną z konkursem i obiecała, że zadzwoni do mnie później. Jednak po mojej rozmowie z Charlotte nie miałam ochoty o tym mówić - ani o tym, ani o niczym, co miało z tym

jakikolwiek związek. Chciałam tylko udawać, że to się nie dzieje, pozwoliłam więc, by rozmowa została przekierowana do poczty głosowej.

Aby trwać w wyparciu, wstałam bardzo wcześnie rano, długo pływałam w oceanie, a potem pojechałam do sklepu ze sprzętem turystycznym „KliP”. Na miejsce dotarłam jeszcze przed otwarciem, a kiedy młody kierownik wreszcie się pojawił, zarzuciłam go na dobry początek dnia serią pytań o godne polecenia miejscowe szlaki. Potem zrobiłam to, czego Charlotte nie była w stanie zrobić z ojcem kilka godzin wcześniej. Przyływ adrenaliny był natychmiastowy - i tak silny, że prawie załkałam z ulgi.

Załkać jednak nie mogłam, bo to równałoby się z przyznaniem, że coś jest nie w porządku.

Wiadomość od Simona nadeszła, kiedy wychodziłam ze sklepu. Skończył pracę i miał cały dzień wolny. Uzgodniliśmy, że spotkamy się na przystani godzinę później i razem pojedziemy do miejsca, gdzie zaczyna się szlak. Od tamtej pory pięliśmy się w górę.

Gdy drzewa zaczęły się przerzedzać, a ścieżka kończyła się stromo w górę, słońce stało już nad naszymi głowami. Wkrótce droga zrobiła się na tyle szeroka, że mogliśmy iść obok siebie. Simon podbiegł, by dotrzymać mi kroku, i złapał mnie za rękę. Ten dotyk wyrwał mnie z hipnotycznego transu i sprawił, że po raz pierwszy, odkąd wstąpiłam na nierówną kamienistą ścieżkę, zwolniłam kroku.

Bez słowa obeszliliśmy płaski szczyt. Wkrótce zbliżyliśmy się do dużej formacji skalnej, która wyrastała na jakieś sześć metrów ponad ziemię. Ucałowałam dłoń Simona, po czym podeszłam do skał i zaczęłam się na nie wspinać, wtykając trampki w szczeliny. Naturalna struktura skalnej ściany była lita, poza kilkoma luźnymi kamieniami, przez które dwukrotnie się poślizgnęłam, ale już po chwili dotarłam na szczyt - nie bardziej zmęczona, niż kiedy zaczynałam.

- Wow! - Simon wspiął się na skały tuż za mną i pociągnął łyk wody z butelki. - Mieszkam tu całe życie, ale nigdy nie widziałem Winter Harbor z takiej perspektywy.

Chociaż sama nie spędziłam w tym mieście nawet połowy tego czasu, doskonale go rozumiałam. Ze szczytu rozciągał się wspaniały panoramiczny widok na miasteczko i otaczające je tereny. Obracałam się powoli, przenosząc wzrok z alei głównej na port, jezioro Kantaka, ośrodek „Bohaterka”, latarnię morską, ocean.

- Jak tu pięknie. - Odetchnęłam głęboko.

- Nie wiedziałem nawet, że taki szlak istnieje. A biorąc pod uwagę, że jesteśmy tu sami, najwyraźniej nie ja jeden. Jak się o nim dowiedziałaś?

Zawahałam się.

- Od ludzi w „Klifie”. Pojechałam tam dziś rano, żeby kupić małe co nieco. - Przerzuciłam plecak na brzuch, otworzyłam przednią kieszeń i wyjęłam kilka paczuszek z bakaliami. Kierownik sklepu nie był skłonny do podejrzeń, kiedy odsunęłam dłoń od jego piersi, ale uznałam, że uczciwie będzie się zrewanżować, dając sklepowi trochę zarobić.

Simon wziął ode mnie jedną paczuszkę.

- To zabawne, ale kiedy wspominałaś o pikniku, sądziłem, że masz coś innego na myśli.

Uśmiechnął się, a ja natychmiast poczułam się okropnie.

- Przepraszam, bardzo się spieszyłam, wychodząc z domu, i nie pomyślałam, żeby cokolwiek zabrać z lodówki... Dania „U Betty” trochę mi się przejadły, w „Portowych Frykasach” nie można płacić kartą, a bank był jeszcze zamknięty i...

Zamilkłam, kiedy wyciągnął przed siebie wielką brązową papierową torbę. Wymyślając kolejne kłamstwa, tak bardzo skupiłam się na tym, by brzmieć przekonująco, że nie zauważyłam, jak Simon rozpina swój plecak.

- Zabrałeś jedzenie - rzuciłam, czując ciepło rozchodzące się w piersiach.

- Uznałem, że albo robimy to porządnie, albo wcale. Pomyślałem też, że skoro pracowałaś do późnego wieczoru, możesz być zbyt zmęczona, żeby cokolwiek przygotować, więc wziąłem to na siebie. Mam nadzieję, że dobrze to wymyśliłem.

Uśmiechnęłam się.

- Dobrze to mało powiedziane. Wspaniale! Dziękuję.

Przykucnął, wyjął z plecaka koc i rozłożył go na skałach.

- Może jeszcze za wcześnie na podziękowania. Większość z tego zrobiłem sam, najlepsze mogą okazać się dobre chęci.

Usiadłam na kocu naprzeciw niego i przyglądałam się, jak z papierowej torby wyciąga termos obiadowy.

- Zdaje się, że ostatni raz widziałam coś takiego w przedszkolu - zażartowałam.

- No cóż. Mama powiedziała, że jeśli nakarmię cię zimnymi naleśnikami, mogę nie wracać do domu. - Mrugnął do mnie.

- Zawsze byłaś jej ulubienicą.

Do oczu napłynęły mi łzy. Na szczęście nie zapomniałam ociemnych okularach, dzięki czemu Simon nie mógł ich widzieć.

Zjedliśmy śniadanie, które poza naleśnikami składało się z jajek, bekonu, świeżych owoców i herbaty. Niewiele mówiliśmy, a mnie to odpowiadało. Tak jak wcześniej, w drodze pod górę, upajałam się każdym naprężeniem mięśni i uderzeniem serca, tak teraz

delektowałam się tą chwilą z Simonem. To było tak proste, tak naturalne. Lepiej mogłoby być tylko wtedy, gdyby to nigdy się nie kończyło.

Po śniadaniu pozbieraliśmy śmieci. Nie ustaliliśmy, co robimy dalej; Simon podłożył sobie plecak pod głowę, wyciągnął się na kocu i wysunął ramię. Położyłam się obok, układając głowę na jego piersi.

- Wczorajsza impreza się udała? - zapytał kilka minut później.

Pokiwałam głową.

- Był straszny tłok. Miejmy nadzieję, że to przełoży się na większe obroty na co dzień - odpowiedziałam, starając się przybrać swobodny ton.

- A sami klienci? Byli w porządku? Nie zdarzyło się nic nietypowego?

Przed oczami stanęła mi maskotka z łańcuszkiem Rainy. Nie chciałam niczego ukrywać przed Simonem i obiecałam sobie, że pomówię z nim o tym dzisiaj... ale to było przed moją rozmową z Charlotte.

Czy odłożenie prawdy o kilka minut tak wiele zmieni? Koniec końców, czyż obojgu nam nie będzie milej, jeżeli chwilowo przemilczę fakty?

Uniosłam głowę i zbliżyłam usta do jego ucha.

- W tej chwili nie jestem w nastroju, żeby myśleć o czymkolwiek lub kimkolwiek innym niż ty - wyszeptałam. - Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy porozmawiali o zeszłej nocy i o wszystkim innym trochę później?

W odpowiedzi Simon zbliżył usta do moich warg. Uśmiechnęłam się i pocałowałam go, po czym powoli dźwignęłam się i położyłam na nim. Silne dłonie zsunęły się po moich plecach i wśliznęły pod koszulkę. Podciągnęłam jego Tshirt i obsypałam pocałunkami klatkę piersiową i brzuch. On delikatnie ugiął kolano, wsuwając je pomiędzy moje nogi, a ja podciągnęłam uda, aż przylgnęły ciasno do jego bioder. Nasze pocałunki stały się bardziej gwałtowne i namiętne, a oddechy równie szybkie jak ruchy warg.

- W tym miejscu widać nas jak na dłoni - szepnął Simon.

- Może powinniśmy zejść w dół szlaku i poszukać czegoś bardziej intymnego?

- Tu nikogo nie ma. - Obsypywałam pocałunkami jego ucho, szyję. - A ja nie chcę przestawać. Ty chcesz?

Potrząsnął głową i dźwignął się na rękach. Uniósł tułów tak, że oboje podnieśliśmy się do pozycji siedzącej. Przez cienką bawełnianą koszulkę czułam jego oddech, ciepły i wilgotny. Pragnąc poczuć go na gołej skórze, zdjęłam Tshirt i odrzuciłam na bok. Zamknęłam oczy i zanurzyłam palce we włosach Simona, pozwalając, by jego wargi wędrowały po moich ramionach, w dół po piersi i w stronę brzucha. Śladem warg poszły palce, które ostatecznie

zatrzymały się na guziku przy moich szortach. Powoli uniosłam biodra ku jego biodrom.

Właśnie odpinał guzik, kiedy z mojego plecaka dobiegł dźwięk telefonu.

- Nie chcesz...? - zapytał.

- Ani trochę. - Przycisnęłam pierś do jego torsu, zdjęłam mu koszulkę, po czym powoli opadliśmy z powrotem na koc.

Telefon zamilkł.

Sekundę później rozdzwonił się znowu.

- Jesteś pewna...

- Na sto procent.

Dźwięk dzwonka ustał, po czym rozległ się jeszcze raz.

- Przepraszam. - Wyprostowałam się, sięgnęłam po plecak i wyciągnęłam z niego telefon. Poza nieodebranymi połączeniami były trzy nowe wiadomości w poczcie głosowej i siedem SMSów. Wyciszyłam dzwonek, nie sprawdzając nawet, kto jest ich nadawcą.

Wrzuciłam telefon do plecaka i znów przywarłam do Simona. Po paru minutach, gdy wciąż się całowaliśmy, zadzwonił jego telefon.

- Nie chcesz...- zapytałam.

- Ani trochę.

Po dwóch sygnałach dzwonięcie ustało. Niemal natychmiast rozległo się ponownie. A potem jeszcze raz.

Dłonie Simona znieruchomiały. Usta spowolniły.

- Co się stało? - zapytałam w chwili, kiedy z jego telefonu dobiegł pojedynczy dźwięk.

Przerwał pieszczoty i obejrzał się przez ramię na swój plecak.

- Nasz umówiony sygnał.

Wsparłam się na łokciach.

- Czyj sygnał? I co oznacza?

Obrócił się. Jego wargi, które jeszcze chwilę wcześniej tak swobodnie poruszały się po moim ciele, zacisnęły się w ciekłą linię. Zmarszczył brwi.

- Caleba i mój. Oznacza sytuację awaryjną.

Oddech uwiązał mi w gardle. Z trudem przełknęłam ślinę.

- Jakiego rodzaju awaryjną sytuację?

Nie odpowiedział. Był pewien, że już wiem.

- Powinienem do niego oddzwonić - powiedział przepaszająco.

Pokiwałam głową i położyłam się na plecach, kiedy Simon poderwał się i doskoczył do plecaka. Odszedł na kilka kroków - albo próbował znaleźć lepszy zasięg, albo chciał

oszczędzić mi urywków rozmowy, na podstawie których domyśliłabym się, czego ta awaryjna sytuacja dotyczy. Jeżeli brał pod uwagę drugi wariant, to nie było konieczne, bo i tak nie zamierzałam dociekać, co się dzieje. Myśląc w ten sposób, czułam się winna, a jednak w duchu niemal liczyłam, że cokolwiek to będzie, okaże się na tyle okropne, że Simon nie zechce się tym ze mną podzielić. Wtedy będę mogła dalej udawać, choćby jeszcze przez jakiś czas.

- Nie mówiłaś, że Raina złożyła wam wizytę wczorajszego wieczoru.

Poderwałam się na równe nogi i ramieniem osłoniłam twarz przed oślepiającym słońcem. Simon stał na krawędzi koca, ściskając w dłoni telefon.

- Bo nic takiego się nie stało - zapewniłam.

- Caleb twierdzi co innego.

- Caleba tam nie było. Skąd on może...

- Od Paige. To ona próbowała się do ciebie dodzwonić. Domyśliła się, że możesz być ze mną, więc spróbowała zatelefonować do niego.

Powstrzymując się od westchnienia, sięgnęłam po odrzuconą koszulkę i wciągnęłam ją przez głowę.

- Ktoś zgłosił do konkursu pluszową maskotkę z naszym Rainy - wyjaśniłam. - Zamierzałam ci o tym powiedzieć, słowo honoru. Po prostu miałam nadzieję, że uda nam się spędzić trochę czasu razem w normalny, przyjemny sposób, zanim wszystko przysłoni tamto wydarzenie. - Wtedy dopiero dotarło do mnie, co powiedział. Wstałam i stanęłam twarzą do niego. - Jest coś jeszcze, prawda? Przecież wiedziałam już o naszym Rainy... więc Paige musiała dzwonić w innej sprawie.

Simon opuścił wzrok, a ja miałam pewność, że zastanawia się, oczym najpierw powinniśmy porozmawiać - o przemilczeniu drugiego wariantu, to nie było konieczne, bo i tak nie zamierzałam dociekać, co się dzieje. Myśląc w ten sposób, czułam się winna, a jednak w duchu niemal liczyłam, że cokolwiek to będzie, okaże się na tyle okropne, że Simon nie zechce się tym ze mną podzielić. Wtedy będę mogła dalej udawać, choćby jeszcze przez jakiś czas.

- Nie mówiłaś, że Raina złożyła wam wizytę wczorajszego wieczoru.

Poderwałam się na równe nogi i ramieniem osłoniłam twarz przed oślepiającym słońcem. Simon stał na krawędzi koca, ściskając w dłoni telefon.

- Bo nic takiego się nie stało - zapewniłam.

- Caleb twierdzi co innego.

- Caleba tam nie było. Skąd on może...



- Od Paige. To ona próbowała się do ciebie dodzwonić. Domyśliła się, że możesz być ze mną, więc próbowała zatelefonować do niego.

Powstrzymując się od westchnienia, sięgnęłam po odrzuconą koszulkę i wciągnęłam ją przez głowę.

- Ktoś zgłosił do konkursu pluszową maskotkę z naszyjnikiem Rainy - wyjaśniłam. - Zamierzałam ci o tym powiedzieć, słowo honoru. Po prostu miałam nadzieję, że uda nam się spędzić trochę czasu razem w normalny, przyjemny sposób, zanim wszystko przysłoni tamto wydarzenie. - Wtedy dopiero dotarło do mnie, co powiedział. Wstałam i stanęłam twarzą do niego. - Jest coś jeszcze, prawda? Przecież wiedziałam już o naszyjniku... więc Paige musiała dzwonić w innej sprawie.

Simon opuścił wzrok, a ja miałam pewność, że zastanawia się, oczym najpierw powinniśmy porozmawiać - o przemilczeniu wczorajszych wydarzeń czy o najnowszych wieściach. Po chwili zdecydował się na to drugie.

- Kamery przemysłowe w restauracji zarejestrowały mężczyznę, który dostarczył naszyjnik. Obraz nie jest zbyt wyraźny, ale Paige domyśla się, kto to jest, i sądzi, że ty możesz to potwierdzić.

Kiedy dotarły do mnie słowa Simona, skrzyżowałam ręce na piersi i odwróciłam się do niego tyłem.

- Vanesso, to dobre wieści. - Stał przy mnie. - To może nie jest wymarzony sposób na spędzenie popołudnia - i uwierz, że niczego innego nie pragnę, jak wrócić do tego, na czym skończyliśmy kilka minut temu - ale jeżeli dowiemy się, kto dostarczył naszyjnik, prawdopodobnie poznamy osoby odpowiedzialne za emaile i wszystko inne. Im wcześniej zdobędziemy te informacje, tym szybciej będziemy mogli powstrzymać tych ludzi, zapomnieć o sprawie raz na zawsze i zacząć od początku.

Oczywiście Simon miał rację. Co do wszystkiego poza tym ostatnim.

Wiedziałam, że niezależnie od tego, co się stanie, nigdy nie będę mogła zacząć od początku. Ani Simon, ani ja... nigdy nie zdołamy zapomnieć. Słowa Charlotte ubiegłego wieczoru utwierdziły mnie w tym tylko.

Jednak teraz nie była pora, by się nad sobą użalać. Nie mieliśmy już czasu na cokolwiek innego, ale wiedziałam, że akurat na użalanie się będzie mnóstwo czasu później.

- W porządku - odparłam, zatrzymując wzrok na przystani widocznej w oddali. - Chodźmy.

W drodze powrotnej Simon szedł przodem. Nie zależało mi, żeby dotrzeć do podnóża góry w takim tempie jak na jej szczyt. Poza tym moje ciało zrobiło się ociężałe, jakbym w

butach dźwigała tonę kamieni. Gdyby Simon był kimś innym, kimś, kto nie zakochał się we mnie, zanim przeszłam transformację, nasza ostatnia seria pocałunków dodałaby mi tyle energii, że mogłabym wręcz sfrunąć ze szczytu na sam dół. Niestety, miałam wrażenie, że efekt jest odwrotny.

Ta myśl była tak przygnębiająca, że wyparłam ją ze świadomości i próbowałam skupić się na czekającym mnie zadaniu.

Kiedy zbliżyliśmy się do jeepa zaparkowanego na poboczu drogi, Simon zaoferował, że poprowadzi. Zapewniłam go jednak, że czuję się świetnie, i wsiałam za kierownicę. W drodze do miasta nie rozmawialiśmy, a mimo to podróż upłynęła za szybko. Zanim się zorientowałam, już podjeżdżaliśmy na parking restauracji rybnej, na którym było gęsto od samochodów.

- Widzę, że pod tym względem wczorajszy wieczór był udany - rzucił Simon, kiedy udało mi się znaleźć wolne miejsce w służbowej strefie parkingowej.

Kiedy wysiedliśmy z jeepa, złapał mnie za rękę. Właśnie zaczęliśmy wspinać się po schodach prowadzących na zaplecze, kiedy przez barierkę tarasu dla personelu wychyliła się Paige i zawołała:

- Przykro mi, że musieliście przerwać wasze słodkie teteatete... ale uwierzcie mi, chcecie to zobaczyć.

Simon i ja wymieniliśmy spojrzenia. Puścił moją rękę i przytrzymał przede mną otwarte drzwi.

- Znamy go - oznajmiła Paige, kiedy znaleźliśmy się na tarasie. Siedziała przed otwartym laptopem. Caleb był po jednej stronie, Natalie po drugiej. - Nie umiem powiedzieć skąd... ale wiem, że go znamy.

Natalie uśmiechnęła się do nas, po czym przybliżyła twarz do ekranu. Zerknęłam na Simona, którego zmarszczone brwi i zmrużone oczy świadczyły o zdezorientowaniu. Wiedziałam, że zastanawia się nad tym samym co ja.

Co o n a tutaj robi?

Jednak nie było teraz czasu, żeby sobie tym zaprztać głowę, bo Paige obróciła laptopa w naszą stronę i zapytała:

- Co o tym sądzicie?

Szybko podeszliśmy do stolika i uważnie obejrzelśmy czarnobiałe nagranie, które zarejestrowała kamera umieszczona nad głównym wejściem do restauracji. Widać było grupkę rybaków okupujących ganek, rozmawiających, palących papierosy i śmiejących się. Po dziesięciu sekundach z ciemności, których kamera nie obejmowała swoim zasięgiem,

wyłonił się jakiś mężczyzna: w dżinsach, luźnej kurtce roboczej i czapce z daszkiem. Głowę miał opuszczoną, a dłonie wetknięte do kieszeni. Poruszał się szybko i pewnie. Pod jednym z jego ramion tkwił nieforemny pakunek.

- Skąd wiesz, że go znamy? - zapytałam. - Przecież nie widać twarzy.

Jednak właśnie wtedy mężczyzna na nagraniu nagle wpadł na jednego z rybaków stojących na ganku, który - jak się zdawało - coś burknął. Nasz prześladowca odwrócił się w stronę mężczyzny i na ułamek sekundy kamera uchwyciła jego profil.

- Cofnij. - Simon pochylił się nad ekranem i przesunął kciukiem po trackpadzie. - Możemy zatrzymać tę klatkę, żeby się lepiej przyjrzeć.

- W porządku - powiedziałam. - To nie będzie konieczne.

Dlatego że Paige miała rację. Znałyśmy prześladowcę. Ja go znałam. Spędziłam z nim dość czasu, żeby zidentyfikować go po ułamku sekundy.

To był Colin. Syn Anny, pośredniczki w sprzedaży nieruchomości.

Otworzyłam usta, żeby podzielić się tym z pozostałymi, kiedy zadzwonił mój telefon. Tym razem rozległ się przeciągły, oldskulowy dzwonek, podobny do tego, który wydawał stacjonarny telefon w biurze taty w Bostonie. Ten dźwięk był pokrzepiający, dobrze znany - dlatego właśnie przypisałam go do numeru naszego nowego domu na plaży.

- Przepraszam - powiedziałam, wyciągając telefon z kieszeni szortów, gdzie schowałam go, zanim zaczęliśmy schodzić w dół zbocza. - Rodzice. Lepiej odbiorę.

Zadowolona z wymówki, dzięki której mogę przemyśleć to, co właśnie zobaczyłam, odwróciłam się i podeszłam do balustrady.

- Cześć, tato! Co tam?

- Vanesso, to ja. - Głos mamy drżał z niepokoju. - Musisz natychmiast przyjechać do domu. To ważne.

Zanim zdążyłam zapytać dlaczego, w mojej głowie rozległ się głos Charlotte.

Dbaj o siebie, moja kochana, najdroższa Vanesso.

Wiem, że jesteś silna... Teraz pozostaje ci już tylko zrozumieć, co tak naprawdę znaczy być odważną.

- Kochanie, uwierz mi - powiedziała mama. - Nie chcesz tam wchodzić.

Stała przed wejściem do pokoju gościnnego, kurczowo ściskając wymiętą chusteczkę. Zrobiłam krok w lewo, potem w prawo. Naśladowała moje ruchy, jakby była odbiciem lustrzanym. Nie pozwalała mi wejść.

- Owszem, chcę - przemówiłam spokojnym, opanowanym głosem.

- Vanesso - powiedział cicho ojciec, dotykając mojego ramienia. - Ona nie... to znaczy ona nie jest... nie wiesz, jak bardzo...

Głos mu zadrżał i uwiązł w gardle. Ojciec opuścił głowę, po czym palcem wskazującym i kciukiem nasunął okulary głębiej na nos. Docisnął je do kącików oczu, ale łzy i tak zdołały wypłynąć.

- Wygląda inaczej, niż ją zapamiętałaś. - W oczach mamy też pojawiły się łzy, a jednak oddała chusteczkę tacie.

- Widziałam ją zeszłego wieczoru - przypomniałam. - I nie obchodzi mnie, jak źle wygląda. Jestem pewna, że w ciągu ostatnich lat widziałam gorsze rzeczy.

Mama zamrugła, a wtedy nowe strużki łez potoczyły się po jej policzkach.

- To tylko kolejny powód, żebyś tam nie wchodziła.

- Zadzwoń do mnie piętnaście minut temu i powiedz, że mam natychmiast wracać do domu. Zakładam, że po to, by ją zobaczyć. Co się zmieniło od tamtej pory?

Tata wydał z siebie przeciągłe, drżące westchnienie i podniósł wzrok.

- Bardzo wiele.

Mama wyciągnęła dłoń i odgarnęła włosy z mojej twarzy.

- Będzie lepiej, jeśli pójdziesz się na chwilę położyć. Twój ojciec i ja zajmiemy się wszystkim.

Odwrociłam wzrok. Nie widziałam jej tak smutnej od zeszłego lata i pomyślałam, że za chwilę sama zacznę płakać. A jeżeli miałam ich przekonać, że jestem dość silna, by udźwignąć widok tego, cokolwiek znajdowało się po drugiej stronie drzwi, musiałam wziąć się w garść.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Mama pociągnęła nosem, wyprostowała plecy i obciągnęła brzeg swojej bluzki. Nie przyglądałam się jej, ale wiedziałam, że wzrokiem napomniwała tatę, by na czas jej nieobecności przypilnował wejścia do pokoju.

- Charlotte nie chciała, żebyś oglądała ją w takim stanie - odezwał się, kiedy mama odeszła.

- Przez ostatnie osiemnaście lat wszystko było tak, jak chciała Charlotte. - Podniosłam wzrok. Nasze oczy się spotkały. - Nie sądzisz, że to wystarczająco długo?

- Jesteś roztrzęsiona. Nie pozwól, by emocje popchnęły cię do czegoś, czego później będziesz żałować.

Po tych słowach uznałam, że mam już dość wysłuchiwania, jak inni mówią mi, co powinnam, a czego nie powinnam robić.

- Wchodzę. - Zrobiłam krok w stronę drzwi. - Kiedy będę gotowa wyjść, zrobię to.

Przez kolejną chwilę wytrzymałam moje spojrzenie. Poczułam ostre ukłucie w piersi - wiedziałam, że on także cierpi - i bałam się, że mogę stracić cierpliwość. Ale wtedy tata pokiwał głową i powłócząc nogami, ruszył w stronę fotela w głębi korytarza.

- Będę tu, gdybyś mnie potrzebowała - powiedział.

Zaczekałam, aż usiądzie, a wtedy odwróciłam się przodem do drzwi. Kładąc dłoń na gałce, przygotowałam się, że poczuję palący żar albo przeraźliwy chłód metalu paraliżujące moją skórę... ale gałka była chłodna. Zwyczajna.

Dziwnie podniesiona na duchu, chwyciłam gałkę pewniej, obróciłam ją i pchnęłam drzwi.

W jednej chwili otoczył mnie przeraźliwy fetor. Woń przywodziła na myśl mieszaninę soli, gnijącej ryby i rozkładającego się mięsa; była tak silna, że czułam, jak oplata moje ciało i przenika przez pory w głąb skóry.

Krzusząc się, jedną dłonią zasłoniłam usta, a drugą przyłożyłam do żołądka. Gdyby nie to, że tata siedział kilka metrów dalej, zatrzasnęłabym drzwi, nie przestępując progu, i uciekłabym do najbliższego wyjścia. Ponieważ mnie obserwował, opanowałam szok i zmusiłam się, by wejść do pokoju, po czym zamknęłam za sobą drzwi.

Po tej stronie powietrze było nieruchome. Ciężkie. Lepkie. Prawdopodobnie powodowana instynktownym oporem przed spojrzeniem na łóżko, utkwiałam wzrok w zamkniętych oknach. Z jedną dłonią zaciśniętą na nosie i ustach pospiesznie przemierzyłam pokój. Żeby otworzyć okno, potrzebne mi były obie ręce, więc z ociąganiem ich użyłam. Wstrzymywałam oddech dopóty, dopóki na twarzy nie poczułam chłodnej morskiej bryzy. Wtedy zamknęłam oczy, oparłam się obiema rękami o parapet nad ławeczką w oknie - na której siedziałam zaledwie kilka godzin wcześniej, rozmawiając z Charlotte - i oddychałam głęboko.

Chwilę później mdłości minęły. Otworzyłam oczy i przez jakiś czas przyglądałam się falam przetaczającym się po piasku. Nie zdałam sobie z tego sprawy od razu, ale grałam na zwłokę; nasłuchiwałam. Chciałam usłyszeć od Charlotte, że wszystko jest dobrze, że z nią

wszystko w porządku.

Jednak poza szumem fal nie usłyszałam nic.

Obróciłam się powoli, do ostatniej chwili nie spoglądając na łóżko. Z tego miejsca wszystko wyglądało zwyczajnie. Deski parkietu lśniły. Białe puszyste kapcie Charlotte stały przy stoliku nocnym, tak samo jak zeszłego wieczoru. Spoza krawędzi łóżka wystawało świeże, czyste prześcieradło.

Może to pomyłka, pomyślałam, unosząc wzrok. Może ona tylko śpi albo jest zbyt słaba, żeby się komunikować. Jeśli przyniosę jej coś do picia albo namoczę jej pościel w słonej wodzie, może...

Moje myśli umilkły. To nie żadna pomyłka. Prześcieradło było naciągnięte na długie, szczupłe, nieruchome ciało. Klatka piersiowa nie unosiła się i nie opadała. Materiał nie poruszał się w rytm oddechu w miejscu, gdzie zakrywał usta. Kiedy postąpiłam w stronę łóżka, głowa nie obróciła się w moją stronę.

Na koniec uczepiłam się nadziei, że pod prześcieradłem leży ktoś inny - nie kobieta, która dała mi życie. Ta postać wydawała mi się zbyt szczupła jak na Charlotte.

Był tylko jeden sposób, by się przekonać. Pamiętając, co powiedziała o odwadze, zrobiłam kolejny krok w stronę łóżka.

I kolejny, a po nim jeszcze jeden. Potem, uważając, by nie podeptać kapci, pochyliłam się, dwoma palcami chwyciłam rąbek prześcieradła i pociągnęłam.

Pokój wypełniła rzeka białych płatków.

- Nie. - Odrzuciło mnie do tyłu. Sięgnęłam po prześcieradło, ale nie udało mi się go chwycić. - Nie, nie, nie!

Pomimo wirujących płatków przysłaniających mi widok od razu wiedziałam, że to Charlotte. Te same długie, siwe włosy, te same zielononiebieskie oczy. Miała na sobie ciemne dżinsy, bluzkę z krótkim rękawem i biżuterię, jakby szykowała się do wyjścia, gdy nagle zmogła ją choroba. I biorąc pod uwagę, że tego ranka planowała wyjechać, choć zeszłej nocy czuła się tak źle, może tak właśnie było.

Jej skóra była szara, popękana i łuszczyła się, odsłaniając wysuszone tkanki i włókna, a w niektórych miejscach kości. Usta zniknęły, nos się zapadł. Jej prawa stopa była goła i przełamana w połowie w taki sposób, że opuszki palców stykały się z piętą.

Ale nie było krwi. Jej ciało było całkiem wysuszone. Wyglądało to tak, jakby leżała tu martwa i pozostawiona na pastwę losu przez długie miesiące. Może nawet lata.

Z tym że kiedy mama dzwoniła, Charlotte wciąż jeszcze żyła. Co znaczyło, że odeszła nie dalej jak piętnaście minut temu.

Morska bryza się wzmogła. Powietrze, wpadające do pokoju przez otwarte okna, wprawilo białe płatki w wirowanie. Kłębiły się wokół, pokrywając moje włosy, ubrania i twarz.

Jednak dopiero z chwilą, gdy otarłam je z warg, zdałam sobie sprawę, czym są.

To kawałki ciała Charlotte. Były wszędzie.

Z moich ust wydobył się krzyk. Pobiegłam do łazienki i z trzaskiem zamknęłam za sobą drzwi. Gdy dopadłam do umywalki, odkręciłam wodę i zaczęłam szorować twarz. Podskakując energicznie, próbowałam oczyścić swoje ubranie i włosy. Wciąż czułam ją na sobie, dlatego nie przestałam szorować i podrygiwać, dopóki ostatnie płatki nie opadły na posadzkę. Wreszcie, wykończona, przycupnęłam na krawędzi wanny.

Nie jesteś sama, Vanesso...

Podniosłam wzrok. Ten głos brzmiał znajomo. Zbyt wstrząśnięta, by stwierdzić, czy rozbrzmiewa wokół, czy tylko w mojej głowie, wstrzymałam oddech w oczekiwaniu na dalsze słowa. Z pokoju dobiegło ciche szuranie; wstałam i z wolna podeszłam do drzwi.

- Betty?

Betty siedziała na krześle w rogu, z dłońmi złożonymi na podołku, a jej lekko zamglone oczy były utkwione we mnie. Oliver stał między łóżkiem a ławeczką w oknie i starannie zmiatał na kupkę drobinki martwej tkanki. Kiedy weszłam do pokoju, przerwał, by posłać mi smutny uśmiech, a po chwili kontynuował.

- Tak mi przykro, kochanie - odezwała się Betty.

Skinęłam głową. Potem, przypomniawszy sobie, że Betty mnie nie widzi, powiedziałam:

- Dziękuję. - Kiedy oparłam się o toaletkę, spostrzegłam, że prześcieradło zostało naciągnięte na twarz Charlotte. - Rodzice do ciebie dzwoniли?

- Tak, chociaż byłam już w drodze. Charlotte skontaktowała się ze mną wcześniej. Chciała, żebym sprawdziła, jak się czujesz.

- Czy mówiła, że... czy wiedziałaś, że ona...

- Umiera? - Betty zmarszczyła brwi. - Owszem.

- Wiesz dlaczego? To znaczy... Kiedy tu przyjechała kilka tygodni temu, wyglądała na zmęczoną, ale nie do tego stopnia, żeby to... wydawało się możliwe.

Betty obróciła głowę w stronę Olivera. Podniósł wzrok, a gdy nie odpowiedziała na moje pytanie, zorientował się, że patrzy na niego. Wtedy oparł miotłę o ścianę i ruszył do wyjścia. Po drodze ucisnął moje ramię, po czym cicho otworzył drzwi i zamknął je za sobą.

- Usiądź, Vanesso. Proszę.

- Wolę stać. - Zacisnęłam wargi.

Nie nalegała.

- Czy usłyszałaś to, co Charlotte zamierzała ci powiedzieć, przyjeżdżając tutaj?

- Nie rozumiem. Zatrzymała się tu w drodze do Kanady. Powiedziała, że chciała się ze mną zobaczyć, bo nie wie, jak długo jej nie będzie.

- Nie chciała cię martwić.

- Czym?

W czasie krótkiej ciszy, która nastąpiła po tym pytaniu, zrozumiałam.

- Charlotte... nie zamierzała spotkać się z Nenufarami? - zapytałam.

- Chciała to zrobić. Chciała sprawdzić, czy pojednanie jest możliwe i czy krewne wybaczą jej wykroczenie na tyle szybko, by jej pomóc. Ale wiedziała też, że ma bardzo mało czasu. I im dłużej tu zostanie, tym mniejsze są szanse na dotarcie tam.

Staralam się to zrozumieć.

- To znaczy, że nie wstąpiła do Winter Harbor przejazdem? Planowała tu przyjechać?

- Tak. Chciała dać ci swobodę, o którą prosiłaś zeszłej jesieni, ale zależało jej też, by powiedzieć ci wszystko, co musisz wiedzieć, zanim będzie za późno. Postarała się, żeby jej przyjazd sprawiał wrażenie decyzji podjętej pod wpływem impulsu, abyś chętniej ją przyjęła.

- To znaczy, że zostając tutaj dla mnie... zaryzykowała własne życie?

Betty przechyliła głowę na bok.

- Już dawno postawiła własne życie na szali, Vanesso. Ty byłaś w nim jedynym promykiem szczęścia.

Mgliście świadoma, że nogi mi drętwieją, obeszłam łóżko i opadłam na ławeczkę w oknie.

- A co z zeszłą jesienią? - zapytałam. - Na dnie jeziora była taka silna. Wyglądała tak młodo i zdrowo.

- Wyglądała na swoje lata. Bo żeby zyskać siłę i powstrzymać Rainę i pozostałe syreny, odebrała życie.

Do tej pory starałam się to pominąć.

- To było dość niedawno. Co się stało?

Betty się zawahała.

- Zanim zacznę mówić dalej, Vanesso, muszę wiedzieć... czy Charlotte powiedziała ci o twojej przyszłości. I o tym, co będziesz musiała robić, żeby...

- Owszem. - Przerwałam jej, nie chcąc słyszeć, jak wypowiada to na głos. - Powiedziała.



- Doskonale. - Betty przeniosła wzrok na łóżko i utkwiała niewidzące spojrzenie gdzieś ponad przysłoniętą twarzą Charlotte. - Ona nigdy nie chciała tego robić, dlatego pozwoliła twojemu ojcu żyć, a sama ukryła się w Bostonie. W rezultacie proces starzenia się postępował bardzo szybko - to dlatego, kiedy spotkałaś ją po raz pierwszy, wyglądała jak staruszka, nie jak dojrzała kobieta. Wiesz już, że Nenufary mają o wiele większe potrzeby fizyczne niż zwykłe syreny. Dlatego Charlotte wyglądała starzej.

Przypomniałam sobie Charlotte w kawiarni kilka miesięcy wcześniej; przypomniałam sobie napój z wodorostów, który mi zaserwowała, zanim dowiedziałam się, kim jest. To wspomnienie sprawiło, że do oczu napłynęły mi łzy, które odpędziłam mruganiem.

- Kiedy odebrała życie, jej zegar biologiczny natychmiast się cofnął, dając jej pozornie nieograniczone zapasy energii i witalności - powiedziała Betty. - Tylko że ten pierwszy raz jest zawsze najbardziej skuteczny.

Wstrzymałam oddech.

- Pierwszy raz? - prawie wyszeptałam.

Betty odwróciła głowę w moją stronę.

- Widzę, że nie powiedziała ci wszystkiego. - Westchnęła.

- Nasze długie, względnie normalne życie zależy od życia innych. Zabicie jednego mężczyzny może dać nam siłę na kilka miesięcy, ale kiedy efekt ustępuje, proces starzenia się zaczyna się od nowa - w zdwojonym tempie. Gdyby Charlotte chciała zmienić swój los, musiałaby ponownie zabić. I choć kochała cię bardziej, niż możesz sobie wyobrazić, i przepełniała ją radość, że będzie mogła spędzić z tobą czas... nie mogła się zmusić, by zrobić to znowu. Nie chciała być kimś takim ze względu na ciebie.

Oczy raz jeszcze zaszły mi łzami. Tym razem nie zawracałam sobie głowy mruganiem.

- To znaczy, że śmierć była najlepszym wyjściem?

- Uznała, że lepsza jej własna śmierć niż kogoś innego. Obróciłam się twarzą do okien. Przycisnęłam czoło do chłodnego metalowego parapetu i skupiłam się na oddychaniu.

- To znaczy - wyszeptałam - że ty..

- Tak. Nie jest to coś, z czego jestem dumna, ale... miałam córkę, a potem dwie wnuczki, którymi musiałam się zaopiekować. Kiedy stało się jasne, że Raina zamierza wykorzystywać swoje moce w złych zamiarach i uczyć Zarę i Paige tego samego, moja rola w ich życiu stała się jeszcze ważniejsza. Robiłam, co musiałam.

Tego było za wiele. Charlotte, Colin, ginące dziewczyny, cierpienie bliskich mi osób, niepewna przyszłość. Tego wszystkiego było za wiele. Nagle poczułam, że tego nie

udźwignę.

- Cokolwiek robisz, Vanesso - Betty ciągnęła cicho - nie wiń siebie. Nie ty odpowiadasz za śmierć Charlotte. Jedynym, czego pragnęła twoja matka, poza twoim zdrowiem i szczęściem, było to, by nasze dziedzictwo w magiczny sposób zniknęło. A ostatnią rzeczą, jakiej chciała - by zwykli ludzie dowiedzieli się o naszym istnieniu czy cierpieli z naszych rąk. Nie mogła kontrolować wielkiej społeczności syren, ale miała władzę nad własnym postępowaniem. - Betty zrobiła pauzę i wzięła głęboki oddech. - Więc nawet gdyby wasze ścieżki nigdy się nie przecięły, to musiało nastąpić - prędzej niż później.

Kiedy zapadła cisza, łzy popłynęły mi po policzkach i szyi. Po paru chwilach zapytałam:

- Co z pogrzebem?

- Nie chciała pogrzebu. Poza tym jej ciało nie wytrzymałoby do czasu załatwienia wszystkich formalności. Tak jest w większości wypadków.

- W takim razie co zrobimy z... jak ją...

- Oddamy ją morzu. Pozwolimy jej zanurzyć się po raz ostatni. To będzie dla mnie zaszczyt zabrać ją, gdy tylko będziesz gotowa - głos Betty był łagodny, przeprasający.

- Sama mogę to zrobić.

- To bardzo miła propozycja, kochanie, ale...

- Chcę to zrobić. - Obróciłam się i zobaczyłam, jak podbródek Betty opada w rezygnacji na jej pierś. - Kiedy?

- Kiedy tylko poczujesz się na siłach. Oliver i ja będziemy potrzebowali tylko kilku minut na przygotowania.

Wstałam i przeszłam przez pokój.

- Pójdę po niego.

Na korytarzu Oliver stał obok ojca, który nadal siedział skulony w fotelu. Podeszłam do nich i dotknęłam ramienia taty.

- Nie chciała pogrzebu - powiedziałam cicho. - Chcesz spędzić z nią chwilę, zanim... - Nie byłam w stanie dokończyć zdania.

Potrząsnął głową, a jego kędzierzawe siwe włosy zatańczyły w powietrzu.

- Już to zrobiłem.

Spojrzałam na Olivera. Kiwnął głową i wrócił do pokoju gościnnego..

- Twoi przyjaciele tu są - oznajmił tato. - Simon, Paige, Caleb. I miła blondynka, której nigdy wcześniej nie spotkałem.

Natalie. To było dziwne. Po co Paige zabierała ją ze sobą?

- Chcieli wiedzieć, że na pewno nic ci nie jest - wyjaśnił.

- Chcesz, żebym ich przyprowadził?

Czułam pokusę, by poprosić Simona i Paige, ale bałam się, że na widok smutku i niepokoju na ich twarzach stracę opanowanie. Dlatego podziękowałam tacie i wyjaśniłam, że wolę zobaczyć się z nimi, kiedy wrócę.

Kwadrans później Betty i Oliver dołączyli do nas. Betty sięgnęła po moją dłoń.

- Popłyn tak daleko, jak zechcesz, i złóż jej ciało w miejscu, które uznasz za właściwe. Nie martw się o pojemnik - rozpadnie się przed zapadnięciem zmroku. - Ścisnęła moją rękę. - Kiedy skończysz, będziemy tu na ciebie czekać.

To samo powiedziała Charlotte tego dnia, kiedy pojawiła się w restauracji kilka tygodni wcześniej. Gdy zostawiłam ją na pomoście, żeby porozmawiać z Simonem. Poczulałam ucisk w gardle i z trudem przełknęłam ślinę.

Tato wstał, a wtedy cała trójka ruszyła do salonu. Ja wróciłam do pokoju gościnnego, który został już wysprzątnany i wyglądał tak, jakby od jakiegoś czasu nikt w nim nie mieszkał. Łóżko było zaścielone. Rzeczy osobiste Charlotte zniknęły. Promienie słońca wpadały przez cienkie rolety, które zwisały prosto i równo. Jedyne świadectwo tego, że pokój był zamieszkiwany, stanowiła kwadratowa torba na ławeczce w oknie.

To właśnie jest moja matka, pomyślałam.

Torba była srebrna, pofałdowana, od góry zapinana na zamek błyskawiczny. U podstawy miała przymocowane dwa uchwyty. Fakturą przypominała folię spożywczą. Była lżejsza, niż się spodziewałam, i niemal zdecydowałam się ją rozpiąć, żeby sprawdzić zawartość, ale w ostatniej chwili zrezygnowałam. Zamiast zakładać ją na plecy, przytuliłam do piersi. Trzymając torbę blisko siebie, przeszłam korytarz, podwórze i całą drogę do plaży. Odstawiłam ją tylko na chwilę, by zdjąć buty i skarpetki, a potem podniosłam i znów przycisnęłam do piersi.

Ani na chwilę nie założyłam jej na plecy. W wodzie odpychałam się jedną ręką, a drugą przytrzymywałam torbę blisko siebie. Nie wiedziałam, jak długo płynę ani jak daleko. Jednak nie zatrzymywałam się, dopóki nie dotarłam do sporej rafy koralowej tuż przy dnie oceanu. W ciągu ubiegłego roku mój wzrok przywykł do ciemniejszej wody i mogłam dostrzec, że rafa pstrzy się kolorami i obfituje w morskie stworzenia.

Był to jasny punkt na tle mrocznej otchłani. Uznawszy, że to doskonałe miejsce dla Charlotte, podpłynęłam do niewielkiej szczeliny i ostrożnie wstawiłam tam torbę.

I to wszystko. Nie było żadnej ceremonii. Żadnej pogrzebowej muzyki ani mów pożegnalnych. Pełne wyzwania życia kobiety dobiegło trudnego końca i tylko to po niej

pozostało. Biodegradowalna torba na dnie oceanu.

Trwałam na dnie tak długo, jak uznałam za słuszne, pamiętałam jednak o tym, by nie wzbudzać niepokoju we wszystkich, którzy czekali na mnie na łądzie. Na koniec przycisnęłam dłoń do torby, wyobraziłam sobie młodą, zdrową i uśmiechniętą Charlotte i pożegnałam się.

Kiedy wracałam na powierzchnię, myśli miałam jasne.

W domu odnalazłam przyjaciół i rodziców zebranych w salonie. Mama weszła w tryb gospodyni i serwowała herbatę i kanapki, z których większość pozostała nietknięta. Zapewniłam wszystkich, że czuję się dobrze, potem poprosiłam o kilka minut sam na sam z przyjaciółmi. Kiedy mama, tato, Betty i Oliver wycofali się do kuchni, usiadłam na kanapie obok Simona, który natychmiast otoczył mnie ramieniem.

- Ja to zrobię - oznajmiłam. - Ja powstrzymam Colina.

Mniej więcej tydzień później Paige leżała na moim łóżku i bawiła się swoim telefonem, podczas gdy ja szykowałam się na randkę. Przygotowania zajmowały znacznie więcej czasu, niż zaplanowałam, ponieważ moje ciało nie chciało współpracować. Odkąd uzupełniłam zapasy energii, wykorzystując w tym celu kierownika sklepu turystycznego, minęło sześć dni i dało się to zauważyć.

- Kim ona jest? - mruknęła cicho Paige. - Jak to możliwe, że nie mogę jej skojarzyć?

- Może jej nie znasz. - Stałam przed lustrem w łazience i wklepywałam trzecią warstwę kremu nawilżającego w twarz, szyję i dłonie.

- Znałam Carlę i Erikę. A ta dziewczyna, przynajmniej z tyłu, wygląda znajomo.

Nie odpowiedziałam. Caleb otrzymał trzy nowe zdjęcia drobnej brunetki, prawdopodobnie najnowszej ofiary naszego prześladowcy, które przesłał do Paige na jej prośbę. Od tamtej pory doprowadzała się wprost do szaleństwa, próbując skojarzyć, kim jest dziewczyna. Niestety, bez rezultatu.

- Chodziłaś z nią do szkoły? Może przychodziła do restauracji?

Paige przeczesywała pamięć, ja tymczasem opróżniłam wiadro słonej wody i czekałam na nadejście zmian. Jednak moja cera pozostawała wyblakła i przesuszona, nie wygładziły się nawet najdrobniejsze zmarszczki wokół nosa, ust i oczu. Wtedy sięgnęłam po ostatnią deskę ratunku: makijaż. Zużyłam co najmniej połowę buteleczki z podkładem, nałożyłam kredkę do oczu, tusz do rzęs, szminkę i róż, by ostatecznie uznać, że znów mogę uchodzić za osiemnastolatkę.

- Wow! - Kiedy wynurzyłam się z łazienki, oczy Paige powędrowały od czubka mojej głowy do stóp.

- Przesadziłam? - Obróciłam się w stronę lustra ukazującego całą moją sylwetkę. - Nie chcę, żeby to wyglądało, jakbym za bardzo się starała. Mógłby stać się podejrzliwy.

Wstała z łóżka i stanęła przy mnie.

- Wyglądasz prześlicznie.

Uśmiechając się do jej odbicia, to samo pomyślałam o niej. Paige zawsze zwracała na siebie uwagę, nawet przed transformacją, ale teraz stała się jeszcze piękniejsza. Jej długie włosy błyszcząły, a mleczna cera była zdumiewająco gładka. Niebieskie oczy lśniły jaśniej i żywiej niż kiedykolwiek. Nie miała na sobie ani grama makijażu - nie musiała go nakładać. Byłyśmy w tym samym wieku, ale ona wyglądała teraz młodziej niż rok temu, podczas gdy ja, pod maską kosmetyków, wyglądałam na znacznie starszą. Zgodnie z wyjaśnieniami

Charlotte było tak częściowo dlatego, że ja przeszłam transformację wcześniej, ale także dlatego, że - w przeciwieństwie do Paige - należałam do rodu Nenufarów. Poczułam drobne ukłucie zazdrości. Ale przede wszystkim ogarnęło mnie uczucie ulgi. Nie chciałam, by moja najbliższa przyjaciółka musiała zmagać się z tym samym co ja. Nigdy.

Raz jeszcze krytycznie przyjrzałam się swojemu odbiciu. Cała reszta ciała była równie wysuszona jak twarz, więc żeby zakryć nogi, pożyczyłam od mamy długą lnianą spódnicę. Do tego włożyłam koszulkę bez ramiączek, dżinsową kurteczkę i sandały. Włosy zostawiłam rozpuszczone i pozwoliłam, by same wyschły, dzięki czemu układały się w naturalne fale.

Uznałam, że powinno być w porządku, pod warunkiem że Colin nie będzie się zbytnio przyglądał.

- Na pewno nie chcesz, żebym poszła z tobą? - zapytała Paige.

- Mogłybyśmy połączyć siły i totalnie zawrócić mu w głowie.

Wcześniej sama rozważałam takie rozwiązanie, ale ostatecznie zdecydowałam, że to nie jest najlepszy pomysł. Nie poruszałam jeszcze tego tematu: Paige, z sobie tylko znanych powodów, ostatnio dość lekko obchodziła się ze swoimi zdolnościami. Choć wsparcie byłoby mile widziane, brałam poprawkę na to, że mogłaby zrobić coś, co wzbudzi czujność Colina i zniweczy naszą szansę.

- Dzięki - odparłam - poradzę sobie. Zresztą będziecie tuż za rogiem, więc gdyby cokolwiek poszło nie tak...

- Nie ma takiej opcji.

- Nie ma takiej opcji... Gdybym jednak was potrzebowała, będziecie blisko. A najlepsze jest to, że nawet nie będę musiała korzystać z telefonu.

Odniosłam wrażenie, że ta sugestia, iż będę mogła się z nią skontaktować sposobem Charlotte, uspokoiła Paige. Przyciągnęła mnie do siebie i mocno uścisnęła.

- Bądź ostrożna - wyszeptała. - Bo inaczej nigdy się do ciebie nie odezwę.

Ruszyliśmy w stronę kuchni, gdzie mama coś piekła, a tato czytał. Powiedziałam rodzicom, że wybieramy się do Paige na kolację z filmem. Kiedy całowałam ich na pożegnanie, wciąż jeszcze wyglądali na zaniepokojonych, jak za każdym razem, kiedy wychodziłam z domu. Nie protestowali jednak ani nie próbowali nas przekonywać do pozostania w domu.

Po chwili każda z nas wsiadła w swój samochód i ruszyliśmy do miasta. Po dotarciu do głównej alei Paige skręciła w prawo i pojechała dalej w kierunku swojej restauracji. Ja wybrałam drogę prosto i znalazłam miejsce parkingowe naprzeciwko „Murphyego”.

- Usiądę przy barze - usłyszałam znajomy głos.

Wciąż siedziałam w jeepie. Wydałam stłumiony okrzyk strachu i upuściłam błyszczący i puder, którymi korygowałam niedoskonałości makijażu.

- Simon! Co ty tu robisz?

Simon stał przy drzwiach od strony kierowcy, z rękami w kieszeniach dżinsów. Czoło miał zmarszczone ze zmartwienia.

- Nie będzie wiedział, że tam jestem - przekonywał mnie dalej.

Czując, że galopujące dziko serce powoli powraca do naturalnego rytmu, wyciągnęłam rękę przez otwarte okno i lekko pociągnęłam za jego koszulkę, żeby podszedł bliżej.

- Ale ja będę wiedziała.

- Vanesso - powiedział cicho. - To chyba nie jest najlepszy pomysł.

- Przedyskutowaliśmy wszystko - przypomniałam mu.

- Wielokrotnie. I każdy zgodził się, że ta opcja jest najlepsza.

- Ale dlaczego nie pozwolisz mi pójść ze sobą? Będę się trzymał z daleka i interweniował tylko w razie ostateczności.

Zawahałam się, rozważając swoją odpowiedź. Próbowałam już uspokoić go argumentami, że będę w miejscu publicznym, wśród ludzi; że bez względu na wszystko nie zamierzam stamtąd z nikim wychodzić; że przerwę akcję przy pierwszej oznace kłopotów; i że mam numer do niego, do Caleba i na policję przypisany do klawiszy szybkiego wybierania. To wystarczało - aż do teraz.

W końcu - wierząc, że to jedyne, co może zadziałać - postanowiłam wyznać całą prawdę.

- Nie wiem, jak daleko będę się musiała posunąć.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Mówiłaś, że użyjesz swoich... - Przerwał, rozejrzał się dokoła, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma żadnych wścibskich uszu, i zaczął od początku: - Mówiłaś, że będziesz tak przekonująca... że nie będzie miał innego wyjścia, jak wyznać ci całą prawdę.

- Bo tak będzie. Po prostu nie wiem, co muszę zrobić, by być tak przekonująca.

Jego twarz stężała.

- Wszystko ma swoje granice - dodałam, czerwieniąc się.

- To oczywiste. Ale... prawdopodobnie będę musiała z nim trochę poplirtować. Możliwe też, że dojdzie do kontaktu fizycznego. Naprawdę chcesz to oglądać? Zwłaszcza że ten widok mógłby ci przesłonić rzeczywisty cel naszej misji.

- Nic podobnego.

- Jesteś pewien?

Nie mógł być tego pewien. A że oboje dobrze o tym wiedzieliśmy, nie zadał sobie trudu, by odpowiadać.

- Jest siedemnasty lipca - przypomniałam mu łagodnie.

Opuścił wzrok, pokiwał głową.

- Czy możesz obiecać mi jedną rzecz?

- Jasne - odparłam, zakładając, że jego prośba będzie dotyczyła wspomnianego wcześniej kontaktu fizycznego.

- Nie bądź zbyt odważna. - Uniósł wzrok, a jego oczy spotkały się z moimi. - Obiecujesz?

Moją głowę wypełniło wspomnienie głosu Charlotte. Zignorowałam je.

- Obiecuję. Do zobaczenia wkrótce.

Zanim odszedł, trwał w bezruchu jeszcze przez kilka sekund. Czułam ulgę, że nie próbował mnie pocałować. Nie chciałabym - a raczej nie umiałabym - mu się oprzeć, a gdyby Colin przypadkiem stał się świadkiem tych czułości, nasz plan ległby w gruzach, jeszcze zanim przystąpilibyśmy do jego realizacji. Najwyraźniej Simon był tego samego zdania.

Zaczekałam, aż Subaru ruszy i skręci w główną aleję, po czym raz jeszcze obejrzałam się w lusterku wstecznym. Dość zadowolona z efektu, wyskoczyłam z jeepa i szybkim krokiem ruszyłam do restauracji. Colin już tam był. Czekał na mnie przy stoliku w sali na tyłach lokalu. Na mój widok wstał i pomachał.

Dasz radę, powiedziałam sobie w myślach, przepychając się przez tłum przy barze. To tylko kolejny facet.

Moje ciało nie ufało tym zapewnieniom. Im byłam bliżej drugiej sali, tym bardziej drżały mi nogi. Kiedy dotarłam do stolika, opadłam na krzesło i zanim jeszcze się przywitałam, duszkiem opróżniłam szklankę wody, którą wcześniej podano.

- Hej - odezwał się Colin, podając mi swoją szklankę. - Co powiesz na dolewkę?

Gestem przywołał kelnerkę, która postawiła dzbanek na naszym stoliku.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Jak najbardziej. - Walczyłam ze sobą, by nie chwycić dzbanka w obie ręce i nie wypić całej jego zawartości. Zmusiłam się do uśmiechu. - A co u ciebie?

- Świetnie. - Wyszczrzył zęby. - Przynajmniej od chwili, gdy do mnie zadzwoniłaś.

Mimowolnie próbowałam doszukać się ukrytego znaczenia: i w tych słowach, i w wyrazie twarzy. Simona, Caleba, Paige i mnie niepokoiło, że Colin mógłby odebrać moją propozycję spotkania jako znak, że się na niego przyczailiśmy, i natychmiast nabrać



podejrzeń. I chociaż sprawiał wrażenie kogoś, kto chce zwrócić na siebie uwagę, nie byliśmy pewni, co zrobi, kiedy już ją uzyska. Do podjęcia decyzji o spotkaniu przekonała mnie jego ochocza reakcja tamtego ranka na plaży, kiedy po długim nurkowaniu wynurzyłam się z oceanu, a potem wsparłam na nim, żeby nie upaść... A mimo to byłam nieufna.

Jeśli jednak Colin ukrywał podstępne myśli, nie dawał tego po sobie poznać. Wydawał się szczęśliwy. Podekscytowany. Może odrobinę zdenerwowany, na co wskazywała zaczerwieniona skóra wokół kołnierzyka koszuli i fakt, że przy każdej próbie podniesienia widelca, upuszczał go na podłogę. Ale nawet to wydawało się dość niewinne.

Czując, że moje zdenerwowanie powoli mija, zaczęłam od niezobowiązującej pogawędki. Omówiliśmy temat pogody, filmów, ulubionych kolorów, potraw i sposobów spędzania wakacji. Głównie to ja zadawałam pytania, na które on z łatwością odpowiadał.

Kiedy już złożyliśmy zamówienie, które dość szybko nam podano, postanowiłam pokierować rozmowę na bardziej osobiste, poważniejsze tematy. Zanim zaczęłam, przysunęłam się razem z krzesłem do Colina. Teraz siedzieliśmy na tyle blisko, że ocieraliśmy się o siebie ramionami.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu - upewniłam się, widząc, że zadowolenie na jego twarzy miesza się z zaskoczeniem. - Tu jest dość głośno, a ja nie chcę, by ominęło mnie choć jedno słowo.

Zaczerwienienie na jego szyi rozlało się na policzki.

- Jasne, że nie.

- To dobrze. - Uśmiechnęłam się i pozwoliłam, by moje kolano dotknęło jego kolana. - Przypomnij mi, proszę, od jak dawna mieszkasz w Winter Harbor?

Chwycił widelec - i znów go upuścił. Kiedy schylił się, żeby go podnieść, szybkim ruchem wsunęłam rękę do torebki wiszącej na oparciu krzesła, wymacałam w bocznej kieszonce dyktafon i włączyłam nagrywanie.

- Od około dwóch miesięcy - odpowiedział, prostując się.

- Tylko tyle?

- No tak, zresztą nie zostanę tu zbyt długo. - Uśmiech Colina zbladł, gdy pochwycił moje spojrzenie. - Niestety.

Poczułam ciepłą falę energii rozlewającą się po moim brzuchu. Chciałam odwrócić wzrok, ale przytrzymał moje spojrzenie.

- Dlaczego?

- Zaczynam studia.

Moje tętno przyspieszyło.

- Na jakiej uczelni?

- Pomona. To mały uniwersytet w stanie Kalifornia.

- Kawał drogi stąd.

Przytaknął. Wyglądał na zawiedzionego. Postanowiłam skierować rozmowę na inny tor, zanim popadnie w przygnębienie.

- To znaczy, że twoja mama tu mieszka? Spędzasz z nią wakacje?

- Tak. Rodzice rozwiedli się dwa lata temu, a kilka miesięcy po tym mama przeniosła się do Winter Harbor - w samym środku pamiętnej zimy w lecie. - Milczał przez chwilę. - Byłaś tu wtedy?

Właśnie wzięłam kęs sałatki, więc skupiłam się na tym, żeby go przeżuć i połknąć.

- Byłam - odparłam.

- To czyste szaleństwo, nie sądzisz? Tak to wyglądało. No wiesz, te burze i ciała, no i lód... Co to w ogóle miało być? Moja mama wpadła w taką panikę, że chciała się stąd wynosić. Ale nie było jej na to stać. Wszystkie oszczędności wydała na dom - a kiedy zaczęły dziać się wszystkie te dziwactwa, nikt nie chciał go odkupić.

Mówił szybko, z coraz większym ożywieniem. Czy tak właśnie mordercy mówią o swoich psychopatycznych pasjach?

- Fakt, to było dość dziwne. - Obserwowałam go kątem oka, skubiąc jedzenie na talerzu. - Szczerze mówiąc, to lato też nie zapowiada się najlepiej.

- Masz na myśli te dziewczyny? - Potrząsnął głową i wziął do ręki hamburgera. - Wiem. To okropne. Zabroniłem mamie wychodzić samej wieczorami. To dlatego ja parę tygodni temu przywiozłem donice do domu twoich rodziców, kiedy byłaś tam z przyjaciółmi.

Przeżuł kęs, stał keczup z brody i wziął łyk wody. Nawet jeśli moje słowa zbiły go z tropu, i tym razem doskonale udało mu się to ukryć.

- Mogę ci o czymś powiedzieć? - zapytał.

Wstrzymałam oddech. Jego głos brzmiał teraz inaczej. Mówił ciszej, ale chodziło o coś jeszcze. Może większe napięcie? Ślad strachu?

Z trudem ukryłam zmieszanie i uśmiechnęłam się.

- No jasne.

- Nawet jeżeli to kompletne wariactwo? I możesz przez to pomyśleć, że ja jestem kompletnym wariatem? Do tego stopnia zbikowanym, że odeślesz mnie z kwitkiem i tu i teraz zakończymy coś, co mogłoby przerodzić się w doskonały związek?

Obróciłam się nieznacznie, żeby ustawić się do niego przodem i poprawić położenie ukrytego dyktafonu.

- Doskonały związek, mówisz? - Pochyliłam się do przodu i oparłam dłoń na jego kolanie. - Cieszę się, że też jesteś zadowolony z tego, jak nam idzie.

To zatrzymało go na chwilę. Rozwarł wargi, ale jego twarz pozostała niezmieniona. Uznałam, że posunęłam się za daleko, w dodatku za szybko, więc zabrałam rękę. Odłożył hamburgera na talerz, wziął głęboki oddech i mówił dalej:

- Media zrzuciły wszystko na karb pogody... globalne ocieplenie, kapryśna matka natura i takie tam.

Odetchnęłam. Pokiwałam głową.

- Ale są ludzie - kontynuował - którzy się z tym nie zgadzają. Uważają, że za tym kryje się coś więcej.

Nie mogąc pohamować pragnienia, sięgnęłam po szklankę wody i wziłam dwa wielkie łyki.

- Co takiego? - zapytałam.

Teraz to jego dłoń wylądowała na moim kolanie. Dotyk sprawił, że po całej nodze rozszedł się ciepły prąd.

- Czytałaś kiedyś w szkole Odyseję?

Nie czytałam, ale wiedziałam, dlaczego o to pyta.

- Kiedyś tak.

- A pamiętasz kogo - a raczej co - Odyseusz napotkał na swojej drodze do Itaki? Co go prawie zabiło?

Zaczęłam kiwać głową, ale w porę się powstrzymałam.

- Nie do końca. Czytałam to dość dawno.

Pochylił się bliżej. Jego niebieskie oczy, które utkwiał w moich, błyszcząły.

- Syreny - wycedził.

Spodziewałam się usłyszeć to słowo, a mimo to jego brzmienie kompletnie mnie zaskoczyło. Opadłam na oparcie tak gwałtownie, że krzesło się przesunęło.

- Właśnie. To zbyt śmieszne na fikcję, więc jak może się zdarzyć w realnym życiu? Możesz mi wierzyć lub nie, ale pewni ludzie są przekonani, że to prawda.

Usiłowałam zachować opanowanie.

- Jacy ludzie?

-- Choćby moi przyjaciele. Kilkoro z nich przyjechało tu z Kalifornii parę tygodni temu, a ja nieopatrznie wspomniałem o tym. Uczepili się tego pomysłu i nie chcieli odpuścić przez cały swój pobyt w Winter Harbor.

- Ci twoi przyjaciele... już wyjechali? - zapytałam, przypominając sobie grupkę

szepczącą za szopą na łodzie.

- Kiedy się dowiedzieli, chcieli tu zostać do końca lata, ale mieli pracę i swoje drugie połówki, więc musieli wracać.

- A zdążyłeś zaprzyjaźnić się z kimś stąd? - zapytałam.

- Nie wspominając o czarującej osobce, z którą właśnie rozmawiam? - Mrugnął. - Właściwie to nie. Pomimo kryzysu na rynku nieruchomości mama radzi sobie całkiem nieźle, więc bez przerwy jestem zajęty, pomagając jej.

I śledząc mnie. I prześladowając inne ładne dziewczyny, i mordując je w biały dzień. Najwyraźniej całkiem sam.

- Kto ci o tym powiedział?

- To znaczy? - zapytał.

Zacząłam kiwać głową, ale w porę się powstrzymałam.

- Nie do końca. Czytałam to dość dawno.

Pochylił się bliżej. Jego niebieskie oczy, które utkwiał w moich, błyszczały.

- Syreny - wycedził.

Spodziewałam się usłyszeć to słowo, a mimo to jego brzmienie kompletnie mnie zaskoczyło. Opadłam na oparcie tak gwałtownie, że krzesło się przesunęło.

- Właśnie. To zbyt śmieszne na fikcję, więc jak może się zdarzyć w realnym życiu? Możesz mi wierzyć lub nie, ale pewni ludzie są przekonani, że to prawda.

Usiłowałam zachować opanowanie.

- Jacy ludzie?

- Choćby moi przyjaciele. Kilkoro z nich przyjechało tu z Kalifornii parę tygodni temu, a ja nieopatrznie wspomniałem o tym. Uczepili się tego pomysłu i nie chcieli odpuścić przez cały swój pobyt w Winter Harbor.

- Ci twoi przyjaciele... już wyjechali? - zapytałam, przypominając sobie grupkę szepczącą za szopą na łodzie.

- Kiedy się dowiedzieli, chcieli tu zostać do końca lata, ale mieli pracę i swoje drugie połówki, więc musieli wracać.

- A zdążyłeś zaprzyjaźnić się z kimś stąd? - zapytałam.

- Nie wspominając o czarującej osobce, z którą właśnie rozmawiam? - Mrugnął. - Właściwie to nie. Pomimo kryzysu na rynku nieruchomości mama radzi sobie całkiem nieźle, więc bez przerwy jestem zajęty, pomagając jej.

I śledząc mnie. I prześladowając inne ładne dziewczyny, i mordując je w biały dzień. Najwyraźniej całkiem sam.

- Kto ci o tym powiedział?

- To znaczy? - zapytał.

Zmusiłam się, by powoli wypuścić oddech, i raz jeszcze zadałam pytanie.

- Wspomniałeś, że twoi przyjaciele usłyszeli o tym od ciebie. Od kogo ty się dowiedziałeś? Kto jeszcze uważa, że to możliwe?

- Szczerze mówiąc, to akurat najdziwniejsze ze wszystkiego. Mniej więcej na tydzień przed przyjazdem moich znajomych dostałem dziwny email...

Poderwałam się z miejsca. Kolanami grzmotnęłam o blat stolika. Krzesło zgrzytnęło po posadzce i oparciem uderzyło w ścianę. Zerwałam torebkę i potykając się, wypadłam na korytarz oddzielający drugą salę jadalną od baru.

- Vanesso, dokąd...

- Zaraz wracam! - rzuciłam przez ramię.

Przed oczami znów pojawiły mi się białe plamy, które pęczniały i pękały, a wtedy w ich miejsce pojawiały się nowe. Potarłam powieki, ale to najwyraźniej tylko zintensyfikowało wrażenie.

Prawie zupełnie oślepiąca, gorączkowo próbowałam wybadać rękami drogę do toalety, gdy nagle coś szturchnęło mnie mocno w lewe ramię.

- Witaj, ślicznotko.

Natychmiast rozpoznałam głos rybaka i zatrzymałam się, badając po omacku przestrzeń przed sobą. Moja dłoń wylądowała na czymś twardym i płaskim.

Pod koniuszkami palców wyczułam, jak serce mężczyzny przyspiesza.

- Znowu się spotykamy. - Naparł na moją dłoń. - Nie pogniewałbym się za bardziej formalne powitanie... ale skoro tak zaczynasz, jestem gotów dotrzymać ci kroku.

Wysoki piskliwy dźwięk wypełnił przestrzeń między nami. Przygotowałam się na zastrzyk energii, taki sam, jaki poczułam po kontakcie z pracownikiem kina i kierownikiem sklepu górskiego... ale nie nadszedł. Kiedy spróbowałam zaśpiewać po raz drugi, białe plamy zbledły i przerzedziły się na tyle, że mogłam zobaczyć przed sobą znajomą zarośniętą twarz - tę samą, którą widziałam po raz pierwszy w sklepie narzędziowym kilka tygodni wcześniej - ale nic poza nią.

- Wszystko w porządku? - zapytał krzepki kelner, który szedł właśnie do męskiej toalety.

Rybak cofnął się o krok.

- W najlepszym.

- Pytałem tę panią.

Pokiwałam głową.

- Tak. Dziękuję.

Kelner przyblokował rybaka, a ja ruszyłam w głąb korytarza i wślizgnęłam się do jednoosobowej damskiej łazienki. Zamknęłam drzwi na zasuwkę i oparłam się o nie, łapiąc oddech i próbując się uspokoić.

Colin wiedział, że wiem. Musiał wiedzieć - dlatego bawił się ze mną. A ja powinnam się pozbierać, żeby rozegrać to zgodnie z planem i zebrać wystarczająco dużo dowodów; wtedy moglibyśmy przekazać je - razem z samym sprawcą - w ręce policji.

Ale czy byłam w stanie? Moje ciało zawiodło już przy pierwszej wzmiance o syrenach, a kiedy Colin rzucił kłamstwo o emailu, natychmiast poczułam gwałtowny spadek formy.

I jakby tego było mało, gdy przed momentem próbowałam ukraść energię od rybaka - coś, czego nie chciałam robić, o ile nie będzie absolutną koniecznością, warunkiem przetrwania - trik nie zadziałał.

Ponieważ nie potrafiłam myśleć o swojej przyszłości, nie myśląc przy tym o Simonie, zanurzyłam rękę w torebce w poszukiwaniu telefonu. Wiedziałam, że z każdą sekundą jego niepokój rośnie, i chciałam go uspokoić. Moje dłonie bardzo się trzęsły, kiedy wystukiwałam wiadomość, której napisanie w normalnych okolicznościach zajęłoby mi kilka sekund. Teraz trwało to prawie minutę.

„Jak dotąd wszystko OK. Coraz bliżej celu. Odezwę się później. V.”.

Nawet taki kontakt z Simonem dodał mi otuchy. Po wysłaniu wiadomości poczułam się lepiej i podeszłam do małego lusterka nad umywalką. Moje odbicie było rozmazane, ale mimo to widziałam, że makijaż łuszczy się, bo skóra pod podkładem strasznie wyschła. Próbując powstrzymać panikę, odkręciłam kurki, wsypałam do wody sól z torebki i obmyłam twarz. Potem nałożyłam na buzię dużą porcję kremu nawilżającego i poprawiłam makijaż. Właśnie miałam zabrać się do rozczesywania włosów, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Vanesso? Wszystko w porządku? Może czegoś potrzebujesz?

Colin. Jego głos wydawał się zaniepokojony. Nawet słodki. Czy tak właśnie zachowywał się wobec Carli i Eriki? Czy zdobył ich zaufanie, zanim odebrał im życie?

Ta myśl wydała mi się motywująca. Odłożyłam szczotkę do włosów, ułożyłam dyktafon tak, by z łatwością wychwytywał dźwięk, i otworzyłam drzwi.

- Mogę cię prosić o małą przysługę? - zapytałam.

Uśmiechnął się, najwyraźniej czując ulgę, że nie zemdlałam, zanim mnie zadusi.

- Co tylko zechcesz.

Otworzyłam szerzej drzwi i uniosłam brwi. Przez moment wahał się, po czym wszedł do środka.

- Trochę tu ciasno - stwierdził, kiedy zamykałam za nim drzwi.

Miał rację. Łazienka była tak mikroskopijna, że nie dało się stać naprzeciwko, nie dotykając się.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - zaczął Colin, rozglądając się. Jego twarz oblał rumieniec.

Ponieważ sztuczka Charlotte nie zadziałała na rybaku, postanowiłam zaoszczędzić sobie czasu i wypróbować plan B.

Lekko napałam palcami na policzek Colina i obróciłam jego twarz, aż nasze oczy się spotkały. Zastryk energii był słaby, ale poczułam, jak rozlewa się po moim ramieniu. Zachęcona, stanęłam na palcach i przybliżyłam wargi do jego ucha.

- Chcę, żebyś mi powiedział - szepnęłam.

Gwałtownie zaczerpnął powietrza. I wypuścił je.

- Co mam ci powiedzieć?

- Co robiłeś.

- Co robiłem... kiedy?

- W ostatnich tygodniach. Z tymi dziewczynami.

- Jakimi dziewczynami? - Próbował się odsunąć. - Vanesso, wiem, że nie sprowadziłaś mnie tu siłą, ale uwierz mi

- ja nie robię takich rzeczy. W chwili kiedy zobaczyłem cię na plaży... Nie wiem, jak to wyjaśnić. Ja po prostu... poczułem coś takiego... Jakaś więź... Rozumiesz?

Nie na takie wyznanie liczyłam - ale moje ciało, wbrew rozsądkowi, właśnie to pragnęło słyszeć.

Nie zamierzałam opowiadać nikomu o tym, co stało się potem. Nie zamierzałam mówić, jak przesunęłam wargi od ucha Colina, wzdłuż linii szczęki, do jego ust. Ani jak całowaliśmy się przez długie minuty, ani razu nie przerywając, by zaczerpnąć tchu. Nie zamierzałam wyznawać, jak podniósł mnie i posadził na krawędzi umywalki, jak stanął między moimi udami, a potem całował wszędzie tam, gdzie docierały jego usta. Co najważniejsze, nie zamierzałam przyznawać się, jak miłe - wprost cudowne - to było uczucie.

Jednak nie mogłam odpowiadać za zamiary Natalie.

- O mój Boże...

Wyprostowałam się i odepchnęłam Colina. Zatoczył się do tyłu, zdezorientowany. Natalie stała w otwartych drzwiach łazienki, znieruchomiła niczym woskowa figura, z

szeroko otwartymi ustami.

- Przepraszam. - Zrobiła krok wstecz. - Nie wiedziałam... nie chciałam... złapałam za klamkę i...

- Nic się nie stało. - Zsunęłam się z umywalki, chwyciłam torebkę. - Zresztą mogę to wyjaśnić.

- Nie musisz. Naprawdę.

Ruszyła szybkim krokiem w głąb korytarza, a ja pobiegłam za nią. Choć czułam się bardzo silna, Natalie była silniejsza

- i szybsza. Dopiero gdy pochłonął ją tłum przy barze, zdałam sobie sprawę, że dotarcie tej informacji do Simona nie będzie najgorszą konsekwencją mojego występku.

Ale gdy wróciłam do łazienki, było już za późno.

Colin zniknął.



„Wstrząsająca wiadomość: znaleziono trzecie zwłoki.

Ciało Gretchen Hall, lat 29, zostało znalezione przez biegaczy w Parku Nadmorskim dzisiaj nad ranem. Zdaniem policji rany, wskutek których poniosła śmierć, przypominały te zaobserwowane u wcześniejszych ofiar: Carli Marciano i Eriki Anderson. Policja prosi wszystkich mieszkańców, a zwłaszcza kobiety, o zachowanie szczególnej ostrożności podczas poruszania się w obrębie miasta.

Więcej wiadomości wkrótce”.

- Czy możesz wyłączyć ten komputer? - mruknęła Paige.

Nie odpowiedziałam. Mój wzrok powędrował od słów do załączonego zdjęcia, przedstawiającego białą altanę otoczoną żółtą policyjną taśmą, i znów zatrzymał się na tekście.

Paige wyciągnęła rękę i zamknęła wieko komputera.

- Już wszystko wiemy.

Simon, który siedział obok na restauracyjnym tarasie, złapał mnie za rękę. Opadłam na oparcie krzesła i spojrzałam w stronę portu.

Był osiemnasty lipca. Rocznica kolejnej śmierci, a jednocześnie kolejny dzień, którego nigdy nie zapomnę. Z tą różnicą, że ta data nie zapadnie mi w pamięć ze względu na śmierć niewinnej dziewczyny.

Ale dlatego, że miałam swój udział w jej zamordowaniu.

- Musimy iść na policję - stwierdził Caleb.

- Przecież nie wiemy nic konkretnego - odparła Paige.

- A emaile? - upierał się Caleb.

- Przecież ty i Simon spędziście wczoraj cały dzień, namierzając adresy IP - przypomniała mu Paige. - I czego się dowiedzieliście?

Caleb westchnął.

- Ze każdy email został wysłany z innego miejsca.

- Skąd? - ciągnęła go za język Paige.

- Z całego kraju.

- I jak miałyby to pomóc policji? - Kiedy nikt się nie odezwał, Paige mówiła dalej: - Za to uznaliby, że przetrzymywaliśmy wskazówki co do tożsamości przyszłych ofiar. I, o ile się nie mylę, nie byłoby nam za to szczególnie wdzięczni.

- A co z nagraniem? - Caleb spojrzał na mnie. - Przesłuchajmy je. Wiem, że nie udało

ci się nakłonić go do pełnego wyznania, ale mimo to może zawierać coś, co dałoby się jakoś wykorzystać.

- Drzwi na dole są zamknięte na zasuwkę - zapewniła Paige. - Nikt tu nie wejdzie i niczego przypadkiem nie usłyszy.

Nie protestowałam ani nie próbowałam się z tego wykręcić. Nie było sensu. Ścisnęłam dłoń Simona, po czym wypuściłam ją, wyciągnęłam dyktafon z torebki, położyłam go na stoliku i wcisnęłam odtwarzanie. Kiedy powietrze wypełniły głosy Colina i mój, obserwowałam twarz Simona, rejestrując każdy grymas i wzdrygnięcie. Choć emocje na jego twarzy były przelotne i wiedziałam, że wymaga to z jego strony świadomego wysiłku, mimo wszystko się pojawiały.

„Vanesso, dokąd..

„Zaraz wracam!”

Wyciągnęłam rękę i wyłączyłam dyktafon.

- Napisałaś do mnie zaraz po tym? - zapytał Simon. - Z toalety?

Skinęłam głową.

- A kiedy wróciłaś, już go nie było? - upewnił się Caleb.

- Tak. - Mój głos był zadziwiająco opanowany. - Raz jeszcze chcę wam powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że odeszłam od stolika. Byłam zdumiona, jak sprawnie obchodzi temat, więc kiedy powiedział o emailu... po prostu musiałam na chwilę wyjść, żeby zebrać myśli.

Simon pochylił się w moją stronę i zniżając głos, powiedział:

- Nie masz za co przeproszać. Zrobiłaś tyle, na ile czułaś, że możesz sobie pozwolić. A teraz po prostu opracujemy nowy plan. Nic się nie stało.

Moje oczy, ukryte za ciemnymi szklami okularów, na chwilę zaszyły łzami, ale szybko obeschły. Ciało było zbyt odwodnione, bym mogła płakać.

- Nie sądzicie, że i tak powinniśmy zawiadomić policję? - nalegał Caleb. - To mogłoby...

- Nie! - Paige i ja sprzeciwiliśmy się równocześnie.

- To sprowokowałoby lawinę pytań, na które nie chcemy odpowiadać - dodała.

Przytaknęłam. Poza tym teraz, bardziej niż dotychczas, zależało mi, żeby zachować sekret, który Charlotte chciała utrzymać między syrenami - i tylko między nami.

- Ale chyba zgodzicie się, żebym chociaż wysłał anonimową wskazówkę, że te daty pokrywają się z datami śmierci z zeszłego lata? - zapytał Caleb. - Na wypadek, gdyby sami jeszcze na to nie wpadli.

Tej propozycji nikt nie mógł się sprzeciwić. Milczeliśmy, kiedy pisał i wysyłał email. Gdy skończył, zamknął wieko komputera i spojrzał na zegarek.

- Już prawie siódma. - Skinął na Simona. - Chyba powinniśmy schodzić.

Tego wieczoru restauracja „U Betty” organizowała kolejny wieczór rybacki z konkursem. Simon i Caleb, w nadziei, że Colin znów się pojawi, uparli się, że przyjdą. Zamierzali obserwować parking i uczestniczących w zabawie gości.

- Będziemy tuż obok, gdybyście nas potrzebowały. - Simon wstał i ucałował mnie w czubek głowy.

- Bądź ostrożna - powiedział Caleb do Paige. Obiecała mu to.

- Nie rozumiem - rzuciła, kiedy chłopcy zeszli na dół.

- Czego ten facet próbuje dowieść? Że jest równie silny jak my, o ile nie' silniejszy?

- Nie jestem pewna. - Sięgnęłam do torebki po butelkę słonej wody i napiłam się. - Ale jeżeli ktoś może zabić człowieka, prawdopodobnie jest w stanie to zrobić, nie mając ku temu powodów.

- Pewnie masz rację. - Paige przyglądała się, jak opróżniam butelkę. - Vanesso, dobrze się czujesz? To znaczy... fizycznie. Wydajesz się trochę... zmęczona.

Mówiąc to, wykazała się wyjątkową dyplomacją. Tego ranka dokładnie przyjrzałam się swojej twarzy w lustrze. Widziałam łuszczącą się skórę i worki pod oczami. Znalazłam nawet jeden siwy włos, który natychmiast wyrwałam. Paige była albo zbyt uprzejma, żeby powiedzieć mi, jak okropnie wyglądam, albo zbyt rozkojarzona.

- Od jakiegoś czasu kiepsko się czuję - przyznałam. - Zdaje się, że moje ciało słabo znosi to wszystko, co się ostatnio dzieje.

- No tak, oczywiście. - Paige sięgnęła ponad stolikiem i położyła dłoń na moim przedramieniu. - Powinnaś pójść do domu i odpocząć. My sobie poradzimy.

- I zaryzykować, że zostanę na zawsze uwięziona przez rodziców? Którzy, po przeczytaniu dzisiejszej gazety, pewnie zainstalowali już ogrodzenie pod napięciem i drut kolczasty? Nie, dziękuję. - Pomięłam to, że i tak wystarczająco skomplikowałam sprawę, okłamując ich przed wyjściem. Nie powiedziałam, dokąd idę. Zamierzałam zwolnić się z restauracji, zgodnie z ich życzeniem, ale w świetle ostatnich wydarzeń odwlekałam to.

- Jest coś, co postawiłoby mnie na nogi. Ale żeby to zdobyć, potrzebna mi będzie twoja pomoc.

Nie zdążyłam nawet zacząć wyjaśniać, co mam na myśli, a Paige już się zgodziła.

- Jesteś moją przyjaciółką - powiedziała po prostu. - Wiem, że to samo zrobiłabyś dla mnie.

Zeszliśmy na dół. Paige została w kuchni, żeby porozmawiać z Louistem, a ja ruszyłam w stronę lady recepcyjnej. Większość gości była tu już na pierwszym konkursie. Kiedy wręczając karty dań, proponowałam, by sami wybrali dla siebie stolik, nie kryli zadowolenia. A mnie pozwoliło to zaoszczędzić nieco energii, pozostać na miejscu - i nie przegapić ani jednej osoby wchodzącej do środka.

Odeszłam od swojego stanowiska tylko raz, kiedy Natalie minęła mnie w drodze do toalety. Przeprosiłam dwóch mężczyzn, którzy właśnie wchodzili, i ruszyłam za nią.

- Cześć - rzuciłam, kiedy wyszła z kabiny.

Zatrzymała się, a po chwili ruszyła w stronę umywalek.

- Cześć.

- Chciałam ci podziękować - powiedziałam z bijącym sercem. - Ze nie powiedziałaś nikomu o tym, co się stało wczoraj. Naprawdę jestem ci wdzięczna.

- No cóż. Byłaś dla mnie miła, kiedy przechodziłam kryzys na plaży. - Strząsnęła krople wody z rąk i otarła je o fartuszek.

- A poza tym to nie moja sprawa.

- Mimo wszystko. Dziękuję. I przykro mi, że postawiłam cię w takiej sytuacji. Jeżeli masz chwilę, bardzo bym chciała...

- Vanesso, uwierz, to zbyt ciężkie. Związki są trudne.

- W drzwiach odwróciła się i uśmiechnęła. - Akurat o tym miałam okazję się przekonać.

Wyszła. Wciąż czułam się zakłopotana, ale powiedziałam sobie, że to mój problem, a nie Natalie, i wracając do holu, postanowiłam puścić to w niepamięć.

Dziesięć minut później do lady recepcyjnej podeszła Paige.

- Znalazłam go - powiedziała cicho.

Serce załomotało mi w piersi.

- Colina? - wyszeptałam.

- Nie. Wspominając o nim, prawie udało ci się zepsuć mi nastrój. - Nasze spojrzenia się spotkały. - Pamiętasz jeszcze, oco mnie prosiłaś? Znalazłam dla ciebie faceta. Jest całkiem fajny. - Poruszyła brwiami. - Będziemy na tylnym patiu, jeżeli chcesz popatrzeć.

Kiedy odeszła, ruszyłam za nią. Miałam ochotę powiedzieć jej, żeby dała sobie z tym spokój, że zmieniłam zdanie. Ale moje nogi poruszały się tak wolno, że zanim zdecydowałam się na cokolwiek, znalazła się poza zasięgiem mojego głosu. Przez kilka minut zwlekałam przy stoliku konkursowym, udając, że oglądam okazy, po czym, lawirując w tłumie gości, ruszyłam w stronę drzwi balkonowych na tyłach sali jadalnej.

Paige nie próżnowała. Stała oparta o kamienny murek ogradzający patio, plecami do mnie. Naprzeciw niej był przystojny chłopak wyglądający na dwadzieścia parę lat. Miał jasnobrązowe włosy, spodnie khaki i rozpiętą czerwoną kraciastą koszulę zarzuconą na biały Tshirt. Rozmawiali, śmiali się i przybliżali do siebie. Stałam w odległości kilku metrów, a mimo to dostrzegłam błysk w jego oczach, kiedy Paige wzięła go we władanie, a świat wokół przestał dla niego istnieć. Gdy zbliżył twarz do jej twarzy, odwróciłam się i odeszłam. Czułam się zakłopotana, widząc, jak się całują, a poza tym gnębiło mnie poczucie winy. Paige bez wahania zgodziła się mi pomóc, ale ja nie mogłam przestać myśleć o tym, że postawiłam najlepszą przyjaciółkę w niekomfortowej sytuacji.

Choć, szczerze mówiąc, nie wyglądała na kogoś, kto czuje się niekomfortowo. Kiedy parę minut później odszukała mnie w tłumie, jej twarz rozświetlał uśmiech, niebieskie oczy płonęły srebrzystą poświatą, a zaróżowiona skóra promieniała.

- Ma na imię Jaime. Ma dwadzieścia cztery lata, pochodzi z Bar Harbor i jest cały twój. - Wręczyła mi szklankę mrożonej herbaty. - Obiecałam mu, że za chwilę wrócę z czymś do picia.

- Dziękuję. - Objęłam ją.

- Nie ma sprawy. Kiedy tylko będziesz chciała, żebym zrobiła to znowu, pomogę z przyjemnością. Mówię poważnie.

- Ruszyła w stronę mikrofonu stojącego w drugim końcu sali.

Zatrzymałam się przy barze na szybki łyk słonej wody, po czym wyszłam na zewnątrz. Kiedy Paige przystąpiła do prezentowania konkursowych atrakcji, rybacy rozmawiający na patiu zgromadzili się przy otwartych drzwiach balkonowych, żeby popatrzeć i posłuchać. Wdzięczna za odwrócenie uwagi, wyrównałam spódniczkę, wygładziłam bluzkę i podeszłam do Jaimego.

- Dobry wieczór.

Podniósł wzrok, a jego orzechowe, nieobecne oczy zatrzymały się gdzieś poza mną.

- Gdzie jest Paige?

- Musiała zająć się czymś w środku i poprosiła, żebym ci to przyniosła. - Podsunęłam mu szklankę z mrożoną herbatą. Przez chwilę przyglądał się jej, jakby usiłował sobie przypomnieć, czy był spragniony. Nie wyciągnął ręki, więc odstawiłam szklankę na murek za jego plecami.

- Czy ona wróci? - Rzucił nerwowe spojrzenie ponad moim ramieniem.

- Nie jestem pewna. Jest bardzo zajęta. - Czekałam, aż na mnie spojrzy. Ale tego nie zrobił. - Tak przy okazji, nazywam się Vanessa..

- Miło mi - wymamrotał, nie patrząc na mnie.

Zbliżyłam się do niego na taką odległość, że mogłam obserwować nieznaczne unoszenie się i opadanie jego klatki piersiowej z każdym oddechem.

- To mnie jest miło.

Na ułamek sekundy jego pierś znieruchomiła.

- Wieczór jest taki przyjemny - powiedziałam cicho, nienawidząc każdego następnego słowa bardziej niż poprzedniego.

- Masz ochotę się przejść?

Wreszcie spojrział na mnie. Jego oczy, nieco bardziej przytomne, zwięzły się i przemknęły po mojej twarzy. Domyślając się, że potrzebuje odrobinę więcej zachęty, przyłgnęłam do niego i wydałam z siebie pojedynczy dźwięk - tak cichutki, że nikt oprócz nas nie mógł go usłyszeć; była to zmodyfikowana wersja śpiewu, jakiego nauczyła mnie Charlotte. Biorąc pod uwagę zawodność tej metody - o czym się przekonałam wczorajszego wieczoru, wypróbując ją na rybaku w knajpie „U Murphyeego” - nie sądziłam, że tym razem zadziała. Liczyłam co najwyżej, że pomoże mi przenieść zainteresowanie Jaimego z Paige na mnie.

Dlatego właśnie oniemiałam, kiedy rozwarł szeroko oczy i utkwił je w moich. W tej samej chwili moim ciałem wstrząsnął potężny przypływ energii, a stało się to tak nieoczekiwane, że aż jęknęłam i chwyciłam za jego koszulę, żeby nie upaść. Traktując to jak zaproszenie, objął mnie w talii.

- Przejdźmy się - wyszeptałam.

Ochoczo ruszył za mną. Gdy minęliśmy przystań i skierowaliśmy się na plażę, obejrzałam się za siebie. Część mnie gotowa była nasycić się tą dawką energii, którą właśnie dostałam, i natychmiast zawrócić. Ale silniejsza część pragnęła iść dalej. Charlotte wspominała, że zwrócenie uwagi mężczyzny, który był zainteresowany inną, to najlepszy sposób, by zyskać na sile

- przynajmniej do czasu. Jeżeli to była prawda i jeżeli Paige odegrała swoją rolę wystarczająco dobrze, to by znaczyło, że kilka dodatkowych minut z Jaimem nie zaszkodzi. Wręcz przeciwnie: powinny dodać mi siły, której potrzebowałam, żeby naprawić wczorajsze błędy.

Obejrzałam się więc za siebie jeszcze tylko raz, aby się upewnić, że odeszliśmy dość daleko. Kiedy wracałam wzrokiem, moje spojrzenie przez dłuższą chwilę zatrzymało się na linii samochodów na parking, gdzie Simon i Caleb pełnili wartę.

To dla niego, pomyślałam. To dla nas wszystkich.

Usiadłam na piasku i uśmiechnęłam się do stojącego nade mną Jaimego. Usiadł obok. Wspomniałam, że jest mi zimno, a wtedy on natychmiast otoczył mnie ramieniem. Przyłgnęłam do niego i po chwili zaczęliśmy się tulić. Wkrótce, objęci, opadliśmy na piasek. Nie pocałowałam go - takie było moje postanowienie, bez względu na to, jak bardzo pragnęło tego moje ciało - za to on pocałował mnie. Kiedy jego wargi obsypywały pocałunkami moją twarz i szyję, zamknęłam oczy. Wsłuchałam się w szum wody przybliżającej się do nas i oddalającej. Poddałam się podnieceniu i pozwoliłam ciału nacieszyć się tą chwilą, zupełnie jakby fizyczne i emocjonalne ja były odrębnymi, przeciwstawnymi siłami zmagającymi się ze sobą, by ostatecznie spotkać się dla mojego dobra i stworzyć integralną całość.

Byłam zaabsorbowana; nie zorientowałam się, że na plaży nie jesteśmy sami.

- Hej, ty! - Głos był znajomy, ale odległy. Przytłumiony. Jakby dobiegał spod grubego koca. - Hej, ty!

Chwila przeminęła. Jaime został poderwany do pionu, po czym rzucony na piasek kilka kroków dalej. Kiedy próbował się podnieść, znów go pchnięto. Usiadłam. Czułam zawroty głowy. Ze względu na mrok i zamieszanie musiało minąć kilka sekund, zanim zrozumiałam, co się dzieje.

Kiedy to do mnie dotarło, poderwałam się na równe nogi i doskoczyłam do Simona.

- Zostaw! On nic nie zrobił!

- Odsuń się, Vanesso! - krzyknął, nawet się nie odwracając.

- Ja się tym zajmę!

- Nic się nie stało! - Chwyciłam go za ramię i pociągnęłam, kiedy ruszył naprzód, by po raz trzeci pchnąć Jaimego. - Nic mi nie jest!

Simon wyrwał ramię z mojego uścisku.

- Za to jemu coś będzie, kiedy już z nim skończę.

Moje nogi, silniejsze niż w ciągu ostatnich tygodni, ugięły się i odepchnęły od piasku. Obiegrałam Simona i wpadłam między niego a Jaimego.

- On nic nie zrobił - powtórzyłam uparcie. - To moja wina. Simon, wciąż wpatrzony w kulącą się ze strachu sylwetkę za mną, otworzył usta, by zaprotestować. Jednak coś go rozproszyło... i przeniósł uwagę na mnie.

- Vanesso... - Wyprostował się. Jego ramiona opadły.

- Twoje oczy... wyglądasz...

- Inaczej? - podsunęłam.

Potrząsnął głową.

- Pięknie.

Nic nie odpowiedziałam. Zachwyt Simona szybko przemienił się w konsternację.

- Nic ci nie jest? - zapytał. - Ten facet cię nie napastował?

- Nic mi nie jest. I nie, on mnie nie napastował.

Simon przeniósł wzrok ze mnie na Jaimego, wciąż leżącego na piasku, i znów na mnie.

- Ale skoro nic ci... skoro on cię nie... - Uniósł ramiona i pozwolił im opaść na boki. -  
Więc co robiliście?

Podniosłam dłoń, prosząc, by dał mi chwilę, po czym obróciłam się i podałam tę samą dłoń Jaimemu. Chwycił ją, a ja pomogłam mu wstać.

- Lepiej będzie, jeżeli wrócisz do restauracji - oznajmiłam.

- Paige ucieszy się na twój widok.

Zawahał się, a ja pomyślałam, że nie będzie chciał odejść. Jednak po chwili pokiwał głową i powłócząc nogami, odszedł.

Kiedy znów się odwróciłam, Simon przechadzał się nerwowo. Wiedziałam, że wszystko zrozumie. Może nie wszystko - odpowiedź na pytanie „dlaczego?” mogłaby stanowić pewien problem - ale wystarczająco dużo, by domyślić się, co Jaime i ja naprawdę robiliśmy. Stałam nieruchomo, pragnęłam do niego podejść, zatrzymać go, zarzucić mu ramiona na szyję, ale za bardzo się bałam, że on może nie chcieć tego samego.

Wreszcie powiedział:

- Całowałaś go.

Potrząsnęłam głową i odparłam cicho:

- To on całował mnie.

- Jakie to ma znaczenie?

Kilka minut temu sądziłam, że ma. Teraz, kiedy zobaczyłam, jak wstrząśnięty jest Simon, nie byłam już taka pewna.

- Był mi potrzebny - wyjaśniłam.

Po tych słowach przystanął.

- Co takiego?

- Niekoniecznie akurat on... ale potrzebowałam być blisko mężczyzny. Fizycznie.

- I co? Nie mogłaś pokonać ogromnego dystansu z restauracji na parking?

Mówił głośno, oskarżycielskim tonem. Jego słowa zabolaly tak mocno, że musiałam odwrócić wzrok.

- To jeden z elementów układanki, Simonie.

Postąpił krok w moją stronę.



- Jakiej znowu układanki?

Teraz, kiedy moje ciało miało dość energii, łzy popłynęły bez trudu. Otarłam oczy, obracając się ku niemu.

- Mojego życia.

Jego twarz rozluźniła się, ale ramiona pozostały napięte. Wiedziałam, że jest rozdarty pomiędzy gniewem a chęcią pocieszenia mnie.

- Nie zauważyłeś, jak ostatnio wyglądam? - zapytałam.

- Zmęczona? Słaba? Starsza?

- Zmęczona - owszem. Ale tak wiele się działo... Byłoby dziwne, gdybyś nie czuła się wyczerpana.

- Nie chodzi tylko o to. - Wpatrywałam się w jego twarz, żalując, że nie mogę zdjąć z niej bólu. - Jestem chora.

Zrobił kolejny krok w moją stronę.

- Chora... na co?

- Moje ciało odmawia posłuszeństwa. Ze względu na to, kim jestem. Potrzebuje tego, bez czego ludzie potrafią żyć.

- Słonej wody. Pływania. Wiem o tym.

- I tego, czego właśnie byłeś świadkiem.

Spojrzał na mnie i czekał, jakby spodziewał się, że zaraz powiem „żartowałam”. Po chwili splótł dłonie na czubku głowy i odwrócił się ode mnie w stronę oceanu.

- Z tobą to nie działa. - Głos mi się załamał, a łzy popłynęły szybciej. - Nie w ten sam sposób. Choć bardzo bym tego chciała... nawet nie wiesz, jak bardzo. Ale dlatego, że mnie kochasz...

- Nie mogę dać ci tego, czego potrzebujesz? Czy zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi? Jak boli?

Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze.

- Tak.

Rozplótł dłonie i opuścił głowę. Podeszłam do niego i stanęłam obok. Nadchodził przyływ, fale podpełzały coraz bliżej naszych stóp.

- Kocham cię, Simonie - wyznałam, wbijając wzrok w ciemny, odległy horyzont. - Dlatego właśnie powinieneś wiedzieć, że będzie tylko gorzej. Już jest gorzej. Sądziłam, że mam wszystko pod kontrolą, kiedy razem z rodzicami przyjechaliśmy tu znowu - w przeciwnym razie nie próbowałabym cię odzyskać. I kiedy znów zostaliśmy parą, a moje samopoczucie zaczęło się pogarszać, udawałam sama przed sobą, że nic mi nie jest.

Myślałam, że jeżeli tylko będę pła więcej i pływała dłużej, wszystko wróci do normy. Ale teraz wiem, że tak się nie stanie... Nie mogę prosić, byś został ze mną. To zbyt trudne. I niesprawiedliwe.

Przez dłuższą chwilę milczał. Właściwie miałam nadzieję, że to wystarczy, że nigdy nie będę musiała wyznać mu tego, czego dowiedziałam się od Charlotte przed jej śmiercią. Wyobrażałam sobie, że któregoś dnia po prostu zniknę, a on o niczym się nie dowie, bo dla niego i tak od dawna będę kimś innym.

Ale Simon zsunął tenisówki, jedną po drugiej. Zdjął skarpetki. Przeszedł przez spieniony jęzor odpływającej fali, przeskoczył ponad bałwanem i wszedł do oceanu. Stał w wodzie i patrzył w dal, a po chwili odwrócił się i wyciągnął rękę.

Idąc ku niemu, spoglądałam mu prosto w oczy. Chwyciłam go za rękę, a on przyciągnął mnie do siebie. Staliśmy tak, obejmując się nawzajem - mój policzek wsparty na jego piersi, jego broda oparta na czubku mojej głowy - dopóki woda nie podniosła się tak wysoko, że ledwie czułam piasek pod stopami.

Wtedy zrozumiałam, że to nie wystarczy.

Że nic nie wystarczy.

Kiedy cztery dni później nadszedł kolejny email ze wskazówką, Simon i ja wybraliśmy się do kawiarni w Winter Harbor, mając nadzieję, że Colin zajrzy tu po poranną porcję kofeiny. Od czasu naszej randki „U Murphyeego” dzwoniłam do niego i pisałam kilka razy, przepraszając i obiecując, że wszystko mu wynagrodzę na drugim spotkaniu, ale on ani razu nie odebrał ani nie odpisał. Zastanawiałam się, czy nie poprosić rodziców o jego adres - mogli przecież wiedzieć, gdzie mieszka ich pośredniczka w handlu nieruchomościami. Nie potrafiłam jednak wymyślić powodu - niewywołującego lawiny pytań - dla którego miałabym odwiedzić jej syna. Poza tym nikt nie czuł się komfortowo na myśl o próbie przyparcia mordercy do muru na jego własnym terenie. Plan był taki, że spotkam się z nim znowu i nakłonię do wyznania prawdy, tylko tym razem Simon, Caleb i Paige będą w pobliżu, by w razie potrzeby interweniować. Jednak nachodzenie go w domu równało się z dawaniem mu przewagi, a to nie miało sensu.

A zatem pozostawało śledzenie go w miejscach publicznych... i czekanie.

- Jest - powiedział Simon, kiedy jego telefon zabrzączał, sygnalizując kolejną wiadomość od Caleba. - Jak w zegarku.

Nachyliłam się bliżej i oboje patrzyliśmy na ładujące się zdjęcie.

- Jest w supermarkecie, przymierza czarną bluzkę i nie patrzy w kamerę. - Westchnął.  
- Pomocne jak zawsze.

- Zaczekaj - powiedziałam, kiedy chciał już zamknąć klapkę telefonu. - Możesz przybliżyć? Na jej nadgarstek?

W miarę jak ręka dziewczyny wypełniała coraz większą część ekranu, zdjęcie traciło na ostrości, jednak obraz pozostał wystarczająco wyraźny, żebym zobaczyła to, co chciałam zobaczyć. Opadłam na oparcie, nieznacznie tylko świadoma, że krew odpływa mi z twarzy, a ciało traci czucie.

- Co jest? - Simon przybliżył telefon do twarzy. - O co chodzi?

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał, obwieszczając wejście klienta. Odwróciłam szybko głowę w tamtą stronę i odruchowo chwyciłam kubek po kawie, jakby ceramiczne naczynie mogło mnie skryć. Kiedy zorientowałam się, że nowym klientem jest starsza kobieta, opuściłam kubek na blat, ale wciąż - na wszelki wypadek - nie wypuszczałam go z rąk.

- Bransoletka - powiedziałam cicho.

- Co z nią?

- Tak naprawdę to naszyjnik. Widzisz, że jest owinięty wokół nadgarstka kilka razy?

- Rzeczywiście - odparł. - A co to za breloczki zwisające z łańcuszka?

- Amulety. Dwa szczęśliwe kamienie i dwie litery.

- Jedna to Z - powiedział, mrużąc oczy - a drugą częściowo zakrywa ramię dziewczyny.

Miał rację. Ale nie musiałam widzieć wszystkiego, żeby wiedzieć, jaka to litera.

- To P. - Zrobiłam pauzę, nie wierząc w to, co zamierzałam powiedzieć. - P jak Paige. Simon natychmiast dodał dwa do dwóch.

- Dlaczego ona nosi naszyjnik Rainy jako bransoletkę?

Bo człowiek nic nie poradzi na to, kim jest - albo była - jego matka. Bo mimo wszystko czuje z nią jakąś więź, bez względu na to, jak okropnych rzeczy się dopuściła. Bo czasem przyjemnie udawać, że wszystko jest dobrze, a twoja rodzina nie różni się niczym od innych.

- Nie wiem dlaczego - odparłam. - Ale to nie jest nasze największe zmartwienie.

- Jesteś pewna, że to ona? Może powinniśmy poczekać na inne zdjęcia, zanim...

Jego telefon zabrzączał znowu. Na kolejnym zdjęciu twarz dziewczyny wciąż była niewidoczna, ale nie miałam wątpliwości, że osoba, która wysiada z SUVa przed Restauracją Rybną „U Betty”, jest moją najlepszą przyjaciółką.

Zamknął klapkę telefonu i ściszone głosem oznajmił:

- Idziemy na policję. Nawet nie mając twardych dowodów, możemy skłonić ich, żeby wzięli Colina pod lupę. Będą mogli ochronić Paige.

Nie mogłam się z nim nie zgodzić. Musielibyśmy tylko uporać się z wszelkimi niewygodnymi, wnikliwymi pytaniami, jakie nasunęłyby się w związku z naszymi tropami.

Wstaliśmy, odstawiliśmy naczynia na ladę i pośpiesznie ruszyliśmy do drzwi. Komisariat policji znajdował się tylko kilka przecznic dalej, ale zdecydowaliśmy się jechać samochodem. Ruszyliśmy w stronę subaru, które stało bliżej wejścia niż mój jeep. Zapinałam pasy, kiedy mój wzrok przypadkiem przebiegł po zegarku na tablicy rozdzielczej.

- Nie mogę jechać - powiedziałam, łapiąc się za czoło.

- Mam być w domu dokładnie za trzy minuty. Obiecałam rodzicom, że zjem z nimi drugie śniadanie.

- Drugie śniadanie? - Simon spojrzał na mnie. - Poważnie?

- Tylko pod tym warunkiem zgodzili się wypuścić mnie rano z domu. Już i tak zagrozili, że wyjedziemy stąd na dobre, i wystarczy im choćby najmniejszy wybryk, żeby wprowadzić tę groźbę w życie. Z tego samego powodu nie mogę im powiedzieć, co się dzieje.

Nachylił się i pocałował mnie w policzek.

- W porządku. Jedź. Zadzwońię po Caleba, żeby przyjechał ze swoim laptopem, a ty dołączysz do nas, kiedy zrobisz swoje.

Pożegnaliśmy się i wysiadłam. Zaczekał, aż wejdę do jeepa i odbiję od krawężnika, a wtedy zawrócił; ruszyliśmy w przeciwnych kierunkach.

Gdy tylko samochód Simona zniknął mi z oczu, znów zaparkowałam auto. Zadzwoiłam do Paige. Za nic nie chciałam jej przestraszyć, ale musiała wiedzieć, że ktoś ją namierza. Miałam nadzieję, że strach przekona ją do pozostania w zamkniętym na cztery spusty domu do jutra - kiedy to, zgodnie z wydarzeniami zeszłego lata, wypadła rocznica kolejnej śmierci. Gdy po trzech próbach za każdym razem uruchamiała się poczta głosowa, postanowiłam napisać SMS.

„P., musimy pogadać. Nagły wypadek. Oddzwoń natychmiast. V.”.

Po wysłaniu wiadomości odpaliłam jeepa i ruszyłam. Nie dojechałam daleko, bo już po chwili musiałam zahamować za czarnym sportowym wozem. Kierowca wcale się nie spieszył, a ja rozważałam, czy go nie wyprzedzić, przekraczając podwójną ciągłą. Nagle samochód stanął gwałtownie, żeby przepuścić pieszego przechodzącego przez ulicę. Wcisnęłam hamulec, żeby nie wjechać w tył auta, i w tej samej chwili zauważyłam owalną naklejkę na jego tylnej szybie. To była naklejka z logo collegeu, podobna do tej z Dartmouth, którą mama z dumą przykleiła na swojego SUVa w dniu, kiedy dowiedzieliśmy się, że zostałam przyjęta.

Napis na naklejce brzmiał: „Pomona”. Mały uniwersytet w stanie Kalifornia.

Oddech uwiązył mi w gardle, kiedy mój wzrok powędrował od znaczka audi poniżej tylnej szyby do stelaża na dachu, gdzie przymocowano dwa kajaki. Z okna po stronie kierowcy wystawało nagie, opalone ramię.

Colin był tuż przede mną. Krążył sobie ulicami miasta, jakby to była niedziela podobna do innych. Jakby nie zamierzał za kilka godzin odebrać życia swojej czwartej ofierze.

Nie spuszczać wzroku z jego samochodu, sięgnęłam po telefon i zadzwoiłam do Simona. Połączenie zostało natychmiast przekierowane do poczty głosowej, pewnie dlatego, że akurat rozmawiał z Calebem. Zostawiłam krótką wiadomość, po czym zadzwoiłam do rodziców, wyjaśniłam, że straciłam poczucie czasu, przeprosiłam i obiecałam, że będę w domu tak szybko, jak to możliwe.

Następnie chwyciłam oburącz za kierownicę i ruszyłam śladem audi.

Samochód przejechał przez miasto i skręcił w wiejską drogę, która biegła wzdłuż

wybrzeża. Im dalej się zapuszczałam, tym wyraźniej głos w mojej głowie ostrzegał mnie, bym zawróciła. Ale ja jechałam dalej, trzymając się w bezpiecznej odległości za audi. Nie zastanawiałam się nad tym, co robię ani co się stanie, kiedy audi wreszcie się zatrzyma. Myślałam tylko o tym, że ten człowiek chce mi kogoś odebrać. Osobę dobrą i czystą, i kochaną przez wszystkich, których spotyka. Dlatego nie mogłam dopuścić, by zniknął mi z oczu.

Po piętnastu minutach jazdy za miastem audi skręciło na mały gruntowy parking. Bez wahania skręciłam za nim. Poczułam lekki niepokój, kiedy spostrzegłam, że są tu tylko nasze dwa samochody, ale wtedy Colin mnie zauważył i nic już nie miało znaczenia. Wyciągnęłam dyktafon z torebki i wsunęłam go do kieszeni kurtki.

- Cześć. - Zmusiłam się do uśmiechu i szybko wyskoczyłam z jeepa.

- Cześć. - Stał obok swojego samochodu, mierząc mnie nieufnym wzrokiem. - Co ty tu robisz?

- Jechałam za tobą od miasta. - Nie było to szczególnie subtelne, ale nie miałam czasu na subtelności. - Chciałam się z tobą zobaczyć.

- Po co?

Podeszłam do niego.

- Bo nie widzieliśmy się od czasu naszej randki. A ty nie odpowiadałeś na moje telefony ani wiadomości.

Zmrużył oczy. Odwrócił się i zabrał do rozplątywania linek mocujących kajaki.

- Nie powinnaś tu była przyjeżdżać.

Moje serce zaczęło bić szybciej. Dlaczego nie powinnam? Czyżby przetrzymywał tu inną ofiarę, o której nie wiedzieliśmy?

- Przepraszam - powiedziałam, czując ucisk w żołądku - jeśli tamtego dnia postawiłam cię w kłopotliwej sytuacji albo zrobiłam coś niestosownego. Zdaje się, że niełatwo mi wyrazić uczucia... zwłaszcza kiedy są tak silne.

Położyłam rękę na jego ramieniu. Pod moimi palcami mięśnie naprężyły się, po czym znieruchomiały.

- Ale miałam nadzieję, że uda nam się zacząć od początku. Może warto raz jeszcze spróbować?

Zastanawiał się nad moimi słowami. W końcu powiedział:

- Nadal jestem ci winny lekcję kajakarstwa.

Zerwał się wiatr i wtedy dopiero poczułam ten zapach. Zapach soli. Tak bardzo skupiałam się na rozmowie z Colinem, że nie zwróciłam uwagi na to, gdzie jesteśmy.

Byliśmy nad oceanem. Tyle na temat przewagi na własnym terenie.

- Chętnie spróbuję, jeżeli ty masz ochotę - zapewniłam.

Jego twarz nieco złagodniała, ale wciąż utrzymywał duży dystans, a ja nie byłam pewna dlaczego. W damskiej łazience „U Murphyego” całował się ze mną ze sporym entuzjazmem... więc czemu teraz zachowywał rezerwę? Bo zostaliśmy przyłapani? Może obawiał się, że znam prawdę o nim? Ale czy nie chciał, żebym ją poznała? Czy nie dlatego wysyłał emaile ze zdjęciami przyszłych ofiar?

A może po prostu sam wolał rozdawać karty, a tym razem było inaczej?

Nie zniechęcając się, pomogłam mu odwiązać kajaki i zdjąć je z dachu samochodu. Nie chciałam ryzykować awarii sprzętu nagrywającego w kontakcie z nieprzewidywalnymi falami, oznajmiłam więc, że chce mi się pić, i podbiegłam do jeepa. Kiedy on zmagął się z wioślami, ja wygrzebałam z torebki plastikowy worek, umieściłam w nim dyktafon i mocno związałam, po czym wsunęłam tak zabezpieczony sprzęt do wewnętrznej kieszeni kurtki. Nie była to może profesjonalna ochrona przed wodą, ale uznałam, że lepsza taka niż żadna.

Kiedy wyszłam z jeepa, razem znieśliśmy kajaki, jeden po drugim, stromą, kamienistą ścieżką prowadzącą na plażę. W trzeci kurs wybraliśmy się po wiosła, a potem przeciągnęliśmy cały sprzęt w stronę wody.

- Wszystko zależy od siły tułowia - wyjaśnił. - Fale zabijają cię, jeżeli im na to pozwolisz. Trik polega na tym, żeby do tego nie dopuścić.

Jeżeli to miała być lekcja, Colin był wątpliwej klasy instruktorem. Całe szczęście, dość dobrze radziłam sobie z manewrowaniem pośród fal.

- Rozumiem - odparłam, po czym dodałam: - Muszę tylko wiedzieć jedno, zanim zaczniemy. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Odwrócił się w moją stronę. Stałam z rozpostartymi ramionami, czując ulgę, że nie drżą.

- To będzie walka między nami a żywiołem, tak? Więc jako zespół chyba powinniśmy zapomnieć o dawnych urazach i zacząć od początku. Co ty na to?

Zmarszczył czoło i opuścił głowę, aż dotknął brodą klatki piersiowej. Wpatrywał się w piasek, jakby próbował poukładać myśli. Chwilę później podniósł wzrok, posłał mi nieśmiały uśmiech i pozwolił się objąć. Kiedy otoczył mnie ramionami, próbowałam nie spinać się ani nie myśleć o tym, że w tej pozycji może bez trudu skrócić mi kark, jeżeli zechce.

Na szczęście, nie zrobił mi krzywdy - zamiast tego jego ciało rozluźniło się w moich objęciach, a ja uznałam to za postęp. Nawet jeżeli nie byłam w stanie uzyskać od niego

żadnego wyznania, miałam nadzieję użyć swoich zdolności: chciałam zdobyć jego zaufanie albo do tego stopnia nim zawładnąć, że w końcu zgodzi się na wszystko, o co poproszę - łącznie z popołudniową wycieczką na komisariat policji w Winter Harbor.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? - zapytał, kiedy rozluźniliśmy uścisk.

- Możesz mi podać choćby jeden powód, dla którego miałabym nie chcieć?

Uniósł wzrok i utkwił go w przestrzeni za moimi plecami. Odwróciłam się - i oniemiałam na widok nieba ciemniejącego w oddali. Po raz pierwszy od miesiący błękit zasnuwała szarość.

- Nic nam nie będzie - stwierdziłam, patrząc znów na Colina. - Tutaj nie ma chmur, a przez całe lato ledwie mżyło. Jestem pewna, że chmury przewieje na długo, zanim tu dotrą.

- Skoro tak mówisz.

Ruszył w stronę wody. Zdjęłam sandały, podwinęłam dżinsy do kolan i poszłam za nim. Przetaszczanie ciężkiego plastikowego kajaka przez fale, które wciąż spychały go na ląd, wymagało sporego wysiłku, dlatego cieszyłam się, że Paige i ja przećwiczyłyśmy naszą udziwnioną wersję gry w butelkę jeszcze parę razy od czasu pierwszej próby z Jaimem. Nadal szybko się męczyłam, ale czułam się lepiej niż od tygodni. A uczestnicy naszej gry, dwaj kelnerzy z „Latarni”, dokąd Paige i ja wybrałyśmy się kilka razy na kolację, z radością się do nas przyłączyli i nie sprawiali wrażenia zawiedzionych.

Po wyprowadzeniu kajaków na spokojniejszą wodę ostrożnie wsiedliśmy do nich i zaczęliśmy wiosłować. Skupiałam uwagę na Colinie, który trzymał się parę metrów przede mną. Naśladowałam jego ruchy. Kiedy zmienił kurs, by płynąć równoległe do brzegu, zdziwiłam się, widząc, jak daleko nas zniosło. Z odległości około czterystu metrów plaża wyglądała jak wąski beżowy pas, a nasze samochody były ledwie widoczne na szczycie klifu.

- Dobrze wiosłuję? - zawołałam, celowo zmieniając technikę: teraz wiosło zanurzało się zbyt głęboko i zgubiłam rytm. Kajak gwałtownie skręcił w prawo, potem odrobinę w lewo, a potem znów ostro w prawo. Zanim Colin do mnie dotarł, byłam prawie odwrócona do niego tyłem.

- Nie jest źle jak na początkującą.

Zademonstrował, jak chwycić wiosło, a ja zauważyłam, że teraz jest jeszcze bardziej rozluźniony. Widocznie nie ja jedna czerpałam korzyści ze spędzania czasu w wodzie. Zadałam jeszcze kilka pytań na temat prawidłowej postawy i ruchów, a także zapytałam, skąd wie tak dużo na ten temat. Im więcej mówił, tym łatwiej mu to przychodziło - a ja zyskiwałam pewność, że mój plan może się udać. Dbałam o to, by nasze dłonie raz po raz się stykały, i przybierałam nieprawidłową pozycję, przez co nie miał innego wyjścia, jak



wyciągnąć rękę i ją skorygować, dotykając moich pleców czy ramion. Ten przelotny kontakt nie tylko zdawał się zwiększać jego przychylnie nastawienie wobec mnie, ale też - w połączeniu z okazjonalnymi chlapnięciami słonej wody - dodawał mi energii.

Fizycznie czułam się tak pewnie, że kiedy zapytał, czy chciałabym podpłynąć w stronę piaszczystej mierzei kolejne dwadzieścia metrów, zgodziłam się.

Niestety, kiedy wiosłowaliśmy w tamtą stronę, burza widoczna z oddali pół godziny wcześniej zaczęła zbliżać się do nas, a fale rosły. Do czasu, gdy dotarliśmy do piaszczystej łąchy, błękit został pochłonięty przez gęste, grafitowe chmury. Z nieba posypały się pierwsze zimne krople deszczu i zerwał się wiatr.

- Może powinniśmy zawrócić?! - zawołałam. - Odłożyć to na inny dzień?

Płynący z przodu Colin nie zareagował. Możliwe, że nie usłyszał. Przecinał fale, wiosłując raz po raz, i czujnie obserwował otaczającą go wodę. Po kilku chwilach chwycił za koniec wiosła i cisnął nim niczym włócznią w morską toń. Wiosło utkwilo w piasku, a Colin triumfalnie uchwycił się swojej kotwicy. Wolną ręką obwiązał wiosło linką przypominającą smycz od deski surfingowej, po czym wyszedł z kajaka. Łódka podrygiwała na tafli oceanu, uwiązana do wiosła zakotwiczonego w piaszczystej mierzei. W normalnych warunkach pewnie mógłby stanąć na piasku, a woda z pluskiem obmywałaby mu kostki; jednak teraz silnie uderzała o jego łydki.

- To nie wytrzyma! - Użyłam całej swojej siły, by przeciąć wodę i podpłynąć bliżej Colina. - Fale są zbyt duże!

Otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, gdy nagle błysk pioruna przeciął horyzont. Trzy sekundy później po dnie oceanu przetoczył się potężny huk, którego wibrację poczułam pomimo odległości, jaka dzieliła mnie od jego źródła. Najwyraźniej burza była znacznie bliżej, niżby się wydawało. W następnej chwili nastąpiło oberwanie chmury. Strugi deszczu, zmywając słoną wodę z mojej skóry, chłostały ciemnozieloną powierzchnię Atlantyku, pokrywając ją tysiącem pękających i rozpryskujących się bąbli, co przywodziło na myśl bulgoczącą nad ogniem wodę.

- Przepraszam!

- Co takiego?! - odkrzyknęłam. Zbliżyłam się do utkwionego w piachu wiosła i wyciągnęłam rękę, żeby się go uchwycić - ale zabrakło mi paru centymetrów. Fala zaczęła mnie znosić, więc machałam wiosłem zapamiętane, walcząc, by woda nie poniosła mnie za daleko.

- Ja tego nie chciałem!

Poderwałam głowę. Trudno było cokolwiek dosłyszeć poprzez wycie wiatru i szum

fal, ale... czyżby Colin właśnie powiedział to, co mi się wydawało? Czyżby przyznawał się do zbrodni tu, na otwartym oceanie, w samym środku szalejącej burzy?

- Nie wiedziałem, co się dzieje!

A jednak. Puściłam koniec wiosła i sięgnęłam do kieszeni. Worek najwyraźniej przeciekał, bo dyktafon był przemoczony, ale mimo to wymacałam największy przycisk i wcisnęłam go.

- Gdybym wiedział... gdybym miał pojęcie...

Znow chwyciłam wiosło w obie ręce i zaczęłam machać rękami tak szybko, jak mogłam.

- Gdybyś miał pojęcie... o czym?

Spojrzał na mnie. Po jego twarzy ściekały strugi deszczu. Wzrok miał przytomny, smutny. Potrząsnął głową i powiedział coś jeszcze, ale błysk pioruna oślepił mnie i przez chwilę nie widziałam jego ust, a słowa utonęły w huku kolejnego, potężniejszego grzmotu. Zanim zdążyłam poprosić, by powtórzył, z tyłu nadpłynęła ogromna fala i rozbiła się o plecy Colina. Zdołał utrzymać się na nogach, ale zakotwiczone wiosło zostało wyszarpięte z piasku i ciśnięte w toń, a wraz z nim odpłynął kajak.

Na ułamek sekundy Colin znieruchomiał. Wpatrywał się w swoją łódkę, z oczami i ustami szeroko otwartymi w panice.

W kolejnej sekundzie jego twarz rozluźniła się, a on skoczył głową naprzód prosto w fale.

Siedziałam w kajaku, dysząc ciężko, i skanowałam powierzchnię wody, czekając, aż jego głowa się wynurzy. Kiedy tak się nie stało, a łódka Colina dryfowała coraz dalej, wspięłam się na kolana, chwyciłam za burty mojego kajaka i zaczęłam przeszukiwać wzrokiem ciemną toń. Jednak przez zacinający deszcz i chlupoczącą wodę nie mogłam niczego dojrzeć.

Znalazłam się w punkcie, z którego miałam dwa wyjścia. Mogłam kajakiem albo wpław dotrzeć do brzegu, zostawiając chłopaka na pastwę losu... albo mogłam go uratować. Żeby w swoim czasie spotkała go kara więzienia - tak długa, jak sąd uznałby za stosowne.

Wciąż jeszcze nie umiałam się zdecydować, tymczasem wielka fala uniosła mój kajak i cisnęła nim o wodę. Wskoczyłam, zanim łódeczka wywróciła się do góry dnem, i zostałam natychmiast wciągnięta przez potężny prąd. Ogromna siła chwyciła mnie na wysokości pasa i szarpała to w jedną, to w drugą stronę. Zanim zdołałam się wyrwać, chwyciła mnie za pierś. Za usta. Za czoło. Owinęła się wokół mojej szyi i zacisnęła, wypierając wodę z mojego gardła. Wśród spienionych bąbelków pod stopami dojrzałam drugą parę stóp, które młóciły

wodę.

To nie prąd wciągał mnie w otchłań i dusił.

To Colin.

I był bardzo silny. Uderzyłam go łokciem w brzuch i uwolniłam szyję. Okręciłam się, żeby wymierzyć celniejszy cios, kiedy chwycił mnie za ramiona i wykręcił je do tyłu. Woda była tak wzburzona, że nie mogłam dojrzeć jego twarzy, za to widziałam błyski piorunów w górze. Raz na kilka sekund mocno bił nogami i wynurzał się na powierzchnię, żeby zaczerpnąć tchu, po czym znowu schodził pod wodę.

Czułam palący ból ramion, bo z całych sił zacisnął dłoń wokół moich nadgarstków. Drugą rękę przyłożył mi do nosa i ust, próbując mnie udusić. Wyrzuciłam nogi w górę za siebie, chcąc wcelować w jego krocze, ale byłam ustawiona pod niewłaściwym kątem. Nie mogłam go dosięgnąć. Po kilku sekundach wicia się i skręcania jedyne, co pozwoliło mi nie zemdlec, to strużki słonej wody przesączające się między jego palcami. Wdychałam je chciwie, z nadzieją, że się nie zorientuje.

I chyba faktycznie niczego nie dostrzegł, ale mimo to cała ta szamotanina ciągnęła się zbyt długo. Poznawałam to po słabnącej sile jego palców na mojej twarzy, po nieznacznym zmniejszeniu uścisku na nadgarstkach. Wkrótce puścił, jednak zanim zdążyłam to wykorzystać, obie dłonie znów zacisnęły się mocniej, tym razem na mojej szyi. Dusił z taką siłą, że przed oczami pojawiły mi się białe plamy, z którymi zdążyłam się już oswoić w ciągu ostatnich miesięcy. Tylko teraz, zamiast się rozjaśniać, gasły. Ból był przeraźliwie intensywny i pomyślałam, że moja głowa zaraz oderwie się od reszty ciała i odpłynie.

I to był mój koniec. Umierałam. Tu, w wodzie. Zupełnie tak jak umarła Justine. I wszyscy ci mężczyźni ubiegłego lata i jesienią. Cry odczuwali to samo co ja? Mrok, ziąb i pustkę?

Rozległ się kolejny huk. I kolejny, a po nim jeszcze jeden. Jaskrawe białe błyski rozświetlały ocean. Przekonana, że koniec jest bliski, już zamierzałam zamknąć oczy, by nie widzieć oślepiającego światła... ale coś mnie powstrzymało.

Wiosło. Z jednego z kajaków. Zostało zassane pod powierzchnię, a teraz, wirując, wznosiło się i opadało niedaleko moich stóp.

Ostrożnie i bardzo powoli, by Colin niczego nie dostrzegł, chwyciłam płaskie pióro wiosła między palce u stóp i uniosłam nieco. Wyciągnęłam ręce przed siebie i zacisnęłam palce na twardym plastikowym drążku. Po czym z całych sił zamachnęłam się za siebie.

Wiosło trafiło go w plecy. Uwolnił uścisk, a wtedy ja wystrzeliłam do przodu, byle dalej od niego, prosto w ciemną otchłań.

W pierwszym odruchu zapragnęłam znaleźć się możliwie daleko, ale już po chwili zrobiłam przewrót i łukiem zawróciłam w stronę piaszczystej łachy.

Znalazłam go uczeponego krawędzi zbitego pasma piasku, które - o czym byłam przekonana - przed końcem burzy rozpadnie się na kawałki i spocznie na dnie oceanu. Widziałam Colina, jego twarz skierowaną ku powierzchni, policzki rozdęte od powietrza, które rozpaczliwie starał się utrzymać zaciśnięte. Maleńkie bąbelki powietrza wydostawały się z jego nosa i ust; wiedziałam, że jeśli zostawię go samego, za kilka sekund będzie po nim. Umarłby przekonany, że prawie mnie dostał, nigdy nie dowiedziawszy się, że po niego wróciłam.

Być może na to właśnie zasługiwał, a jednak nie mogłam do tego dopuścić.

Co nie znaczyło, że nie mogę dać mu nauczki. Dlatego postanowiłam zaśpiewać. Żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Żeby dać mu do zrozumienia, że wiem, co zrobił, i że dopilnuję, by wszyscy inni też się dowiedzieli. Moja pieśń rozbrzmiała najpierw cicho, słodko, ale po chwili nabrała mocy. Dźwięki popłynęły ku piaszczystej mierzei, na dno oceanu, po horyzont za moimi plecami i ku niebu. Nie słyszałam już ryku grzmotów ani szumu wody pluskającej tuż przy uszach.

Colin też najwyraźniej nic poza nimi nie słyszał. Palce u jego rąk rozprostowały się. Oderwał się od krawędzi piaszczystej łachy i, pomimo silnego prądu, podpłynął w moją stronę. Jego policzki splaszczły się, usta rozwarły. Wciąż śpiewając, machnęłam nogami i podpłynęłam bliżej. Wiedziałam, że w razie potrzeby zdołam wtłoczyć wodę do jego płuc, ale póki co nie było takiej potrzeby. Miał być zdrowy - przynajmniej fizycznie. Żebyśmy w drodze powrotnej do Winter Harbor mogli dokładnie omówić, co zezna policji.

To był dobry plan. Doskonały.

Tymczasem prąd nagle zmienił się i zaczął wciągać go głębiej pod powierzchnię, oddalając ode mnie. Szybciej i mocniej młóciłam wodę nogami i rękami, ale wyglądało na to, że im bardziej się staram, tym większy jest dystans między nami.

Aż wreszcie, kilka długich sekund później, na twarzy Colina... pojawił się uśmiech.

Zatrzymałam się. Ocean ucichł. Colin zbliżał się teraz do mnie z wyciągniętymi ramionami, a wyglądał na szczęśliwszego niż kiedykolwiek. Jedną ręką musnął mój brzuch, po czym światło w jego oczach zgasło. A ciało stało się wiotkie.

W tej samej chwili gdzieś w mojej głowie rozległ się błagalny głos Paige.

Vanesso, potrzebuję cię. Teraz. Pomóż mi, proszę.

Jestem „U Betty”. On też tu jest.

Próbowałam go uratować. Wywlekłam na brzeg. Uciskałam klatkę piersiową i wdmuchiwałam powietrze w płuca. Za każdym razem, gdy się odsuwałam, kąciki jego ust unosiły się, a wtedy myślałam, że dochodzi do siebie, że na jego twarzy pojawia się grymas, bo ciało walczy o przetrwanie... Jednak on się tylko uśmiechał.

- Nie! - Kciuk i palec wskazujący zacisnęłam na nosie Colina, a ustami przywarłam do jego warg. Pierś chłopaka uniosła się, po czym opadła i znieruchomiała. Powtórzyłam wszystko jeszcze raz, i jeszcze.

Przez cały ten czas Colin uśmiechał się od ucha do ucha.

Vanesso... proszę, pospiesz się...

Zwiększyłam częstotliwość oddechów. Mocniej uciskałam jego pierś. Z nieba lały się strugi deszczu, które spływały po mojej twarzy, mieszając się ze łzami, ale ja tego nie czułam. Nie czułam nic.

Tak jak Colin.

Co kilka sekund sprawdzałam jego tętno, ale krew w żyłach nie pulsowała. Serce przestało bić.

O mój Boże... On tu jest...

Usiadłam i spojrzałam w dół plaży, w kierunku restauracji. Była kilka kilometrów stąd, więc nie dostrzegłabym jej nawet w słoneczny dzień, ale liczyłam, że Paige jakoś wyczuje, że dostrajam się do niej i próbuję nawiązać kontakt. Wyobraziłam sobie jej śliczną twarz i piękny śmiech, a potem odpowiedziałam.

Gdzie?

Czekałam. Po chwili słyszałam tylko szum deszczu i ryk fal na brzegu, więc spróbowałam znowu.

Mów do mnie, Paige. Przyjadę tak szybko, jak będę mogła.

Wciąż jej nasłuchując, pochyliłam się nad Colinem. Przybliżyłam usta do jego ucha i przemówiłam cicho:

- Nie wiem, co miałeś wspólnego z tymi dziewczynami... ale wiem, co próbowałeś zrobić ze mną. - Otarłam oczy, z których wciąż płynęły łzy. - A mimo to jest mi przykro. Prędzej czy później doczekałbyś się konsekwencji... ale nie takich. Nie z mojej strony.

Nie mogąc dłużej na niego patrzeć, wstałam, zdjęłam przemoczoną dzinsową kurtkę i przykryłam nią jego puste oczy. W myślach raz jeszcze przeprosiłam, po czym wsunęłam stopy w sandały, które leżały na plaży w miejscu, gdzie je zostawiłam, i pomknęłam stromą

ścieżką w górę, na parking.

Następne minuty pamiętam jak przez mgłę. Dotarłam do zalanego deszczem jeepa i zadzwoniłam na policję, żeby zgłosić znalezienie ciała. Podałam lokalizację i poinformowałam dyżurnego, że coś złego dzieje się „U Betty”. Zadzwoniłam do Simona i zostawiłam wiadomość: powiedziałam, że nic mi nie jest, ale Paige ma kłopoty, i poprosiłam, żeby jak najszybciej udał się do restauracji. Kiedy już odpaliłam silnik, wcisnęłam wsteczny i wyrwałam do tyłu, zadzwoniłam do rodziców i zapewniłam ich, że nic mi nie jest i będę w domu tak szybko, jak to możliwe.

Nie zastanawiałam się nad tym, co zrobiłam. Nie mogłam. Gdybym zaczęła, zatrzymałabym się i siedziałam tak w samochodzie z otwartym dachem, pozwalając, by deszcz biczował mi skórę. Aż wreszcie słodka woda zaczęłaby powoli zatruwać moje ciało.

Jednak Paige mnie potrzebowała. Nie mogłam uratować Colina ani Justine, ani Charlotte... ale nadal mogłam pomóc mojej przyjaciółce.

Tak mocno się na tym skupiłam, że dopiero w ostatniej chwili zauważyłam samochód zaparkowany między śmietnikami a wydmą. Kiedy go spostrzegłam, wcisnęłam pedał hamulca tak mocno, że jeepem zarzuciło do przodu.

Była to stara pomarańczowa furgonetka. Pusta. Z naczepy wystawały wędki.

Paige znalazła się w niebezpieczeństwie, chociaż Colin nie mógł już jej skrzywdzić - a to oznaczało, że przez kilka ostatnich tygodni nie działał sam. Czy tutaj też miał kogoś do pomocy? Czy rybacy czaili się gdzieś w pobliżu, żeby dokończyć robotę?

Vanesso!

Potrząsnęłam głową i wcisnęłam pedał gazu. Opony zabuksowały na błocie, ale po chwili złapały przyczepność i samochód wyrwał przed siebie. Wypadłam na drogę, wjechałam ostro w zakręt i ruszyłam w stronę miasteczka.

Burza się nasiliła. Niebo całkiem poczerniało, jakby zapadła noc, a ulewa przypominała teraz grubą szarą kotarę, przez którą światła mojego wozu nie mogły się przebić. Właściwie byłam wdzięczna, że pioruny raz na kilka sekund rozświetlają mrok - i drogę. Chwyciłam kierownicę oburącz i jechałam prosto przed siebie, myśląc tylko o Paige. Kiedy zadzwonił telefon, sprawdziłam numer na wyświetlaczu. To byli rodzice, więc pozwoliłam, by rozmowa została przekierowana do poczty głosowej.

Gdy zbliżałam się do miasta, raz jeszcze spróbowałam nawiązać kontakt z Paige.

Jestem prawie na miejscu. Nic ci nie jest?

Rozległo się przeciągłe dudnienie. Wstrzymałam oddech, wbijając wzrok w zamazaną szybę; trzymałam się ledwie widocznej podwójnej ciągłej na drodze. Już miałam powtórzyć

pytanie, kiedy odezwała się drżącym głosem.

Nie... ale on tu jest.

Kto? Gdzie?

Przemówiła znowu, ale jej głos zatarł się pośród huku pioruna. Błyskawica rozświetliła niebo i uderzyła w drzewo po prawej stronie drogi, rozłupując je na dwoje. Widząc, jak rozpołowiony pień przechyla się ku szosie, dodałam gazu, ale było za późno. Drzewo, upadając, zyskało impet i runęło na drogę, zanim zdążyłam przejechać. Zahamowałam ostro, wpadłam w lekki poślizg i uniknęłam zderzenia o centymetry, po czym wycofałam samochód i spróbowałam objechać przeszkodę.

Ale pień był za długi. Drzewo blokowało szosę na całej szerokości, a gałęzie u jego korony wplątały się w liście drzew po przeciwnej stronie drogi kilka metrów dalej. Otworzyłam drzwi, wyskoczyłam z samochodu i podbiegłam do pnia z nadzieją, że uda mi się utorować drogę. Napałam na pień z całych sił. Zakotywał się lekko, ale nie ruszył ani o milimetr. Ponieważ drzewo upadło pod kątem, leżało zbyt wysoko nad drogą, by dało się po nim przejechać. Droga po drugiej stronie przeszkody pozostawała ciemna. Taką burzę ludzie zwykle wołają przeczekać, zatrzymując się na poboczu, więc byty niewielkie szanse, że ktokolwiek poza policją tędy nadjedzie, a kiedy nie zdoła przejechać, zabierze mnie ze sobą do miasteczka.

Od restauracji dzieliło mnie półtora kilometra.

W mojej głowie rozlegało się ciche kwilenie Paige.

Miałam tylko jedno wyjście. Przystawiłam jeepa na pobocze, zabrałam telefon, torebkę i kluczyki. I ruszyłam biegiem.

Niestrudzenie przebierałam nogami. Moje stopy przeskakiwały ponad kamieniami i gałęziami. Serce biło szybkim, ale równym rytmem. Zanim się spostrzegłam, przede mną widniały przyciemnione światła głównej alei.

Jesteś ciągle „U Betty”?, zapytałam Paige.

Tak...

Gdzie?

Na...

Zamilkła.

Paige? Nic ci nie jest?

Cisza.

Biegłam coraz szybciej. Kiedy restauracja znalazła się w polu widzenia, sięgnęłam do torebki po telefon i znów spróbowałam dodzwonić się do Simona. Nie odpowiadał, więc

zostawiłam mu kolejną wiadomość: jestem w restauracji z Paige i proszę, żeby się pospieszył i przyjechał tu po nas.

W kilku susach pokonałam stopnie prowadzące na ganek i doskoczyłam do drzwi. Nie otworzyły się. Szarpnęłam za gałkę mocniej.

Były zamknięte na klucz. W środku dnia, kiedy powinni serwować lunch? Ta restauracja działała na okrągło, przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, i nie zamykano jej z żadnego powodu. Paige lubiła żartować, że nawet gdyby śnieżycy wyłączyła z użytku całe miasteczko, zawsze można podejść w raketach śnieżnych do przystani i mieć pewność, że dostanie się tu miskę gorącej zupy rybnej. Ta burza, chociaż potężna, nie była gorsza od śnieżycy... więc co się stało?

I wtedy dostrzegłam kartkę przyklejoną do małej szybki w drzwiach od drugiej strony, z odręcznie wypisanym komunikatem:

„Dzisiejszego dnia restauracja »U Betty« jest nieczynna z powodu prywatnego przyjęcia. Zapraszamy jutro!”

Paige ani słowem nie wspominała o żadnym przyjęciu. Nagle zdałam sobie sprawę, że z wnętrza dobiega muzyka. A kiedy obeszłam ganek i zajrzałam przez okna do sali jadalnej, zobaczyłam, że w środku odbywa się jakaś uroczystość. Rozpoznałam wielu spośród rybaków, którzy stali się od niedawna naszymi stałymi gośćmi. Przechadzali się po sali, rozmawiając i żartując z kilkoma dziewczynami, których nie rozpoznawałam. Nikt nie siedział przy stolikach i nie jadł; ludzie gromadzili się w małych grupkach, zupełnie jak na przyjęciu koktajlowym. Może dlatego, że nikt ich nie obsługiwał - po szybkim zlustrowaniu pomieszczenia stwierdziłam, że nie ma tam ani jednego pracownika.

Paige, spróbowałam znowu, zbiegając po schodkach. Jestem na miejscu. A ty?

Cisza. Obiegrałam budynek dookoła i ruszyłam w stronę drzwi prowadzących do kuchni. Nie zdziwiłam się, gdy się okazało, że i te są zamknięte na klucz. Kiedy zajrzałam przez sąsiadujące okno, z ulgą stwierdziłam, że pomieszczenie jest puste. Rozejrzałam się dokoła, chcąc się upewnić, że nikt mnie nie obserwuje, po czym otworzyłam drzwi kluczem, który dostałam od Paige, jeszcze kiedy zaczynałam pracować tu jako hostessa.

W pierwszej kolejności sprawdziłam piwnicę. Nikogo tam nie było, więc wspięłam się z powrotem po schodach i zajrzałam do spiżarni, kantorka z zaopatrzeniem i chłodni. Były puste. Ukryłam się za regałami pełnymi naczyń, próbując wymyślić sposób, by niepostrzeżenie zakraść się do sali jadalnej, gdy nagle z góry dobiegł głuchy łomot. Po nim nastąpiło ciche szuranie, które zaczęło się po lewej stronie i przeszło na prawą.

Na kuchennym blacie leżał nóż. Zostawiono go obok pokrojonego do połowy



pomidora, jakby ten, kto zajmował się przygotowaniem półproduktów, został oderwany od pracy. Chwyciłam nóż i ruszyłam w stronę schodów na piętro.

Wspinając się, usłyszałam czyjeś głosy. Odniosłam wrażenie, że ciche łkanie Paige nasila się, ale wkrótce zdałam sobie sprawę, że teraz słyszę je zarówno w mojej głowie, jak i w rzeczywistości.

U szczytu schodów zacisnęłam dłoń na ręczce noża i wkroczyłam na taras dla pracowników.

Nie miałam planu, ale nawet gdybym go miała, teraz ległby w gruzach. Zamurowało mnie. To, co zobaczyłam, sprawiło, że nie byłam w stanie się poruszyć.

Taras, podobnie jak sala jadalna na parterze, był udekorowany. Z sufitu zwisały papierowe lampiony, które podrygiwały na wietrze. Świeczki, których płomienie przed zdmuchnięciem chroniły przezryste szklane klosze, były porozstawiane na stołach, na podłodze i barierkach. Na środku stolika, przy którym moi przyjaciele i ja przesiadywaliśmy tak wiele razy, stało duże cynkowe wiadro z lodem i trzema butelkami szampana. Wokół rozstawiono wysokie smukłe kieliszki.

Na plastikowym krześle w odległym krańcu tarasu siedziała Paige. Jej nadgarstki krępowala lina, a usta były zaklejone taśmą. Głowę zwiesiła, jakby nie miała dość siły, by trzymać ją prosto. Obok niej stał Jaime, młody, przystojny rybak, którego wykorzystaliśmy kilka dni wcześniej. Simon i Caleb, też związani i zakneblowani, siedzieli skuleni na podłodze w przeciwnym rogu tarasu. Kiedy Simon mnie zobaczył, całe jego ciało poderwało się, jakby odruchowo chciał podbiec i mnie ochronić. Zdobyłam się, by potrząsnąć głową na znak, że ma się nie ruszać. Nie chciałam, by zaalarmował odwróconego plecami do mnie napastnika.

Paige...

- Vanesso!

Paige uniosła głowę. Zrobiłam krok w tył.

Natalie się odwróciła.

- Jak miło, że do nas dołączyłaś. - Zsunęła się z kolan mężczyzny i szybkim krokiem przemierzyła taras. Miała na sobie lekką czerwoną sukienkę na ramiączkach, z trenem, który ciągnął się za nią po podłodze. - Masz ochotę na odrobinę bąbelków?

Nie odpowiedziałam. Podeszła do mnie, wzięła w objęcia i ucałowała w policzek.

- Biedactwo. Cała przemokłaś! - Już miała się odsunąć, ale znieruchomiała, kiedy nasze spojrzenia się spotkały. Po chwili wydeła usta. - Coś mi mówi, że miałaś ciężki poranek, co?

Wydała z siebie cichy pisk i niemal w podskokach podeszła do stolika. Zerknęłam na Simona, który wpatrywał się we mnie. Brwi miał ściągnięte, a badawcze spojrzenie wędrowało powoli od moich stóp aż do twarzy. Caleb też przyglądał mi się z zaciekawieniem. Paige, teraz czujna, robiła to samo z drugiego końca tarasu.

- Jak się czujesz? - dopytywała się Natalie. Jedną ręką wrzuciła do ust truskawkę, a drugą nalała do kieliszka złocisty trunek.

Jakimś sposobem udało mi się przemówić.

- W porządku.

Posuwistym krokiem podeszła znów do mnie.

- Tylko tyle?

Chciałam powiedzieć, że tak, ale wtedy zdałam sobie sprawę, że to nieprawda. Wiosłowałam. Pływałam. Zostałam zaatakowana i sama się uwolniłam z rąk napastnika. Wywlekłam osiemdziesięcikilowe ciało z wody na plażę. Przyjęłam na siebie hektolitry słodkiej wody deszczowej. Przebiegłam sprintem ponad kilometr. Po takim wysiłku fizycznym i towarzyszącym mu stresie na dobrą sprawę nie powinno mnie tu być. Powinnam leżeć gdzieś daleko na plaży, nieprzytomna, może nawet umierająca.

Ale tak nie było. Dlatego, że to Colin nie żył.

Czułam się silniejsza, zdrowsza niż kiedykolwiek wcześniej. I wiedziałam, że nic innego jak właśnie jego śmierć jest przyczyną mojego samopoczucia. Skutki tych nieprawdopodobnych wyczynów musiały być widoczne w moim wyglądzie, i to pewnie dlatego przyjaciele przyglądali mi się uporczywie, jakby chcąc się upewnić, że to ja, nie kto inny, przed nimi stoję.

Spróbowałam teraz skierować tę nadludzką energię na jeden cel.

- Co się tu dzieje, Natalie? - zapytałam cicho.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się szeroko.

- A jak to wygląda?

- Jak porwanie.

- Hej, to po to stylizowałam się na przedstawicielkę artystycznej bohemy? - Zrobiła nadąsaną minę.

Podeszła do mnie i podała mi kieliszek szampana, którego nie wzięłam. Jej wzrok zatrzymał się na moich dłoniach.

- To akurat... nie będzie ci potrzebne.

Zanim zdążyłam zareagować, chwyciła mnie za ramię i wykręciła je tak, że upuściłam nóż. Mężczyzna, na którego kolanach siedziałam, poderwał się z miejsca, podbiegł do nas i

szybko podniósł nóż z ziemi.

- Dzięki, kochanie - powiedziała.

Kiedy go całowała, zdałam sobie sprawę, że już wcześniej widziałam tę twarz. Na plaży. Tamtego dnia, gdy Natalie przeżywała krótkie załamanie nerwowe, a ja podnosiłam ją na duchu.

- Przecież to twój były narzeczony - odezwałam się, gdy wrócił do stolika.

- Prawdę mówiąc, to mój mąż. Od jak dawna? Od jakichś pięciu lat? - Spojrzała na niego, a on skinął głową. - Wymyśliłam całą tę dramatyczną historię ze zdradą, bo dziewczęta uwielbiają wspólnie rozpaczać nad utraconą miłością, to je do siebie zbliża, a mnie właśnie o to chodziło. Ale jeżeli wszystko pójdzie dobrze, ty i Simon będziecie równie szczęśliwi jak my z Willem. Na zawsze.

Trzasnęły drzwi. Rozległ się głuchy odgłos ciężkich kroków na schodach. Odstąpiłam na bok, przygotowana na wkroczenie policji... ale na taras wszedł jeden z rybaków. Ten, który jeździł pomarańczową furgonetką.

- Co tu robisz, Sam? - zdziwiła się Natalie na jego widok.

- A gdzie jest...? - Zmarszczyła brwi, po czym wzdrygnęła się i wzięła łyk szampana, którego nalała dla mnie. - Miał być Colin, nie ty. Tego nie było w scenariuszu, no ale trudno.

Już miałam zapytać, o jakim scenariuszu mówi, gdy rybak rzucił się na mnie. Był przemoczony, a jego wzrok nieobecny, ale utkwiony we mnie. Zanim zdołałam usunąć mu się z drogi, powietrze przeciął krótki, przypominający bicie dzwonu pisk, który przez chwilę zagłuszył wiatr, deszcz i pomruki burzy. Na ułamek sekundy przed moimi oczami ukazała się biała plama, a w umyśle zapanowała kompletna pustka.

Kiedy znów ujrzałam taras, Sam siedział obok Willa z twarzą pozbawioną wyrazu i wzrokiem utkwionym w jakiś punkt przed sobą. Natalie stała przede mną i uśmiechała się promiennie.

- Ty jesteś...

Uniosła brwi i przyłożyła zwiniętą dłoń do ucha.

- Co takiego?

Spróbowałam znowu.

- Jesteś... syreną.

- Oczywiście, że jestem. - Spojrzała na mnie, jakbym powiedziała coś niemądrego.

- Ale moja głowa... wcale mnie nie bolała. Chociaż tak strasznie się ostatnio czułam, ani razu nie miałam migreny, która wcześniej wskazywała na obecność syreny.

- Naprawdę myślisz, że pozwoliłabym tak łatwo dać się przejrzeć? - Natalie zerknęła

na Paige. - Chociaż, muszę przyznać, jestem zaskoczona, że twoja koleżanka - twoja najlepsza przyjaciółka - o niczym ci nie powiedziała.

Utkwiłam spojrzenie w Paige.

Przepraszam, Vanesso. Nie sądziłam...

- Milcz! - krzyknęła Natalie.

Kiedy Paige skrzywiła się z bólu i zamilkła, spróbowałam poskładać wszystkie elementy układanki w całość.

- To ty robiłaś zdjęcia - powiedziałam zdecydowanie. - I wysyłałaś emaile.

- Mylisz się. - Natalie pociągnęła jeszcze jeden łyk szampana. - W obu wypadkach.

Czekała, aż podejmę kolejną próbę. Kiedy się nie odezwałam, przemknęła przez taras i wsparła się o barierkę.

- Czekałam na ciebie od bardzo dawna - oznajmiła. - Chociaż nie wiedziałam, że tym kimś będziesz akurat ty... Jednak po wydarzeniach ubiegłego lata nie miałam wątpliwości, że jesteś tą właściwą.

Przelknęłam ślinę.

- Tą właściwą?

- Która razem ze mną - ciągnęła, a jej srebrzysto-błękitne oczy lśniły - przejmie przywództwo nad kolejnym pokoleniem.

Niebo rozświetlił błysk pioruna. Po nim rozległ się grzmot. Wszyscy oprócz Natalie i mnie się poderwali.

- Posłuchaj - powiedziała od niechcienia, wymachując kieliszkiem na wszystkie strony.  
- Nie zamierzam zmarnować stuleci ciężkiej pracy. Te kobiety, które były przed nami, radziły sobie wystarczająco dobrze, dysponując niewielkimi środkami. W przeciwnym razie nie byłoby nas tutaj. Ale ich cele były skromne, a zasięg ograniczony. Ich głównym zmartwieniem była, i dla większości nadal pozostaje, kwestia przetrwania.

- Jej wargi uniosły się w powolnym uśmiechu. - Ale nas stać na wiele więcej.

Pragnęłam spojrzeć na Simona. Bardzo chciałam, żeby skupił się na mnie i ignorował wszystko, co mówi Natalie. Ale bałam się, że ona potraktuje to jak coś więcej i zrobi mi krzywdę, więc nie spuszczałam z niej wzroku, gdy mówiła.

- Próba Rainy zeszłego lata była godna podziwu, jednak nie bez wad. Ta kobieta była pierwszą, o ile mi wiadomo, która użyła swoich mocy, by silniej zaznaczyć naszą obecność... Zdobyła się na odważny krok i gdyby się jej udało... Mogę sobie tylko wyobrazić, co mogłaby osiągnąć.

Teraz zapragnęłam spojrzeć na Paige, ale tego również nie zrobiłam.

- Od lat obserwowałam aktywność co silniejszych społeczności, a kiedy pogłoski o sukcesie Rainy dotarły do mnie - do Północnej Kalifornii, nie do pozbawionego dostępu do morza Vermont - zaczęłam przyglądać się jej bliżej. Potem, kiedy stało się jasne, co - a raczej kto - stanęło jej na drodze, ta sprawa wciągnęła mnie na dobre. Dlatego postanowiłam spędzić to lato na Wschodnim Wybrzeżu. - Uśmiechnęła się szeroko.

- A przy okazji, macie tu wyśmienite homary.

- Nie rozumiem - odparłam. - Co to ma wspólnego z emailami? Ze zdjęciami? Ze śmiercią niewinnych dziewcząt?

- Byłaś oporna. Nie chciałaś przyjąć daru, jaki został ci ofiarowany. Musiałam jakoś zwrócić twoją uwagę i pokazać ci, jaki jest cenny, jak wyjątkowa dzięki niemu jesteś. To był jedyny sposób, by cię nakłonić, żebyś do mnie dołączyła.

- Ale skoro wydarzenia ubiegłego lata mnie nie przekonały, dlaczego sądzisz, że to wszystko miałyby zadziałać? - zapytałam.

- Ponieważ tegorocznymi ofiarami są młode kobiety, nie mężczyźni. A jeszcze parę minut temu sądziłaś, że za ich śmierć odpowiada mężczyzna, mam rację? I zasłużył na odpowiednią karę, czyż nie tak?

- A więc ty to zrobiłaś? - Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. - To ty zabiłaś te dziewczyny? Żebyś mogła zrozumieć coś, czego i tak nigdy nie pojmę?

Natalie zmarszczyła brwi.

- Jeżeli mamy nawiązać współpracę, będziesz musiała przestać wyciągać pochopne wnioski.

- Ty i ja nigdy nie...

Pisk rozległ się znowu. Zobaczyłam białą plamę. Moje myśli zniknęły.

- Ja nikogo nie zabiłam - oznajmiła Natalie, kiedy białe światło zgasło. - Nie tym razem. Nie musiałam.

Wciąż stała przy barierce i gestem nakazała, bym do niej dołączyła. Podchodząc, pomyślałam o policji. Gdzie oni się podziewali?

- Ja tylko wszystko zaaranżowałam - wyznała, zniżając głos.

Wyjrzała przez barierkę, na plażę. Zrobiłam to samo i zobaczyłam, że wszyscy goście z sali jadalnej idą w stronę przystani. Przedstawicielki płci żeńskiej, teraz już to wiedziałam, nie były zwykłymi kobietami.

- Sprawowałam kontrolę nad nimi wszystkimi - oznajmiła cicho, radośnie, jakbyśmy były dwiema przyjaciółkami wyznającymi sobie sekrety. - Nakłoniłam młode syreny z obu wybrzeży do wysyłania emaili, żeby nie dało się ich powiązać z kimkolwiek stąd. Wybrana grupa przyłączyła się do mnie - to im powierzyłam aparat, na którym celowo znalazły się zdjęcia miejsc ważnych wydarzeń ubiegłego lata. A ty miałaś go znaleźć. Rozpoznałaś wskazówki, na co liczyłam, i natychmiast stałaś się podejrzliwa: spodziewałaś się powstania z grobu szalonych syren prześladowczyń.

- A co z ludźmi, których rozmowę podsłuchałam obok domku nad jeziorem? - zapytałam.

- Szczęśliwy zbieg okoliczności. Colin dostał anonimową wiadomość z prawdziwymi informacjami dotyczącymi wydarzeń zeszłego lata. Wiedziałam, że będziesz z nim w kontakcie, i miałam nadzieję, że odwróci twoją uwagę, podczas gdy ja będę działać, posiłkując się innymi mężczyznami. A to, że jego znajomi akurat byli w pobliżu i złapali przynętę, było czystym przypadkiem.

- A kim byli pozostali mężczyźni? Rybakami? - zgadywałam.

- Owszem. Zaangażowanie Colina miało być minimalne, ale rybacy, pod urokiem uzdolnionych, lecz niedoświadczonych młodych syren, okazali się bardziej napastliwi, niżbym tego chciała. Wiedzieli, że to ty jesteś ostatecznym celem, i nie potrafili się oprzeć, by ci nie dokuczyć, kiedy nadarzyła się okazja. Niestety, jeden z nich posunął się za daleko w

restauracyjnej piwnicy, co zmusiło mnie do zwiększenia udziału Colina, żeby skierować twoje podejrzenia na niego. Było jeszcze za wcześnie, żebyś domyśliła się całej prawdy. Potrzebowałam więcej czasu.

- To dlatego nakłoniłaś go, by przyniósł do restauracji naszyjnik Rainy?

- Właśnie. Muszę przyznać, że kamery przemysłowe to był doprawdy doskonały pomysł.

Przyglądałam się mężczyznom i syrenom w dole. Mimo że oszalałe żywioty atakowały ich ze wszystkich stron, rozmawiali i śmiali się, zupełnie jakby wybierali się na piknik.

- A zatem chciałaś w ten sposób pokazać mi - odezwałam się - jak podli potrafią być mężczyźni? Zmuszając ich, by zabijali niewinne kobiety? Żebyś uznała naszą zdolność do powstrzymania ich za bardziej szlachetną?

- Coś w tym rodzaju. Poza tym chciałam doprowadzić cię do tego, co zrobiłaś dziś rano. Paige, która okazała się dość pomocna w mobilizowaniu rekrutów, choć nawet nie wiedziała, w jakim celu, była ostatnim elementem układanki. Założyłam, całkiem słusznie, że zrobisz wszystko, by ją ratować. Wydarzenia potoczyły się nie do końca zgodnie z moim planem, ale to ma znaczenia. - Zrobiła pauzę. - Bo efekt końcowy jest taki sam.

- Co masz na myśli?

- Wiedziałam, że pojedziesz za Colinem, co dało mi czas, by pod twoją nieobecność zająć się Paige. Ale byłaś mi tu potrzebna, by zawalczyć o swoją drogą przyjaciółkę, dlatego wysłałam po ciebie Sama. Zakładałam, że skoro Jaime dał się uwieść Paige, on będzie tym, którego ostatecznie... no wiesz.

- Zerknęła ponad moim ramieniem na Simona, po czym znów spojrzała na mnie i pochyliła się bliżej. - Nie przejmuj się. Kiedyś w końcu przyzwyczai się do tej myśli. Jak oni wszyscy.

Zmusiłam się, by zignorować te ostatnie słowa, i obejrzałam się przez ramię. Sam nadal siedział przy stole, przemoczony do suchej nitki. A przecież taras był osłonięty od deszczu i - w przeciwieństwie do mojego jeepa - jego furgonetka miała zadaszoną kabinę.

- Czy on był w wodzie? - zapytałam cicho. - Z Colinem i ze mną?

Natalie przechwyciła moje spojrzenie.

- Biorąc pod uwagę wodorosty w jego włosach, zakładałam, że tak. Kilka minut temu, gdy zobaczyłam, jak uderzająco jesteś piękna, i domyśliłam się, co musiałaś zrobić, pomyślałam, że padło właśnie na niego. Dlatego byłam zaskoczona, kiedy się zjawił. Ale powtarzam, to tylko szczegóły - i to najmniej ważne.

Odwrociłam się w stronę przystani, chwytając się barierki tak mocno, że maleńkie drzazgi wbiły mi się w skórę dłoni.

Colin nikogo nie zamordował. Nie próbował udusić mnie w głębi oceanu. To był Sam. A to znaczyło, że zupełnie niewinny człowiek został zabity... przeze mnie.

Byłam potworem. Zupełnie jak wszystkie inne.

- Musisz przyznać - wyszeptała Natalie - to cudowne uczucie, prawda? Ten kop! Ten zastrzyk energii! I nigdy nie musi się kończyć. Tylko pomyśl o tych wszystkich możliwościach!

- Natalie - powiedziałam spokojnie, z nadzieją, że uda mi się grać na zwłokę aż do przyjazdu policji - czego właściwie ode mnie oczekujesz?

- Przyłącz się do mnie. - W jej głosie słychać było podniecenie. - Pomóż mi rekrutować i szkolić młode, zdolne syreny, które potem będą mogły szkolić kolejne.

- W zabijaniu?

Wzruszyła ramionami.

- Od czasu do czasu. To przychodzi wraz z terytorium. A razem możemy to terytorium rozszerzyć - geograficznie i ideologicznie. Nasza społeczność syren może być pierwszą, która przekroczy granice stanowe i obejmie kontrolą więcej członków płci przeciwnej niż jakakolwiek grupa dotychczas. Nie musimy zabijać wszystkich... możemy po prostu się nimi bawić, nakłaniać, by wykonywali nasze polecenia, wszelkiego rodzaju. Mężczyźni dominowali przez całe stulecia. Najwyższy czas pokazać im, gdzie ich miejsce.

Chciałam zadać kolejne pytanie, by nie przestawała mówić, ale byłam zbyt zdumiona jej sugestią, by znaleźć słowa. Ale i bez mojej zachęty kontynuowała.

- To nie tylko prośba, Vanesso. To propozycja. Szansa. Jeżeli się zgodzisz, staniesz się silniejsza i potężniejsza na wielu polach, o jakich ci się nie śniło - a twoi przyjaciele zostaną przy życiu. Wybrałam cię ze względu na imponujące pochodzenie i zdolności, ale i Paige może do nas dołączyć. Ty i Simon możecie być razem. Będziecie prowadzili życie, które - jak sądziłaś - przepadło z chwilą, gdy przeszłaś transformację ubiegłego lata, a nawet jeszcze lepsze.

- A jeżeli nie przyjmę propozycji? - zapytałam.

Roześmiała się. Kiedy zdała sobie sprawę, że nie żartuję, jej twarz odzyskała poważny wyraz.

- To będzie znaczyło, że nie jesteś tak bystra, za jaką cię uważałam. I...

Z wolna obróciła głowę w stronę sceny rozgrywającej się w dole.

Uczestnicy przyjęcia podeszli bliżej wody. Grupa stała się liczniejsza.



- Simon! - Moje serce zamarło. Wciąż związany i zakneblowany, szamotał się, próbując uwolnić się od uścisku Sama, który włókł go przez plażę. Mąż Natalie szedł za nimi, prowadząc Caleba, a Jaime ciągnął Paige. Zabrali ich stąd, kiedy byłam pochłonięta rozmową z Natalie.

- Może pójść gładko albo wręcz przeciwnie - oznajmiła miłym tonem. - Wybór należy do ciebie. Przyjęcie, które wyprawiłam na twoją cześć, i tak potoczy się swoim torem.

Po tych słowach odstawiała kieliszek po szampanie, złożyła obie dłonie na barierce i wybijając się z obu nóg, zeskoczyła z tarasu. Gdy opadała na ziemię, czerwona suknia nadęła się niczym balon. Natalie wylądowała miękko na stopach, z cichym tupnięciem. Powędrowała w stronę mężczyzn i syren, którzy - wciąż rozmawiając i śmiejąc się - wchodzili do wody.

Syreny wabiły mężczyzn w głąb portowych wód. Zamierzały zrobić to, czego nie udało się dokonać Rainie ubiegłego lata. I gdybym nie zechciała przystać na warunki Natalie, zabrałyby ze sobą Simona, Caleba i Paige.

Yanesso, co się dzieje? Co robimy?

Głos Paige rozbrzmiał w mojej głowie niczym alarm. Przez sekundę nie byłam pewna, czy powinnam odpowiadać. Jeżeli Natalie miała rację i Paige wiedziała wcześniej, że jej nowa pracownica jest syreną... Czy wiedziała też o wszystkim innym?

Śpiewaj, Paige. Do Jaimego. Niech cię uwolni.

Na twoim miejscu nie robiłabym tego, ostrzegła ostro Natalie. Mamy nad wami ogromną przewagę liczebną. Na mój sygnał dziewczęta natychmiast wezmą was na cel.

Właśnie takiej odpowiedzi potrzebowałam. Paige i Natalie nie były sojusznikami; Natalie zwyczajnie wykorzystwała Paige do swoich celów. Nie chcąc stracić ich z oczu choćby na chwilę, położyłam obie dłonie na barierce i, idąc w ślady Natalie, zeskoczyłam z tarasu. Wylądowałam na ziemi z zaskakującą lekkością i biegiem ruszyłam przed siebie.

Zbliżając się do nich, nie zauważyłam, że nie ja jedna wszczęłam pościg. Komisarz Green z innym funkcjonariuszem policji wreszcie nadjechali i też mknęli po piasku. Jak się okazało, w pościgu za mną.

- Vanessa Sands! - Za moimi plecami rozległ się niski męski głos.

Zwolniłam, ale nie zatrzymałam się.

- Jesteś aresztowana! Wszystko, co od tej pory powiesz...

- Aresztowana? - Natalie po dotarciu do krawędzi wody obróciła się w naszą stronę, chwytając się dłonią za pierś. - Ale za co?

Omiotłam spojrzeniem wodę za jej plecami. Całe towarzystwo zanurzało się głębiej. Kilku mężczyzn odpychało się już nogami, by utrzymać głowę nad wodą.

- Za zamordowanie Colina Robbinsa.

Tym razem stanęłam jak wryta. Ale nie zwróciłam się w stronę policji.

Zwróciłam się do Simona. Stał obok Sama, dwa kroki od granicy wody. Słyszając deklarację komisarza Greena, potrząsnął głową i spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami, zupełnie zdezorientowany.

- To musi być jakieś nieporozumienie - oznajmiła Natalie.

- Śliczna, słodka, łagodna jak baranek Vanessa Sands... morderczynią?

- Chciałbym, żeby to była pomyłka - odparł komisarz Green, zatrzymując się przed nami. - Możecie mi wierzyć. Ale tu oto mamy niezbity dowód.

Serce podeszło mi do gardła, gdy z kieszeni koszuli wyciągnął dyktafon - mój dyktafon, ten sam, który zabrałam ze sobą na kajak. Przez to wszystko, co się wydarzyło, zupełnie o nim zapomniałam.

- Znaleźliśmy go w dżinsowej kurtce, którą panna Sands zostawiła przy ciele ofiary. - Komisarz Green spojrzał na mnie.

- Dyktafon zarejestrował wszystko: podwodną przepychankę, wleczenie ciała po plaży, późniejsze przeprosiny. Wszystko.

Natalie cmoknęła znacząco.

- No nie. Co za fuszerka.

Po raz pierwszy komisarz Green spojrzał na to, co rozgrywało się za jej plecami.

- Co tu się dzieje? Co ci wszyscy ludzie robią w wodzie?

- Po prostu kilkoro przyjaciół postanowiło urządzić sobie przyjęcie na plaży - powiedziała jak gdyby nigdy nic Natalie.

- W samym środku burzy? - zdziwił się komisarz Green.

- Potrafimy doskonale pływać. - Natalie się uśmiechnęła.

Drugi funkcjonariusz - sierżant Tompkins, o czym świadczyła jego odznaka - podszedł do mnie od tyłu i chwycił za nadgarstki. Komisarz Green postąpił w stronę wody, z chwilą gdy niebo - i wciąż stojących na brzegu pojmanych - oświetlił błysk pioruna.

- Paige Marchand? - zapytał. - Czy to pani? Co tu się...

W pół zdania przerwał mu rozzierający pisk. Po raz kolejny wszystko stało się białe. W mojej głowie zapanowała pustka. Jednak ten pojedynczy dźwięk trwał dłużej niż pozostałe na tarasie, a po kilku sekundach moje ciało jakby oswoiło się z jego brzmieniem. Zdolność widzenia częściowo powróciła - potrafiłam rozróżnić poszczególne osoby i miejsca przede mną, choć były rozmyte, niewyraźne, jakbym patrzyła na nie przez szary ekran.

Ale to wystarczyło. Komisarz Green stał absolutnie nieruchomo, oniemiały, z ustami

szeroko otwartymi i obiema rękami na głowie. Simon, Caleb, Paige i inni zakładnicy również znieruchomieli. Podobnie jak syreny i mężczyźni na przystani - chociaż woda nadal z pluskiem rozbijała się o ich ciała. Sierżant Tompkins za mną też trwał w bezruchu.

Jedyną osobą, która się poruszała, była Natalie. Zdecydowanym krokiem podeszła do komisarza Greena, wciąż śpiewając. Jeżeli wiedziała, że ją widzę, nie dała tego po sobie poznać. Przekonana, że to jedyna szansa, jaką dostanę, zaczęłam odsuwać się od funkcjonariusza - jednak zatrzymało mnie coś zimnego i twardego.

Kajdanki.

Jedną obręcz zapiał mi na nadgarstku, a drugą trzymał otwartą w prawej dłoni.

Wiem, że jesteś silna... Teraz pozostaje ci już tylko zrozumieć, co tak naprawdę znaczy być odważną.

Przez głowę przemknęły mi ostatnie słowa Charlotte.

I wiedziałam, co muszę zrobić.

Wyszarpnęłam rękę i otwarta obręcz wyskoczyła z palców sierżanta Tompkinsa. Nie spuszczać z oczu Natalie, która odwrócona do mnie plecami sięgała ku klatce piersiowej komisarza Greena, przemknęłam po piasku w stronę Caleba. Gdy rozwiązywałam mu ręce i zdierałam taśmę z ust, odniosłam wrażenie, że zupełnie nic nie czuje. Mruganiem powstrzymałam łzy, biorąc go na krótko w ramiona, po czym ruszyłam do Paige. Kiedy i ją uwolniłam, nieco mocniej i dłużej przytrzymałam ją w objęciach. Rozważałam odepchnięcie eskortujących ich strażników, żeby dać moim przyjacielom przewagę na starcie, ale nie wiedziałam, czy użycie siły nie wybudzi mężczyzn z transu albo nie zaalarmuje Natalie. Mogłam liczyć tylko na to, że Caleb i Paige okażą się wystarczająco szybcy, kiedy już urok minie.

Na koniec podeszłam do Simona. Jego oczy wciąż były utkwione w sierżancie Tompkinsie, ponieważ tam właśnie stałam w chwili, gdy Natalie zaczęła śpiewać. Nie zdołałam zahamować łez, które potoczyły się po moich policzkach, kiedy poluźniałam więzy na jego nadgarstkach i zdierałam taśmę z ust. Działalam szybko, wiedząc, że mam niewiele czasu - i że zatrzymałabym się, gdybym pozwoliła sobie myśleć o tym, jakie to wszystko okropnie niesprawiedliwe.

Ale z drugiej strony, czy nie tak właśnie musiało się to skończyć? Naszym rozstaniem? I moim otarciem się o śmierć, o ile nie samą śmiercią? Czy nie lepiej, by to stało się wcześniej niż później, bez względu na to, w jaki sposób - właśnie tak, jak zapowiedziała Charlotte?

Obejrzałam się za siebie. Natalie przyciskała dłonie do klatki piersiowej komisarza, ze

wzrokiem utkwionym w jego oczach; ustami poruszała niemal niepostrzeżenie.

Odwrociłam się do Simona i przywarłam do jego warg po raz ostatni. Wciąż były miękkie i ciepłe, przez co moje łzy popłynęły szybciej.

Kocham cię, wyszeptałam bezgłośnie, uważając, by nie wymówić słów na głos ani w myślach. I jest mi bardzo przykro.

Wstałam, delikatnie odgarnęłam włosy z jego czoła, po czym ruszyłam ku Natalie. Zaczęłam biec, bardzo szybko nabierając tempa. Zwolniłam tylko na tyle, by jej nie staranować, po czym uderzyłam metalową obręczą kajdanek w jej nadgarstek i zatrzasnęłam klamrę.

- Vanesso! - krzyknęła, a działanie jej czaru natychmiast zostało przerwane. - Co ty...

Urwała, kiedy szarpnęłam ją w tył i powlekłam po piasku. Wszyscy wkoło dochodzili do siebie bardzo powoli, jakby budzili się z długiego snu. Wykorzystałam ten tymczasowy stan połowicznej świadomości na swoją korzyść i zanim do nich dotarło, gdzie są i co się dzieje, Natalie i ja byłyśmy już pod wodą.

To wzruszające, ale bezcelowe, rozległ się jej głos w mojej głowie. Nie masz pojęcia, jaka jestem silna!

Zdaje się, że będę musiała się przekonać.

Kiedy ona wierzgała i wykręcała się, ja silniej unieruchomiłam jej ramiona. Raz wyzwoliła się z mojego uścisku, jednak obróciłam się i natychmiast znalazłam nad nią, blokując drogę na powierzchnię. Próbowwała wyrwać się bokiem, ale jednym szybkim ruchem wciągnęłam ją z powrotem i unieruchomiłam pod pachą.

Natalie była silna. Ale ja właśnie odebrałam życie... i w niczym jej nie ustępowałam.

Co zamierzasz?, dopytywała się, kiedy płynęłyśmy głębiej. Zagrzebać mnie w piasku na dnie oceanu?

To nie najgorszy pomysł.

Jeżeli chciałaś mnie zabić, dlaczego po prostu nie zabrałaś broni tego gliniarza i nie zastrzeliłaś mnie?

Ponieważ nie chciałam jej zabijać. Nie chciałam zabijać nikogo, nigdy więcej. Ale skoro to był jedyny sposób, by powstrzymać Natalie i ocalić tak wiele ludzkich istnień przed śmiercią z jej rozkazu... A sama nie chciałam żyć, odebrawszy jej życie. Może i mogłam siebie zastrzelić, ale nie potrafiłabym zrobić tego Simonowi i przyjaciółom. Poza tym tylko ten sposób wydawał się właściwy.

Zamierzałam płynąć. Unosić się z prądem. Oddać nasze ciała na pastwę oceanu i ani razu nie wynurzyć się na powierzchnię. Przez godziny, dni, tygodnie. Tak długo, dopóki nie

umrzemy z braku tlenu, który syrenom jest potrzebny do życia tak samo jak słona woda.

Jesteś naiwna. I to ma być lepsze od życia, które ci proponowałam?

Ty to nazywasz życiem?, odparłam. W ten sposób przynajmniej nikt inny nie ucierpi.

Roześmiała się. Być może myliłam się co do ciebie, Vanesso Sands. Bo jeżeli myślisz, że moja śmierć oznacza koniec, jesteś w błędzie.

Machnęłam nogami mocniej i zanurzyłam się głębiej w mrocznej otchłani. A wtedy Natalie wydała z siebie przeciągły, przenikliwy pisk, który na chwilę mnie oślepił. Bez zastanowienia powtórzyłam ten dźwięk, pokładając w nim całą swoją nadzieję na jej zatopienie.

Kilka sekund później otoczyły nas srebrzyste światła.

Widzisz? Poklepała mnie po ramieniu, które wciąż zaciskało się wokół jej ramion. Spójrz, jak dobrze je wyszkoliłam.

Syreny. Jej syreny. Te same, które na brzegu wabiły rybaków do wody, teraz otoczyły nas, błyskając srebrzystymi ślepiami. Utworzyły wokół nas zwarty krąg, odcinając wszystkie drogi ucieczki. Jedna po drugiej wyciągały do nas ręce, chwytaly nas za włosy, ramiona, za szyje. Na początku próbowałam stawiać opór, wyrwać się z ich uścisku... ale to nie miało sensu.

Przestałam się szarpać. Uwolniłam Natalie z uścisku i pozwoliłam jej odpłynąć tak daleko, na ile pozwalały kajdanki. Zamknęłam oczy.

I wtedy, śpiewając tak cichutko, że tylko ja sama mogłam to słyszeć, wyobraziłam sobie Justine, zapowiedziałam, że wkrótce się zobaczymy... i poddałam się światłu.

Mały pokój mieścił się na górnym piętrze starego ceglanego budynku. Ściany pokrywał biały beton, podłogi szare linoleum. Sufit zdobiły świecące w ciemności przyklejane gwiazdki, pozostałość po poprzedniej lokatorce. Stały tu dwa łóżka, dwie komody, dwie szafy, dwa biurka i dwie półki na książki. Pomiedzy komodami znajdował się zlew na cokole. Ponad żeliwnym kaloryferem było duże okno ukazujące skupisko podobnych budynków z pokojami dokładnie takimi jak ten.

- No cóż - odezwała się mama, rozglądając się dookoła.

- Ritz to to nie jest.

- No nie - przyznałam. - Jest lepszy.

Jej oczy zaszczyły łzami, a usta rozciągnęły się w uśmiechu. Potem, pewnie żeby nie dopuścić do w pełni uzasadnionego rozklejenia, z którym walczyła od kilku dni, odwróciła się ku stercie poskładanej pościeli leżącej na jednym z biurek, wzięła prześcieradło, rozpostarła je nad łóżkiem i pozwoliła tkaninie opaść.

- Pięć pięter - wysapał tato, wchodząc do pokoju. - I ani jednej windy.

- Co nie stanowiłoby problemu, gdyby ktoś nie uparł się, by zabrać wszystkie swoje rzeczy. - Za tatą do pokoju weszła Paige i teatralnie przewróciła oczami. - Istna księżniczka.

Paige żartowała. W drodze tutaj minęliśmy kilka samochodów tak wypchanych pakunkami, że ich szyby zrobiły się prawie wypukłe, za to wszystkie moje rzeczy udało się bez problemu zapakować do bagażnika maminego SUVa - i jeszcze zostało w nim trochę wolnego miejsca. Paige była tak zdumiona na widok mojego skromnego bagażu, że dopytywała się, czy wynajęliśmy firmę przewozową do przetransportowania reszty moich rzeczy. Kiedy zapewniłam ją, że nie, zapytała, czy w takim razie było włamanie do samochodu. Od tamtej pory wesołym docinkom nie było końca.

Tato powiesił w jednej z szaf mój zimowy płaszcz - pod naciskiem Paige musiał wymienić się z nią na moją walizkę, kiedy zdali sobie sprawę, że w budynku nie ma windy. Paige potoczyła walizkę bliżej jednej z komód. Mama skończyła ścielić łóżko, po czym stanęła na środku pokoju z rękami wspartymi na biodrach.

- Teraz moglibyśmy zabrać się do wypakowania ubrań - zaordynowała. - A co z kosmetykami? Chcesz, żeby stały przy umywalce czy na komodzie? A laptop i zeszyty? Biurko też powinniśmy zorganizować.

- Mamo. - Wyciągnęłam rękę i uściśnęłam jej ramię. - Nie ma wiele do rozpakowywania i organizowania. Mogę to zrobić później.

Zmarszczyła brwi.

- W takim razie powinniśmy pojechać na zakupy. Będzie ci potrzebny dywanik. I zasłony. I może kilka poduszek, gdybyś chciała poczytać w łóżku.

- Proszę nie zapomnieć o minilodówce - dodała Paige. - Ja na pewno sobie taką sprawię, kiedy na wiosnę przeniosę się do San Francisco. - A może nawet dwie.

- To ma sens - przyznałam. - Zaczynasz studiować zarządzanie restauracją. Lodówka będzie ci potrzebna do przechowywania wszystkich tych specjałów, którymi twoi przyszli pracownicy będą próbowali cię przekupić. Jeśli o mnie chodzi, poradzę sobie bez niej. Naprawdę.

- A co z przekąskami? - zapytała mama. - I wodą? Powinnam była o tym pomyśleć. Dlaczego o tym nie pomyślałam?

- Pewnie dlatego, że byłaś zajęta myśleniem o wszystkim innym.

Nieprzekonana, przygryzła wargę i zabębniła palcami o biodra.

- Mam samochód - przypomniałam jej. - Jeżeli zmienię zdanie, zawsze mogę kupić sobie taką lodówkę później.

- Ale one są ciężkie - zaprotestowała. - A tutaj nie ma windy.

- Ja się tym zajmę - rozległ się znajomy męski głos.

Mama odwróciła głowę. Uśmiechnęłam się.

W otwartych drzwiach stał Simon.

- Mam zamiar spędzać tu całkiem sporo czasu - dodał.

- Dopilnuję, żeby pani ukochana córka miała wszystko, czego jej trzeba, zanim jeszcze zdąży o tym pomyśleć.

Łzy znów napłynęły do oczu mamy. Podeszła do drzwi i mocno objęła Simona. Kiedy w końcu wypuściła go z ramion, tato uściśnął mu dłoń i zapytał, jak minęła podróż z Bates. Gdy tych troje pograżyło się w pogawędce, Paige spojrzała na mnie z drugiego końca pokoju i przemówiła tak, bym tylko ja mogła ją usłyszeć.

Wydajesz się podejrzenie spokojna. Wszystko gra?

Jest super. Naprawdę.

To dobrze. I nie martw się o swoich rodziców. Dopilnuję, żeby potok łez nie zalał całego północnowschodniego wybrzeża, gdy będziemy wracali do Winter Harbor.

Będę ci za to wdzięczna, odparłam, znów myśląc, jak to miło, że Paige wybrała się w podróż razem z nami. Przyjechała pociągiem do Bostonu i spędziła z nami cały ostatni weekend, potem pojechała ze mną jeepem do Hanover, a teraz miałam nadzieję, że będzie zabawiała moich rodziców, gdy wyjadą. Już tego popołudnia. Prędzej czy później i tak

zamierzali wybrać się do Winter Harbor, żeby przygotować dom na plaży do zimy, więc zaoferowali, że zabiorą Paige ze sobą, by nie musiała wracać pociągiem.

Swoją drogą, powiedziała, to o wiele lepsze niż email. Jeśli będę mogła słyszeć twój głos, kiedy tylko zechcę, może nawet uda mi się przeżyć tę odległość i odstępy między odwiedzinami.

Spojrzałam na nią. Przeżyliśmy gorsze rzeczy.

Aż trudno było uwierzyć, jak wiele razem przeszliśmy. Utonięcie Justine. Ataki Rainy i Zary, te w Winter Harbor i w Bostonie, a potem ich śmierć. Krytyczny stan Betty i manipulowanie nią. Utrata nienarodzonego dziecka Paige. Niespodziewane pojawienie się Charlotte i jej równie niespodziewane odejście. Nasza fizyczna transformacja i niezliczone wyzwania, jakie ze sobą niosła.

I oczywiście Natalie.

Istniało tak wiele powodów, dla których nie powinnam była przeżyć wydarzeń tego lata... Tak blisko otarłam się

- i to niejednokrotnie - o śmierć. Zanim dowiedziałam się, czego potrzebuje moje ciało, nieomal całkiem mnie zawiodło.

Wydajesz się podejrzanie spokojna. Wszystko gra?

Jest super. Naprawdę.

To dobrze. I nie martw się o swoich rodziców. Dopilnuję, żeby potok też nie zalał całego północnowschodniego wybrzeża, gdy będziemy wracali do Winter Harbor.

Będę ci za to wdzięczna, odparłam, znów myśląc, jak to miło, że Paige wybrała się w podróż razem z nami. Przyjechała pociągiem do Bostonu i spędziła z nami cały ostatni weekend, potem pojechała ze mną jeepem do Hanover, a teraz miałam nadzieję, że będzie zabawiała moich rodziców, gdy wyjadą. Już tego popołudnia. Prędzej czy później i tak zamierzali wybrać się do Winter Harbor, żeby przygotować dom na plaży do zimy, więc zaoferowali, że zabiorą Paige ze sobą, by nie musiała wracać pociągiem.

Swoją drogą, powiedziała, to o wiele lepsze niż email. Jeśli będę mogła słyszeć twój głos, kiedy tylko zechcę, może nawet uda mi się przeżyć tę odległość i odstępy między odwiedzinami.

Spojrzałam na nią. Przeżyliśmy gorsze rzeczy.

Aż trudno było uwierzyć, jak wiele razem przeszliśmy. Utonięcie Justine. Ataki Rainy i Zary, te w Winter Harbor i w Bostonie, a potem ich śmierć. Krytyczny stan Betty i manipulowanie nią. Utrata nienarodzonego dziecka Paige. Niespodziewane pojawienie się Charlotte i jej równie niespodziewane odejście. Nasza fizyczna transformacja i niezliczone



wyzwania, jakie ze sobą niosła.

I oczywiście Natalie.

Istniało tak wiele powodów, dla których nie powinnam była przeżyć wydarzeń tego lata... Tak blisko otarłam się - i to niejednokrotnie - o śmierć. Zanim dowiedziałam się, czego potrzebuje moje ciało, nieomal całkiem mnie zawiodło.

Zahipnotyzowany rybak gotów był zabić mnie w piwnicy restauracji „U Betty”, gdybym przypadkiem mu w tym nie przeszkodziła, a potem znowu inny próbował mnie udusić w oceanie. A gdy za sprawą jakiegoś cudu udało mi się to wszystko przetrwać, powinnam była zginąć na dnie portowych wód, uduszona przez mściwe syreny.

Ale i to przetrwałam. Wtedy wreszcie moje zdolności odziedziczone po Nenufarach okazały się przydatne. Ponieważ syreny nie przybyły, by mnie zglądzić, wzywane głosem Natalie. Zwabił je mój głos, który zagłuszył jej śpiew... Przybyły po nią. Pośród wirującej wody i dźwięków - kiedy byłam już pewna, że każdy następny oddech jest moim ostatnim - syreny zabiły swoją przywódczynię. A gdy skończyły, zwróciły się do mnie po nowe wskazówki.

Zdałam sobie sprawę z tego, co się stało, i zadziałałam automatycznie. Poinstruowałam większość syren, aby powróciły do mężczyzn, upewniły się, że nic im nie jest, i zrobiły wszystko, by wymazać z ich myśli wspomnienia tego wieczoru. Dwie z nich poprosiłam o zabranie ciała Natalie w głąb oceanu. Wiedziałam, że rozłoży się, zanim ktokolwiek je znajdzie. Co zaś się tyczy kajdanek, chwyciłam łańcuch w dwa palce i przełamałam go, jakby był zrobiony z wodorostów, a nie z metalu. I ruszyłam do brzegu, gotowa wyznać drugą zbrodnię komisarzowi Greenowi i sierżantowi Tompkinsowi.

Okazało się jednak, że Paige nauczyła się paru sztuczek od Natalie. Zanim moje stopy zetknęły się z piaskiem, policji już tu nie było - najwyraźniej Paige udało się przekonać komisarza, że goście zatrzymali się na plaży, by sprawdzić zgłoszenie o hałasach. Dyktafon z moim wyznaniem znalazł się w jej posiadaniu. Zajął się także Jaimem, Samem i mężem Natalie - w ten sam sposób, w jaki na moją prośbę syreny zajęły się pozostałymi mężczyznami: śpiewając tak słodko, by uwierzyli we wszystkie jej zapewnienia, łącznie z tym o mojej niewinności. Jedynymi, którzy nadal wiedzieli, o co zostałam oskarżona, byli Paige, Caleb, Simon i ja.

Nasza czwórka debatowała przez wiele godzin. Nie słyszeli ani kawałka mojej rozmowy z Natalie na tarasie dla pracowników, więc powtórzyłam im wszystko, co mówiła. Kiedy skończyłam, powiedziałam, że zamierzam oddać się w ręce policji, ale wybili mi to z głowy. Byli przekonani, że działałam w obronie własnej i że śmierć Colina ostatecznie była

wypadkiem. Uznali też, że trudno byłoby wyjaśnić to władzom, nie próbując tłumaczyć wszystkiego innego. Nie mogłam zaprzeczyć ich logice, więc mimo że dręczyły mnie - i dręcą do tej pory - wyrzuty sumienia, powstrzymałam się od zgłoszenia.

Jako przyjezdna Natalie nie była znana poza naszym niewielkim kręgiem ani przez nikogo poszukiwana, a jej ciała nie odnaleziono. Śmierć Colina uznano za tragiczny wypadek podczas kajakowania. Inne tajemnicze śmiertelne wypadki - Carli, Eriki i Gretchen - pozostały nierozwiązane. Ostatecznie, po upływie tygodni bez przykrych zdarzeń, mieszkańcy Winter Harbor uspokoili się, podobnie jak ich życie.

Nawet Paige się rozluźniła, choć to zabrało najwięcej czasu. Mnie dręczyło poczucie winy z powodu udziału w śmierci Colina, ona natomiast czuła się winna swojej znajomości z Natalie. Ich przyjaźń zaczęła się dość niewinnie, jednak Natalie wykorzystała fakt, że Paige chciała rozkręcić interes w restauracji, i kiedy nadeszła odpowiednia chwila, wyznała, że też jest syreną. Twierdziła, że chciała poznać Paige po przeczytaniu o tym wszystkim, co zdarzyło się poprzedniego lata, i miała nadzieję, że pomoże jej zacząć wszystko od nowa po tak przerażających doświadczeniach. Paige, rozpaczliwie pragnąca przyciągnąć klientów do restauracji, a jednocześnie zaciekawiona tym, czego mogłaby nauczyć się od bardziej doświadczonej, z pozoru godnej zaufania syreny, szybko przystała na propozycje Natalie - łącznie z tą, by wykorzystywać nadzwyczajne zdolności do wabienia mężczyzn na kolejne konkursy z poczęstunkiem organizowane „U Betty”. Chciała mi o tym powiedzieć, ale nie zrobiła tego z dwóch powodów. Po pierwsze, z obawy, że tego nie pochwalę, a po drugie, aby nie przysparzać mi dodatkowych zmartwień.

Przepraszała mnie po stokroć, a ja za każdym razem zapewniałam ją, że to zbyteczne. Kim byłam, by ją osądzać?!

Chętnie napiłabym się kawy, powiedziała nagle w myślach Paige. A po chwili dodała głośno:

- Kto ma ochotę na kawę? Ja stawiam.

Moi rodzice, podłapując doskonały pretekst do wyjścia, stwierdzili, że czują rozpaczliwy kofeinowy głód. Ustaliliśmy spotkanie w sali jadalnej, a wtedy cała ich trójka w pośpiechu wyszła z pokoju. Kiedy Simon i ja zostaliśmy sami, wreszcie wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Hej. - Uśmiechnął się.

Podeszłam do niego, zarzuciłam mu ręce na szyję i mocno objęłam.

- Dziękuję, że przyjechałeś.

- Chyba żartujesz. Za nic nie odmówiłbym sobie takiej przyjemności.

To była prawda. To musiała być prawda. Z pewnością dałam mu wystarczająco wiele powodów, by trzymał się ode mnie z daleka na długi, długi czas... a jednak był tu ze mną.

- Jakież wieści od przyszłej współlokatorki? - zapytał chwilę później.

Z ociąganiem zwolniłam uścisk.

- Na razie nie. Ale wymieniliśmy kilka emaili i sprawia wrażenie miłej. Na imię ma Sarah. Pochodzi z Nebraski.

- Całe szczęście, to nie w pobliżu oceanu.

- Właśnie. - O tym samym pomyślałam.

- Mogę ci coś poradzić?

- Zawsze.

Klapnął na łóżko.

- Podstawowe zasady. Warto ustalić je od samego początku

- najlepiej zaraz po odjeździe rodziców i jeszcze zanim położycie się spać. Nie chcesz, by obudził cię wściekły dźwięk budzika przed świtem albo widok współlokatorki uprawiającej nago jogę. Ani nic innego, co naruszyłoby fundamenty waszej relacji, których czasem już nie udaje się odbudować. Mówię poważnie.

Uśmiechnęłam się szeroko i usiadłam obok niego.

- A tak przy okazji... jesteś pewna, że ta część pokoju ci odpowiada? Niepisana zasada mówi, że kto pierwszy, ten lepszy. Chociaż wiem, że wystarczyłoby, aby Sarah z Nebraski zrobiła słodkie oczy, a pewnie odstąpiłabyś jej tę stronę. Jeśli jednak jesteś pewna, że ta strona ci odpowiada, najlepiej będzie opracować wspólnie uprzejmy sposób, byś nie ustępowała. Inna opcja to poczekać, aż ona się zjawi, i wspólnie postanowić, kto zajmuje który mebel, ale z tym zawsze jest więcej kłopotów, niż to wszystko jest warte.

Ubawiona jego radami, nie komentowałam. Chwilę później odwrócił się do mnie z uniesionymi oczekująco brwiami.

- Przepraszam - powiedziałam. - Pytałeś poważnie?

- Tylko poczekaj. Jutro rano, kiedy otworzysz oczy i nagle poznasz swoją współlokatorkę naprawdę dobrze... pożałujesz, że nie potraktowałaś moich słów serio.

Przysunęłam się bliżej i trąciłam go w ramię.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Uniósł moją brodę, zczekał, aż spojrzę mu w oczy, i powiedział cicho:

- Akurat na to pytanie, Vanesso Sands, nigdy nie będziesz musiała poznać odpowiedzi.

Przywarł lekko ustami do moich warg. Kiedy się całowaliśmy, dotarło do mnie, że po

raz pierwszy naprawdę w to wierzę. Wierzyłam, że Simon i ja będziemy razem bez względu na wszystko. Ponieważ teraz znał już całą prawdę. Wiedział o Colinie. Wiedział, że chociaż Natalie została zabita przez inne syreny, one działały pod wpływem mojego wezwania. A to czyniło mnie, przynajmniej częściowo - o ile nie w pełni - odpowiedzialną za ten czyn. Wiedział, że po jej śmierci czułam się dużo silniejsza, nawet bardziej niż po śmierci Colina. Wiedział nawet, co będę musiała zrobić, by zahamować postępujący proces starzenia.

A mimo to nadal chciał ze mną być.

Całowaliśmy się jeszcze przez dłuższą chwilę. Gdy w końcu odsunęliśmy się od siebie, Simon wstał z westchnieniem i wyciągnął rękę.

- Pewnie powinniśmy znaleźć twoich rodziców, zanim twoja mama wykupi wszystkie minilodówki w promieniu stu kilometrów.

Chwyciłam jego dłoń, a on pomógł mi wstać.

- Spotkajmy się w sali jadalnej. Chciałabym się odświeżyć.

- Zaczekam z przyjemnością.

- To zajmie tylko chwilę. - Uśmiechnęłam się. - Obiecuję.

Nie odpowiedział. Uścisnął i puścił moje palce, pocałował mnie w policzek i rzucił:

- Nie spiesz się.

Patrzyłam, jak odchodzi. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, raz jeszcze rozejrzałam się po pokoju. Poza meblami i pościelą był pusty i wiedziałam, że moja strona pewnie taka pozostanie. Kiedy się pakowałam, myślałam o domu Charlotte w południowym Bostonie, o pokoju gościnnym w czasie jej pobytu u nas. Jej dom był umeblowany prosto, surowo. Puste szafki na książki, kominek nieskazitelnie czysty, jakby nie zapalono w nim ani jednej zapalki. W Winter Harbor mieszkała z nami przez kilka dni, ale gdyby nie walizka i pantofle, jej pokój wydawałby się niezamieszkały.

Charlotte stawiała na prostotę. Nie chciała się zadomawiać, przywiązywać. Ciężko zadomowić się w teraźniejszości, kiedy przyszłość w każdej chwili może się zmienić.

To dlatego spakowałam tak niewiele rzeczy. Nie wiedziałam, co przyniesie moja przyszłość. W tym momencie to był college. Simon. Moi przyjaciele i rodzina. Względnie normalne życie.

Ale później? Za miesiąc? Za rok? Za dwa? Kiedy żadna ilość słonej wody ani niezliczone przypadkowe flirty nie dadzą mi siły, jakiej będę potrzebowała, by prowadzić względnie normalne życie? Kiedy nadejdzie czas, bym zrobiła to, czego nie chciałam już nigdy powtarzać?

Nie miałam pojęcia.

A mimo to - miałam nadzieję. Po raz pierwszy od bardzo dawna. Dlatego zabrałam tylko kilka rzeczy, które mogły pomóc mi zadomowić się w pokoju w akademiku.

Moja torebka leżała na łóżku. Z jej wnętrza wyciągnęłam kopertę, którą schowałam tam poprzedniego wieczoru, podeszłam do najbliższego biurka i stanęłam twarzą do ściany i jasnobrązowej korkowej tablicy.

Zrobiłam, co sugerował Simon. Nie spieszyłam się, działałam starannie i zaaranżowałam wszystko z rozmysłem. Kiedy skończyłam, zrobiłam krok wstecz, by sprawdzić rezultat.

Pośrodku w górnej części tablicy umieściłam zieloną nalepkę z logo Dartmouth, którą dostałam wraz z listem potwierdzającym przyjęcie na uczelnię. Pod nią przypięłam tuzin rozmaitych zdjęć, a na nich: moi rodzice odpoczywający na wiklinowych leżakach na plaży; Paige tańcząca z Betty, z Oliverem gotującym w tle; roześmiany Caleb udający, że atakuje aparat szczypcami kraba; Simon z książką, w górach, niezmiennie spoglądający na autorkę zdjęcia z takim uwielbieniem, jakby nigdy nie chciał spojrzeć na nikogo innego.

Pięć zdjęć na górze, siedem na dole. Tworzyły krąg wokół jednego, które lubiłam najbardziej. Na tym zdjęciu Justine i ja łowimy ryby w naszej czerwonej łódce. Głowa mojej siostry pochylona w moją stronę, moja skierowana w stronę nieba, a barki uniesione lekko, gdy śmieję się aż do łez z czegoś, co właśnie powiedziała.

- To przerażające - wyszeptalam, lekko przyciskając koniuszek palca do jej uśmiechniętej twarzy. - Ale też ekscytujące. Tobie na pewno by się spodobało.

Postałam tam jeszcze przez chwilę, aż gdzieś z podwórka dobiegł znajomy głos, który wykrzykiwał moje imię. Otworzyłam okno i wyjrzałam na zatłoczony chodnik.

- A cappella w kwartecie! - zawołała Paige, machając dwoma kubkami mrożonej kawy: po jednej dla każdej z nas, jak się domyśliłam. - Nie mam pojęcia, co to znaczy, ale pewien pan z tej szacownej uczelni zapewnia mnie, że tego nie można przegapić. Idziesz?

Uśmiechnęłam się. Tuż za Paige byli moi rodzice i studiowali mapę kampusu. Simon stał obok, z dłońmi w kieszeniach spodni, i uśmiechał się do mnie. Wszędzie wokół widziałam moich przyszłych kolegów i koleżanki ze studiów, rozmawiali, śmiali się do siebie i do swoich bliskich.

- Już schodzę! - zawołałam.

Złapałam torebkę, raz jeszcze rozejrzałam się po moim nowym pokoju i wyszłam, żeby sprawdzić, co jeszcze przyniesie dzisiejszy dzień.

## **PODZIĘKOWANIA**

Pragnę serdecznie podziękować Rebecce Sherman i Reginie Griffin oraz wszystkim pracownikom agencji literackiej Writers House i wydawnictwa Egmont USA, którzy pomogli przybliżyć czytelnikom powieści o syrenach. Wielkie podziękowania należą się mojej mamie, Michaelowi, Seanowi, Kristinie, Honeyowi, Megan, Bobbyemu oraz wszystkim niewymienionym przyjaciołom i członkom rodziny za ich nieustanne wsparcie i niewyczerpany entuzjazm.

TRICIA RAYBURN zaczęła pisać jeszcze jako nastolatka. Dziś jest uznaną autorką książek dla młodzieży.

Jej cykl o syrenach to niezwykle romantyczne powieści z mrocznym sensacyjnym wątkiem. Prawa do serii zostały sprzedane do kilkunastu krajów, m.in. Niemiec, Włoch, Wielkiej Brytanii i Australii.

Tricia uwielbia wodę, pomimo lęku przez stworzeniami z głębin, dlatego zamieszkała w nadmorskiej miejscowości na wschodnim wybrzeżu Long Island.

Tricia Rayburn to autorka mroczna i jedyna w swoim rodzaju.

„RT Book Reviews”

Napięcie, dramatyzm i miłosna pasja nie pozwalają się oderwać od powieści Tricii Rayburn.

„Booklist”